

**Sebastian**

**Barry**

**TAJNY DZIENNIK**

*The Secret Scripture*

Z angielskiego przełożyła

MAGDALENA SŁYSZ



*Dla Margaret Synge*

*Najbardziej niedoskonały jest nasz wgląd w samych siebie, dlatego duchami stajemy się we własnych oczach.*

Sir Thomas Browne, *Christian Morals*

*Spośród wielu, którzy studiują historię albo przynajmniej o niej czytają, jakże nieliczni czerpią korzyść ze swoich trudów...! Poza tym nawet w najlepiej udokumentowanych, dawnych i współczesnych dziejach wiele rzeczy budzi wątpliwości; a to umiłowanie prawdy, które pewnym umysłem jest wrodzone, nieuchronnie budzi miłość do sekretnych pamiętników i anegdot.*

Maria Edgeworth, wstęp do *Castle Rackrent*

# **Część pierwsza**

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

## Relacja Roseanne

*(pacjentka, Okręgowy Szpital Psychiatryczny w Roscommon, 1957 - ...)*

Przy każdym narodzinach świat powstaje od nowa - mawiał mój ojciec. Zapominał dodać, że kończy się przy każdej śmierci. A może nie czuł takiej potrzeby, ponieważ przez dużą część życia pracował na cmentarzu.

\*

Urodziłam się w miasteczku, w którym stale panował chłód. Nawet góry trzymały się od niego z daleka. Odnosiły się nieufnie do tego ciemnego miejsca nie mniej niż ja.

Przez miasteczko przepływała czarna rzeka i jeśli nie miała żadnego uroku dla istot ludzkich, to przynajmniej upodobały ją sobie łabędzie, zjawiały się nad nią stadami, nawet pływały po niej jak jakieś ptaki nurkujące.

Rzeka niosła śmieci do morza, kawałki rzeczy należących niegdyś do kogoś, które zabierała z brzegów, ciała też, choć rzadko, no i nieszczęsne noworodki, takie, które przynosiły wstyd, dziwne czasy. Rzeka, jej toń, bystry nurt, bardzo sprzyjały sekretom.

Miasteczko, o którym mówię, to Sligo.

Sligo stworzyło mnie i Sligo mnie zgubiło, ale przecież powinnam była wyrwać się spod władzy ludzkich miasteczek o wiele wcześniej i liczyć tylko na siebie. Te wszystkie okropieństwa i cierpienia, jakich zaznałam w życiu, zdarzyły się dlatego, że byłam młoda i sądziłam, iż to inni decydują o moim szczęściu czy nieszczęściu; nie wiedziałam, że można odgrodzić się murem z wymagowanych cegieł od niegodziwości i okrucieństw, od mrocznych sztuczek, które płata nam czas, i samej decydować o sobie.

Już mnie tam nie ma, teraz jestem w Roscommon. To stary dom, kiedyś był elegancką rezydencją, ale pomalowano go na kremowo i wstawiono do środka żelazne łóżka, a w drzwi wprowadzono zamki. To królestwo doktora Grene'a. Doktor Grene to człowiek, którego nie rozumiem, ale się go nie boję. Nie wiem, jakiego jest wyznania, ale wygląda zupełnie jak święty Tomasz, z tą swoją brodą i wianuszką włosów wokół łysiejącego czubka głowy.

Jestem całkiem sama, poza tym miejscem nie ma na świecie nikogo, kto by mnie znał, moi bliscy, i tak niegdyś nieliczni, przede wszystkim moja matka, ten mały strzyżyk, wszyscy

już odeszli. I moi prześladowcy też chyba w większości pomarli, a to dlatego, że jestem starą bardzo starą kobietą mogę mieć ze sto lat, chociaż nie wiem tego na pewno, nikt nie wie. Jestem niedobitkiem, matuzalemem, nawet nie wyglądam już jak człowiek, wyglądam jak worek kości w brzydkiej spódnicy i bluzce, w płóciennym żakiecie, i siedzę tu, na swoim miejscu, jak pozbawiony głosu rudzik - nie, raczej jak mysz, która zdechła pod kominkiem, gdzie było jej ciepło, i spoczywa tam jak mumie w piramidach.

Nikt nawet nie wie, że mam swoją historię. W przyszłym roku, w przyszłym tygodniu, jutro, już mnie pewnie nie będzie, wsadzą mnie do najmniejszej trumny, jaką mają, a potem spuszczą do wąskiego dołu. Nie będę miała nad głową nagrobka, ale to nieważne.

A może małe i wąskie jest wszystko, co ludzkie.

Wokół panuje cisza. Mam sprawną rękę i śliczny długopis z niebieskim wkładem, dostałam go od mojego przyjaciela, pana doktora, bo powiedziałam, że podoba mi się ten kolor - nie jest to, prawdę mówiąc, zły człowiek, może nawet filozof - i mam też trochę kartek, które znalazłam w starej szafie, wśród innych niechcianych rzeczy, obluzowałam deskę podłogową i chowam te skarby pod nią. Na niepotrzebnym nikomu papierze - jest go w nadmiarze - spisuję historię swojego życia. Mam przed sobą czystą kartkę - wiele czystych kartek. Bo bardzo chciałabym zostawić świadectwo, ulotną szczerą relację o sobie, i jeśli Bóg da mi siłę, opowiem tę historię, zamknę ją pod deską podłogową a potem z radością sama spocznię pod murawą Roscommon.

\*

Mój ojciec był najbardziej schludnym człowiekiem w całym chrześcijańskim świecie, a już na pewno w całym Sligo. W mundurze wydawał mi się nieskazitelny - nie było w nim nic nieporządnego, wyglądał wzorowo jak księga rachunkowa. Był nadzorcą cmentarza i dostał wspaniałą uniform, a przynajmniej tak na to patrzyłam jako dziecko.

Na podwórku trzymał beczkę na deszczówkę, w której mył się codziennie przez okrągły rok. Kazał nam z matką odwracać się do ściany kuchni i nie bojąc się, że ktoś go zobaczy, stawał wśród mchów i porostów rozebrany do naga, a następnie zlewał się wodą niezależnie od pogody, nawet w najcięższą zimę, choć parską przy tym jak koń.

Używał mydła karbolowego, którym można by wyszorować do czysta tłustą podłogę, namydlał się obficie, potem szorował całe ciało szarym kamieniem, a gdy skończył, odkładał go do dziury w ścianie - skąd wystawał jak nos. Wszystko to widywałam przypadkiem albo gdy ukradkiem obróciłam głowę, bo pod tym względem byłam niegrzeczną córką, nieposłuszną.

Żaden występ cyrkowy nie sprawiłby mi takiej przyjemności.

Mój ojciec był śpiewakiem, którego nie można było uciszyć, śpiewał arie ze wszystkich ówczesnych operetek. I uwielbiał czytać kazania dawno zmarłych pastorów, ponieważ wyobrażał sobie, jak brzmiały którejs minionej niedzieli w ich ustach, tak mówił. Sam był synem pastora, gorliwym, mogłabym wręcz powiedzieć - zapatrzonym w niebo prezbiterianinem, co nie zjednywało mu w Sligo szczególnej popularności. Wychwalał zwłaszcza *Kazania* Johna Donne'a, ale jego prawdziwą ewangelią było *Religio Medici* sir Thomasa Browne'a, książka, którą zachowałam wśród resztek mojego doczesnego mienia - mały sfatygowany tomik. Mam go przed sobą na łóżku, z jego imieniem i nazwiskiem wypisanym w środku czarnym atramentem, Joe Clear, oraz miejscem i datą, Southampton 1888, bo we wczesnej młodości ojciec był marynarzem i jeszcze przed siedemnastym rokiem życia zwiedził wszystkie porty chrześcijańskiego świata.

W Southampton miało miejsce jedno z najdonioślejszych czy najważniejszych wydarzeń w jego życiu, bo tam poznał moją matkę Cissy, pokojówkę w pensjonacie dla marynarzy, w którym się zatrzymywał.

Opowiadał zresztą dziwną historię o tym mieście i jako dziecko uważałam, że to święta prawda. Może mimo wszystko była prawdziwa.

Któregoś razu gdy przybył do Southampton, nie było już wolnych miejsc w jego ulubionym pensjonacie, więc powędrował smaganą wiatrem ulicą wzdłuż niekończącego się szeregu kwater, aż znalazł wreszcie samotny dom z szyldem informującym o wolnych pokojach, żeby zwabić klientów.

Wszedł do środka i został przyjęty przez kobietę o szarej twarzy, ponad trzydziestoletnią, która wynajęła mu łóżko w suterenie.

Obudził się w środku nocy, bo wydawało mu się, że słyszy w pokoju czyjś oddech. Przestraszony, z niezwykłą przytomnością, która towarzyszy przerażeniu, usłyszał jęk, jakby ktoś w ciemnościach leżał obok niego na łóżku.

Za pomocą hubki i krzesiwa zapalił świecę. Nie zobaczył nikogo. Zauważył jednak na pościeli i materacu wgniecenie, jakby leżał tam ktoś ciężki. Zerwał się z łóżka i zawołał, ale nikt mu nie odpowiedział. Wtedy poczuł straszliwy głód w żołądku, taki, jakiego Irlandczyk nie zaznał od czasów wielkiej zarazy ziemniaczanej<sup>1</sup>. Podbiegł do drzwi, ale ku swojemu zaskoczeniu przekonał się, że są zamknięte na klucz. Wtedy naprawdę wpadł we wściekłość. „Wypuście mnie, wypuście mnie!” - krzyczał, przerażony i oburzony. Jak ta jędza mogła go tu zamknąć! Walił w drzwi i walił, aż w końcu przyszła gospodyni i go odemknęła.

---

<sup>1</sup> W 1846 r. w Irlandii miała miejsce zaraza ziemniaczana, w wyniku której z głodu zmarło kilkaset tysięcy osób.

Przeprosiła i wyjaśniła, że musiała niechcący przekręcić klucz w zamku z obawy przed złodziejami. Opowiedział jej o dziwnych odgłosach, ale ona tylko się uśmiechnęła i nic nie odrzekła, a potem wróciła do swojego pokoju. Ojciec pomyślał, że poczuł od niej dziwny zapach liści, ziemi i poszycia, jakby przedzierała się przez las. Potem zrobiło się cicho, zgasił więc świecę i próbował zasnąć.

To samo powtórzyło się jakiś czas później. Ojciec nagle się przebudził, zapalił świecę i podszedł do drzwi. Znowu były zamknięte na klucz! I znów poczuł, że głód ściska mu żołądek. Z niewiadomego powodu, może dlatego, że było to takie dziwne, wołał nie wzywać już gospodyni. Spocony, w niewygodnej pozycji, spędził całą noc na krześle.

Z nastaniem świtu ojciec się obudził i ubrał, a kiedy podszedł do drzwi, okazało się, że nie są zamknięte na klucz. Wziął swoje bagaże i ruszył po schodach na piętro. Dopiero wtedy zauważył, że dom jest w ruinie, co nie było tak widoczne w łaskawszym mroku nocy. Nie mógł dobić się do gospodyni, a że statek wkrótce wypływał z portu, musiał odejść, nie zobaczywszy się z nią, tylko na odchodnym zostawił kilka szylingów przy wieszaku.

Już na ulicy, kiedy się obejrzał, ze zdumieniem zobaczył, że szyby w wielu oknach są wybite, dach się zapada i są w nim dziury.

Zaszedł do sklepu na rogu, żeby z kimś pogadać i się uspokoić, i zapytał o ten dom. Jest zamknięty od kilku lat i niezamieszkały, wyjaśnił sklepikarz. Najlepiej by było, żeby go zburzono, tylko że stoi w ciągu szeregowców. Ojciec nie mógł spędzić w nim nocy, oświadczył stanowczo sklepikarz. Nikt tam nie mieszka i nikt by go nie kupił, ponieważ kiedyś pewna kobieta zabiła w nim męża: zamknęła go w suterenie i zagłodziła na śmierć. Została potem osądzona i powieszona za morderstwo.

Ojciec opowiadał mnie i matce tę historię z takim przejęciem, jakby ją przeżywał na nowo. Przed oczami przesuwały nam się obrazy ponurego domu, kobiety o szarej twarzy, jęczącego ducha.

- Dobrze, że następnym razem, gdy byłeś w porcie, znalazł się pokój u nas - zauważyła matka niewinnym tonem.

- O tak, na Boga, o tak - potwierdził ojciec.

Krótką historią, historią marynarza, która jakimś sposobem łączyła się z urodą matki, wielkim powabem, jaki miała ona dla niego nie tylko wtedy, ale i zawsze.

Jeśli o to chodzi, była to uroda w typie hiszpańskim, z ciemnymi włosami i śniadą cerą z zielonymi jak szmaragdy oczami, wobec której mężczyzna nie miał się jak bronić.

Ojciec ożenił się więc z matką, przywiózł ją do Sligo i odtąd tam wiodła życie; nieprzyzwyczajona do takiego mrocznego miejsca i zrozpaczona, błyszczała jak zgubiony



szyling na klepsku. W Sligo piękniejszej dziewczyny nie widziano, skórę miała miękka jak pierze, piersi pełne i ciepłe jak świeżo upieczony chleb, sam miód.

Największą przyjemność w młodych latach sprawiały mi spacer z matką o zmierzchu po ulicach Sligo, bo lubiła wychodzić ojcu naprzeciw, gdy wracał do domu z pracy na cmentarzu. Dopiero później, po wielu latach, kiedy już trochę podrosłam, uświadomiłam sobie, patrząc wstecz, że w tym wychodzeniu naprzeciw był pewien niepokój, jakby matka nie wierzyła, że on we właściwym czasie, po pracy, zwyczajnie wróci do domu. Bo sądzę, że dziwnie cierpiała pod aureolą tej swojej urody.

Ojciec był nadzorcą jak już wam wspominałam, i nosił niebieski uniform oraz czapkę z daszkiem, czarnym jak pióra kosa.

Był to czas Wielkiej Wojny i w miasteczku roilo się od żołnierzy, jakby Sligo samo stanowiło pole bitwy. Byli to jednak tylko mężczyźni na przepustce. W mundurach prezentowali się równie wspaniale jak ojciec - gdy więc tak szliśmy z matką a ja wyglądałam go z taką samą determinacją jak ona, miałyśmy wrażenie, że widzimy go to tu, to tam. Moja radość nie mogła być większa, gdy wreszcie okazywało się, że to on - wraca z cmentarza rażnym krokiem w ciemny zimowy wieczór. I gdy mnie zobaczył, zaczynał droczyć się ze mną i wygłupiać jak dziecko. Ściągało to na niego zdziwione spojrzenia, bo może i takie zachowanie nie licowało z godnością nadzorcy miasteczkowych nieboszczyków. Miał jednak tę rzadko spotykaną zdolność, że zapominał się w obecności dziecka, stawał się beztroski i wesoły, nie zważając, że ludzie patrzą.

Nadzorował groby, lecz był także sobą i w niebieskim mundurze, ze swoją czapką z daszkiem, mógł z całą powagą zaprowadzić kogoś do kwatery, gdzie leżał jego krewny czy przyjaciel, gdy jednak zostawał sam w stróżówce, małej świątyni z betonu, słyszano, jak cudownie śpiewa *I Dreamt that I Dwelt in Marble Halls* z *Bohemian Girl*, jednej ze swoich ulubionych operetek.

W wolne dni zaś wyruszał motocyklem marki Matchless, żeby przejechać się po krętych drogach Irlandii. I jeśli zdobycie mojej matki było wielkim wyczynem, to, że któregoś pomyślnego roku, gdzieś około moich narodzin, pokonał na swoim wspaniałym motorze krótki tor na Isle of Man, zajmując jedno z całkiem dobrych, środkowych miejsc i nie zabijając się, stało się potem dla niego źródłem niekończących się wspomnień i radości i przynosiło mu, jestem tego pewna, wielką pociechę, gdy tak siedział w swojej betonowej świątyni, podczas ciągnących się straszliwie irlandzkich zim, wśród śpiących wokoło dusz.

Inna ze „sławnych” opowieści mojego ojca, to znaczy sławnych w naszej małej rodzinie, pochodziła z jego czasów kawalerskich, gdy jeszcze mógł jeździć na nieliczne

wtedy złoty motocyklistów. Historia zdarzyła się w Tullamore i była szczególnie dziwna.

Jechał sam, z dużą szybkością, a przed nim widniał długi, łagodny, pochyły stok, za którym był ostry zakręt, w miejscu, gdzie droga dochodziła do muru posiadłości, jednego z tych wysokich, grubych kamiennych murów, wznoszonych podczas wielkiego głodu, żeby dać ludziom zajęcie. W każdym razie motocyklista jadący przed nim po stoku i nabierający prędkości, zamiast przyhamować, najwyraźniej pędził coraz szybciej w kierunku przeciwległego muru i w końcu uderzył w niego ze straszliwym impetem, wśród dymu, ze szczękiem metalu i hukem, jakby strzelano z dział. Ojciec, który patrzył na to przez brudne gogle, sam niemal stracił panowanie nad maszyną, takie było jego przerażenie; potem jednak ujrzał widok, którego nie mógł wyjaśnić ani wtedy, ani później: motocyklista uniósł się jak na skrzydłach i przebył potężny mur szybkim, miękkim ruchem, przypominającym płynny lot mewy pod wiatr. Przez chwilę, przez krótką chwilę ojciec naprawdę myślał, że zobaczył błysk skrzydeł, i potem już nigdy nie mógł czytać w książeczce do nabożeństwa o aniołach, żeby nie przypomnieć sobie tego niezwykłego zdarzenia.

Proszę, tylko nie myślcie, że mój ojciec kłamał, bo był do tego niezdolny. To prawda, ludzie na wsi - a nawet w miasteczkach - lubią opowiadać, że byli świadkami cudu, tak jak mój mąż Tom w przypadku dwugłowego psa, którego rzekomo widział na drodze do Enniscrone. Takie historie wywołują efekt, jeśli opowiada się je z całkowitą powagą - albo jeśli naprawdę widziało się jakiś cud. Mój ojciec jednak nie był żadnym kuglarzem, nie kłamał ani nie wymyślał niestworzonych rzeczy.

Ojcu udało się zahamować; zatrzymał się i pobiegł wzdłuż muru, znalazł jedną z tych fikuśnych małych bram i pchnąwszy pordzewiałe żelazo, pomknął przez pokrzywy i szczaw, żeby odnaleźć kolegę. Leżał on po drugiej stronie muru całkiem nieprzytomny, ale też, jak zaklinał się ojciec, cały i zdrowy.

W końcu mężczyzna ten, jak się okazało, Hindus, który sprzedawał szaliki i inne towary z walizki po całym zachodnim wybrzeżu, odzyskał przytomność i uśmiechnął się do ojca. Obaj nie mogli się nadziwić temu niewyjaśnionemu ocaleniu, o którym naturalnie gadano potem w Tullamore przez całe lata. Jeśli kiedykolwiek usłyszycie tę opowieść, narrator będzie mógł ją zatytułować „Hinduski anioł”.

I znowu, mój ojciec był dziwnie uszczęśliwiony, gdy opowiadał tę historię. Można by pomyśleć, że takie zdarzenie stanowi dla niego nagrodę za to, iż żyje, drobny upominek w postaci opowieści, która sprawia mu wielkie zadowolenie, dając, w snach i na jawie, poczucie uprzywilejowania, jakby takie drobne historie składały się dla niego na jakąś fragmentaryczną ewangelię. I gdyby na podstawie życia ojca miała zostać spisana jego ewangelia - bo dlaczego

nie, skoro podobno życie każdego z nas jest dla Boga takie cenne - to myślę, że te skrzydła na plecach jego przyjaciela Hindusa przybrałyby bardziej materialną postać i to, co zaledwie dano mu do zrozumienia, stałoby się w kolejnej relacji z drugiej ręki pewne, nie do udowodnienia, ale niewątpliwie usytuowane jeszcze wyżej w krainie cudów. Tak żeby wszyscy bez wyjątku mogli czerpać z tego pokrzepienie.

Poczucie szczęścia mojego ojca. Już samo w sobie było wspaniałym darem, tak jak być może niepokój matki był stale tą łyżką dziegciu. Bo matka nigdy nie tworzyła miniaturowych legend ze swojego życia i wyjątkowo nie miała do opowiedzenia żadnych historii, choć jestem przekonana, że przydarzały jej się rzeczy równie ciekawe jak ojcu.

To zabawne, ale dochodzę do wniosku, że ktoś, kto nie ma w zanadrzu anegdot, które by powtarzał do śmierci i które by go przeżyły, jest w większym stopniu skazany na całkowite zapomnienie nie tylko przez historię, ale i przez następujących po nim członków rodziny. Oczywiście taki jest los większości nieszczęśników, ich życie, choćby nie wiadomo jak barwne i cudowne, zostaje zredukowane do smutnych, czarnych nazwisk na starych drzewach genealogicznych, z niepełnymi datami zakończonymi znakiem zapytania.

Poczucie szczęścia nie tylko ratowało mojego ojca, ale skłaniało go do opowiadania historii, dzięki czemu wciąż żyje on we mnie, jak druga, bardziej cierpliwa i wdzięczniejsza dusza w mojej własnej, nieszczęsnej.

Może było ono nieuzasadnione. Lecz czy człowiek nie może uczynić samego siebie tak szczęśliwym, jak tylko się da i jak długo jest to możliwe? Myślę, że ma do tego prawo. Świat jest przecież piękny i moglibyśmy czuć się na nim nieustannie szczęśliwi, gdybyśmy tylko, zamiast człowiekiem, byli jakimkolwiek innym stworzeniem.

\*

Główny pokój w naszym domku, choć już i tak ciasny, oprócz nas zajmowały jeszcze dwie duże rzeczy. Jedną z nich był wspomniany wcześniej motocykl, który nie mógł stać na deszczu. Można by powiedzieć, że wiódł w salonie cichy żywot, bo ojciec, kiedy miał na to ochotę, siedząc w fotelu, polerował giemzową ściereczką jego chromowane części. Drugim przedmiotem, o którym pragnę wspomnieć, było małe wiejskie pianino, które podarował nam wdzięczny wdowiec, gdy ojciec za darmo wykopał dół dla jego żony, bo pogrążona w żałobie rodzina nie miała pieniędzy. Pewnego letniego wieczoru, niedługo po pogrzebie, pianino przybyło więc na ciągnionym przez osła wozie i zostało wniesione do naszego małego pokoju przez wdowca i jego dwóch synów, wśród uśmiechów i pełnej skrępowania radości. Prawdopodobnie nie było wiele warte, ale za to miało piękne brzmienie i wcześniej, zanim się u nas znalazło, nikt nigdy na nim nie grał, jak można było domyślić się po stanie

nieskazitelnych wręcz klawiszy. Z boku miało wymalowane scenki rodzajowe, nie z okolic Sligo, najprawdopodobniej z wymaginowanych Włoch czy innego takiego kraju, ale równie dobrze mogły pochodzić stąd, ponieważ przedstawiały rzeki i góry, z pasterzami i pasterkami wśród cierpliwych owieczek. Ojciec, który wychował się na plebanii, umiał grać na tym uroczym instrumencie, a jak już pisałam, najbardziej lubił stare operetki, z minionego wieku. Balfe'a uważał za geniusza. Ponieważ siadywałam obok niego na taborecie, wkrótce, za sprawą mojego uczucia do ojca i wielkiej radości, jaką sprawiał mi jego talent, sama zaczęłam uczyć się gry na pianinie i powoli robiłam prawdziwe postępy, nie czując zupełnie, żeby był to jakiś wysiłek czy trudność.

Niebawem mogłam mu akompaniować, gdy stał pośrodku pokoju, z jedną ręką wspartą od niechcenia na siodelku motocykla, a drugą wsuniętą za kurtkę na piersi, jak jakiś irlandzki Napoleon, i śpiewał, wręcz bezbłędnie, przynajmniej tak mi się wydawało, *Marble Halls* czy inne perły ze swojego repertuaru - także pieśni nazywane neapolitańskimi, nie na cześć Napoleona, wbrew temu, co sądziłam, ale od miasta, na którego ulicach powstały - pieśni zapomniane już w Sligo! Jego głos był dla mnie jak miód, donośnie rozbrzmiewał w mojej głowie, dzwonił, zagłuszając wszelkie dziecięce lęki. Gdy się wznosił, wznosiło się też wszystko w ojcu, ramiona, wąsy, jedna jego stopa kiwała się lekko nad starym dywanem ze wzorem w pieski, a oczy błyszczały mu dziwną wesołością. Nawet Napoleon musiałby uznać go za człowieka o wybitnych zdolnościach. W takich chwilach, przy cichszych pasażach pieśni, demonstrował tak piękny tembr głosu, że do dziś nie słyszałam piękniejszego. Kiedy byłam młodą kobietą, do Sligo przyjeżdżało wielu dobrych śpiewaków, występowali na estradzie pod gołym niebem i kilku najpopularniejszym nawet akompaniowałam na pianinie, bębniąc w klawisze, tak że bardziej im chyba przeszkadzałam, niż pomagałam. Żaden z nich jednak nie dorównywał mojemu ojcu pod względem dziwnej, kameralnej tonacji głosu.

\*

A człowiek umiejący cieszyć się w obliczu nadchodzących nieszczęść, które dopadają tak wielu bez łaski ani litości, jest prawdziwym bohaterem.

## ROZDZIAŁ DRUGI

### Z notatek doktora Grene'a

*(starszy psychiatra, Okręgowy Szpital Psychiatryczny w Roscommon)*

Ten budynek jest w strasznym stanie, nie mieliśmy pojęcia jak strasznym, dopóki nie przyszedł raport rzeczoznawcy budowlanego. Trzej panowie, którzy odważnie wspięli się na stary dach, stwierdzili, że deski stropowe grożą zapadnięciem, jakby samo zwieńczenie tej instytucji odzwierciedlało stan wielu jej nieszczęsnych pensjonariuszy. Zamiast „pensjonariuszy” powinienem napisać „pacjentów”. Ponieważ jednak ośrodek ten powstał pod koniec osiemnastego wieku jako instytucja charytatywna, „zakład leczniczy i azyl dobroczynny dla upośledzonych siedzib myśli”, do głowy przychodzi przede wszystkim słowo „pensjonariusz”. Natomiast jak był on „dobroczynny” i jak „leczniczy”, tego można się tylko domyślać. Potem, w połowie dziewiętnastego wieku, pod wpływem rewolucyjnych idei różnych lekarzy, w zakładach dla obłąkanych nastąpił okres wielkiego oświecenia, kiedy to kaftany bezpieczeństwa stosowano sporadycznie, zaczęto dbać o właściwe wyżywienie, a także wprowadzono gimnastykę i ćwiczenia stymulujące umysł. Stanowiło to wielki postęp w porównaniu z praktykami w Bedlam<sup>2</sup>, gdzie pacjenci przypominali ryczące stwory przykuwane łańcuchami do podłogi. Nie wiadomo, dlaczego później się to wszystko pogorszyło, tak że żaden historyk o jako takiej wrażliwości nie podjąłby się badania irlandzkich zakładów dla obłąkanych z pierwszej połowy zeszłego wieku, ze stosowanymi w nich klitoridektomią, biczami wodnymi i zastrzykami. Ubiegłe stulecie to już „moje” czasy, bo miałem pięćdziesiąt pięć lat, kiedy się skończyło, a w tym wieku trudno oddać się duszą i ciałem nowej epoce. Przynajmniej ja doszedłem do takiego wniosku. I wciąż dochodzę. Bo niestety, niebawem będę miał już sześćdziesiąt pięć lat.

Ponieważ budynek z taką mocą ujawnia swój wiek, będziemy musieli się z niego wyprowadzić. W ministerstwie mówią, że nowa siedziba będzie do zasiedlenia niemal natychmiast, co może być prawdą albo tylko pustą gadaniną. Ale jak mamy się stąd wynieść, skoro nie dostaliśmy jeszcze tego nowego budynku, i co więcej, w bardziej filozoficznym

---

<sup>2</sup> Bedlam - szpital psychiatryczny w Londynie, istniejący od ok. 1400 r.

aspekcie, jak zabrać stąd pacjentów, z których wielu niemal wrosło w te ściany? W bloku centralnym mieszka pięćdziesiąt kobiet, tak starych, że stały się już wieczne, niezmiennie, są przykute do łóżek i tak schorowane, że przenoszenie ich byłoby wręcz barbarzyństwem.

Chyba nie chcę pogodzić się z myślą o przeprowadzce, tak jak każdy normalny człowiek, gdy jest o niej mowa. Ale bez wątpienia damy sobie radę, mimo nieuniknionego zamętu i stresu.

Personel i pielęgniarki też stali się częścią budynku, podobnie jak nietoperze na dachu i szczury w piwnicy. Zdaję sobie sprawę, że muszą ich być tabuny, choć sam, na szczęście, widziałem szczury tylko raz, kiedy we wschodnim skrzydle wybuchł pożar. Wtedy zauważyłem ich ciemne sylwetki przemykające od drzwi na dole w kierunku sąsiadujących z nami pół kukurydzy za żywopłotem. Gdy uciekały, w blasku ognia ich grzbiety miały dziwny kolor marmolady. Na pewno gdy tylko usłyszały, jak strażacy ogłaszają, że pożar został ugaszony, chyłkiem wróciły do swoich ciemnych siedzib.

Tak więc za jakiś czas czekają nas przenosiny. Dlatego, zgodnie z najnowszymi zaleceniami, muszę ocenić, czy niektórzy pacjenci mogą wrócić do życia w społeczeństwie (cokolwiek to znaczy, o Panie), a wszystkich innych podzielić na kategorie. Wielu z nich przeżyje wstrząs już na sam widok nowych wnętrz, świeżych, otynkowanych ścian, sprawnej instalacji sanitarnej i ogrzewania. Będą tęsknić za wyciem wiatru w korytarzach, nawet w bezwietrzne dni (skąd to się bierze? Może na skutek różnicy temperatur w różnych częściach szpitala?), które stanowi cichy akompaniament ich snów i „szaleństwa”. Jestem tego pewien. Ci biedni staruszkowie w czarnych garniturach, uszytych dawno temu przez szpitalnego krawca, nie tyle szaleni, ile bezdomni i wiekowi, którzy mieszkają w najstarszym, zachodnim skrzydle, jak żołnierze jakiejś zapomnianej hinduskiej wojny o niepodległość nie odnajdą się poza swoim miejscem w Roscommon.

Ta sytuacja zmusza mnie do podjęcia zadania, którego długo unikałem, mianowicie ustalenia, w jakich okolicznościach znaleźli się tu niektórzy pacjenci i czy, jak to niestety bywało w pewnych tragicznych przypadkach, nie zostali umieszczeni w szpitalu z powodów raczej społecznych niż medycznych. Nie jestem bowiem aż takim głupcem, aby myśleć, że wszyscy tutejsi „obłąkani” są naprawdę szaleńcami, że byli nimi kiedykolwiek czy zanim tu wylądowali i potem w pewien sposób zarazili się od innych. Wszzechwiedzące społeczeństwo czy też, powiedzmy, opinia publiczna, jak to się pisze w gazetach, uważają, że ci ludzie zasługują na „wolność”, „oswobodzenie”. Może tak być, ale dla istot równie długo trzymany w zamknięciu wolność stwarza nowe problemy, tak jak się stało w przypadku tych wszystkich krajów Europy Wschodniej po obaleniu komunizmu. Zresztą ja sam

niechętnie bym ich stąd wypuścił. Dlaczego tak się dzieje? Czyżby to niepokój dozorczy zoo? Obawa, czy moje polarne niedźwiedzie poradzą sobie na biegunie? Myślę, że taka teoria byłaby uproszczeniem. Cóż, zobaczymy.

Będę musiał zająć się zwłaszcza moją starą przyjaciółką, panią McNulty, najstarszą osobą nie tylko w tym miejscu, ale i w samym Roscommon, a może nawet w całej Irlandii. Była już w podeszłym wieku, gdy nastąpiłem tu trzydzieści lat temu, chociaż wtedy miała jeszcze energię - jak by to określić? - wynikającą z sił natury. Pani McNulty jest niezwykła i mimo że bywają długie okresy, kiedy jej nie widuję albo widuję tylko przelotnie, zawsze mam świadomość jej obecności i staram się o nią pytać. Obawiam się, że jest dla mnie probierzem. Stanowi punkt odniesienia i reprezentuje nie tylko instytucję, ale także, dziwnym sposobem, moje własne dzieje, moje własne życie. „Gwiazda zbłąkanych łodzi” - jak powiedział Szekspir<sup>3</sup>. Moje problemy małżeńskie z biedną Bet, podupadanie na duchu, a właściwie całkowity upadek ducha, dość wczesne poczucie, że nie nadążam, że to, że tamto - ta cała moja poczciwa głupota. Gdy wszystko zmienia się w sposób nieunikniony, ona pozostaje taka sama, nawet jeśli z biegiem lat słabnie i się kurczy. Ma już setkę? Kiedyś grywała na pianinie w sali wypoczynkowej, naprawdę bardzo trudne utwory, standardy jazzowe z lat dwudziestych i trzydziestych. Nie wiem, gdzie się ich nauczyła. Siadywała tam, ze swoimi siwymi włosami opadającymi na plecy, w jednej z tych okropnych szpitalnych koszul, ale i tak wyglądała jak królowa i chociaż dobiegała wtedy siedemdziesiątki, widać było ślady jej dawnej urody. Wciąż jest piękna, a Bóg wie, jak musiała wyglądać za młodu. Nadzwyczajne, to dowód czegoś niezwykłego i może nieznanego w tym prowincjonalnym świecie. Z powodu lekkiego reumatyzmu - nie użyłaby tego słowa, nazywałaby to „oporem” palców - którego nabawiła się w późniejszych latach, przestała grać. Mogłaby to robić prawie tak samo dobrze jak kiedyś, ale to „prawie” jej nie zadowalało. Tak więc nie możemy już słuchać jazzu w wykonaniu pani McNulty.

A tak na marginesie, pianino, zaatakowane przez komiki, zostało potem wyrzucone do kontenera na śmieci z donośnym, zupełnie niemelodyjnym brzękiem.

Będę więc musiał teraz iść do niej i zagadnąć ją o to i owo. Dziwnie się z tego powodu denerwuję. Dlaczego jestem taki wytrącony z równowagi? Chyba dlatego, że jest tyle ode mnie starsza i jeśli pozwolić jej mówić, staje się niezwykle miłym kompanem, jak starszy kolega, którego się darzy szacunkiem. Myślę, że o to chodzi. A może po prostu przypuszczam, że mnie lubi, tak jak ja lubię ją. Chociaż dlaczego miałyby mnie lubić, tego nie

---

<sup>3</sup> Sonet 116, przekład Stanisława Barańczaka.

wiem. Zawsze budziła moją ciekawość, ale nigdy nie grzebałem w jej życiu, co może nie świadczy o mnie dobrze jako o psychiatrze. Niemniej tak jest, lubi mnie. I za nic w świecie nie chciałbym utracić tej jej sympatii. Muszę więc postępować ostrożnie.

## Relacja Roseanne

Jakżebym chciała powiedzieć, iż kochałam ojca tak bardzo, że nie mogłabym bez niego żyć, ale czas by dowiódł, że to puste słowa. Z woli Boga albo diabłów, które Go sobie uzurpują, tracimy tych, których kochamy, te najważniejsze dla nas istoty. Wtedy czujemy się tak, jakby na piersi spoczął nam wielki kawał ołowiu, i jak kiedyś było nam lekko na duszy, tak teraz serce przytłacza nam tajemny, niszczycielski ciężar.

\*

Kiedy miałam z dziesięć lat, ojciec w edukacyjnym zapale zabrał mnie na szczyt wysokiej smukłej wieży na cmentarzu. Była to jedna z tych pięknych, strzelistych budowli wznoszonych przez mnichów w czasach zagrożenia i destrukcji. Stała w rogu cmentarza, wśród pokrzyw, i właściwie nigdy się o niej nie mówiło. Znajdowała się w Sligo od zawsze, dokąd pamięć sięga. Lecz niewątpliwie był to cud nad cudy, wzniesiony przy minimalnej ilości zaprawy między kamieniami, z których każdy pamiętał łuk wieży i każdy został idealnie dopasowany do pozostałych przez dawnych budowniczych. Oczywiście cmentarz był katolicki. Ojciec nie dostał tej pracy z powodu swojego wyznania, ale ponieważ był powszechnie lubiany w miasteczku i katolikom nie przeszkadzało, że groby będzie kopał im prezbiterianin, o ile jest to dobry człowiek. W tamtych czasach pomiędzy różnymi Kościołami chrześcijańskimi panowała większa zgoda, niżbyśmy przypuszczali, zapomina się też, że na mocy surowego prawa karnego, które obowiązywało w minionych czasach, walczące z sobą odłamy wyznaniowe były piętnowane, na co lubił zwracać uwagę mój ojciec. W każdym razie tam, gdzie panuje przyjaźń, rzadko pojawiają się konflikty religijne. A jego wyznanie zaczęło mieć znaczenie dopiero później. Wiem jedno: że ogromnie lubił go ksiądz proboszcz, żwawy, drobny człowieczek, ojciec Gaunt, który wyrośnie na wielką postać w mojej opowieści, jeśli można powiedzieć, że mały człowiek wyrasta na wielką postać.

Były to dni tuż po pierwszej wojnie i może podczas takich przełomów historii ludzie zwracają się ku różnym dziwom, osobliwym metodom dydaktycznym, tak jak mój ojciec tamtego dnia. Inaczej nie umiem wyjaśnić, dlaczego dorosły mężczyzna miałby zabierać dziecko na dach starej wieży, niosąc tam worek wypełniony młotkami i pierzem.



U stóp wieży rozciągało się całe Sligo, rzeka, kościoły, domy, a przynajmniej takie można było odnieść wrażenie, patrząc przez okienko na szczycie. Przelatujący ptak mógł dostrzec w nim dwie podniecone twarze, które próbowały wyrzeć jednocześnie - ja stawałam na palcach i wspinając się na nich, uderzałam ojca od dołu w brodę.

- Roseanne, kochanie, goliłem się dziś rano i nie ogolisz mnie już bardziej czubkiem swojej złotej główki.

Bo to prawda, włosy miałam miękkie i koloru złota - złota tychże mnichów. Tak żółte jak w starych książkach.

- Tatu - powiedziałam - na miłość boską, rzuć te młotki i pióra i powiedz, co jest tam, na dole.

- Dobrze - odparł - zmęczyła mnie ta wspinaczka, więc popatrzmy na Sligo, zanim zabierzemy się do naszego eksperymentu.

Specjalnie wybrał do swojego celu bezwietrzny dzień. Chciał mi udowodnić starą zasadę, że wszystko spada z taką samą szybkością przynajmniej w teorii.

- Wszystko spada z taką samą szybkością - oznajmił wcześniej - przynajmniej w teorii. I udowodnię ci to. Udowodnię też samemu sobie.

Siedzieliśmy przy strzelających w górę płomieniach antracytowego ognia.

- Może i wszystko spada z taką samą szybkością, tak jak mówisz - odezwała się cicho matka ze swojego kąta. - Ale co z tego?

Nie sądzę, żeby to był przytyk pod jego adresem, tylko po prostu uwaga. W każdym razie ojciec spojrzał na nią z całkowitą obojętnością, jakby była nauczycielką, która udzieliła mu lekcji.

Dziwnie się czuję, pisząc to wszystko w tym ciemnym pokoju, gdy tak skrobię niebieskim długopisem po papierze; widzę ich w wyobraźni, czy raczej gdzieś za oczami, w ciemnej skorupie mojej czaszki, są tam wciąż, żyją i mówią, naprawdę, jakby to oni istnieli w rzeczywistości, a nie ja. I po raz tysięczny ze wzruszeniem zauważam, jaka moja matka jest piękna, jaka schludna, urocza i promienna, z tym swoim akcentem z Southampton przypominającym szmer unoszonych przez fale kamyków na plaży. Raz głośniejszy, raz cichszy, słyszę ten kojący dźwięk w snach. To także prawda, że kiedy byłam niegrzeczna, kiedy bała się, iż zbaczam ze ścieżki, którą uważała za słuszną, nawet w drobnych kwestiach, nie wahała się dać mi w skórę. Ale w tamtych czasach bicie dzieci nie było niczym nadzwyczajnym.

Tak więc nasze dwie twarze walczą z sobą o miejsce, żeby lepiej widzieć, ujęte w starą ramę mnisiego okienka na wieży strażniczej. Jakież to twarze wyglądały przez nie w

przeszłości, pocąc się pod kapturami i usiłując dojrzeć, gdzie są ci wikingowie, którzy przyjdą ich wymordować i zabrać ich księgi, ich okręty i ich pieniądze? Żaden budowniczy nie zostawiłby dużych okien dla wikingów, to okienko wiele mówi o dawnym strachu i niebezpieczeństwach.

Od razu było wiadomo, że nie uda się przeprowadzić eksperymentu, gdy będzie tam nas dwoje. Jedno z nas nie zobaczy wyniku. Ojciec wysłał mnie więc z powrotem na dół wilgotną kamienną klatką schodową i wciąż czuję tę mokrą ścianę pod dłonią, ten narastający we mnie dziwny lęk, że zostałam sama. Trzepotanie mojego małego serca, jakby uwiązł w nim przestraszony gołąb.

Wyszłam z wieży i stanęłam w pewnej odległości od niej, jak ojciec mi kazał, bojąc się, żeby nie zabiły mnie spadające młotki. Wieża wydawała się stamtąd ogromna, sięgała nieładnych, szarych tego dnia chmur. Ani jeden listek nie drgnął pod wpływem wiatru. Zaniebane groby tej części cmentarza, groby mężczyzn i kobiet z minionych wieków, kiedy ludzie mogli sobie pozwolić tylko na surowy kamień, bez żadnego wyrytego na nim nazwiska, wydały mi się inne, gdy znalazłam się obok nich sama, jakby nieszczęsne szkielety miały wstać i ruszyć na mnie, pożreć mnie, żeby zaspokoić swój odwieczny głód. Stałam na ziemi, ale byłam jak dziecko nad przepaścią, to było takie uczucie, jak w scenie ze starego *Króla Lira*, kiedy jego przyjaciel wyobraża sobie, że spada z wysokiego urwiska, choć żadnego urwiska nie ma, i gdy to czytasz, myślisz, że to urwisko istnieje i spadasz razem z przyjacielem króla. Ale spojrzałam w górę ufnie, całkowicie ufnie, z miłością, tak, z miłością. To nie zbrodnia kochać swojego ojca, to nie zbrodnia patrzeć na niego bezkrytycznie, zwłaszcza gdy budzi się w tobie młoda kobieta, gdy dziecko zaczyna dostrzegać przywary rodziców. To nie zbrodnia czuć, że serce zaczyna ci bić na jego widok czy też na widok tego, co mogłam wtedy dostrzec, jego ręki wytkniętej przez okienko i worka zawieszzonego w irlandzkiej przestrzeni. Zawołał do mnie i ledwie pochwyciłam jego słowa. Ale powtórzył kilka razy i zrozumiałam, że pyta:

- Odsunęłaś się, kochanie?!

- Tak, odsunęłam się, tato! - odkrzyknęłam, prawie wrzasnęłam, taki dystans musiały pokonać te słowa, dotrzeć do jego uszu przez tak małe okienko.

- Zaraz rozwiążę worek! Patrz, patrz! - zawołał.

- Dobrze, tato, patrzę!

Jakoś rozwiązał worek palcami jednej ręki i wytrząsnął jego zawartość. Widziałam, co do niego wkładał. Były to garść pierza z podglówka na ich łóżku, rozerwanego mimo protestów żony, i dwa młotki kamieniarskie, których używał do napraw murków i płyt

nagrobnych.

Patrzyłam i patrzyłam. Może usłyszałam dziwną muzykę. Ćwierkot kawek i stare, skrzekliwe rozmowy gawronów na wielkim buku zlewały się z sobą w mojej głowie jak dźwięki muzyki. Bolała mnie szyja i nie mogłam się doczekać rezultatu tego wyjątkowego doświadczenia, doświadczenia, które, jak mówił ojciec, mogło przydać mi się na całe życie, jako podstawa właściwej filozofii życiowej.

Chociaż nie było żadnego wiatru, pierze natychmiast się rozwiało, rozproszyło na wszystkie strony, jakby na skutek małego wybuchu, a nawet wzniosło szarym pyłem ku szarym chmurom, tak że prawie nie było go widać. Pióra się rozwiały, rozwiały na wszystkie strony.

Ojciec wołał, wołał z wieży, z ogromnym podnieceniem:

- Co widzisz, co widzisz?!

Co widziałam, co wiedziałam? Czasami myślę, że na widok czyjejś śmieszności, śmieszności biorącej się być może z desperacji, podobnie jak w przypadku Eneasa McNulty'ego wiele lat później - nie wiecie jeszcze, kto to jest - ogarnia was dojmująca miłość do tego kogoś. To wszystko miłość: że się nie wie, że się nie widzi. Stoję tam wiecznie, z zadartą głową, choć drętwieje mi kark, i usiłuję zobaczyć, patrzę i wyteżam wzrok, jeśli nie z innego powodu, to z miłości do niego. Pióra ulatują, rozwiewają się, wirują w powietrzu. Ojciec wciąż woła. Moje serce odpowiada biciem. Młotki lecą bezgłośnie w dół.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Drogi Czytelniku! Drogi Czytelniku, jeśli jesteś szlachetnym, dobrym człowiekiem, chciałabym wziąć Cię za rękę. Chcę wszystkiego, co niemożliwe. Nie mam Ciebie, ale mam co innego. Są takie chwile, gdy przeszywa mnie niewytłumaczalna radość, jakbym nie mając nic, miała cały świat. Jakbym dotarłszy do tego pokoju, znalazła się w przedsiionku raj, który się przede mną otworzy i ruszę przed siebie jak kobieta nagrodzona za swoje trudy, ku tym zielonym polom, gospodarstwom na wzgórzach, gdzie trawa płonie zielenią!

\*

Tego rana, gdy przyszedł doktor Grene, musiałam się pozbierać i szybko schować te kartki. Bo nie chciałam, żeby je zobaczył albo mnie wypytywał, już jest tu trochę sekretów, a moje sekrety to moja pomyślność i zdrowe zmysły. Na szczęście z daleka usłyszałam, że idzie korytarzem, bo ma metalowe żabki na obcasach butów. Szczęśliwie też zupełnie nie dolega mi reumatyzm ani żadne inne dolegliwości kojarzone z moim wiekiem, a przynajmniej nie w nogach. Ręce, moje ręce nie są już niestety takie jak dawniej, ale nogi mam sprawne. Myszy, które przemykają pod ścianami, są szybsze, lecz przecież zawsze tak było. Mysz potrafi szybko biegać, kiedy musi, niech wam się nie wydaje. Ale i tak zdążyłam przed doktorem Grene'em.

Zapukał do drzwi, co stanowi postęp w stosunku do tego nieszczęśnika, który tu sprząta, Johna Kane'a, jeśli tak pisze się jego nazwisko - bo robię to pierwszy raz - i gdy wszedł, siedziałam już przy pustym stole.

A ponieważ nie uważam doktora Grene'a za złego człowieka, uśmiechałam się.

Był bardzo zimny poranek i wszystko w pokoju pokrywała warstewka szronu. Wszystko lśniło. Miałam na sobie cztery sukienki i było mi dość ciepło.

- Hm, hm - zaczął. - Roseanne. Hm. Jak się pani miewa, pani McNulty?

- Bardzo dobrze, doktorze Grene - odparłam. - To miło z pana strony, że przyszedł pan z wizytą.

- To moja praca - wyjaśnił. - Czy sprzątano tu dziś?

- Nie - odrzekłam. - Ale na pewno John zjawi się niebawem.

- Mam nadzieję - powiedział doktor Grene.

Podszedł do okna i wyjrzał przez nie.

- To jak na razie najzimniejszy dzień w roku - zauważył.

- Jak na razie - przytaknęłam.

- Ma pani wszystko, czego potrzeba?

- O tak, zasadniczo tak.

Potem przysiadł na moim łóżku, jakby to było najczystsze łóżko w całym chrześcijańskim świecie, a ośmielię się twierdzić, że nie jest, wyciągnął nogi i spojrzał na swoje buty. Jego siwiejąca broda była ostra jak żelazna siekiera. Miała w sobie coś z żywopłotu, coś ze świętego. Obok niego na pościeli leżał talerz z resztkami fasolki z poprzedniego wieczoru.

- Pitagoras wierzył w wędrówkę dusz - zaczął - i ostrzegał nas, żebyśmy uważali, jedząc fasolkę, bo może jemy duszę naszej własnej babki.

- O - zdziwiłam się.

- Jest o tym wzmianka u Horacego - dodał.

- O fasolce Batchelors?

- Chyba nie o nią mu chodziło.

Doktor Grene odpowiedział na moje pytanie ze zwykłą powagą na twarzy. Jego urok polega na tym, że jest zupełnie pozbawiony poczucia humoru, przez co staje się właśnie całkiem zabawny. Wiercie mi, taką cechę należy sobie cenić w tym miejscu.

- Więc dobrze się pani czuje? - powtórzył.

- Tak.

- Ile ma pani lat, Roseanne?

- Chyba ze sto.

- Nie sądzi pani, że to niezwykle czuć się tak dobrze w wieku stu lat? - zapytał, jakby w jakiś sposób przyczynił się do tego, i może rzeczywiście tak było. W końcu jestem pod jego opieką od trzydziestu lat, a może nawet dłużej. Sam się już postarzał, choć jeszcze nie tak jak ja.

- Uważam, że to niezwykle. Ale, panie doktorze, jest tyle niezwykłych rzeczy. Myślę, że myszy są niezwykle, to zabawne zielone światło, które wpada przez okno, też jest niezwykle. Pana dzisiejsza wizyta jest niezwykle.

- Przykro mi słyszeć, że wciąż są u pani myszy.

- Zawsze tu były.

- Ale czy John nie zastawia pułapek?

- Owszem, ale nie robi tego dość delikatnie, więc myszy bez trudu wyjadają ser i uciekają, jak Jesse James i jego brat Frank.

Doktor Grene dwoma palcami prawej ręki ujął brwi u nasady nosa i masował je przez chwilę. Potarł nos, a potem westchnął. W jego westchnieniu były wszystkie lata, które spędził w tej instytucji, wszystkie poranki jego życia, wszystkie bezsensowne rozmowy o myszach, leczeniu i wieku pacjentów.

- Wie pani, Roseanne - powiedział - ponieważ musiałem ostatnio zbadać sytuację prawną wszystkich naszych pensjonariuszy, jak to się mówi w debatach publicznych, przejrzałem pani dokumenty i muszę wyznać, że...

Powiedział to wszystko najswobodniejszym głosem, jaki można sobie wyobrazić.

- Wyznać... - powtórzyłam, żeby go ponaglić. Wiedziałam, że ma zwyczaj odpływać myślami w sfery spraw prywatnych.

- A tak... przepraszam. No właśnie, i chciałem panią zapytać, Roseanne, czy przypadkiem pamięta pani, w jakich okolicznościach pani się tu znalazła. Bardzo by mi to pomogło... Zaraz pani powiem dlaczego... jeśli to konieczne.

Doktor Grene uśmiechnął się i przyszło mi do głowy, że ta ostatnia uwaga miała być żartem, choć nie dostrzegłam w niej nic śmiesznego, a poza tym, jak wspominałam, zazwyczaj nie silił się na żarty. Uznałam więc, że coś się kroi.

Z tego wszystkiego, niewiele lepsza od niego, zapomniałam odpowiedzieć na jego pytanie.

- Pamięta pani coś z przeszłości?

- Jak się tu znalazłam? O to panu chodzi, doktorze Grene?

- Tak, chyba o to.

- Nie - odparłam, bo bezwstydną, wierutną kłamstwem to najlepsza odpowiedź.

- Cóż - odparł - przeważająca część naszego archiwum w piwnicy stanowiła, jak wiadomo, kryjówkę dla całych pokoleń myszy, więc jest zupełnie zniszczona i nieczytelna. Pani akta zostały potraktowane w szczególnie ciekawy sposób. Egipski grobowiec by się nie powstydział. Rozpadają się w proch przy pierwszym dotknięciu.

Potem zapadła długa cisza. Uśmiech nie schodził mi z twarzy. Usiłowałam sobie wyobrazić, jak wyglądam w jego oczach. Taka pomarszczona, stara twarz, już bez wieku.

- Oczywiście, znam panią bardzo dobrze. Przez te lata często z sobą rozmawialiśmy. Żałuję, że nie robiłem więcej notatek. Zapisałem zaledwie kilka kartek, co zapewne pani nie dziwi. Nie lubię pisaniny, co być może nie jest chwalebne w moim zawodzie. Mówi się czasami, że nic nie robimy, nikomu nie pomagamy. Ale mam nadzieję, że zrobiliśmy dla pani, co było można, mimo mojego karygodnego braku notatek. Naprawdę. Cieszę się, że czuje się pani dobrze. Chciałbym wierzyć, że jest tu pani dobrze.

Posłałam mu najstarszy z moich uśmiechów starej kobiety, jakbym nie za bardzo rozumiała, co do mnie mówi.

- Bóg wie, że nikt nie może być tutaj w pełni szczęśliwy - dodał z pewną galanterią.

- Ja jestem szczęśliwa - odparłam.

- Wie pani - powiedział - że naprawdę w to wierzę. Wydaje mi się, że jest pani najszczęśliwszą osobą, jaką znam. Będę jednak musiał ponownie zbadać pani przypadek, Roseanne, bo w prasie pojawiają się protesty... że ludzie byli więzieni w takich ośrodkach, powiedzmy, z przyczyn społecznych, a nie medycznych... że byli...

- Zamykani?

- Tak, właśnie. Zamykani bezprawnie. I że trwa to do dziś, dzieje się także w naszych czasach. Oczywiście, pani przebywa tu już wiele, wiele lat, z pięćdziesiąt, co?

- Nie pamiętam, doktorze Grene. Możliwe.

- Pewnie uważa pani to miejsce za swój dom.

- Nie.

- Cóż. Jak wszyscy inni ma pani prawo być wolna, jeśli poradzi sobie pani... na wolności. Nawet w wieku stu lat może pani mieć ochotę... pójść na spacer, zamoczyć latem nogi w morzu, poczuć zapach róż...

- Nie!

Nie miałam zamiaru podnosić głosu, ale myśl o tych wszystkich rzeczach, które większość ludzi kojarzy ze swobodą i szczęściem w życiu, wciąż jest dla mnie jak cios w serce.

- Słucham?

- Nie, nie, proszę mówić dalej.

- W każdym razie jeśli stwierdzę, że przebywa tu pani bez powodu, to znaczy bez medycznego uzasadnienia, będę musiał przedsięwziąć jakieś kroki. Nie chcę pani martwić. I nie zamierzam, moja droga Roseanne, wyrzucić panią na mróz. Nie, nie, to byłoby starannie przemyślane posunięcie i jak mówię, muszę sprawę zbadać. Pytania, będę musiał zadać pani... kilka pytań.

Nie wiedziałam dlaczego, ale zaczęło ogarniać mnie przerażenie, jak zatrucie wywołane rozpadem atomów, które rozprzestrzeniało się w ciałach ludzkich na obrzeżach Hiroszimy, zabijając ich równie skutecznie, jak sam wybuch bomby. Przerażenie jak choroba, wspomnienie choroby, poczułam je po raz pierwszy od wielu lat.

- Wszystko w porządku, Roseanne? Proszę się nie denerwować.

- Oczywiście, że pragnę być wolna, doktorze Grene. Ale to mnie przeraża.

- Uzyskaniu wolności - zauważył gładko doktor Grene - zawsze towarzyszy uczucie niepewności. Na pewno w tym kraju. Może i w innych.

- To tortura - rzuciłam.

- Tak, czasami - potwierdził łagodnie.

Umilkliśmy oboje i spojrzałam na gęsty snop światła w pokoju. Wirował w nim kurz.

- Wolność, wolność - powiedział doktor Grene.

Gdzieś w jego przykurzonym głosie zabrzmiała nuta tęsknoty.

Nic nie wiem o jego życiu poza tym przybytkiem, o jego rodzinie. Czy ma żonę i dzieci? Jest jakaś pani Grene? Nie mam pojęcia. A może jednak mam? To wspaniały człowiek. Wygląda jak fretka, ale to nie ma znaczenia. Mężczyzna, który potrafi rozmawiać o starożytnych Grekach i Rzymianach, przypomina mi z ducha mojego ojca. Lubię doktora Grene'a mimo jego przykurzonej desperacji, bo przywodzi mi na myśl sposób mówienia taty, zaczerpnięty od Thomasa Browne'a i Johna Donne'a.

- Ale nie będziemy dziś zaczynać tego tematu. Nie, nie - powiedział, wstając. - Na pewno nie. Miałem jednak obowiązek przedstawić pani sytuację.

I znowu podszedł do drzwi z jakąś niewyczerpaną, lekarską cierpliwością.

- Zasluguje pani na to, pani McNulty.

Skinęłam głową.

Pani McNulty.

Kiedy to słyszę, myślę zawsze o matce Toma. Kiedyś też byłam panią McNulty, ale nigdy tak absolutnie jak ona. Nigdy. Czego dowiodła ze sto razy. Dlaczego jednak od zawsze przedstawiam się jako pani McNulty, gdy wszyscy starali się usilnie odebrać mi to nazwisko? Nie wiem.

- W zeszłym tygodniu byłem w zoo - zauważył nagle - z przyjacielem i jego synem. Pojechałem do Dublina po kilka książek dla żony. O różach. Syn mojego przyjaciela ma na imię William, czyli jak pani wie, tak jak ja.

Nie wiedziałam tego!

- Doszliśmy do żyraf. Williamowi bardzo się podobały... były to dwie duże żyrafy o długich szyjach, delikatnych, długich nogach, piękne, majestatyczne zwierzęta. Chyba nigdy nie widziałem wspanialszego zwierzęcia.

Wtedy, w tym lśniącym pokoju, odniosłam wrażenie, że zauważyłam coś dziwnego, łzę, która napłynęła mu do kącika oka, wylała się na policzek i stoczyła po nim szybko, jakby zapłakał ze smutkiem, skrycie.

- Takie piękne, takie piękne - powtórzył.



Jego słowa skłoniły mnie do milczenia, nie wiem dlaczego. Ale to przecież nie było zaproszenie do rozmowy, swobodna, wesoła uwaga w stylu mojego ojca. Miałam ochotę go słuchać, ale nie chciałam mu odpowiadać. Jaka dziwna jest ta odpowiedzialność, którą odczuwamy wobec innych, gdy mówią, żeby potem powiedzieć im coś na pocieszenie. Biedni ludzie! Zresztą nie zadał żadnego pytania. Unosił się tylko w pokoju, niematerialny, żywy człowiek z krwi i kości, który umierał niezauważalnie, stojąc, jak my wszyscy.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Później przyczłapał John Kane, mrużąc i popychając swoją szczotkę - osoba, którą zaczęłam akceptować jak wiele rzeczy tutaj, bo jeśli nie można czegoś zmienić, należy się z tym pogodzić.

Z lekkim przerażeniem zauważyłam, że nie zapiął rozporka. Przy spodniach miał mnóstwo topornie wyglądających guzików. To niski mężczyzna, ale jednocześnie całkiem potężny. Ma coś nie tak z językiem, bo co chwila przełyka ślinę, i to z dziwną trudnością. Jego twarz pokrywają ciemnoniebieskie żyłki, jak twarz żołnierza, który znalazł się za blisko lufy działa podczas wystrzału. W tym plotkarskim miejscu nie cieszy się najlepszą opinią.

- Nie rozumiem, po co panusi te wszystkie książki, skoro nie ma panusia okularów, żeby je czytać.

Znowu przełknął ślinę i jeszcze raz.

Dobrze widzę i bez okularów, ale nie powiedziałam mu tego. Mówił o trzech tomach, które znajdują się w moim posiadaniu, należący do ojca egzemplarz *Religio Medici*, *The Hounds of Hell* i *Żdźbła trawy* Whitmana.

Wszystkie trzy zbrązowiały i pożółkły od kartkowania.

Ale rozmowa z Johnem Kane'em prowadzi donikąd, tak jak rozmowy z chłopcami, kiedy byłam dziewczynką, około dwunastoletnią; stali paczką na rogu naszej ulicy, nie zważając na deszcz, i zaczepiali mnie nieśmiało - na początku nieśmiało. Tu, wśród cieni i dalekich krzyków, najbardziej ceni się ciszę.

*Ci, którzy je żywią, nie kochają ich, ci, co je ubierają, nie boją się o nie.*

To cytat, ale co oznacza i skąd pochodzi, nie wiem.

Niebezpieczne są nawet pogawędki o niczym, lepsza jest cisza.

Jestem tu już bardzo długo i w tym czasie niewątpliwie nauczyłam się tej cnoty, jaką jest milczenie.

Stary Tom mnie tu przywiózł. Tak, myślę, że to on. Przyjmując mnie, wyświadczyli mu przysługę, bo pracował jako krawiec w zakładzie dla obłąkanych w Sligo. Chyba musiał coś zapłacić, ze względu na ten pokój. A może to mój mąż Tom płaci za mnie? Ale przecież na pewno już nie żyje. To nie pierwsze miejsce, w którym mnie umieszczono, najpierw był...

Jednakże nie mam zamiaru nikogo obwiniać. To przyzwoite miejsce, jeśli nawet nie

dom. Bo gdyby to był mój dom, tobym zwariowała!

Och, muszę pamiętać, żeby wysławiać się jasno, wiedzieć, co do Was mówię. Trzeba być precyzyjnym i dokładnym.

To dobre miejsce. Dobre miejsce.

Niedaleko znajduje się miasteczko, tak słyszałam. Właśnie Roscommon. Nie wiem, jak daleko stąd, wiem tylko, że wóz strażacki jedzie tu pół godziny.

Dowiedziałam się tego, ponieważ któreś nocy wiele lat temu wyrwał mnie ze snu John Kane. Wyprowadził mnie na korytarz i zbiegł ze mną po schodach. Ratował mnie, bo w jednym ze skrzydeł budynku wybuchł pożar.

Zamiast zabrać mnie na parter, przeszedł przez długi, ciemny oddział, gdzie zebrali się także lekarze i reszta personelu. Z dołu dochodził dym, ale to miejsce miało być bezpieczne. Mrok rozjaśniał się stopniowo albo mój wzrok przyzwyczyił się do niego.

Stało tam z pięćdziesiąt łóżek, była to długa, wąska sala z pozaciąganyimi wokół nich zasłonami. Cienkie, postrzępione zasłony. Stare, bardzo stare twarze, takie jak moja. Byłam zdumiona. Leżały tam, nie tak daleko ode mnie, a ja nic o tym nie wiedziałam. Stare twarze, które nic nie mówiły, leżały w otępieniu, jak pięćdziesiąt rosyjskich ikon. Kim były? Cóż, jednymi z Was. W ciszy, wielkiej ciszy zbliżały się we śnie do śmierci, szły na krwawiących kolanach ku Panu.

Gromada dziewcząt z dawnych lat. Szeptem zmówiłam modlitwę, żeby ich dusze szybciej znalazły się w niebie. Bo według mnie szły bardzo wolno.

Przypuszczam, że wszystkie już nie żyją, albo większość z nich. Nigdy później już u nich nie byłam. Po półgodzinie przyjechali strażacy. Pamiętam to dokładnie, bo powiedział tak jeden z lekarzy.

Pobliskie miasteczko, które śpi i budzi się, śpi i budzi się, zapomniało o swoich mieszkankach, leżących tam w długich szeregach.

Pół godziny. Zobaczyłam je dzięki pożarowi. I już nigdy więcej ich nie spotkałam.

*Ci, którzy je żywią, nie kochają ich.*

- Chce to paniusia? - mówi mi do ucha John Kane.

- Co to jest?

Wyciągnął do mnie rozłożoną dłoń. A na niej pół skorupki ptasiego jajka, niebieskiego jak żyłki na jego twarzy.

- Ach tak, dziękuję - powiedziałam.

Znalazłam ją w ogrodzie przed wieloma laty. Leżała we wnęce okiennej i nigdy wcześniej mnie o nią nie pytał. Ale leżała tam, niebieska, doskonała, niepodlegająca

starzeniu. Mimo to stara. Sprzed wielu, wielu ptasich pokoleń.

- To może być jajo drozda - powiedział.

- Może - odparłam.

- Albo skowronka.

- Uhm.

- Odłożę je na miejsce - rzekł i znowu przełknął ślinę, jakby zdrętwiał mu język i w gardle na chwilę pojawiła się gula.

- Nie wiem, skąd się bierze tu tyle kurzu - zauważył. - Zamiatam go codziennie i nie mogę zamieść, na Boga, pełno go tu, starego kurzu. To nie jest świeży kurz, o nie, na pewno nie świeży.

- Nie - powiedziałam. - Nie. Przepraszam.

Wyprostował się na moment i spojrzął na mnie.

- Jak się panusia nazywa? - zapytał.

- Nie wiem - odparłam pod wpływem nagłej paniki. Znam go od dziesiątek lat.

Dlaczego mnie o to pyta?

- Nie zna panusia własnego imienia i nazwiska?

- Znam. Tylko zapomniałam.

- Dlaczego mówi panusia takim wystraszonego głosem?

- Nie wiem.

- Niepotrzebnie się panusia boi - odparł i zamiatając kurz na szufelkę, zaczął zbliżać się do drzwi. - I tak wiem, jak się panusia nazywa.

Zaczęłam płakać, nie jak dziecko, ale jak stara, bardzo stara kobieta, którą jestem, cicho, spokojnie roniąc łzy, których nikt nie widzi, nikt nie osusza.

\*

Zanim ojciec się zorientował, wybuchła u nas wojna domowa.

Piszę to, żeby powstrzymać łzy. Przybijam piórem słowa do kartki, jakbym przyszpilała tam samą siebie.

Przed wojną domową była jeszcze inna wojna, prowadzona przeciwko Irlandii przez Anglię, ale Sligo walki szczęśliwie ominęły.

Pisząc to, cytuję Jacka, brata mojego męża, a przynajmniej słyszę jego głos w tych słowach. Zamilkły głos Jacka. Neutralny. Jack, jak moja matka, był mistrzem neutralnego tonu, jeśli w ogóle nie neutralności. Ale w końcu przywdział angielski mundur i w tej późniejszej wojnie walczył przeciwko Hitlerowi - mało brakowało, a powiedziałabym „prawdziwej wojnie”. Był też bratem Eneasa McNulty’ego.

Ci trzech bracia, Jack, Tom i Eneas. O tak.

A przy okazji, w zachodniej Irlandii wymawia się imię Eneas, jakby składało się z trzech sylab, E-ne-as. W Cork niestety dwusylabowo, Ei-nas, co brzmi bardziej jak tylna część ciała niż cokolwiek innego<sup>4</sup>.

Jednakże wojna domowa tym razem zdecydowanie już Sligo dotknęła, zresztą całe zachodnie wybrzeże, i to mocno.

Zwolennicy Wolnego Państwa zaakceptowali traktat pokojowy z Anglią. Tak zwani Nieregularni wierzgali z jego powodu jak konie przed zerwanym mostem w ciemnościach. Bo z całej sprawy została wyłączona północ kraju i uważali oni, że wyrażono zgodę na Irlandię bez głowy, ścięty u ramion korpus. Że ludzie Carsona będą chcieli przyłączyć północ do Anglii.

Jack chwalił się, iż jest kuzynem Carsona, naprawdę napawało go to dumą, co zawsze mnie dziwiło. Ale piszę o tym tylko przy okazji.

W tamtych czasach w Irlandii zapanowała nienawiść. Miałam wtedy czternaście lat, byłam dziewczynką, która próbuje wejść w świat dorosłych. Zewsząd ziało nienawiścią.

Drogi ojciec Gaunt. Chyba mogę tak powiedzieć. Żaden dobry, uczciwy człowiek nie przysporzył dziewczynie tylu cierpień. Bo ani przez chwilę nie sądziłam, że miał złe intencje. A jednak wziął się na mnie, jak mówili kiedyś ludzie na wsi. A wcześniej wziął się na mojego ojca.

Tak jak już mówiłam, był niski, to znaczy mojego wzrostu. Energiczny, szczupły, schludny w swojej czarnej sutannie i z włosami ostrzyżonymi krótko jak u skazańca.

W tok myśli wciąż mi się pytanie: o co chodziło doktorowi Grene'owi, kiedy powiedział, że musi ocenić mój przypadek? To znaczy, że mogłabym sobie pójść w świat? Gdzie byłby ten świat?

Musi zadać mi kilka pytań, powiedział. A może nie? Na pewno tak, ale dopiero teraz zrozumiałam jego słowa, chociaż dawno już wyszedł z mojego pokoju.

Czarna panika, czarniejsza od starej herbaty.

Czuję się jak ojciec na swoim motorze, owszem, pędzę przed siebie z wielką prędkością, ale tak mocno ściskam kierownicę w rękach, że daje mi to pewne poczucie bezpieczeństwa.

Niech mi pan nie rozwiera palców i nie odrywa ich od krat, doktorze Grene, błagam pana.

---

<sup>4</sup> Eneas przypomina w Cork wymowę słowa *anus* - odbył.

Niech pan zniknie z moich myśli, pocziwy panie doktorze.

Ojcie Gaunt, przybądź, przybądź z otchłani śmierci i zajmij jego miejsce.

Bądź przy mnie, bądź przy mnie, gdy tak tu gryzmołę, bazgrołę.

Opowieść, która nastąpi, być może przypomina historie ojca, część jego małej ewangelii, ale nigdy jej nie opowiedział, nie ulepszył ani trochę w trakcie, aż stała się gładka jak piosenka. Przedstawiam ją bez żadnych upiększeń, taką, jaką znam.

W czasie tej wojny wiele było przypadków śmierci, i to śmierci w wyniku morderstwa. Oczywiście, obowiązkiem ojca było chować niektóre ofiary na swoim zadbanym cmentarzu.

Jako czternastolatka jedną nogą tkwiłam jeszcze w dzieciństwie, a drugą już w dorosłości. Chodziłam do szkoły prowadzonej przez zakonnice i nie byłam obojętna wobec chłopców, którzy kręcili się pod bramami pod koniec lekcji, wydaje mi się nawet, że pamiętam, jak myślałam, iż dobywa się z nich muzyka, jakiś ludzki odgłos, którego nie rozumiałam. Jak mogłam słyszeć muzykę, dobywającą się z takich prymitywnych form, tego z perspektywy lat nie rozumiem. Ale taka jest magia dziewcząt, że potrafią ulepić ze zwykłej gliny coś wielkiego, odwiecznego.

Tak więc na ojca i jego sprawy zwracałam uwagę tylko połowicznie. Bardziej zaabsorbowana byłam gnębiącymi mnie problemami, na przykład jak ułożyć w loki moje okropne włosy. Całymi godzinami trudziłam się nad tym przy użyciu żelazka matki, którym głównie prasowała niedzielne koszule ojca. Było małe, płaskie i szybko ogrzewało się na piecu, i kładąc proste pasma moich jasnych włosów na stole, liczyłam, że jakimś cudem skręcają się w loki. Pochłaniały mnie więc typowe dla mojego wieku obawy i pragnienia.

Niemniej bywałam często u ojca w świątyni, odrabiałam tam lekcje, grzejąc się przy kominku, na którym stale płonął ogień, dzięki dodatkowi na opał, jaki ojciec dostawał. Uczyłam się i słuchałam, jak śpiewa *Marble Halls* albo coś innego. I zamartwiałam się swoimi włosami.

Co bym teraz dała, żeby mieć kilka pasem tamtych prostych włosów.

Ojciec grzebał każdego, kogo miał pogrzebać. W czasach pokoju byli to przeważnie ludzie chorzy i starzy, ale w czasach wojny często przywożono mu ciała chłopców albo prawie chłopców.

To sprawiało mu ból, jakiego nie okazywał nigdy wobec posuniętych w latach i niedołączonych. Uważał, że śmierć tych ostatnich jest czymś zwyczajnym, naturalnym, i gdy rodziny czy inni żałobnicy płakali albo stali w milczeniu nad grobem, wiedział, że tak ma być. Zdawał sobie sprawę, że starego człowieka trzeba pochować, a potem dzielił się z jego

bliskimi swoimi wspomnieniami i anegdotami, jeśli uznał, że może im sprawić tym przyjemność i okazać współczucie. Był dyplomata w sferze cierpienia.

Inaczej wszakże było w przypadku ciał poległych podczas wojny, nad nimi bolał ogromnie. Można by pomyśleć, że jako prezbiterianin nie powinien identyfikować się z historią Irlandczyków. Ale rozumiał przyczynę buntu. W szufladzie w swoim pokoju trzymał pamiątkową broszurę nawołującą do powstania w 1916 roku, wraz z fotografiami jego przywódców oraz kalendarium bitew i różnych tragicznych wydarzeń. W powstaniu nie podobało mu się jedynie to, że miało w sobie tę specyficzną katolickość, z której czuł się wyłączony.

Najbardziej cierpiał z powodu śmierci młodych. W końcu minęło zaledwie kilka lat od rzezi, jaką była Wielka Wojna. W czasie powstania walczyć do Flandrii pojechały setki ludzi ze Sligo, a ponieważ poległych trzeba było chować z dala od domu, można powiedzieć, że zostali pogrzebani w moim ojcu, na sekretnym cmentarzu jego myśli. A teraz wojna domowa przyniosła kolejne ofiary i zawsze byli to młodzi. W każdym razie w wojnie domowej nie brał udziału ani jeden pięćdziesięcioletni mężczyzna ze Sligo.

Ojciec nie pomstował, zdawał sobie sprawę, że w każdym pokoleniu są wojny, podchodził do tego dziwnie profesjonalnie, bo był przecież tytularnym stróżem zmarłych, jakby królem nieobecnych.

Ojciec Gaunt też był młody i można by sądzić, że powinien odczuwać szczególną więź z poległymi. Był jednak tak rzeczowy i praktyczny, że pozostawał nieczuły na cierpienie. Przypominał śpiewaka, który zna słowa pieśni, ale nie potrafi jej zaśpiewać zgodnie z intencją kompozytora. Był oschły. Mówił o młodych i starych w tej samej oschłej tonacji.

Ale nie chcę wypowiadać się o nim źle. Jako kapłan odwiedzał w Sligo wszystkich, zachodził do lichych pokoików w miasteczku, gdzie ubodzy samotni mężczyźni urządzali sobie uczty z fasolki konserwowej, i do nędznych chat nad rzeką, które same wyglądały jak głodujący starcy, z gnijącą strzechą zamiast włosów i ciemnymi, pozbawionymi blasku okienkami zamiast oczu. Tam też bywał i słynął z tego, że nigdy nie nabawił się pcheł ani wszy. Był bowiem bardziej nieskazitelny niż księżyc za dnia.

I taki mały, schludny człowieczek, kiedy ktoś go rozgniewał, potrafił być jak najostrzejsza kosa wobec trawy, jeżyn i pędów natury ludzkiej, jak przekonał się mój ojciec.

A stało się to tak.

Pewnego wieczoru, gdy ojciec i ja śmialiśmy się z czegoś w świątynce przed powrotem do domu na herbatę, usłyszeliśmy odgłosy szamotaniny i jakieś głosy za starymi

żelaznymi drzwiami. Ojciec spojrział na mnie, czujny jak pies, zanim zaszczeka.

- Hm, co się tam dzieje? - rzucił bardziej do siebie niż do mnie.

Do środka wpadli trzej mężczyźni, którzy nieśli czwartego. Jakby pod wpływem wiodącej ich niewidzialnej siły sama odruchowo cofnęłam się od stołu i zanim pojęłam, co się dzieje, poczułam wilgotną bieloną ścianę za plecami pod szkolną sukienką. Przypominali mały huragan. Wszyscy byli młodzi, a ten, którego nieśli, na moje oko nie mógł mieć więcej niż siedemnaście lat. Wydawał się przystojny, dość wysoki, był nędznie ubrany i cały umazany błotem i trawą bagienną, i krwią. Krew, jakby rzadką, miał na koszuli, wszędzie. I najwyraźniej był martwy jak kamień.

Pozostali trzej zawadzili i biadolili, może histerycznie, przez co i mnie zebrało się na płacz. Ojciec jednak stał nieporuszenie przy kominku, jak człowiek, który stara się wyglądać tajemniczo, z twarzą tak pozbawioną wyrazu, jak tylko możecie sobie wyobrazić, a jednocześnie, pomyślałam, gotów w każdej chwili coś wymyślić i przystąpić do działania. Bo trzej młodzieńcy mieli na ramionach stare strzelby, a po kieszeniach jeszcze inną broń, być może pozbieraną jak leci po walce. Wiedziałam, że broń jest najcenniejszą walutą podczas wojny.

- Czego chcecie, chłopcy? - zapytał ojciec. - Są pewne procedury dotyczące pochówku i sprowadzania zwłok, nie możecie mi tak po prostu przynieść chłopaka nie wiadomo skąd. Miejcie litość.

- Panie Clear, panie Clear - powiedział jeden z nich, chłopak o poważnej twarzy i króciutko ostrzyżonych włosach, najwyraźniej z powodu wszy. - A dokąd mieliśmy go zabrać?

- Znacie mnie? - zapytał ojciec.

- Na tyle, na ile trzeba. Wiem o panu to i owo, a słyszałem, że może nie jest pan tak przeciwko nam jak większość tych durniów ze Sligo.

- Możliwe - odparł ojciec - a wy kim jesteście? Zwolennikami Wolnego Państwa czy tymi drugimi?

- Czy wyglądamy na zwolenników Wolnego Państwa z tą górą błota we włosach?

- Nie, rzeczywiście nie. Ale, chłopcy, czego wobec tego ode mnie chcecie? Kim jest ten człowiek?

- Ten tu nieszczęśnik - wyjaśnił ten co poprzednio, nie dopuszczając innych do głosu - to Willie Lavelle, miał siedemnaście lat, właśnie zabili go w górach niktzemni łotrzy, którzy



się mają za żołnierzy, a daleko im do nich, jeszcze gorsi są niż Black and Tans<sup>5</sup> podczas wojny, co się właśnie skończyła. Taka sama z nich zaraza w każdym razie. Bo zaszliśmy w góry tak wysoko, że wytrzymać z zimna i głodu się nie dało, więc chłopak oddał im się do niewoli, a myśmy się na wrzosowisku ukryli, ale mało im tego było, bo dźgać go zaczęli i szarpać, no i wypytywać. Śmiali się przy tym, a jeden przystawił mu pistolet do twarzy, więc on, choć z nas najodważniejszy, przepraszam panienkę za wyrażenie - zwrócił się do mnie - tak się spietrał, że popuścił w stare gacie, bo wiedział, człowiek zawsze wie, proszę pana, kiedy ktoś zamierza go zabić, tak przynajmniej mówią, a ci myśleli, że nie ma tam nikogo, nikt nie patrzy i nie zobaczy ich podłości, więc wpakowali mu trzy kulki w brzuch. A potem na dół powędrowali, zadowoleni jak diabli. Na Boga, gdy już Williego złożymy do grobu, pójdziemy za nimi, co, chłopaki? I jak ich znajdziemy, już nas popamiętają.

Potem człowiek ten zrobił coś nieoczekiwanego, wybuchł płaczem i rzucił się na zwłoki nieżyjącego towarzysza, wydając przy tym ryk rozpacz, jakiego nikt nie słyszał tam wcześniej ani później, choć była to przecież świątynia cierpienia.

- Spokojnie, John - odezwał się jeden z pozostałych. - Jesteśmy w miasteczku, choć na tym cmentarzysku cisza i spokój.

Ten pierwszy jednak wciąż zawodził, leżąc na piersi nieboszczyka - powiedziałaabym, że jak dziewczyna, ale to by było jeszcze za mało.

W każdym razie trzęsłam się ze strachu jak osika, jakżeby inaczej. Ojciec stracił zimną krew i krążył tam i z powrotem między kominkiem a swoim fotelem, z kilkoma wygniecionymi, starymi poduszkami, niegdyś w czerwonym kolorze.

- Proszę pana, proszę pana - powiedział trzeci, chłopak tak wysoki i chudy, że jeszcze podobnego nie widziałam, który wyglądał, jakby pochodził z gór, z tymi swoimi krótkimi spodniami, nie sięgającymi nawet kostek. - Pochować go trzeba, i to zaraz.

- Nie mogę pochować nikogo bez księdza, nie mówiąc już o tym, że nie wykupiliście tu miejsca, prawda?

- Jak byśmy miejsce na cmentarzu mieli wykupić, kiedy walczyliśmy za Republikę Irlandzką? - odpowiedział pierwszy mężczyzna, który już otarł łzy. - Naszym grobem jest całutka Irlandia. Może nas pan wszędzie pochować. Bośmy Irlandczycy. Ale co pan o tym wie, prawda?

- Mam nadzieję, że mogę uważać się za Irlandczyka - odparł ojciec i wiedziałam, że uraziła go ta uwaga.

---

<sup>5</sup> Potoczna nazwa oddziałów rezerwowych Irlandzkiej Policji Królewskiej, powołanych do stłumienia rewolucji irlandzkiej w latach 1920-1921.

Prawdą było, że prezbiterianie nie cieszyli się szczególną sympatią w Sligo, ale dlaczego, tego nie wiem. Może w dawnych czasach za dużo było tego nawracania, prezbiteriańskie misje na zachodzie i tak dalej, które nie odniosły wielkich sukcesów na tym polu, ale w czasie straszliwego głodu i nędzy przeciągnęły na swoją stronę trochę katolików, co wzbudziło lęk i nieufność wśród ludzi.

- Trzeba go pochować - oświadczył ten trzeci. - Czyż to nie młodszy brat Johna leży na tym stole?

- To twój brat? - zapytał ojciec.

Nagle mężczyzna zamilkł zupełnie.

- Ano - odparł.

- To bardzo smutne - zauważył ojciec. - To bardzo smutne.

- Nie było księdza, coby dał mu rozgrzeszenie. Można by tu ściągnąć jakiego?

- Tutejszym proboszczem jest ojciec Gaunt - powiedział ojciec. - To dobry człowiek, mogę posłać po niego Roseanne, jeśli chcecie.

- Ale niech mu nic nie mówi, tylko to, żeby tu przyszedł, i niech nie gada z nikim po drodze, a już, broń Boże, nie z żołnierzami Wolnego Państwa, bo zabiliby nas tutaj. Zabiliby tak samo, jak zabili Williego tam w górach, to pewne. Zagroziłbym, że gardłem pan zapłaci, jeśli dziewczyna puści parę z ust, ale tacy podli nie jesteśmy.

Ojciec spojrzał na niego ze zdziwieniem. A że zabrzmiało to szczerze i uczciwie, postanowiłam, że zrobię, o co prosi, i nikomu słówka nie powiem.

- Zresztą nie mamy już amunicji, dlategośmy ukryli się na wrzosowisku, jak zające, i nic ześmy nie zrobili. Żałuję, żeśmy nie wyszli stamtąd, chłopaki - powiedział brat zabitego - i nie uderzyli na nich, bo jak nam żyć na tym świecie, gdy Williego już nie ma.

I młodszy żołnierz załamał się znowu, płacząc żałośnie.

- Zostawmy to - odparł ojciec. - Roseanne pójdzie po ojca Gaunta. Idź już, Roseanne, biegnij na plebanie i sprowadź no, dziecko, ojca Gaunta.

Wybiegłam więc na dwór, na zimne powietrze, popędziłam alejkami wśród zmarłych i na szczycie pagórka wypadłam na drogę prowadzącą w dół do Sligo, przebyłam ją szybko i w końcu dotarłam do plebanii, przeszłam przez żelazną bramkę, przez żwirowy podjazd, aż znalazłam się pod solidnymi drzwiami, zielonymi jak liście aspidistry. Teraz już wyrwałam się spod skrzydeł ojca i nie myślałam ani o żelazku, ani o układaniu włosów, lecz o samym życiu, bo wiedziałam, że ci trzej nieszczęśnicy widzieli straszne rzeczy, a ci, którzy widzieli straszne rzeczy, są do nich zdolni, takie jest prawo wojny.

Dzięki Bogu, szczupła twarz ojca Gaunta wkrótce wyłoniła się zza drzwi i zasypałam

go potokiem słów, błagając, żeby szybko poszedł do mojego ojca, że jest bardzo tam potrzebny i żeby już szedł, żeby szedł.

- Idę, idę - powiedział, bo nie był z tych, którzy odmawiają pomocy, gdy się ich potrzebuje, jak wielu jego braci, zbyt dumnych, żeby wychodzić na niepogodę. I rzeczywiście, gdy szliśmy pod górę, deszcz zacinał nam w twarz, tak że niebawem czarna sutanna ojca Gaunta była cała mokra z przodu, aż lśniła, a ja, bez płaszcza, świeciłam mokrymi nogami.

- Kto mnie potrzebuje? - zapytał nieufnie ksiądz, kiedy wprowadziłam go za bramę cmentarza.

- Potrzebuje pana osoba zmarła - odpowiedziałam.

- Jeśli nie żyje, to po co ten cały pośpiech, Roseanne?

- Bo potrzebuje pana jeszcze ktoś, kto żyje. Jego brat, ojciec.

- Rozumiem.

Płyty nagrobne na cmentarzu też już lśniły od deszczu i wiatr tańczył w alejkach, nigdy nie było wiadomo, kiedy człowieka złapie deszcz.

Gdy dotarliśmy do świątynki i weszliśmy do środka, niewiele się zmieniło, jakby czterej żywi ludzie i zmarły zastygli na swoich miejscach w momencie, kiedy wyszłam, i już nie drgnęli. Nieregularni zwrócili swoje młode twarze na ojca Gaunta, gdy stanął w progu.

- Ojciec - powiedział tata. - Przepraszam, że ojca wezwałem. Ale prosili o to ci młodzieńcy.

- Jest pan ich zakładnikiem? - zapytał ksiądz, przestraszony widokiem broni.

- Nie, nie.

- Mam nadzieję, że mnie nie zabijecie? - rzucił ojciec Gaunt.

- Jeszcze żaden ksiądz nie zginął na tej wojnie - oświadczył ten, którego nazywałam trzecim. - Może i szkoda. Zabito za to tego biedaka, brata Johna, Williego. Nie żyje jak nic.

- Od jak dawna? - zapytał ojciec Gaunt. - Czy ktoś był przy nim, żeby odebrać od niego ostatnie tchnienie?

- Ja - odparł brat.

- To proszę mu je oddać - polecił ojciec Gaunt - a ja go pobłogosławię. I niech jego biedna dusza idzie do nieba.

Brat więc ucałował martwe usta, zwracając ostatnie tchnienie, które tamten wydał przy nim w chwili śmierci. A ojciec Gaunt pobłogosławił zmarłego, pochylił się i zrobił nad nim znak krzyża.

- Czy ojciec może mu dać rozgrzeszenie, żeby poszedł do nieba?

- A czy popełnił morderstwo, zabił innego człowieka w tej wojnie?

- Zabicie kogoś na wojnie nie jest morderstwem. Wojna to wojna.

- Mój przyjacielu, wiesz dobrze, że biskupi zabraniają udzielać wam błogosławieństwa, bo nie uważają waszej walki za słuszną. Ale odpuszczę mu grzechy, jeśli mi powiecie, że nie dopuścił się morderstwa. Obiecuję.

Trzej mężczyźni popatrzyli na siebie. Na ich twarzach malował się dziwny mroczny lęk. Byli to młodzi katolicy i bali się tego księdza, bali się skłamać i bali się, że nie wywiążą się z obowiązku wobec towarzysza, więc każdy z nich, jestem tego pewna, wyęźzał mózg, żeby wymyślić zgodną z prawdą odpowiedź, bo tylko dzięki prawdzie zmarły mógł trafić do raju.

- Tylko prawda was ocali - powiedział ksiądz i aż podskoczyłam, bo jakby czytał w moich myślach. Były to proste myśli prostej dziewczynki, ale może religia katolicka w ogóle opiera się na prostych zasadach.

- Żaden z nas nie widział, żeby coś takiego zrobił - oświadczył w końcu brat. - Powiedzielibyśmy, gdyby było inaczej.

- Dobrze zatem - odparł ksiądz. - Wyrazy współczucia. I przepraszam, ale musiałem o to zapytać. Bardzo przepraszam.

Podszedł blisko do zmarłego i dotknął go z wielką delikatnością.

- Odpuszczam ci twoje grzechy, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

A my wszyscy, włącznie z ojcem i ze mną, odpowiedzieliśmy na to „amen”.

# ROZDZIAŁ PIĄTY

## Z notatek doktora Grene'a

Byłoby wspaniale, gdybym od czasu do czasu miał poczucie, że wiem, co robię.

Zupełnie nie doceniłem Ministerstwa Zdrowia, co wydawało się niemożliwe. Właśnie się dowiedziałem, że wkrótce rozpocznie się budowa nowego zakładu, po drugiej stronie Roscommon, w bardzo ładnym miejscu, jak mnie zapewniono. Żeby nie było za dobrze, łóżek będzie bardzo mało, a my mamy tu ich tak wiele. Niektóre sale są wręcz zastawione łóżkami, nie żebyśmy nie mieli kogo do nich położyć, ale dlatego, że stan niektórych pomieszczeń przechodzi już ludzkie pojęcie, sufity grożą zawaleniem, ściany przeżarte są grzybem. Wszystko, co jest z żelaza, jak stelaże, rdzewieje. Łóżka w nowym budynku będą dziełami sztuki, nierdzewne, nieskazitelne, estetyczne, ale będzie ich mniej, znacznie mniej. Dlatego czeka nas wariacka selekcja.

Nie mogę przezwyciężyć wrażenia, że usiłuję się pozbyć powierzonych mojej opiece istot, które nie będą w stanie funkcjonować z dala ode mnie. To pewnie zrozumiałe, ale jednocześnie żywię wobec siebie pewne podejrzenia. Mam ten nierozsądny zwyczaj, że odnoszę się do pacjentów jak ojciec, a nawet jak matka. Po tych wszystkich latach, które, wiem to ponad wszelką wątpliwość, zabijają wszystkie dobre impulsy czy instynkty u innych dusz pracujących w tym sektorze, ja wciąż jeszcze jestem zazdrosny o poczucie bezpieczeństwa, szczęście moich pacjentów, nawet jeżeli sam czasami w nie wątpię. Ale, jak powiedziałem, mam pewnie podejrzenia. Zastanawiam się, czy, zawiódłszy własną żonę, nie traktuję tego miejsca jak czegoś w rodzaju małżeństwa, w którym trwa się bez grzechu, w którym nie podlega się osądowi, a jeśli nawet tak, to codziennie uzyskuje się przebaczenie, drugą szansę, możliwość „przeróbki” (okropne słowo).

Kiedyś materiał z drugiej ręki określano jako nadający się do przeróbki albo nienadający się do przeróbki. Dawniej wszystkie garnitury, w przypadku mężczyzn, i sukienki, w przypadku kobiet, szyło się w takich miejscach jak to z podarowanych materiałów. Sądzę, że nawet te „nienadające się do przeróbki” uważano za całkiem odpowiednie dla rezydujących tu nieszczęśników. Jednakże z upływem czasu, gdy tak jak wszyscy sam powoli się wycieram, dostrzegając w materiale, jaki stanowią, tu dziurę, tam

rozdarcie, czuję, że coraz bardziej potrzebuję tego miejsca. Zaufanie ludzi będących w potrzebie zawiera w sobie element przebaczenia. Może powinienem odczuwać większą frustrację z powodu bezradności psychiatrii, która w gruncie rzeczy jest jak ślepa uliczka, z powodu strasznego pogarszania się stanu tych, którzy tu tkwią, niemożliwości naprawienia tego wszystkiego. Ale, Boże dopomóż, nie czuję jej. Za kilka lat osiągnę wiek emerytalny i co wtedy? Będę jak wróbel bez ogrodu.

W każdym razie wiem, że te myśli wynikają z obecnej konieczności. Po raz pierwszy dostrzegłem bezczelność - myślę, że to właściwe słowo - bezczelność mojej profesji. Jej podstępność, o tak, krętałą naturę. I wobec tego, następna głupota z mojej strony, postanawiam, że nie będę krętaczem. Od tygodnia rozmawiam z poszczególnymi pacjentami, niektórzy są naprawdę niezwykli. Czuję się, jakbym przesłuchiwał ich w konkretnym celu, żeby ich stąd wyrzucić, doprowadzić do ruiny. Jeśli wykażą się dobrą formą, zostaną skazani na wygnanie do tego wychwalanego „społeczeństwa”. Mam świadomość, że takie myślenie jest błędem, dlatego roztrząsam je tu. Bo przecież powinienem być bezstronny, jak to się kiedyś mówiło, niezaangażowany i wystrzegać się współczucia, bo współczucie to moja słabość. Wczoraj był tu, w moim gabinecie, pewien człowiek, farmer z Leitrim, który miał kiedyś czterysta akrów ziemi. Jest całkowicie, w pierwotnym znaczeniu tego słowa, obłąkany. Powiedział mi, że jego rodzina jest tak stara, iż jej historia sięga dwóch tysięcy lat. Sam podobno jest ostatnim z rodu o tym nazwisku. Nie ma dzieci, a w każdym razie synów, i nazwisko to zginie wraz z nim. Nawiasem mówiąc, brzmi ono Meel, bardzo dziwnie, i być może wywodzi się od irlandzkiego słowa oznaczającego miód, tak przynajmniej mówił. A ma dostojny staruszek z siedemdziesiąt lat, jest w złym stanie zdrowia, no i obłąkany. Tak, obłąkany. To znaczy chory psychicznie i widzę z jego karty, że znaleziono go przed wielu laty na podwórku szkolnym, pod ławką, z trzema zdechłymi psami przywiązany do nogi, które ciągnął za sobą. Gdy jednak z nim rozmawiałem, czułem jedynie miłość. To śmieszne. I jestem tego głęboko, głęboko świadomy.

\*

Bardzo często pacjenci wydają mi się gromadą owiec biegnących stokiem wzgórza ku przepaści. Powinienem być pasterzem, który wie, jak je zawrócić, znać wszystkie gwizdy. Ja nie znam żadnego. Ale zobaczmy.

„Zobaczmy, co uczyni mróz dla zimy”.

Tak mówiła Bet. Co to znaczy? Nie mam pojęcia. Może to powiedzenie ze znanej opowieści dla dzieci, kolejna rzecz znana wszystkim Irlandczykom z dzieciństwa, której tylko ja nie znam, bo dzieciństwo spędziłem w Anglii. To bardzo deprymujące - być

Irlandczykiem, ale nie mieć tych wszystkich cech narodowych, wspomnień ani nawet cholernego akcentu, który dałoby się wyczuć. Nikt na tym świecie jak dotąd nie wziął mnie za Irlandczyka, choć nim jestem, z tego, co mi wiadomo.

Bet przez cały tydzień siedziała cicho w swoim pokoju nade mną, nie słuchała nawet wiadomości BBC, jak ma w zwyczaju. Moja żona. Przeraziło mnie to.

Zeszłego wieczoru próbowałem zbliżyć się do niej - jeśli tak się mówi. Nie mam wątpliwości, że ją kocham. Dlaczego jednak moja tak zwana miłość jej nie służy, dlaczego w gruncie rzeczy jej zagraża? Och, czytając mój ostatni zapis, gdzie subtelnie albo całkiem wprost pochlebiałem sobie w kwestii współczucia i miłości - w trakcie lektury niemal wnętrzości mi się wywracały - tak zirytowałem się na samego siebie, że poszedłem do kuchni i usłyszałem, jak Bet przygotowuje tę swoją miksturę, którą pija wieczorami przed zaśnięciem. Complan. Najohydniejszy napój na świecie, zalatujący śmiercią. To znaczy życiem w śmierci i śmiercią w życiu; to z Coleridge'a, jeśli dobrze pamiętam. *Rymy sędziwego marynarza*. Czyjego rękawa mam się chwycić, żeby opowiedzieć swoją historię? Kiedyś tą osobą była Bet. Która teraz nie ma już rękawa. I na pewno o wiele za często chwytałem ją zań. W moim własnym żargonie „karmiłem się” jej energią i nie dawałem nic w zamian. Cóż, możliwe. Przeżyliśmy razem wspaniałe chwile. Byliśmy królem i królową kawy, w ciemne zimowe poranki, we wczesnym letnim słońcu, które zaglądało przez okno, wpadało przez nie, żeby nas obudzić. O tak, te drobiazgi. Drobne rzeczy, nazywane przez nas zdrowiem psychicznym czy też tkaniną, z której się je szyje. Rozmowa z nią w tamtych czasach sprawiała, że... nie, Boże, strzeż mnie przed sentymentalizmem. Tamte czasy się skończyły. Jesteśmy teraz dwoma obcymi krajami i po prostu mamy swoje ambasady w tym samym budynku. Stosunki między nami są przyjacielskie, ale ściśle dyplomatyczne. Otacza je atmosfera plotek, osądów, wspomnień, jak w przypadku dwojga ludzi, którzy kiedyś popełnili wobec siebie ciężkie przestępstwa, ale bardzo dawno temu. Jesteśmy jak kraje bałtyckie. Z tym wyjątkiem, że - a niech to! - ona nigdy nic mi złego nie zrobiła. Cała wina leży po jednej stronie.

Nie chciałem tu o tym pisać. Miał to być zawodowy, a przynajmniej półzawodowy opis stanu rzeczy, może ostatnich dni tego nieważnego, już straconego, a tak niezbędnego miejsca. Miejsca, w którym spędziłem całe swoje zawodowe życie. Dziwnej świątyni moich aspiracji. Wiem, lękam się, że nie zrobiłem nic dla tutejszych pensjonariuszy, że idealizuję ich i dlatego zawodzę, lękam się tak jak tego, że zmarnowałem życie Bet. To „życie”, tę niespisaną opowieść o sobie, tę... sam nie wiem co. Ale nie miałem takiego zamiaru. Całkiem szczerze chciałem się, że jestem jej wierny, że ją szanuję, niemal wielbię. Może ją także

idealizowałem. Zgubny, chroniczny sentymentalizm. Cholera jasna, szcząc się nią, szczyłem się sobą i to było dobre. Dopóki mnie ceniła, ja ceniłem siebie. Żyłem tym, codziennie dawało mi to napęd. Jakie to było wspaniałe, jakie olśniewające i jakie śmieszne. Ale był to stan, za który oddałbym teraz wszystko. Wiem, że to niemożliwe. A jednak. Kiedy tutejszy światek zostanie unicestwiony, razem z nim przepadnie tyle małych historii. To jest właśnie straszne, może nawet przerażające.

Poszedłem do kuchni. Jak zareagowała na moją obecność, nie potrafię powiedzieć. Zdaje się, że jak na obecność kogoś, kogo trzeba znosić.

Nie przyrządzała jednak complanu, rozpuszczała jakieś tabletki w szklance wody, disprin czy coś takiego.

- Dobrze się czujesz? - zapytałem. - Boli cię głowa?

- Czuję się całkiem dobrze - odparła.

Rok temu, w styczniu, najadła się strachu - zemdląca na ulicy podczas zakupów i przewieziono ją do szpitala w Roscommon. Była tam przez cały dzień, robiono jej badania, a wieczorem jeden z lekarzy zadzwonił do mnie, jak gdyby nic się nie stało, prosząc, żebym przyjechał i ją zabrał. Pewnie sądził, że wiem, gdzie była. Bardzo się zdenerwowałem. Prawie rozbiłem samochód, wyjeżdżając z bramy, niemal ją wyrwałem, jechałem, jakbym nocą wiozł ciężarną żonę do szpitala, gdy zaczynają się te sławetne bóle, nie żeby kiedykolwiek Bet ich doświadczyła, i zresztą tu być może kryje się sedno sprawy.

Patrzyła w szklankę.

- A jak nogi? - zapytałem.

- Spuchnięte - odparła. - To tylko woda. Tak powiedzieli. Ale może przejdzie, chciałabym.

- Tak, oczywiście - rzuciłem, trochę zachęcony słowem „przejdzie”. - Posłuchaj, tak sobie pomyślałem, że może byśmy, gdy już załatwię wszystko w pracy, wyjechali na kilka dni. Gdy już ci przejdzie.

Spojrzała na mnie i pokręciła szklanką z syczącymi w wodzie tabletkami, przygotowując się na gorzki smak. Przykro mi to mówić, ale parsknęła śmiechem, krótkim śmiechem, który chyba wolałaby stłumić, ale cóż, wyrwał jej się.

- To chyba nie jest dobry pomysł - odrzekła.

- Dlaczego? - spytałem. - W imię starych czasów. Dobrze by to zrobiło nam obojgu.

- Tak pan sądzi, doktorze?

- Tak, zdecydowanie.

Nagle poczułem, że nie mogę mówić, jakby każde słowo grzęzło mi w gardle.



- Przykro mi, Williamie - powiedziała i był to już zły znak, użyła mojego pełnego imienia, nie „Will”, tylko „William”, votum separatum. - Nie mam ochoty. Nie chcę widzieć tych wszystkich dzieci.

- Co takiego?

- No, ludzi, z dziećmi.

- Dlaczego?

No tak, bezdennie głupie pytanie. Dzieci. Których my nie mamy. Mimo niekończących się wysiłków. Niekończących się. Bez powodzenia.

- Williamie, nie jesteś głupi.

- Pojedziemy tam, gdzie nie ma dzieci.

- Dokąd? Na Marsa?

- Tam, gdzie ich nie ma - powtórzyłem, unosząc twarz ku sufitowi, jakbym miał na myśli właśnie to miejsce. - Nie wiem dokąd.

## Relacja Roseanne

To wtedy zdarzyło się to największe ze wszystkich okropieństw.

Przysięgam na Boga, że do dziś nie wiem, jak do tego doszło. Ktoś na pewno wie, ten czy inny, albo wiedział, dopóki żył. A może nie jest istotne jak, tylko co się stało, według niektórych.

To i tak nie ma teraz znaczenia, bo wszyscy ci ludzie już odeszli. Choć może jest gdzieś takie miejsce, gdzie każda rzecz ma wieczne znaczenie, na przykład niebo. Mogłoby się tam nieźle żyć, ale przed śmiercią nikt się tego nie dowie.

Do drzwi zaczęli wtedy walić jacyś nieznanymi ludźmi i krzyczeć ostrymi głosami wojskowych. Jak stonogi rozbiegliśmy się na wszystkie strony, ja cofnąłem się niczym aktorka z wędrownego trupy w sztuce, z tych, które można było obejrzeć w obskurnej sali w miasteczku, trzech Nieregularni dali nura pod stół, a ojciec pociągnął księdza w moją stronę, jakby chciał ukryć mnie za nim i za własną miłością. Bo nikt nie miał wątpliwości, że będzie strzelanina, i w chwili, gdy o tym pomyślałem, żelazne drzwi się otworzyły na swoich wielkich, skrzypiących zawiasach.

Tak, byli to ludzie z nowo powstałej armii w swoich dziwacznych mundurach. Wydawali się uzbrojeni po zęby, w każdym razie wymierzyli w nas broń, patrząc na nas z ogromnym napięciem, ale w moich młodych oczach, gdy popatrzyłem na nich zza nóg ojca, te

sześć czy siedem twarzy, które pojawiły się w świątyni, w blasku ognia sprawiało wrażenie jedynie przestraszonych.

Wysoki chudy chłopak z gór, ze spodniami nie sięgającymi do kostek, wyskoczył zza stołu i w jakimś szale rzucił się na przybyłych, jakby był na polu bitwy. Brat zmarłego ruszył za nim, być może wiedziony bólem. Trudno opisać huk strzałów w tak małej, ograniczonej przestrzeni, ale można było od nich ogłuchnąć. Ojciec, ksiądz i ja jak na komendę cofnęliśmy się pod ścianę i dwóch chłopaków przeszyły kule, musiały przejść przez nich dziwnym torem, bo nagle obok mnie odprysnął w kilku miejscach tynk. Najpierw strzały, a potem lekki deszcz jaśniutkiej krwi, na całym moim fartuszku, na moich rękach, moim ojcu, moim życiu.

Ci dwaj Nieregularni nie zostali zabici, lecz wili się na podłodze jeden obok drugiego.

- Na miłość boską! - zawołał ojciec Gaunt. - Przestańcie! Jest tu młoda dziewczyna i zwykli ludzie! - Cokolwiek chciał przez to powiedzieć.

- Złóżcie broń, złóżcie broń! - wykrzyknął jeden z nowo przybyłych żołnierzy, właściwie wrzasnął. Ostatni z chłopaków po naszej stronie stołu rzucił strzelbę i pistolet zza pasa, wstał szybko i podniósł ręce. Odwrócił się i spojrzał na mnie przez moment, i pomyślałam, że w oczach ma łzy, coś było z jego oczami nie tak, przewiercał mnie nimi, ostro, tak ostro, jakby chciał mnie zabić, i mógłby to lepiej zrobić niż te kule, którym się nie udało.

- Posłuchajcie - ciągnął ojciec Gaunt. - Chyba... chyba ci ludzie nie mają amunicji. Przestańcie! Uciszcie się wszyscy na chwilę!

- Nie mają amunicji? - odparł dowódca nowo przybyłych. - Dlatego że wystrzelali ją w naszych ludzi tam, w górach. To wy jesteście tymi draniami z gór?

O Boże, o Boże, wiedzieliśmy, że to oni, ale z jakiegoś powodu nikt z nas nie odezwał się ani słowem.

- Zabiliście mojego brata - powiedział leżący na podłodze chłopak imieniem John. Trzymał się za udo, tuż pod nim widniała dziwna, ciemna kałuża, kałuża krwi czarnej jak pióra kosa. - Zabiliście go bez mrugnięcia okiem. Wzięliście do niewoli, bezbronnego, i strzeliliście mu w brzuch, trzy razy, do diaska!

- Żebyście nie poszli ukradkiem za nami i nie zamordowali nas pod drodze! - odrzekł dowódca. - Brać tych ludzi, a ty - powiedział do tego, który się poddał - uważaj się za aresztowanego. Zabierzcie ich wszystkich do ciężarówki, chłopaki, i będzie po sprawie. Złapaliśmy was ciemną nocą w tej wilgotnej dziurze, kryjących się jak szczury. Hej, ty tam, człowieku, jak się nazywasz?

- Joe Clear - odpowiedział tata. - Jestem dozorcą tu, na cmentarzu. A to ojciec Gaunt,

jeden z wikariuszy parafii. Wezwałem go do tego zmarłego chłopca, tego tam.

- Więc grzebiecie w Sligo takich jak on - powiedział dowódca gwałtownie. Szybkim krokiem obszedł stół i przystawił ojcu Gauntowi broń do skroni. - Jaki z ciebie ksiądz, że sprzeciwiasz się poleceniom własnych zwierzchników? A może jesteś jednym z tych wstrętnych odszczepieńców?

- Zastrzelisz księdza? - zapytał ojciec ze zdumieniem.

Ojciec Gaunt pospiesznie zamknął oczy i padł na kolana, jakby był w kościele. Klęczał i nie wiem, czy modlił się bezgłośnie, nic jednak nie mówił.

- Jem - rzucił jeden z żołnierzy Wolnego Państwa - jeszcześmy nie zastrzelili w Irlandii żadnego księdza. Nie zabijaj go.

Dowódca odsunął się i opuścił broń.

- Chodźcie, chłopaki, zabierzmy ich i jedźmy stąd.

Żołnierze dość delikatnie wzięli więc dwóch rannych i wynieśli ich za drzwi. Gdy zabierali trzeciego, ten zwrócił twarz ku mnie.

- Może Bóg wybaczy ci to, coś zrobiła, ale ja nigdy.

- Nic nie zrobiłam! - zawołałam.

- Powiedziałaś im o nas.

- Nie, wcale nie, przysięgam na Boga.

- Boga tu nie ma - odparł. - Spójrz na siebie, masz winę wymalowaną na twarzy.

- Nie!

Chłopak zaśmiał się okropnie, takim śmiechem jak deszcz chłoszczący twarz, i tamci wyprowadzili go na zewnątrz. Słyszeliśmy, jak po drodze pokrzykują na jeńców. Trzęsłam się na całym ciele. Kiedy izba opustoszała, dowódca wyciągnął swoją wielką dłoń do ojca Gaunta i pomógł mu wstać.

- Przykro mi, ojcie - powiedział. - To była straszna noc. Morderstwo i chaos. Przepraszam.

Mówił to szczerze i ojciec był tak samo poruszony jego słowami jak ja, jestem tego pewna.

- Zachowaliście się jak łajdacy - powiedział ojciec Gaunt cichym głosem, w którym zabrzmiała jednak dziwnie ostra nuta. - Jak łajdacy. W pełni popieram Nowe Państwo Irlandzkie. Wszyscy popieramy, oprócz tych szalonych chłopaków, którzy nie wiedzą, co robią.

- To powinien ojciec słuchać swoich biskupów. I nie pomagać potępionym przez Kościół.

- Pan pozwoli, że będę miał własne zdanie na ten temat - odparł ojciec Gaunt z arogancją nauczyciela. - Co zamierzacie zrobić z ciałem tego chłopca? Nie zabierzecie go z sobą?

- A co chcecie z nim zrobić? - zapytał żołnierz nagle znużony, z bezsilnością, która przychodzi po wielkim wysiłku. Zapłacił się na nieznanym terenie, Bóg wie jak niebezpieczny, i myślał, że ma wlec teraz z sobą brata Johna, Williego, była jak to piórko, które przeważa szalę. Albo młotek.

- Poślemy po lekarza, żeby stwierdził zgon, odszukamy jego krewnych i może pochowamy go tu, na cmentarzu, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

- Pogrzebiecie diabła. Lepiej wyrzucicie go za mury, jak przestępcę czy bękartą.

Ojciec Gaunt nic na to nie odrzekł. Żołnierz wyszedł. Nie spojrzał na mnie ani razu. Kiedy chrząst jego kroków ucichł na zwirowej ścieżce, w świątyni zapadła przedziwna, martwa cisza. Ojciec stał w milczeniu, ksiądz też, ja siedziałam bez słowa na zimnej, wilgotnej podłodze, a już Willie, brat Johna, był najcichszy z nas wszystkich.

- Gniew mnie bierze, że zostałem w to wplątany - powiedział wtedy ojciec Gaunt swoim najsurowszym głosem z mszy niedzielnych. - Wielki gniew, panie Clear.

Ojciec wyglądał na zaskoczonego. Co innego mógł zrobić? Widząc konsternację na jego twarzy, przestraszyłam się tak bardzo jak na widok sztywniejącego ciała Williego.

- Przykro mi - powiedział. - Przykro mi, jeśli posyłając Roseanne po ojca, postąpiłem źle.

- Owszem, postąpił pan źle, bardzo źle. Boleję nad tym. Powinien pan pamiętać, kto pana zarekomendował na to stanowisko. Tak się składa, że to byłem ja, i powiem panu, że kosztowało mnie to wiele zachodu. Czuję się bardzo zawiedziony, że tak mi się pan odwdzięcza, bardzo zawiedziony.

Po tych słowach ksiądz wyszedł w mrok i deszcz, zostawiając ojca i mnie ze zmarłym chłopakiem do czasu przybycia lekarza.

- Być może naraziłem go na niebezpieczeństwo. Chyba się przestraszył. Ale nie chciałem źle. Na Boga, myślałem, że księża lubią brać udział we wszystkim. Naprawdę, dlatego tak postąpiłem.

Mój biedny ojciec też wydawał się przestraszony, ale z zupełnie innego powodu.

\*

Los rozprawił się z nim delikatnie, powoli.

Są rzeczy, które dzieją się w ludzkim tempie na naszych oczach, ale są też takie, które zakreślają tak wielki łuk, że są dla nas niewidoczne. Dziecko widzi gwiazdkę migoczącą w

ciemną noc za oknem i wyciąga rączkę, żeby ją złapać. Tak samo mój ojciec usiłował uchwycić coś, co znajdowało się daleko poza jego zasięgiem, i kiedy zabłysło, było już stare i skończone.

Myślę, że mój ojciec zawstydział historię.

Chciał i nie chciał pogrzebać tego chłopca, Williego, więc wezwał księdza, żeby pomógł mu podjąć decyzję. Można by odnieść wrażenie, że jako prezbiterianin mieszał się w uświęcone mordy, mordy wykraczające tak daleko poza wszelkie zasady dobroci i miłości, że już samo przebywanie w ich pobliżu było niszczycielskie, nawet zabójcze.

W późniejszych latach słyszałam wersje opowieści o tej nocy, które różniły się od tego, co sama zapamiętałam, ale występował w nich wszystkich jeden stały element: że zatrzymałam się w drodze po ojca Gaunta i powiedziałam żołnierzom Wolnego Państwa, co miałam do powiedzenia, wbrew zakazowi ojca i własnemu instynktowi. Tego, że w ogóle nie spotkałam żołnierzy, nie rozmawiałam z nikim, nawet nie przyszłoby mi to do głowy - bo czy narażałabym ojca na jeszcze większe niebezpieczeństwo? - w ogóle nie bierze się pod uwagę w nieoficjalnej historii Sligo. Bo, jak widzę, historia nie jest sekwencją tego, co się zdarzyło, kolejno i zgodnie z rzeczywistością, tylko fantastyczną konstrukcją przypuszczeń i domysłów, wznoszoną jak sztandar wobec ataku miażdżącej prawdy.

Historia musi wykazywać się wielką inwencją wobec ludzkiego życia, bo samo życie stanowi argument przeciwko panowaniu człowieka na ziemi.

Moja własna historia, jak zresztą każdego, za każdym razem świadczy przeciwko mnie, nawet jeśli sama ją piszę, bo nie mam nic heroicznego do opowiedzenia. Nie występują w niej żadne trudności, chyba że takie, które sama stworzyłam. Serce i dusza, tak ukochane przez Boga, brukają się podczas pobytu tutaj i nie da się tego uniknąć. Nie są to wcale moje refleksje, pewnie zaczerpnęłam je w przeszłości z lektur sir Thomasa Browne'a. Ale mam wrażenie, jakby były moje. Rozbrzmiewają mi w głowie jak własne myśli. Dziwne. Bóg chyba dlatego tak lubi te zbrukane serca i dusze, że widzi w nich dawny, pierwotny kształt, i za to je hołubi.

Dobrze, żeby tak było w moim przypadku, bo wkrótce mogę mieć do czynienia z diabłem.

\*

W naszym domu panował porządek, ale nie było w nim tak porządnie tego dnia, gdy przyszedł do nas z wizytą ojciec Gaunt. Był niedzielny poranek, około godziny dziesiątej, więc przypuszczam, że wyrwał się z kościoła między jedną mszą a drugą i pospieszył brzegiem rzeki, żeby zapukać do naszych drzwi. Ponieważ matka ustawiła w oknie salonu

lusterko, więc zawsze, nie pokazując się sami, wiedzieliśmy, kto stoi na progu. Na widok księdza zerwaliśmy się na równe nogi. Czternastoletnia dziewczynka jest świadoma swojego wyglądu - albo wydaje jej się, że powinna być, wszystko jedno - i jeśli mowa o lustrach, byłam wtedy niewolnicą jednego z nich, tego w sypialni matki, nie dlatego, że w swojej ocenie wyglądałam dobrze, ale dlatego, że zupełnie nie wiedziałam, jak wyglądam, i trudziłam się wiele godzin, żeby dostosować się do obrazu, który by mi odpowiadał albo który by mnie zadowalał, co nigdy mi się nie udawało. Moje złote włosy wyglądały jak mokra, zmierzwiona trawa i za Boga nie mogłam rozpoznać osoby, która spoglądała na mnie z matowego lusterka matki. Jego brzegi były dziwnie zniszczone, więc matka niedawno kupiła w aptece jakąś podejrzaną farbkę i pomalowała je w maleńkie łodyżki i listki, tak że wszystko, co ukazało się w tym niezbyt romantycznym zwierciadle, wyglądało żalobnie, być może harmonizując z profesją ojca, przynajmniej do tamtego czasu. Wobec tego pierwsze, co zrobiłam, to pokonałam kilka schodków do lusterka, żeby stawić czoło swojemu czternastoletniemu poczuciu nieszczęścia.

Kiedy wróciłam, ojciec stał pośrodku pokoju i rozglądał się jak przerażony kucyk, najpierw obrzucił wzrokiem motor, potem pianino i wreszcie przestrzeń między nimi, jednocześnie sięgając ręką ku poduszce na „najlepszym” fotelu. Gdy wyjrzałam do maleńkiego przedpokoju, zobaczyłam pod drzwiami matkę, która właściwie tkwiła tam bez ruchu, jak aktorka czekająca za kulisami, żeby wyjść na scenę, i próbująca opanować tremę. Potem otworzyła zasuwkę.

Gdy ojciec Gaunt wszedł do pokoju, pierwsze, co zauważyłam, to że jakby cały lśnił, był tak gładko ogolony, że można by pisać piórem po jego twarzy. Wydawał się niezwykle spokojny, był najspokojniejszym człowiekiem w Irlandii w tych niespokojnych czasach. Każdy kolejny miesiąc tego roku okazywał się gorszy od poprzedniego, jak mówił ojciec, który cierpiał z powodu śmierci każdej kolejnej ofiary. Ksiądz; jednak wydawał się nieporuszony, nieskazitelny, osobny, jakby historia Irlandii w ogóle go nie dotyczyła. Nie żebym tak wtedy myślała, Bóg wie, co mogłam myśleć, nie mam pojęcia, poza tym, że ta jego nieskazitelność budziła we mnie lęk.

Nigdy nie widziałam, żeby ojciec był tak wytrącony z równowagi. Mówił pospiesznie, urywanym głosem.

- Ach, ależ tak, proszę, niech ojciec usiądzie, proszę, tu - powiedział, prawie wpadając na śmiertelnie poważnego księdza, jakby chciał pchnąć go na fotel. Ale ojciec Gaunt usiadł spokojnie, z gracją tancerza.

Wiedziałam, że matka jest w przedpokoju, w tej wąskiej przestrzeni dającej

możliwość zachowania dystansu i milczenia. Stałam przy boku ojca jak strażnik, jak wartownik czekający na atak. W mojej głowie zapanował dziwny mrok, nie mogłam myśleć, nie mogłam kontynuować tej długiej rozmowy, którą prowadzimy w myślach, jakby anioł pisał tam bez naszej wiedzy.

- Hm - odezwał się ojciec. - Zaparzymy herbaty, co ojciec na to? Tak, tak zrobimy. Cissy, Cissy, wstawisz czajnik na gaz? Wstaw, proszę.

- Piję tak dużo herbaty - zauważył ksiądz - że aż dziw, iż nie zbrązowiła mi skóra. Ojciec się zaśmiał.

- O tak, zapewne pije ojciec z poczucia obowiązku. Ale w moim domu nie ma takiej potrzeby. Nie ma takiej potrzeby. Ja, który zawdzięczam ojcu wszystko, zawdzięczam wszystko... Nie żebym... ja nie... - I tu mój ojciec zabrął, więc się zarumienił i ja też chyba się zarumieniłam, choć nie wiedziałam dlaczego.

Ksiądz odchrząknął i odpowiedział uśmiechem.

- Wypiję filiżankę herbaty, oczywiście, że tak.

- Och, to dobrze, to dobrze. - I usłyszeliśmy, że matka rusza korytarzykiem do spizami.

- Tak zimno dzisiaj - zauważył ksiądz, nagle rozcierając ręce - że z przyjemnością posiedzę przy ogniu, naprawdę. Nad rzeką wszystko jest oszronione. Czy mógłbym zapalić? - zapytał i wyjął srebrną papierośnicę.

- Och, proszę bardzo - odparł ojciec.

Ksiądz wydobył więc z kieszeni sutanny jeszcze pudełko zapalek marki Swan, potem wyjął długiego papierosa, z cudowną starannością i precyzją zapalił zapalną, przytknął ją do niego i zaciągnął się nad płomieniem. Potem wydmuchnął dym i lekko zakaszłał.

- Twoja... twoja... - zaczął - posada na cmentarzu jest, jak się pewnie domyślasz, nie do... utrzymania. Hm?

Znowu elegancko zaciągnął się papierosem i dodał:

- Obawiam się, że tak, Joe. Przykro mi z tego powodu, tak samo jak tobie. Ale jestem pewien, że zrozumiesz... spadł mi na ramiona wielki ciężar, jestem rozdarty między biskupem, który uważa, że wszyscy odszczepieńcy muszą być ekskomunikowani, zgodnie z postanowieniem ostatniego synodu, a burmistrzem, który, jak może wiesz, sprzeciwia się ostro traktatowi w obecnym kształcie, a jako najbardziej wpływowego człowieka w Sligo ma wielkie... wpływy. Możesz więc sobie wyobrazić, Joe.

- Ach - powiedział ojciec.

- No właśnie.

Książd trzeci raz zaciągnął się papierosem, stwierdził, że musi strzepnąć popiół, i zwyczajem palaczy, odgrywając pantomimę, rozejrzał się za popielniczką przedmiotem, którego w naszym domu nie było, nawet dla gości. Wtedy ojciec, co mnie zdumiało, wyciągnął do niego rękę, niewątpliwie twardą rękę, stwardniałą jeszcze bardziej od kopania, a ten, kolejne zaskoczenie, bez wahania strzepnął popiół na podsuniętą dłoń, która może drgnęła lekko pod wpływem żaru. Ojciec, z popiołem na ręce, rozejrzał się wręcz idiotycznie wokół siebie, jakby w pokoju jednak mogła być jakaś popielniczka, o której nie wiedział, a potem z przerażającą powagą wsadził dłoń do kieszeni.

- Hm - powiedział. - Tak, potrafię sobie wyobrazić, że trudno pogodzić z sobą te dwa bieguny.

Wyrzekł te słowa bardzo łagodnie.

- Oczywiście, dowiadywałem się, zwłaszcza w ratuszu, o inne zajęcie dla ciebie i choć początkowo wydawała się niemożliwa... eee, ta możliwość... to gdy już miałem się poddać, sekretarz burmistrza, pan Dolan, powiedział mi, że jest pewna posiadłość, właściwie próbują znaleźć kogoś od dłuższego czasu, i to pilnie, z powodu prawdziwej plagi szczurów, która nęka magazyny nad rzeką. Finisglen, jak wiesz, to bardzo porządna dzielnica, mieszka tam sam doktor, tylko że, niestety, przylegają do niej doki, jak oczywiście wiesz, jak wiedzą wszyscy.

Teraz mogłabym napisać książkę o rodzajach ludzkiego milczenia, ich powodach i znaczeniu, ale milczenie, z jakim przyjął mój ojciec tę przemowę, było okropne. Przypominało dziurę, która zasysa powietrze. Jeszcze bardziej się zaczerwienił, tak że jego twarz stała się purpurowa, jak twarz ofiary jakiegoś ataku.

W tym momencie weszła z herbatą matka, która, można by pomyśleć, wyglądała jak służąca wśród władców; może bała się spojrzeć na ojca, bo wzrok miała utkwiony w małą tacę ze scenką rodzajową przedstawiającą pole maków gdzieś we Francji. Często przyglądałam się tej tacy, która stała na górze kredensu w spizami, wyobrażałam sobie, że czuję wiatr wiejący wśród kwiatów, i zastanawiałam się, jak to jest w tym ciepłym świecie o niezrozumiałym języku.

- Więc - powiedział książd - cieszę się, że mogę ci zaoferować, w imieniu burmistrza, pana Salmona... eee... nową posiadłość. To znaczy pracę.

- Pracę jako... - zawiesił głos ojciec.

- Jako... - powtórzył książd.

- Kto? - wyrwało się matce, chyba mimowolnie, i słowo to zawisło w pokoju.

- Szczurołap - odparł książd.



\*

Nie wiem dlaczego, ale odprowadzenie księdza do drzwi przypadło mnie. Na wąskim chodniku, w skupiającym się wokół niego zimnie, które wspinało się na pewno pod sutannę po jego gołych nogach, mały ksiądz powiedział:

- Proszę, powiedz ojcu, Roseanne, że cały sprzęt do tej roboty jest w ratuszu. Pułapki i tak dalej, jak sądzę. Tam je znajdzie.

- Dziękuję ojcu - odparłam.

Potem ruszył ulicą i zatrzymał się na chwilę. Nie wiem, dlaczego stałam tam, patrząc za nim. Oparty ręką o ceglana ścianę sąsiedniego domu, zdjął but z jednej nogi i balansując na drugiej, obmacał skarpetę, żeby sprawdzić, co go uwiera podczas chodzenia, kamyk czy żwir. Potem odpiął ją od getra, zdjął szybkim ruchem i odsłonił długą białą stopę z paznokciami żółtymi jak stare zęby i zakrzywionymi na końcach, jakby nie były w ogóle obcinane. Wtedy zauważył, że wciąż na niego patrzę, zaśmiał się i wreszcie znalazłszy dokuczliwy kamyk, włożył z powrotem skarpetę i but i stanął obiema nogami na chodniku.

- Co za ulga - powiedział z zadowoleniem. - Miłego dnia. I - dodał - jeśli sobie przypominam, jest też pies. Pies do łapania szczurów.

Kiedy wróciłam do domu, ojciec siedział w tym samym miejscu co poprzednio. Motor tkwił w tym samym miejscu. Pianino też tkwiło w tym samym miejscu. Ojciec wyglądał tak, jakby już nigdy nie miał ruszyć się z miejsca. Słyszałam, że matka miota się w spizami, zupełnie jak szczur. Albo piesek tropiący szczura.

- Znasz się na tej pracy, tato? - zapytałam.

- Czy ja... och, chyba tak.

- Nie będzie trudna.

- Nie, nie, często miałem z czymś takim do czynienia na cmentarzu. Szczury uwielbiają świeżą ziemię na grobach, a płyty nagrobne to dla nich świetne kryjówki. Tak, miałem już z nimi do czynienia. Będę musiał o tym poczytać. Może znajdzie się jakiś podręcznik w bibliotece.

- Podręcznik łapania szczurów? - zapytałam.

- Tak, nie sądzisz, Roseanne?

- Na pewno, tato.

- O tak.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tak, bardzo dobrze pamiętam ten dzień, kiedy ojciec odszedł z cmentarza - żywy wygnany spośród zmarłych.

To też był mały mord.

Ojciec kochał ten świat i zamieszkujących go bliźnich, bez szczególnych zastrzeżeń, bo jako dobry prezbiterianin uważał, że każdy niesie swój krzyż, i w szorstkim śmiechu łąęgi słyszał istotę życia, a przez to widział odkupienie, w gruncie rzeczy wierząc, że ponieważ Bóg wszystko stworzył, wszystko należy akceptować, a osobista tragedia diabła polegała właśnie na tym, że on niczego nie stworzył, jest tylko budowniczym pustych przestrzeni. Za sprawą tego wszystkiego podstawą dobrej opinii o sobie była dla ojca praca, to, że jako wyznawcy innej religii powierzono mu jednak zadanie grzebania katolików ze Sligo, gdy czas kolejno upominał się o nich.

- Taki zaszczyt, taki zaszczyt! - mawiał, gdy wieczorem, przed powrotem do domu, oboje patrzyliśmy na żelazną bramę i jego wzrok padał przez jej pręty na ciemniejące szeregi, niknące nagrobki, które znajdowały się pod jego opieką. Sądzę, że mówił do siebie albo do tych grobów, raczej nie do mnie, i pewnie ani przez chwilę nie pomyślał, że go rozumiem. Wtedy może i nie rozumiałam, ale teraz tak.

Prawda była taka, że ojciec kochał swój kraj, kochał to, co w głębi duszy uważał za Irlandię. Może gdyby urodził się na Jamajce, kochałby ją równie mocno. Ale tak się nie stało. Jego przodkowie sprawowali małe synekury w irlandzkich miasteczkach, w których mieszkali, na przykład inspektorów budowlanych, a jego ojciec nawet doszedł do godności pastora. Urodził się więc na małej plebanii w Collooney, jako dziecko pokochał to miejsce, a potem, gdy serce mu urosło, objął swoją miłością także całą wyspę. Ponieważ jego ojciec był jednym z tych radykalnych myślicieli, którzy pisali broszury, a już na pewno głosili kazania poświęcone historii protestantyzmu w Irlandii - bo broszury żyją krótko, choć jeśli dobrze pamiętam, ojciec wspominał o jednej czy dwóch - sam nie zawsze miał o tej religii dobre zdanie. To znaczy uważał protestantyzm za delikatne jak piórko narzędzie, przekształcone przez stary system w młot i użyte, aby tłuc nim po głowie ludzi, którym ciężko się żyło w Irlandii, z natury rzeczy przeważnie katolików. Jego ojciec kochał tę religię i sam też darzył ją uczuciem, ale było mu straszliwie przykro, nie, straszliwie go gniewało, że jest

wykorzystywana w Irlandii do takich celów, tak samo zresztą jak anglikanizm, baptyzm *et cetera*.

Skąd to wiem? Bo co wieczór, gdy byłam dzieckiem, co wieczór, na koniec dnia kładł się na moim wąskim łóżku, rozpychając się swoimi szerokimi biodrami, tak że prawie na nim leżałam, z głową przy jego zarośniętej twarzy, i mówił, mówił, mówił, podczas gdy matka szła spać w sąsiednim pokoju. Kiedy słyszał, że zaczynała cicho pochrapywać, opuszczał mnie i kładł się przy niej, ale przez te pół godziny, w ciemnościach, gdy pozwalał jej zasnąć, a księżyc, początkowo usadowiony na tylnej ścianie, wznosił się, raz jasny, raz ciemny, jak to księżyc, na niebie pełnym nieosiągalnych gwiazd - jak dobrze o tym wiem - opowiadał mi o wszystkich swoich przecuciach, obawach i troskach z głębi serca, nie przejmując się, że nie zrozumie, tylko traktując to jak muzykę równie urzekającą dla swoich, a więc i moich uszu, jak dzieła Balfe'a i Sullivana, jego zdaniem dwóch najznamienitszych Irlandczyków, jacy żyli.

I pracując na cmentarzu, pod kuratelą ojca Gaunta, miał pod pewnym względem poczucie, że jego życie jest spełnione, dobre. Pod innym, że stanowi modlitwę do jego ojca. Tak nauczył się żyć w Irlandii, przypadkowym miejscu, które pokochał.

I utrata tej pracy była dla niego w jakiś nadzwyczajny sposób utratą samego siebie.

\*

Teraz trudniej było mu towarzyszyć. Nie mógł zabierać mnie z sobą do pracy, ponieważ było to brudne, skomplikowane i niebezpieczne zajęcie.

Jako człowiek skrupulatny wkrótce znalazł książeczkę, która miała mu pomóc: nosiła tytuł *Doskonały poradnik łapania szczurów* i została napisana przez kogoś o pseudonimie Rattus Rattus. Broszurka opowiadała o przygodach szczurołapa w fabrykach w Manchesterze, mieście przemysłowym, w którym szczury miały gdzie żyć i się ukryć. Ojciec dowiedział się z niej, jak zabrać się do tej roboty, uwzględniała bowiem wszystko, nawet zabiegi, jakim należało poddać łapki fretek, które były, jak się zdaje, bardzo podatne na zanokcicę w wilgotnych klatkach. Sam jednak nigdy nie doszedł do tego, żeby mieć fretki. Rada miejska Sligo nie miała takich ambicji. Ojciec dostał tylko psa rasy Jack Russell, który wabił się Bob.

Zaczął się więc najdziwniejszy okres mojego dzieciństwa. Chyba powoli też zmieniałam się z dziecka w dziewczynkę, a z dziewczynki w kobietę. W czasach gdy ojciec zajmował się łapaniem szczurów, popadłam w dziwny, poważny nastrój. To, co cieszyło mnie i zachwycało w dzieciństwie, przestało mnie cieszyć i zachwycać. Można by odnieść wrażenie, że obrazy i dźwięki świata coś straciły albo że największym przywilejem wieku dziecięcego jest zdolność do radości. Czułam się więc jak zawieszona w stanie oczekiwania,

oczekiwania na coś, co zastąpi błogosławieństwo młodości. Oczywiście, byłam młoda, bardzo młoda, ale, jak pamiętam, nie ma starszej osoby od piętnastolatki.

\*

Ludzie z taką wytrwałością wiodą życie, które nazywamy zwyczajnym, dlatego że innego życia nie ma. Ojciec wciąż śpiewał *Roses of Picardy*, gdy golił się rano, przerywał tu czy tam, opuszczał to czy tamto, manewrując brzytwą po swojej pobrużdżonej twarzy, i jeśli przymknęłam oczy i słuchałam uważnie, widziałam go oczami wyobraźni w jakimś tajemniczym kinie. Heroicznie wyciągnął wysokie tony arii, potem wychodził z psem i pułapkami, nauczywszy się traktować to jak swoją „zwykłą robotę”, i wracał z pracy, nie zawsze o dawnej porze, nadal jednak starając się nieść pod pachą „Sligo Champion”, aby nadać swojemu nowemu życiu pozory normalności.

W tamtych czasach czytywał jednak w gazecie dziwne jak na niego artykuły, a przynajmniej tak było pewnego razu, bo usłyszałam, że gwałtownie wciąga powietrze, i spojrzałam na niego pogrążonego w lekturze. Właścicielem „Sligo Champion” był pan Roddy, człowiek nowych władz, jak mówiono. Wydarzenia wojny domowej przedstawiano tam więc bez owijania w bawełnę, w prostych słowach, słowach, które również miały świadczyć o normalności, stabilizacji.

- Na Boga - powiedział ojciec - rozstrzelali tych chłopców, którzy wtedy zjawili się na cmentarzu.

- Których chłopców? - zapytałam.

- Tych młodych szaleńców, którzy przynieśli swojego zabitego przyjaciela.

- Był bratem jednego z nich - zauważyłam.

- Tak, owszem, Roseanne. Wymieniają tu ich z nazwiska. Nazywali się Lavelle, czy to nie dziwne? William i John. Ale piszą, że John dał nogę. Uciekł.

- Tak - rzuciłam z lekkim niepokojem, ale także niezwykłą radością. To tak, jakbym słuchała opowieści o Jesse Jamesie. Na ogół ludzie nie mają ochoty natknąć się na kogoś wyjętego spod prawa, ale cieszą się, gdy słyszą, że udało mu się uciec. Oczywiście Johna Lavelle'a poznaliśmy osobiście.

- Pochodzi z Inishkei. Jednej z wysp. Za Mullet. To koniec świata. W najdalszej części Mayo. Tam, wśród swoich, będzie bezpieczny.

- Mam nadzieję.

- To na pewno dla nich bardzo trudne, strzelać do swoich.

Ojciec nie powiedział tego z ironią. Tylko szczerze. Rzeczywiście, to musiało być trudne. Ustawić tych chłopców obok siebie albo jednego za drugim, kto to mógł wiedzieć, i

zabijać kolejno - na śmierć, jak to mówią. Kto wie, co wydarzyło się w tych górach. W ciemnościach. A teraz sami nie żyją, jak Willie Lavelle z jednej z wysp Inishkei.

Ojciec nie powiedział więcej ani słowa. Nie patrzyliśmy na siebie, tylko w ten sam punkt na kominku, gdzie żarzyła się kupka węgla.

\*

Milczenie mojej matki było jednakże najgłębsze ze wszystkich. Mogłaby być jakimś podwodnym stworzeniem, czy raczej obie mogłybyśmy nimi być, gdy z nią przebywałam, bo nie odzywała się, tylko poruszała wolno, ociężale, jak zwierzę pływające.

Ojciec czynił heroiczne wysiłki, by ją ożywić, okazywał jej wszelkie względy. Jego zarobki w nowej pracy były skromne, ale mimo to liczył, że wystarczą, zwłaszcza w tych ciężkich, ponurych czasach, jakie nastąpiły po wojnie domowej, gdy kraj walczył, żeby wstać z kolan. Myślę jednak, że wtedy cały świat nawiedzały katastrofy, że wielkie koło historii obracały nie ręce człowieka, tylko jakiejś nieznannej siły. Ojciec dawał matce to, co zarobił, mając nadzieję, że uda jej się podzielić, rozmnożyć te kilka funtów i dzięki temu jakoś przetrwamy. Jednakże, jakbyśmy znajdowali się we władzy czegoś równie niewytłumaczalnego jak te potężne siły historii, choć pewnie mniejszego, bo dotyczyło tylko nas, często w domu prawie nie było co jeść. Matka tłukła się po kuchni w porze kolacji, jakby przygotowywała posiłek, potem wracała do naszego małego salonu i siadała w nim, podczas gdy ja i ojciec, cały wyszorowany po pracy, z całą nocą jeszcze przed sobą - bo szczury najlepiej podchodzić po ciemku - patrzyliśmy na nią, stopniowo uświadamiając sobie, że nie mamy na co liczyć. Wtedy ojciec powoli kręcił głową, może w wyobraźni zaciskając pasa, ale nie śmiał zapytać, co jest nie tak. Przez jej problemy zaczynaliśmy głodować!

Nic jednak nie mogło przebić się przez jej milczenie. Przyszło Boże Narodzenie, więc ojciec i ja zaczęliśmy się naradzać, żeby znaleźć dla matki coś, co sprawiłoby jej przyjemność. Ojciec zobaczył szal na wyprzedazy przy Café Cairo, w sklepiku z różnaitościami, i co tydzień odkładał po pół pensa, żeby zbierać potrzebną sumę, jak mysz zbierająca ziarnko do ziarnka. Pamiętajcie, proszę, że moja matka była piękna, choć może wtedy już nie tak bardzo, bo jej milczenie przybrało postać marnego cienkiego materiału, którym jakby nakryto jej twarz. Przypominała obraz z ciemniejącym werniksem, kryjącym urodę dzieła. Ponieważ jej śliczne zielone oczy traciły blask i coś w niej gasło. Myślę jednak, że nadal, w ogólnym zarysie, każdy artysta byłby z niej zadowolony, gdyby w Sligo byli artyści, w co wątpię, chyba że ci, którzy malowali portrety tych wszystkich Jacksonów, Middletonów i Pollexfenów, czyli elitę miasteczka.

Ojciec miał wolne w Wigilię i z radością wybraliśmy się na mszę, celebrowaną przez

pastora Ellisa w jego czyściutkim, starym kościele. Matka w milczeniu poszła z nami, drobna jak mnich w swoim nędznym płaszczyku. Pamiętam tę scenę bardzo dobrze: mały kościół oświetlony świecami i zebrani w nim protestanci z parafii, biedni, niebiedni i dość zamożni, mężczyźni w ciemnych gabardynowych płaszczach, kobiety, jeśli je było na to stać, w futrzanych kołnierzach wokół szyi, ale przeważnie w paltach z ciemnozielonego sukna, które się wtedy nosiło. Blask świec wciskał się wszędzie, w bruzdy na twarzy mojego ojca, gdy tak siedział obok mnie, między kamienie w ścianach, w głos pastora, gdy głosił słowa Biblii w jej tajemniczej, poruszającej angielszczyźnie, i mnie pod żebra, docierając do mojego młodego serca, przesywając je tak, że zachciało mi się płakać, ale dlaczego, nie potrafiłabym powiedzieć. Płakać nad losem ojca, milczeniem matki, lecz także w podzięce za coś, może urodę matki, blednącą, ale wciąż widoczną. Miałam wrażenie, że rodzice znajdują się pod moją opieką i dzięki jakiemuś mojemu uczynkowi zostaną uratowani. Nie wiadomo dlaczego przepełniło mnie to nagłą radością, a było to wówczas uczucie tak rzadkie, że kiedy miejscowi zaczęli śpiewać jakiś zapomniany hymn, ja zarumieniłam się z dziwnego poczucia szczęścia, a potem, w migocących ciemnościach, zapłakałam, roniąc wielkie, gorące łzy złudnej ulgi.

I tak płakałam, choć chyba niewiele to komu pomogło. Woń wilgotnych ubrań wokół mnie, pokasływanie wiernych. Co bym dała, żeby znowu znaleźli się w tym kościele, w tamto Boże Narodzenie, żeby wróciło wszystko, co zabrał czas, jak to czas, szylingi do kieszeni tamtych ludzi, ciała w te długie płaszcze i rękawiczki, wszystko, wszystko z powrotem, żebyśmy mogli klęczeć tam, klęczeć i siedzieć na mahoniowych ławkach, jeśli już nie na wieczność, to na chwilę, milimetr tkaniny czasu, rysy ojca chłonące to migotliwe światło, twarz, która powoli zwraca się ku mojej matce i ku mnie, uśmiecha się, uśmiecha się ze zwykłą, wrodzoną dobrocią.

Następnego rana ojciec wręczył mi coś ślicznego, co jak się później dowiedziałam, nazywało się sztuczną biżuterią. Wszystkie dziewczęta ze Sligo, gdy dokądś się wybierały, lubiły mieć na sobie jakąś „srocza” błyskotkę. Ja też marzyłam o znalezieniu słynnego sroczego gniazda, w którym znajdowałyby się broszki, bransoletki i kolczyki, gniazda z cudownym łupem. Wzięłam od ojca prezent, odpakowałam srebrną szpilkę, przypięłam ją do sweterka i pokazałam dumnie motocyklowi i pianinu.

Wtedy ojciec ofiarował mamie wielkie coś, zapakowane w elegancki papier ze sklepu, taki, który w dawnych czasach poskładałaby i schowała do szuflady. Matka otworzyła prezent w milczeniu, spojrzała na cętkowany szal, który leżał złożony w środku, uniosła wzrok i zapytała:

- Dlaczego, Joe?

Ojciec nie miał najmniejszego pojęcia, o co jej chodzi. Czy deseń był nie taki? Czyżby popełnił jakąś pomyłkę przy kupnie szala, bo skąd miał to wiedzieć? Jak szcurołap miałby się znać się na modzie?

- Dlaczego? Nie wiem, Cissy. Nie wiem - odparł mężnie. Potem, ni stąd, ni zowąd, dodał, jakby pod wpływem natchnienia: - To szal.

- Co powiedziałeś, Joe? - zapytała, jakby cierpiała na jakąś tajemniczą głuchotę.

- Na głowę, na szyję, jak ci się spodoba - odrzekł.

Zaczął się więc, nie miałam co do tego wątpliwości, przepelniony desperacją, która rodzi się we wnętrznościach ofiarodawcy nietrafionego prezentu. Musiał wyjaśniać rzecz oczywistą, co zawsze jest nieprzyjemnym zadaniem.

- Och - powiedziała, patrząc na prezent, który leżał na jej kolanach. - Och.

- Mam nadzieję, że ci się podoba - dodał, kładąc szyję pod topór.

- Och - powtórzyła - och.

Ale jakiego rodzaju było to „och” i co znaczyło, nie wiedziało żadne z nas.

# ROZDZIAŁ SIÓDMY

## Z notatek doktora Grene'a

Z wielkim niepokojem odkryłem, zupełnie przez przypadek, że Bet nie poszła do specjalisty, do którego skierowano ją w zeszłym roku (czyżby od tego czasu minął już rok, czy mi się wydaje? A może było to w tym roku?). Chowając puszkę complanu, natknąłem się na jej dziennik, najwyraźniej porzucony od jakiegoś czasu. Oczywiście to naganne, nieetyczne, złe, bardzo złe, ale otworzyłem go, pod wpływem gorczy, jaką żywi nielubiany mąż. Żeby zobaczyć, co w nim napisała. Nie, nie, po prostu, żeby zobaczyć jej pismo, coś bardzo intymnego, osobistego. Może nawet nie po to, żeby przeczytać jej słowa. Tylko żeby popatrzeć przez krótką chwilę na czarny tusz długopisu. No i zobaczyłem, zapisek sprzed zaledwie kilku tygodni, wyraźny, choć oczywiście przeznaczony tylko dla własnych oczu: *Zadzwońłam do kliniki, odwołałam wizyty.*

Dlaczego?

Uświadomiłem sobie mgliście, że było to po okresie zawrotów głowy, które ją nękały; kiedy mi powiedziała, że dostała skierowanie na konsultację, poczułem taką ulgę, że wyrzuciłem to z głowy. Byłem w kropce. Po pierwsze, przeraziłem się, że tak postąpiła, a po drugie, miałem pełną świadomość, że dowiedziałem się o tym tylko dlatego, iż naruszyłem jej prywatność - znowu wszedłem z butami w jej prywatne sprawy, bo wiedziałem, że tak by to potraktowała. I miałaby rację.

Co zrobić?

Biłem się z myślami przez całą noc. Typowy dla mnie sposób rozwiązywania problemów - rozpatrywanie sprawy z każdej strony. Być może. Ale wydaje mi się, że miałem ważny powód.

Gdzieś nad ranem ogarnęła mnie dziwna wściekłość, naprawdę, naprawdę rozłościłem się na Bet, chciałem nawet pobiec po schodach i rozprawić się z nią. Co sobie myśli, że co? Cholerna głupota z jej strony!

Dzięki Bogu, powstrzymałem się. To by niczego nie rozwiązało. Ale naprawdę się martwię. Puchnięcie nóg może być skutkiem zakrzepu i jeśli dotarłby do płuc albo serca, byłoby po niej. Czy tego chce? Ale znowu stwierdzam, że nie umiem z nią rozmawiać, ani o



tym, ani o niczym innym, nie znam odpowiedniego języka. Przestaliśmy porozumiewać się w zwyczajnych życiowych sprawach, a teraz nie umiemy już i w tych niezwykłych.

Zamierzałem zastanowić się wieczorem, jak by tu w niezbyt pokrętny sposób wypytać Roseanne McNulty, żeby coś z niej wydobyć. Dochodzę jednak do wniosku, że skoro nie potrafię rozmawiać z własną żoną o jej stanie zdrowia, nie uda mi się to również z Roseanne. Ale może z kimś obcym jest łatwiej, jest się wtedy „fachowcem”, a nie wielkim głupcem, który usiłuje jakoś ciągnąć swój wózek. Poza tym raczej wierzę w trafność swojej oceny co do większości pacjentów. Są przeważnie jak otwarte księgi i łatwo zdiagnozować ich problemy. Chociaż nie mogę pozbyć się uczucia, że stale naruszam jakieś granice. Roseanne jednak wprawia mnie w konsternację.

Chciałem zajrzeć do *Pathologies of Secrecy* Barthusa, to wspaniała książka oczywiście, gdybym tylko miał czas, żeby ponownie ją przeczytać. Mogłem pójść do swojego gabinetu i przekartkować ją, ale cały się trząsałem. Niemal wpadłem w apopleksję, jeśli jest jeszcze coś takiego we współczesnym świecie. W efekcie więc ani nie przeczytałem Barthusa, ani nie rozwiązałem sprawy niefrasobliwości Bet. Jestem wykończony.

## Relacja Roseanne

Musiało minąć kilka tygodni, zanim ojciec zabrał mnie z sobą do pracy.

Szczury rozmnażają się ochoczo wczesną wiosną, więc koniec zimy jest najlepszą porą, żeby się do nich dobrać, bo jeszcze nie jest ich tak wiele, a pogoda sprzyja szczurołapowi. Patrząc z perspektywy czasu, uważam, że dość dziwnym pomysłem było zabranie dziewczyny na odszczurzanie, ale naprawdę bardzo mnie to interesowało, zwłaszcza od czasu, gdy ojciec przeczytał mi podręcznik, w którym przedstawiono to zadanie jako wymagające dużych umiejętności, na granicy profesjonalizmu i magii.

Ojciec pracował od kilku nocy w protestanckim sierocińcu, miejscu już i tak dość osobliwym, ze szczurami czy bez. Przybytek ten miał ze dwieście lat, ojciec znał wiele związanych z nim historii i z tego, co opowiadał, wynikało jasno, że w poprzednich wiekach los sieroty był bardzo ciężki. Ale może współcześnie lepiej zarządzano tą instytucją. Ojciec zamierzał zacząć od dachu, co było słusznym założeniem, i piętro po piętrze wypędzać szczury. Strych i ostatnie piętro już odszczurzył, zostały mu jeszcze trzy kondygnacje, w których spały dziewczęta, ze dwieście, w swoich ładnych niby-plóciennych bezrękawnikach, stanowiących ich nocny strój.

- Teraz każde dziecko śpi we własnym łóżku, Roseanne, żebyś wiedziała - powiedział ojciec. - Ale w czasach twojego dziadka, a może jego dziadka, wszystko jedno, wyglądało to inaczej. Twój dziadek, a może dziadek twojego dziadka, opowiadał straszne rzeczy o tym miejscu. Był inspektorem budowlanym i przyjechał tu na zlecenie rządu w Dublinie, bo wiele się mówiło o niecznych praktykach w takich miejscach, oj wiele. Więc przyjechał tu... - a staliśmy wtedy na starym dziedzińcu, w dość mętym świetle, z dwiema klatkami pełnymi szczurów i z Bobem, sprawiającym wrażenie bardzo zadowolonego z siebie, bo przegonił szczury przez dziury w ścianach, które miały miejscami od siedmiu do ośmiu stóp grubości - powiedzmy, że był w tych wielkich salach, o tam - ojciec wskazał ponure mury budynku na pierwszym piętrze - i zobaczył coś, co wyglądało jak całe połączenie łóżek, a w każdym leżało po dwadzieścioro dzieci, nowo narodzonych albo niewiele starszych, jedno przy drugim, a przyszedł ze starą pielęgniarką, brudną, jak tylko możesz sobie wyobrazić, i patrzy na te dzieci, widzi, że w niektórych oknach nie ma szyb, nie tak jak teraz, i tylko wątył ogień na wielkim kominku, co to niczego nie ogrzeje, a jeszcze w suficie dziury, przez które z wyciem wpada przeraźliwie lodowaty wiatr, więc woła: „Mój Boże, kobieto!”, czy jak tam mówili w tamtych czasach, „Mój Boże, kobieto, przecież o te dzieci nikt nie dba! Na Boga, nawet nie mają ubrania na grzbiecie”, bo rzeczywiście, Roseanne, ledwie miały w co się odziać. A ta stara kobieta odpowiada na to, jakby to była najzwyczajniejsza i najbardziej zrozumiała rzecz na świecie: „Przecież, proszę pana, one tu i tak powymierają”. I wtedy zrozumiał, że specjalnie tak to urządzono, żeby się pozbyć chorych dzieci czy tych, dla których nie było miejsca. Zresztą zdaje się, że z tego powodu wybuchł wtedy wielki skandal.

Przez moment zajął się pułapkami, a ja stałam przy nim, podczas gdy nocny wiatr zawodził cicho, wkradając się między zabudowania. Wszedł tanio, niezdrowo wyglądający zimny księżyc, jakby przysiadł na dachu sierocińca. Ojciec oblewał szczury parafiną, żeby potem wrzucać je po jednym do ognia, ognia, który udało mu się rozpalić pośrodku dziedzińca przy użyciu cuchnących starych desek i takich tam z jednego ze składów. To była jego własna metoda pozbywania się szczurów, sam ją wymyślił podczas lektury poradnika i był z niej bardzo dumny. Kiedy teraz o tym myślę, wydaje mi się to dość niefortunnym pomysłem, bo szczury jeszcze żyły, gdy je wrzucał w płomienie, ale nie sądzę, aby ojciec kiedykolwiek uważał to za okrucieństwo, a może liczył, że podziała to jak ostrzeżenie na resztę z nich, jeśli przyglądały się temu z ciemnych zakamarków. Co odzwierciedlałoby do pewnego stopnia sposób jego myślenia.

W każdym razie, jak już powiedziałam, otwierał pułapki, wyjmował kolejno szczury i chyba jednak, tak mi się wydaje, gdy się nad tym zastanawiam, walił je po łebkach przed

wrzuceniem w ogień, dzięki Bogu, tak, teraz to widzę, a jednocześnie gawędził ze mną, i może dlatego, że nie był tak bardzo skupiony na tym, co robi, jeden ze szczurów uciekł, nagle wyrwał mu się z rąk, ominął zaskoczonego Boba, który nie zdążył go złapać, i pomknął w stronę sierocińca w noc, ciemną choć oko wykol, tym swoim charakterystycznym truchcikiem... Ojciec przeklął cicho i poprzestał na tym, myśląc, że dopadnie uciekiniera następnego dnia.

Wrócił więc do pozostałych, rejestrując niewątpliwie pisk, jaki wydawał każdy szczur, gdy z nim kończył, obłany parafiną i wrzucany do ogniska, a był to dźwięk, który musiał słyszeć potem w snach. I po jakiejś półgodzinie zwinął swoje klamoty, zarzucił je na ramię, wziął Boba na smycz i przez pogrążony w mroku sierociniec wyszliśmy na ulicę, gdzie budynek prezentował miasteczku dość kunsztownie rzeźbiony front, który musiał kosztować w zeszłym stuleciu niemało pieniędzy z kasy dobroczynnej. Wtedy, gdy już mieliśmy przejść przez ulicę, usłyszeliśmy ryk i odwróciliśmy się w tamtą stronę.

Z budynku, gdzieś z góry, z piętér, gdzie spały dziewczęta, dochodził dziwny, donośny, tajemniczy dźwięk. Choć teraz na pewno nie spały, bo spod dachówek wydobywał się gęsty, czarny dym, i szary, i biały, dziwnie oświetlony blaskiem księżyca i wątłą poświatą Sligo. Usłyszeliśmy brzęk szkła okiennego i nagle długi, cienki język jaskrawożółtego płomienia wystrzelił na zewnątrz, jakby zawisł w nocnym powietrzu, wydobywając z ciemności zwróconą ku górze twarz ojca i na pewno moją też, a potem równie zadziwiająco cofnął się do środka ze straszliwym, głośnym jękiem, gorszym niż wycie wiatru. Przerazona, odniosłam wrażenie, że ogień powiedział jedno słowo: „Śmierć, śmierć”, tak pomyślałam.

- Jezus Maria! Józefie święty - szepnął ojciec, jakby krew zastygła mu w żyłach, i zaraz potem drzwi sierocińca się otworzyły, niewątpliwie powodując straszliwy przeciąg w budynku, i kilka dziewcząt, w bezrękawnikach pokrytych popiołem i pyłem, potykając się, wypadło na zewnątrz, z dzikim wyrazem twarzy, jak demony. Nigdy nie widziałam czegoś tak przerażającego. Ze środka wytoczyło się też dwoje czy troje opiekunów, kobieta i dwaj mężczyźni w czarnych ubraniach, którzy wybiegli na bruk, żeby zobaczyć, co było do zobaczenia.

A można było zobaczyć - wtedy z daleka dobiegły dzwonki wozów strażackich - całe piętro budynku, jasne jak za dnia, z koronką płomieni za wielkimi oknami, a także choć staliśmy tuż pod ścianą, twarze i ramiona dziewcząt, walących w szyby jak ćmy w świetle albo śpiące motyle zimą, kiedy w pokoju od ognia robi się ciepło i myślą, o zgubo, że przyszła wiosna. Wtedy niektóre okna jakby się rozprysły, zasypując nas odłamkami szkła, tak że wszyscy przebiegliśmy na drugą stronę ulicy. Ludzie powychodzili z domów, kobiety

zasłaniające dłońmi twarze, zawodzące dziwnie, mężczyźni w długich koszulach nocnych, a wszyscy krzyczeli i nawoływali, jakby dopiero teraz obudziło się w nich współczucie dla tych osieroconych dziewcząt i zaczęli wołać do nich jak ojcowie i matki.

Widzieliśmy, że ogień za ich plecami jeszcze bardziej przybiera na sile, wykwitając jak wielki kwiat żółcią i czerwienią, z rykiem, jaki śmiertelnicy mogą usłyszeć dopiero w piekle, i rzeczywiście tak można by sobie wyobrażać w sennych koszmarach piekło. A dziewczęta, z tej jednej sali przeważnie w moim wieku, zaczęły wspinać się przez okna na szeroki gzyms, każda w płonącym już bezrękawniku, krzyząc i krzyząc wniebogłosy. A kiedy już nie miały co zrobić, nie mogły liczyć na żadną pomoc, zaczęły skakać z gzymsu, w grupkach i pojedynczo, w płonących koszulach, wśród rozwiewanych przez pęd płomieni, które ciągnęły się za nimi jak skrzydła, i te płonące dziewczęta leciały przez całą wysokość wielkiego starego budynku, i padały na bruk. Spadały niekończącą się falą, falą, która wylewała się przez okna, płonące, krzyzące i ginące na naszych oczach dziewczęta.

\*

Podczas dochodzenia, na którym ojciec był obecny, dziewczyna, która przeżyła, podała nadzwyczajne wyjaśnienie przyczyny pożaru. Jak powiedziała, leżała w łóżku i próbowała zasnąć, zwrócona w stronę starego kominka, w którym spoczywała kupka tłących się węgli, gdy usłyszała piski, odgłosy kotłowaniny i w ogóle jakiegoś nieszczęścia. Podparła się na łokciach, żeby lepiej widzieć, i zobaczyła jakieś zwierzątko, biegające po sali jak szczur, całe w płomieniach, z dziwnie intensywnie płonącym futerkiem; miotało się wokół, podpalając po drodze nędzne, cienkie jak pajęczyna prześcieradła na łóżkach, sięgające gołej podłogi. I zanim ktokolwiek zorientował się, co się dzieje, w stu miejscach pojawił się ogień, dziewczęta zerwały się ze snu i zaczęły krzyczeć do koleżanek, próbując uciec z piekła, które się rozpętało.

Po powrocie do domu ojciec opowiedział mi tę historię, nie leżąc obok mnie na łóżku, jak to miał w zwyczaju, tylko siedząc zgarbiony obok na starym taborecie. Nikt w trakcie dochodzenia nie potrafił wyjaśnić, skąd wziął się w budynku płonący szczur, a ojciec milczał. Tak nędzny był już jego los, że nie miał odwagi nic powiedzieć. Zginęły sto dwadzieścia trzy dziewczyny, w pożarze i na skutek upadku z płonącego gzymsu. Wiedział z doświadczenia, tak jak ja z lektury podręcznika, że szczury lubią korzystać ze starych przewodów kominowych. Drobny ogień nie byłby dla nich zawadą. Ale ojciec zdawał sobie sprawę, co by się stało, gdyby obok ognia przebiegł szczur obłany parafiną.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Może powinien był powiedzieć. Może ja powinnam była, powiedzieć i zdradzić go jak dzieci tych Niemców, kiedy Hitler żądał od nich, żeby wyparły się rodziców podczas ostatniej wojny. Ale nigdy bym tego nie zrobiła.

\*

Cóż, w ogóle mówienie jest trudne, czy wiąże się z nim jakieś niebezpieczeństwo, czy nie. Czasami jest to zagrożenie dla ciała, a czasami bardziej subtelne, maleńkie, niewidzialne zagrożenie dla duszy. Kiedy zabranie głosu jest zdradą czegoś, czegoś, co może nawet trudno zidentyfikować, co kryje się w zakamarkach ciała, jak przerażony uchodźca na obszarze wojny.

Chcę przez to powiedzieć, że doktor Grene przyszedł dziś znowu, z tymi swoimi pytaniami.

Mój mąż Tom jako chłopiec łowił łososie w Lough Gill. Przez większość czasu stał na brzegu jeziora, ze wzrokiem utkwionym w ciemną toń. Gdy zobaczył wyskakującego z niej łososia, wracał do domu. Bo jeśli zobaczy się łososia, tego dnia żadnego z nich już się nie złowi. Ale sztuka niewidzenia łososia jest też bardzo trudna, musisz patrzeć i patrzeć w miejsca, gdzie czasami się pojawiają, i wyobrażać je sobie, wyczuć szóstym zmysłem. Mój mąż Tom przez dziesięć lat łowił w ten sposób łososie. Notabene, nigdy żadnego nie złowił. Tak więc jeśli zobaczysz łososia, to prawdopodobnie go już nie złowisz, a jeśli nie zobaczysz, nie złowisz na pewno. To jak złowić łososia? Za pomocą jakiejś innej sztuczki i instynktu, którego Tom nie miał.

Ale właśnie to mi się skojarzyło, gdy doktor Grene usiadł w milczeniu w moim małym pokoju, wyciągnąwszy na fotelu swoją zgrabną postać, i nic nie mówił, nie tyle patrząc na mnie, ile próbując mnie wyczuć, jak wędkarz nad ciemną tonią.

O tak, poczułam się właśnie jak łosoś i znieruchomiałam pod wodą, świadoma jego obecności, wędki, muchy i haczyka.

- Cóż, Roseanne - odezwał się w końcu - hm, to, zdaje się, prawda, że... przybyła pani tutaj... ile lat temu?

- Bardzo, bardzo dawno temu.

- Tak. I chyba przeniesiono panią ze szpitala psychiatrycznego w Sligo.

- Z zakładu dla obłąkanych.

- Tak, tak. Interesujące określenie, już nieużywane. W każdym razie pierwsze słowo... brzmi dość krzepiąco. To drugie natomiast jest bardzo stare, ale ma dość dwuznaczny wydźwięk, nie wywołuje zbyt przyjemnych skojarzeń. Chociaż często się zastanawiam, czy sam, podczas pełni księżyca, nie czuję się... trochę dziwnie?

Spojrzałam na doktora Grene'a i usiłowałam wyobrazić go sobie odmienionego pod wpływem księżyca, bardziej zarośniętego, może jako wilkołaka.

- To takie potężne siły - ciągnął. - Odpływy i przyływy. Tak, ten księżyc. Bardzo ciekawe.

Wstał i podszedł do okna. Był tak wczesny zimowy ranek, że istotnie na zewnątrz królował księżyc. Jego blask uroczyście rozświetlał okna. Doktor Grene również uroczyście pokiwał głową, wyglądając na rozciągający się w dole dziedziniec, gdzie John Kane i inni opróżniali z hałasem kubły na śmieci i wykonywali inne poranne prace szpitalne - zakładowe. Zakładu dla obłąkanych, lunatyków. Miejsca podlegającego działaniu księżyca.

Doktor Grene to jeden z tych ludzi, którzy lubią dotykać nieistniejących fularów albo innych części garderoby z minionych czasów. Mógłby gładzić się po brodzie, ale nie robi tego. Czyżby nosił w młodości na szyi jakiś fantazyjny szalik albo coś w tym rodzaju? Myślę, że to możliwe. W każdym razie głaskał teraz coś wyimaginowanego, przebieając palcami prawej ręki milimetr nad swoim prawdziwym, purpurowym krawatem, o mięsistym jak młoda róża węźle.

- Och! - wykrzyknął dziwnie. Można by to wziąć za wyraz ogromnego zmęczenia, ale nie wydaje mi się, żeby doktor Grene był zmęczony. Było to charakterystyczne dla poranka westchnienie, które wydał w moim pokoju, jakby był u siebie. Może zresztą i był, w oczach zewnętrznego świata.

- Chciałaby pani zastanowić się nad odejściem stąd? Mam to wziąć pod uwagę?

Nie umiałam jednak na to pytanie odpowiedzieć. Czy pragnę jakiegokolwiek wolności? Czy jeszcze wiem, co to takiego? Czy ten dziwny pokój to mój dom? Niezależnie od tego, jak jest naprawdę, znowu ogarnął mnie strach, jak szron na roślinach w lecie, od którego w tak przykry sposób czernieją liście.

- Ciekaw jestem, jak długo była pani w Sligo. Pamięta pani, w którym roku znalazła się pani tutaj?

- Nie. Chyba podczas wojny - odparłam. Tyle wiedziałam.

- To znaczy... drugiej wojny światowej?

- Tak.

- Byłem wtedy jeszcze dzieckiem - zauważył.

Nastąpiła krótka, chłodna chwila ciszy.

- Jeździliśmy nad jedną z tych kornwalijskich zatoczek, ojciec, matka i ja... to moje najwcześniejsze wspomnienie, poza tym pozbawione znaczenia. Pamiętam, że woda była straszliwie zimna, wie pani, że nasiąkały mi nią pieluchy, to bardzo żywe wspomnienie. Prawie nikt nie miał wtedy benzyny, więc ojciec skonstruował taki rower, tandem, z dwóch oddzielnych. Sam zawsze jechał z tyłu, bo tam trzeba było największej siły, zwłaszcza na tych kornwalijskich wzgórzach. Wzgórza niewielkie, ale mordercze dla nóg. To były przyjemne miesiące. Ojciec taki odprężony. Gotowaliśmy na plaży wodę na herbatę, w puszcze, jak rybacy. - Doktor Grene zaśmiał się do nastającego za oknem poranka. - A może to było już po wojnie.

Miałam ochotę zapytać, kim był jego ojciec z zawodu; ale - nie wiem dlaczego - to pytanie wydało mi się zbyt śmiałe. Może chciał, żebym je zadała. Żebyśmy zaczęli rozmawiać o rodzicach? Może w ten sposób zarzucał haczyk?

- Słyszałem nieciekawe opowieści o starym szpitalu w Sligo w tamtych czasach. To musiało być okropne miejsce. Prawda?

Ale do tego też się nie odniosłam.

- To jedna z tajemnic psychiatrii, dlaczego nasze szpitale w pierwszej połowie wieku były takie straszne, tak trudno powiedzieć o nich coś dobrego, podczas gdy na początku dziewiętnastego stulecia panowało całkiem oświecone podejście do... cóż... obłądów, jak wtedy mówiono. Nagle pojęto, że uwięzienie, przykuwanie ludzi łańcuchami i tak dalej było złe, i poczyniono ogromne wysiłki, żeby... poprawić ten stan. Ale obawiam się, że później nastąpił regres... i wszystko poszło w złą stronę. Pamięta pani, dlaczego ze Sligo przeniesiono panią tutaj?

Zapytał mnie o to tak niespodziewanie, że zanim się zorientowałam, udzieliłam odpowiedzi.

- Załatwił to mój teść - odparłam.

- Pani teść? Kto to był?

- Stary Tom, prowadził orkiestrę. Był też krawcem w Sligo.

- W miasteczku, to ma pani na myśli?

- Nie, w samym zakładzie.

- Przebywała pani w zakładzie, w którym pracował pani teść?

- Tak.

- Rozumiem.

- Myślę, że była tam również moja matka, ale nie pamiętam dobrze.

- Pracowała tam?

- Nie.

- Jako pacjentka?

- Nie pamiętam. Naprawdę nie pamiętam.

Och, wiedziałam, że ma ochotę zadać mi jeszcze więcej pytań, ale dzięki Bogu, nie zrobił tego. Był może za dobrym wędkarzem. Kiedy widzisz wyskakującego z wody łososia, wiesz, że już nic nie złowisz. Możesz iść do domu.

- Nie chcę, żeby się pani lękała, naprawdę - powiedział niespodziewanie. - Nie, nie. Nie o to mi chodzi. Muszę powiedzieć, Roseanne, że cieszy się tu pani pewnymi względami.

- Chyba na to nie zasłużyłam - odparłam, zarumieniona i nagle zawstydzona. Okropnie zawstydzona. To było tak, jakby ktoś nagle usunął gałązki i liście ze źródła i wytrysnęła woda. Bolesny, bardzo bolesny wstyd.

- Ależ tak - powiedział, nie wiedząc, że myślę o swojej przykrości. Być może brał mnie pod włos, podchodził, jak powiedziałby mój ojciec. Żeby naprowadzić mnie na temat, od którego mógłby zacząć. Pod drzwi tego czegoś, co chciał zrozumieć. Gdzieś w głębi duszy pragnęłam mu pomóc. Otworzyć te drzwi przed nim. Ale. Poczułam się, jakby przez mur, który z tak wielkim staraniem wznosiłam całe lata, przelazły szczury i kłębiły mi się na kolanach. Musiałam je ukryć, ukryć te ohydne szczury.

Dlaczego po tylu latach poczułam znowu mroczny wstyd? Dlaczego wciąż we mnie tkwi, ten mroczny, mroczny wstyd?

\*

Hm, hm.

Teraz mieliśmy już kilka tajemnic. Ale najbardziej uciążliwa stała się znów bieda, której ojciec nie mógł zrozumieć.

Któregoś zimowego wieczoru, wracając do domu ze szkoły, spotkałam się z nim na drodze przy rzece. Nie było to jedno z tych radosnych spotkań z dzieciństwa, ale mogę z dumą powiedzieć, że coś naprawdę się w nim rozjaśniło na mój widok. Rozjaśniło się w ciemnościach, mimo że panował już wieczór, typowy dla Sligo. Mam nadzieję, że nie brzmi to jak przechwałki.

- No, kochanie - powiedział. - Wrócimy do domu razem, chyba że nie chcesz, aby widziano cię z ojcem.

- Ależ skąd! - odparłam zdziwiona. - Chcę.

- Cóż - zauważył. - Wiem, jak to jest mieć piętnaście lat. Jakby się stało na końcu



cypla w porywistym wietrze.

Nie rozumiałam jednak, co miał na myśli. Było tak zimno, że pomyślałam, iż widzę szron na tym, co wcierał we włosy, żeby je przyklepać.

Potem spokojnie, powoli ruszyliśmy ulicą. W szeregu stojących przed nami domów otworzyły się drzwi i na chodnik wyszedł mężczyzna, który uniósł brązowy filcowy kapelusz, zasłaniając ledwie widoczną twarz w prog. Była to twarz mojej matki i próg naszego domu.

- Na Boga - powiedział ojciec - to sam pan Fine wychodzi od nas. Ciekaw jestem, czego szukał. Czyżby miał szczury?

Pan Fine podszedł do nas. Był to wysoki, sadzący wielkie susy mężczyzna, dżentelmen z miasteczka, o miłej, łagodnej twarzy kogoś, kto przebywał na dworze w wietrzny, słoneczny dzień - może stojąc na cyplu.

- Dzień dobry, panie Fine - powiedział ojciec. - Co u pana?

- Wszystko doskonale, tak, naprawdę - odparł pan Fine. - Jak się oboje macie? Byliśmy wstrząśnięci i bardzo zasmuceni, gdy dowiedzieliśmy się o tych biednych spalonych dziewczętach. To straszne wydarzenie, panie Clear.

- Jezu, oj tak - powiedział ojciec, a pan Fine minął nas i poszedł w swoją stronę.

- Chyba nie powinienem wspominać przy nim Jezusa - odezwał się ojciec.

- Dlaczego? - zapytałam.

- Och, po prostu jest żydem, i tyle - wyjaśnił ojciec.

- Czy oni nie wierzą w Jezusa? - zagadnęłam w swojej głębokiej ignorancji.

- Nie wiem - odrzekł. - Ojciec Gaunt na pewno by powiedział, że żydzi zabili Jezusa.

Ale, Roseanne, to były skomplikowane czasy.

W milczeniu doszliśmy do domu, ojciec włożył stary klucz do zamka, przekręcił go i weszliśmy do maleńkiego przedpokoju. Wiedziałam, że coś go trapi po tej uwadze o Jezusie. Byłam już na tyle dorosła, aby zdawać sobie sprawę, że ludzie czasami mówią coś, czego nie chcieli powiedzieć, co jednak odzwierciedla w jakiś sposób ich myśli.

Był późny wieczór, prawie pora, żeby kłaść się do łóżek, gdy ojciec wreszcie wspomniął o panu Finie.

- Więc - zaczął, gdy matka nagarnęła szuflą popiół na ostatnie kawałki torfu, żeby paliły się przez noc i do rana zamieniły w piękne jajka czerwonych iskier, kiedy znowu je odsłoni. - Spotkaliśmy wieczorem pana Fine'a, który wracał do domu. Pomyśleliśmy przez chwilę, że może był u nas...

Matka wyprostowała się i znieruchomiła z szufelką w ręce. Zastygła w bezruchu i w milczeniu, jakby pozowała malarzowi.

- Nie było go tutaj - odparła w końcu.

- Wydało nam się, że widzieliśmy w drzwiach twoją twarz, pan Fine uchylił kapelusza... jakby przed tobą.

Matka opuściła wzrok w ogień. Dopiero zaczęła nagarniać popiół, ale nie wyglądała na to, że zamierza dokończyć. Nagle wybuchła dziwnym, bolesnym płaczem, płaczem, który brzmiał tak, jakby wydobywał się gdzieś z głębi jej ciała, przesiąkał przez nie jak jakaś okropna wilgoć. Byłam tak przejęta, że zaczęłam drzeć w osobliwy, nieprzyjemny sposób.

- Sam nie wiem - powiedział ojciec żałośnie. - Może patrzyliśmy nie na te drzwi.

- Wiesz dobrze, że nie - odparła tym razem zupełnie innym tonem. - Wiesz dobrze. Ach - jęknęła - że też się zgodziłam, abys zabrał mnie z domu do tego zimnego, okrutnego kraju, w ten obrzydliwy deszcz, między tych obrzydliwych ludzi.

Ojciec zbladł przeraźliwie. Tylu słów na raz matka nie wypowiedziała przez rok. Był to list od niej, gazeta wyrażająca jej myśli. Ojciec musiał się poczuć, jakby czytał o kolejnej potworności. Gorszej niż rebelianci w wieku chłopców, gorszej niż spalone żywcem dziewczęta.

- Cissy - powiedział tak cicho, że niemal niesłyszalnie. Ja jednak usłyszałam. - Cissy.

- Tani szal, którego Hindus wstydziliby się sprzedawać - dodała.

- Co takiego?

- Nie możesz mnie winić - ciągnęła, prawie krzycząc. - Nie możesz mnie winić! Nie mam nic!

Ojciec zerwał się na nogi, bo matka nieumyślnie uderzyła się szufelką w nogę.

- Cissy! - zawołał.

Rozcięła sobie skórę na jakiś centymetr i w ranie zalsniło kilka klejnotów ciemnej krwi.

- O Chryste, o Chryste - powiedziała.

\*

Następnego dnia ojciec poszedł spotkać się z panem Fine'em w jego sklepie spożywczym. Kiedy wrócił, był blady, wyglądał na wycieńczonego. Byłam już zdenerwowana, bo matka, być może coś podejrzewając, przepadła w ciemnościach, nie wiedziałam, dokąd poszła. W jednej chwili była jeszcze w spizami przy kuchni, a w następnej zniknęła.

- Zniknęła? - zapytał ojciec. - Ojej, ojej. A czy włożyła płaszcz w to straszliwe zimno?

- Tak - odpowiedziałam. - Idziemy jej szukać?

- Tak, musimy, musimy - odparł ojciec, ale nie ruszał się z miejsca. Obok siebie miał

siodełko motocykla, ale nie położył na nim ręki. Zapomniał o tym.

- Co powiedział pan Fine? - zapytałam. - Dlaczego chciałeś się z nim zobaczyć?

- Hm, pan Fine jest porządnym człowiekiem, o tak. Był bardzo przejęty, przepraszał. Powiedziała mu, że nie dajemy sobie rady. Wszystko zostało uzgodnione. Nie mieści mi się w głowie, jak mogła to powiedzieć. Jak te słowa przeszły jej przez gardło?

- Nie rozumiem, tato.

- Dlatego ostatnio nie mieliśmy co jeść - wyjaśnił. - Matka robi u pana Fine'a zakupy na kredyt, on oczywiście co tydzień przychodzi po pieniądze, a ona, jak sędzę, co tydzień daje mu większość z tego, co dostała ode mnie. Te wszystkie szczury, ciemne zakamarki, wszystkie te godziny, podczas których biedny Bob węszył po norach, całe dni podejrzanego głodu, który musieliśmy znieść, to wszystko z powodu... zegara.

- Zegara?

- Zegara.

- Ale nie mamy nowego zegara - zauważyłam. - Prawda, tato?

- Nie wiem. Pan Fine tak mówi. Nie żeby sprzedał jej ten zegar. On sprzedaje tylko marchewkę i kapustę. Ale któregoś dnia, kiedy ciebie i mnie nie było w domu, pokazała mu go. Bardzo ładny zegar, powiedział. Wykonany w Nowym Jorku. Z kurantem z Toronto.

- Co to takiego? - zapytałam.

Gdy to mówiłam, w drzwiach za ojcem stanęła matka. Trzymała w rękach prostopadłościenny zegar z porcelany, z elegancką tarczą, wokół której ktoś, niewątpliwie z Nowego Jorku, namalował kwiatki.

- Nie nakręcą go - powiedziała cichym głosem, jak dziecko, które zdobywa się na odwagę - ze strachu.

Ojciec wstał.

- Gdzie go kupiłaś, Cissy? Gdzie coś takiego kupiłaś?

- U Grace z Jazu.

- U Grace z Jazu? - zapytał z niedowierzaniem. - Nigdy nie byłem w tym sklepie. Bałbym się tam zajrzeć, żeby nie kazali mi zapłacić za samo wejście.

Matka stała w miejscu, kuląc się w swoim nieszczęściu.

- Wyprodukowany przez Ansonię - powiedziała - w Nowym Jorku.

- Możemy go oddać, Cissy? - zapytał. - Zaniesiemy go do sklepu i zobaczymy, co uda się z nim zrobić. Nie możemy brać na kredyt u Fine'a. Nie dadzą ci za niego tyle, ile wzięli, ale może coś zwrócą, a wtedy byśmy spłacili Fine'a. Na pewno pójdzie mi na rękę, jeśli tylko będzie mógł.

- Nawet nie słyszałam, jak tyka czy bije - powiedziała.
- Hm, to go nakręć. Kiedy dojdzie do pełnej godziny, zacznijcie bić.
- Nie mogę - ciągnęła - bo wtedy go znajdą. Pójdą za dźwiękiem i znajdą go.
- Kto, Cissy? Chodzi ci o nas, prawda? Chyba już go znaleźliśmy.
- Nie, nie - odparła matka. - Szczury. Szczury go znajdą.

Matka spojrzała na niego z dziwnym rumieńcem na twarzy, jak konspiratorka.

- Lepiej go rozbijmy - powiedziała.

- Nie - odrzekł ojciec z taką desperacją, jaką tylko można sobie wyobrazić.

- Tak będzie lepiej. Rozwalić go. Rozwalić Southampton. I Sligo. I ciebie. Podniosę go teraz, Joe, i walnę nim o podłogę, o tak. - I rzeczywiście podniosła zegar i rzuciła go na cienką, wilgotną warstwę betonu na podłodze. - No, wszystkie obietnice wypełnione, wszystkie rany zagojone, wszystkie straty odkupione!

Zegar leżał wśród kawałków porcelany i jakieś koło zapadkowe drgnęło, a wtedy po raz pierwszy i ostatni w naszym domu zabrzmiał kurant z Toronto.

\*

Muszę donieść, że niedługo po tym, bardzo niedługo, mojego ojca znaleziono martwego.

Do dziś nie wiem, co właściwie go zabiło, a zastanawiam się nad tym od przeszło osiemdziesięciu lat. Podjęłam i rozwinęłam wątek, tylko dokąd mnie on zaprowadził? Przedstawiłam wam wszystkie fakty.

Chyba sprawa z zegarem była zbyt błaha, żeby doprowadzić człowieka do śmierci?

Historia z tymi zabitymi chłopcami z IRA antytraktatowej była przygnębiająca, ale czy aż tak, żeby stracił ochotę do życia?

Dziewczęta? Tak, to też była mroczna sprawa, choć spadały w blasku.

To wszystko było ojcu pisane.

Nie różnił się od innych, a każda rzecz, zegar czy serce, ma pewną wytrzymałość.

Stało się to przy następnej ulicy, w opuszczonym domku, w którym miał wytepić szczury, na życzenie sąsiadów z prawej i lewej strony. Tam się powiesił.

Boże, Boże, Boże, Boże, Boże, Boże, Boże.

Znacie ten ból? Mam nadzieję, że nie. Ból, który się nie starzeje, nie mija z czasem, jak większość ludzkich cierpień. To ból, który zawsze będzie, mój ojciec, mój ojciec, wciąż kołysze się w tym opuszczonym domku.

A ja wciąż po nim płaczę.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Myślę, że powinnam wspomnieć jeszcze o kilku przykrych rzeczach, które spotkały go po śmierci, gdy był już tylko krwawą miazgą z historią życia za sobą. Można kochać kogoś bardziej niż siebie samego, ale żeby dziecko, prawie już kobieta, tak myślało, gdy ojca przynoszą do domu na czuwanie przy zwłokach... Choć nie liczyliśmy, że przyjdzie wielu, aby przy nim czuwać.

Pan Pine, nasz sąsiad, chłodnooki stolarz, który natychmiast przyszedł nam z pomocą, wystawił motocykl na małe podwórko. Nie muszę chyba mówić, że nigdy nie wniesiono go z powrotem; został tam, żeby radził sobie, jak może, na powietrzu.

Na jego miejscu stanęła długa trumna za półtora pensa, z której wystawał nos ojca. Ponieważ ojciec się powiesił, twarz miał pokrytą białą farbą, grubo jak cyferblat, czym zajęli się w zakładzie pogrzebowym Silvestra. Na ulicy zebrało się mnóstwo ludzi i choć nie miałyśmy wiele beczek piwa i dzbanków herbaty, a już z pewnością ani kropli whisky, byłam zaskoczona dobrym humorem i wesołością zebranych, a także wyraźnym żalem z powodu śmierci ojca, jaki okazywali. Przyszli pan Ellis, pastor prezbiteriański, a także ojciec Gaunt i jako rzekomi wrogowie czy konkurenci w Irlandii przez chwilę przerzucali się w kącie dowcipnymi uwagami. Potem, nad ranem, zostałyśmy wreszcie same z matką i przespałyśmy się - czy raczej ja się przespałam. Płakałam i płakałam, a potem spałam długo. Ale takie cierpienie jest zdrowym cierpieniem.

Kiedy rano zesłam z poddasza, gdzie stało moje wąskie łóżko, poznałam nowy rodzaj cierpienia. Podeszłam do ojca i przez chwilę nie mogłam się zorientować, co widzę. W każdym razie coś dziwnego stało się z jego oczami. Kiedy przyjrzałam się z bliska, zobaczyłam, o co chodzi. Ktoś wbił mu w gałki oczne małe czarne strzałki. Wskazywały ku górze. Poznałam je od razu. Były to czarne metalowe wskazówki zegara matki.

Wyjęłam je jak ciernie, jak żądła. *Cierń, by znaleźć wiedźmę, żądło, by znaleźć miłość*, jak mówi stare ludowe przysłowie. Nie były to symbole miłości. Nie wiem, co miały znaczyć. To był ostatni ból, jaki zadano ojcu. Został pochowany na małym prezbiteriańskim cmentarzu w obecności licznego grona „przyjaciół” - przyjaciół, o których prawie nie słyszałam. Ludzi, których uwolnił od szcurów albo którym w przeszłości chował bliskich. Albo tych, którzy cenili go za dobroć, jaką okazywał światu. Którzy lubili go za to, jaki był. Nie znałam

nazwisk wielu z nich. Choć oczywiście ceremonię prowadził pastor prezbiteriański, obok mnie niemal jak przyjaciel stał ojciec Gaunt i wyjaśniał, kto jest kim, jakby mnie to interesowało.

Pan taki, pan owaki, których nazwiska zapomniałam, gdy tylko je wymienił. Ale był tam też niejaki Joe Brady, który z protekcji ojca Gaunta przejął po ojcu posesję na cmentarzu, dziwny grubawy mężczyzna o płomiennych oczach. Nie wiem, dlaczego się tam znalazł, i w swojej zgrzyocie nie byłam pewna, czy chcę go widzieć, ale nie można przecież nikogo wyprosić z pogrzebu. Żałobnicy są jak Morze Kanuta. Pomyślałam z pewnym zadowoleniem, że przyszedł złożyć ojcu wyrazy szacunku.

Głowa mi płonęła, pulsowała głębokim, ciemnym bólem, który przypomina ból fizyczny, jakby do mózgu dostał się szczur, szczur w ogniu.

## Z notatek doktora Grene'a

Jestem straszliwie zajęty przygotowaniem do przeprowadzki szpitala i nie mam czasu na pisanie. Brakuje mi dziwnej atmosfery prywatności, jaka temu towarzyszy. Ponieważ nie od dziś mam niską samoocenę, trzeba to powiedzieć, dość marne poczucie własnego znaczenia jako człowieka, jako istoty, prowadzenie tych notatek pomaga mi w jakiś sposób, choć nie umiem określić w jaki. To przecież żadna terapia. Ale przynajmniej oznaka życia wewnętrznego. W każdym razie mam taką nadzieję i modłę się o to.

Może nawet z pewnym skutkiem. Zeszłego wieczoru, gdy wróciłem do domu tak wykończony, jak tylko można, przeklinając wszystko, straszliwe dziury na drogach Roscommon, fatalne zawieszenie mojego samochodu, stłuczoną lampę na ganku, co oznaczało, że walnąłem się w ramię o betonowy słup, byłem naprawdę w parszywym humorze, gotów pomstować na wszystko, gdyby tylko ktoś chciał tego słuchać.

Ale zobaczyłem Bet na podeście schodów. Nie wiem, czy już tam stała, zanim przyszedłem, być może, bo wyglądała przez okienko i patrzyła na szachownicę miejskich ogrodów i rozrzucone to tu, to tam fabryki włókiennicze. Padał na nią blask księżycy i uśmiechała się. Tak mi się wydaje. Zrobiło mi się nagle lekko na duszy. Tak jak wtedy, gdy pierwszy raz pomyślałem, że ją kocham; była wtedy młoda i delikatna jak akwarela, chudziutka, tylko skóra i kości, piękna i doskonała w moich oczach, i przysięgłem sobie, że ją uszczęśliwię, że będę ją uwielbiał, trzymał w ramionach - dziwny, może głupi pakt wszystkich zakochanych. Odwróciła się od światła i spojrzała na mnie, i ku mojemu

zdziwieniu zaczęła schodzić po schodach. Miała na sobie zwykłą drukowaną sukienkę, letnią sukienkę, i gdy tak szła do mnie, wiodła za sobą blask księżycy. A kiedy znalazła się pod drzwiami, pochyliła się i pocałowała mnie, tak, tak, i taki ze mnie głupiec, że zacząłem płakać, ale cicho i z największą godnością, na jaką było mnie stać, bo chciałem dorównać jej gracji, nawet jeśli to wykraczało poza moje możliwości. A potem zaprowadziła mnie do frontowego pokoju, pomiędzy te wszystkie bibeloty z naszego życia, objęła i pocałowała znowu, i z pasją, od której zakręciło mi się w głowie, przyciągnęła mnie do siebie delikatnie, stanowczo i ze skupieniem, całując i całując, a później - nasza mała sztuka miłosna, którą odgrywaliśmy tysiące razy w dawnych latach, a po niej leżeliśmy tam, na dywanie z Axminster, jak zabite zwierzęta.

## Relacja Roseanne

Cały czas myślę tylko o ojcu i nie napisałam ani słowa o zakonnicach ze szkoły.

I muszę teraz zostawić je w mrokach historii, nawet ich nie wymieniając, choć były z nich takie interesujące kobiety. Do biedniejszych dziewcząt odnosiły się strasznie, ale pozwalałyśmy im na to. Krzyczałyśmy i płakałyśmy, gdy nas biły, a jednocześnie z wielką zazdrością patrzyłyśmy, jakie względy i troskę okazują bogatszym dziewczętom z miasteczka. Każde bite dziecko w pewnej chwili traci nadzieję - odpycha ją od siebie jak łódź bez wioślarza, żeby płynęła z nurtem, i godzi się na cały ból.

To brutalna prawda, ale dziecko inaczej nie umie.

Dziecko nie ma wpływu na swój los. Myślę, że to wszystkim wiadomo.

Ale choć okrutne, gdy tak podnosiły kije z całą swoją energią, żeby wypędzić z naszych ciał demony żądz i wykorzeni ć tkwiące w naszych umysłach pokłady ignorancji, były naprawdę dość interesujące. Nie mogę jednak dłużej się o nich rozpisywać. Mam do opowiedzenia dalszą część historii i czas mnie goni.

\*

Myślę, że jedyne, co możemy zaoferować niebu, to ludzką uczciwość. To znaczy u bram świętego Piotra. Miejmy nadzieję, że będzie tam ona jak sól w królestwach bez soli, jak przyprawy w mrocznych, północnych krajach. Kilka gramów w worku, jakim jest dusza, okazanych przy wejściu. Jaka jest niebiańska uczciwość, tego nie wiem. Ale mówię tak, żeby przygotować się na to, co mnie czeka.

Kiedyś myślałam, że uroda jest tym, co mam najlepszego.

Może w niebie by tak było. Ale nie na tym ziemskim padole.

Być samą i doświadczać od czasu do czasu wielkiej radości, tak jak ja, to najlepsze w życiu. Gdy siedzę tu, przy tym stole, pociętym i zrytym przez pokolenia pensjonariuszy, pacjentów, aniołów, czymkolwiek jesteśmy, to muszę powiedzieć, że budzi się we mnie poczucie jakiejś esencji złota, która przenika w głąb mnie, przenika do krwi. To nie zadowolenie, ale modlitwa równie żarliwa i niebezpieczna, jak ryk lwa.

Mówię to Wam, Wam.

Drogi Czytelniku. Niech Bóg ma Cię w swojej opiece, niech Bóg ma Cię w swojej opiece.

\*

Czy naprawdę powinnam tak pominąć zakonnice? Mogłabym zatrzymać się na chwilę przy tym wcieleniu okrucieństwa i skromności. Nie, nie, pominię je. Chociaż w późniejszych latach wiele razy śniłam, że przychodzą mi na ratunek, że w swoich białych kometach płyną główną ulicą Sligo niczym pęk kwiatów lotosu, choć oczywiście nic takiego się nie zdarzyło. I nie wiem, skąd ten sen, bo przecież nie pamiętam, żeby kiedykolwiek okazały mi dobroć, gdy u nich byłam. No i oczywiście, jak się okazało, w wieku szesnastu lat odeszłam od nich na zawsze.

Moje wspomnienia związane z ojcem Gauntem są zawsze dziwnie dokładne i kompletne, jego twarz jest w nich wyraźna i żywa. Kiedy teraz tu siedzę i piszę, mam go przed oczami, gdy tamtego dnia przyszedł do mnie ze swoją wizją pomocy.

Zaraz po śmierci ojca uświadomiłam sobie, że muszę odejść ze szkoły, ponieważ matka zaczęła tracić rozum, który był teraz jak strych pozbawiony drzwi i schodów, a w każdym razie ja nie umiałam ich znaleźć. Jeśli miałyśmy przeżyć, musiałam znaleźć sobie pracę.

Ojciec Gaunt zjawił się pewnego dnia w swojej gładkiej, wymuskanej sutannie - nie mówię tego złośliwie - a ponieważ padał ten charakterystyczny dla Sligo deszcz, który zamieniał w bagno tysiące starych farm, miał na sobie gładki, ciemnoszary płaszcz z równie lśniącego materiału. Jego twarz być może też została nim pokryta, dawno temu, w łonie matki. Trzymał w dłoni bardzo uduchowiony parasol, wręcz żywy i surowy, który musiał się modlić w nocy na wieszaku.

Wpuściłam go do środka i zaprosiłam do saloniku. Pianino ojca stało na swoim miejscu pod ścianą, również żywe jak parasol, jakby wciąż wspominając ojca gdzieś w swoich strunach i klawiszach.

- Dziękuję ci, Roseanne - powiedział ojciec Gaunt, gdy podałam mu filiżankę herbaty,



którą heroicznie zaparzyłam po raz trzeci z najtańszych zmiotków. Miałam jednak nadzieję, że zachowała jeszcze odrobinę aromatu, bo przecież pochodziła z Chin i przebyła całą tę drogę na jednym ze statków Jacksona. Kupowałyśmy ją na rogu, nie w wielkim emporium Blackwooda, gdzie robili zakupy ludzie z wyższych sfer, więc może w ogóle nie była najlepszego gatunku. Ale ojciec Gaunt popijał ją uprzejmie.

- Masz może kroplę mleka? - zapytał delikatnie, delikatnie.

- Nie, ojcze.

- Nieważne, nieważne - odparł z pewnym żalem. - Hm, Roseanne, mamy do omówienia parę spraw, parę spraw.

- Tak, ojcze?

- Co zrobisz, Roseanne, teraz, gdy twój nieszczęsny ojciec nie żyje?

- Odejdę ze szkoły, ojcze, i poszukam pracy w miasteczku.

- Przyjmiesz ode mnie radę?

- Tak?

Pił przez chwilę herbatę i krzywił twarz w swoich księżowskich uśmiechach, w niewielkim doprawdy repertuarze. Wiem, że starał się wypełnić swój obowiązek, być miły, pomóc. Wiem to.

- Roseanne, masz pewne przymioty, pewne oczywiste zalety, jeśli mogę tak powiedzieć, a mianowicie...

Urwał i nie powiedział, co ma na myśli. Czułam, że to coś niedelikatnego. Szukał odpowiednich słów w swoim arsenale zdań na każdą okazję. Na pewno nie chciał być niemiły, nie miał takiego zamiaru. Myślę, że raczej by umarł, niż powiedział coś nieprzyjemnego.

- Urodę - dokończył.

Popatrzyłam na niego.

- Masz urodę, a to wielki dar. Roseanne, myślę, że bez trudu mógłbym... oczywiście mając na względzie twoją matkę, a nawet ciebie samą, choć nie mogę traktować cię inaczej niż dziecko, jeśli wolno mi tak powiedzieć, i to dziecko, które potrzebuje, bardzo potrzebuje rady... ale co to ja mówiłem? A tak, że mógłbym tu, w miasteczku, bardzo szybko, bardzo łatwo i w bardzo delikatny sposób znaleźć ci męża. Oczywiście, najpierw trzeba by załatwić pewne sprawy.

Ojciec Gaunt, jak to mówią, zaczął się zapalać. Im więcej mówił, tym łatwiej znajdował słowa, miłe, gładkie, słodkie jak miód. Jak wielu ludzi o jego pozycji z niezwykłym zadowoleniem wykladał swoje pomysły, oczywiście dopóki pomysły te

spotykały się z aprobatą.

- Nie wydaje mi się... - powiedziałam, usiłując odepchnąć wielki głaz zdrowego rozsądku, który zwał mi na głowę, tak w każdym razie to odbierałam.

- Zanim powiesz cokolwiek na ten temat... Wiem, że masz dopiero szesnaście lat i może dziewczęta nie wychodzą za mąż tak wcześnie, ale mam na myśli bardzo odpowiedniego mężczyznę, który będzie cię szanował, może już szanuje, ma stałą pracę i stać go, żeby cię utrzymać... i oczywiście twoją matkę też.

- Ja mogę zarobić na nasze utrzymanie. Na pewno - powiedziałam, choć nigdy w życiu nie byłam niczego mniej pewna.

- Może znasz tego człowieka, to Joe Brady, który objął po twoim ojcu posesję na cmentarzu, to bardzo spokojny, miły, dobry człowiek, który stracił żonę dwa lata temu i chętnie by się znowu ożenił. Musimy w życiu szukać pewnej symetrii, a ponieważ twój ojciec kiedyś też sprawował... hm. W dodatku on nie ma dzieci i jestem pewien, że...

Rzeczywiście, znałam Joeya Brady'ego, to on zastąpił w pracy mojego ojca i przyszedł na jego pogrzeb. Według mojej oceny mógł mieć z pięćdziesiąt lat.

- Mam poślubić starca? - zapytałam z całą niewinnością. Bo przecież, skoro tak wielkodusznie przychodził mi z pomocą, nie należało się spodziewać kandydata przed trzydziestką. Gdybym chciała wyjść za mąż.

- Roseanne, jesteś śliczną, młodą dziewczyną i obawiam się, że z taką urodą staniesz się w pośladowania godny sposób pokusą nie tylko dla chłopców ze Sligo, ale także mężczyzn, i dlatego wydanie cię za mąż byłoby pod każdym względem rozwiązaniem zbawiennym i ze wszech miar słusznym z uwagi na... swoją słusność.

Gdy spojrzał na moją twarz, opuściła go cała elokwencja. Nie wiem, co się na niej malowało, ale nie był to wyraz zgody.

- I naturalnie z wielką przyjemnością, ulgą i zadowoleniem przyjąłbym cię, doprowadził, jeśli można tak powiedzieć, do swojej owczarni. Co, mam nadzieję, uznasz za rozsądną, naprawdę wspaniałą, cudowną perspektywę.

- Owczarni? - zapytałam.

- W Irlandii następują burzliwe zmiany, Roseanne, i żadna z tych zmian nie sprzyja odłamom protestanckim. Oczywiście, będę zdania, że bardzo błędzisz i skazujesz swoją duszę na potępienie, jeśli będziesz nadal zmierzała w tym kierunku, w którym zmierzasz. Niemniej mogę powiedzieć, że szkoda mi cię, i chciałbym ci pomóc. Jak mówię, mogę ci znaleźć dobrego męża, katolika, który nie będzie miał ci za złe pochodzenia, ponieważ zostałaś obdarzona, jeśli mogę powtórzyć to jeszcze raz, wielką urodą. Roseanne, jesteś naprawdę

najpiękniejszą młodą kobietą, jaką kiedykolwiek widzieliśmy w Sligo.

Ostatnie zdanie wypowiedział z taką prostotą i wyraźną, powiedziałabym, niewinnością albo raczej czymś w rodzaju niewinności, tak sympatycznie, że uśmiechnęłam się mimo woli. To tak, jakbym usłyszała komplement od dystygowanej starszej damy ze Sligo Street, z rodziny Pollexfenów czy Middletonów, w sobolach i eleganckich tweedach.

- To głupie z mojej strony, że ci pochlebiam - zauważył. - Chcę tylko powiedzieć, że jeśli oddasz mi się pod opiekę, z chęcią ci pomogę, bo mam takie możliwości. Muszę też dodać, że żywiłem do twojego ojca szacunek, mimo że postawił mnie w trudnym położeniu, i naprawdę bardzo go lubiłem, bo była z niego poczciwa dusza.

- Chociaż prezbiteriańska - wtrąciłam.

- Owszem - potwierdził.

- A moja matka należy do Kościoła Braci Plymouthskich - dodałam.

- Hm - odparł, pierwszy raz z lekką niechęcią - nic nie szkodzi.

- Muszę o niej pamiętać. I będę. Mam taki obowiązek jako córka.

- Twoja matka, Roseanne, jest bardzo chorą kobietą.

Powiedziano to przy mnie pierwszy raz i poczułam się wstrząśnięta. Choć, owszem, wiedziałam, że to prawda.

- Prawdopodobnie - oświadczył - będziesz musiała oddać ją do zakładu dla obłąkanych, mam nadzieję, że cię tym nie przerażam?

O tak, przeraził mnie. Kiedy wymówił te straszne słowa, wyrócił mi się żołądek i wszystko mnie rozbolało. Nie wiedząc, co robię, nagle, nie wiadomo dlaczego, zwymiotowałam na dywan. Ojciec Gaunt niezwykle szybko, sprawnie cofnął nogi. Przed nim spoczywały pozostałości tostów, który zrobiłam dla siebie i matki na śniadanie.

Ojciec Gaunt wstał.

- Och. Będziesz chyba musiała to posprzątać, prawda?

- Tak - odparłam i ugryzłam się w język, żeby powstrzymać się od przeprosin. Wiedziałam, że nie mam za co przeproszać ojca Gaunta i że od tej pory będzie nieprzewidywalną siłą, jak klęska żywiołowa, pojawiająca się niespodziewanie, żeby spaść na ludzi. - Ojczy, nie mogę zrobić tego, z czym do mnie przyszedłeś. Nie mogę.

- Przemyślisz to jeszcze? Pod wpływem cierpienia możesz podejmować złe decyzje. Rozumiem to. Sam przed pięciu laty straciłem ojca, który umarł na raka, to była straszna śmierć i wciąż go opląkuję. Pamiętaj, Roseanne, takie cierpienie może trwać i dwa lata. Przez długi czas nie będziesz myśleć racjonalnie. Przyjmij moją radę, pozwól, że ci pomogę *in loco parentis*, że w tej sprawie zastąpię ci ojca, zgodnie z obowiązkiem księdza. Mieliśmy z sobą

tyle do czynienia, ty i ja, że już niemal należysz do mojej owczarni. Ocalisz swoją nieśmiertelną duszę, ocalisz ją na tym padole smutku i łez. Ochronię cię przez złem tego świata, jego pułapkami.

Pokręciłam głowę. Widząc samą siebie oczami wyobraźni, jak tak kręcę głowę.

Ojciec Gaunt też pokręcił głowę, ale inaczej.

- Zastanowisz się nad tym jeszcze? Zastanów się, Roseanne, i za jakiś czas pomówimy o tym znowu. To taki moment w życiu, w którym grozi ci największe niebezpieczeństwo. Miłego dnia, Roseanne. Dziękuję za herbatę. Była pyszna. I pomyśl o matce.

Wyszedł do małego przedpokoiku i na ulicę. Kiedy się oddalił, znalazł się poza zasięgiem słuchu i w pokoju pozostała po nim tylko woń jego ubrania, powiedziałam:

- Do widzenia, ojczu.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Był dziś doktor Grene. Zgolił brodę!

Nie pamiętam, czy wspomniałam o jego brodzie. Broda u mężczyzny to jedynie sposób, żeby coś ukryć, jak żywoplot wokół tajemnego ogrodu czy przykrycie ptasiej klatki.

Chciałabym napisać, że go nie poznałam, kiedy wszedł do mojego pokoju, bo pewnie tego oczekujecie, ale tak nie było.

Siedziałam tu zajęta pisaniem, kiedy usłyszałam jego kroki w korytarzu, ale zanim zapukał do drzwi i wszedł, zdążyłam schować wszystko pod podłogą, co jak zwykle nie było łatwym zadaniem dla takiej staruchy jak ja. Starucha to wiedźma z dawnych opowieści, mądra kobieta, czasami czarownica. Mój mąż, Tom McNulty, specjalizował się w takich historiach, opowiadał je sugestywnie, bo wierzył w każde słowo w nich zawarte. Kiedyś, jeśli będziecie chcieli, opowiem wam o dwugłowym psie, którego zobaczył pewnego razu na drodze do Enniscrone. Ale skąd będę wiedziała, że chcecie? Coraz częściej myślę o Was gdzieś tam. Starucha ma urojenia! Stara akuszerka.

Jestem tylko akuszerką własnej dawnej historii. To naprawdę położnictwo.

Doktor Grene był bardzo powściągliwy, bardzo wyciszony i miał bardzo błyszczącą twarz. Może posmarował ją jakąś maścią, gdy się ogolił, żeby nie zaszkodziło jej świeże powietrze. Podeszedł do stołu - siedziałam już na łóżku, wśród widoczków na kapie, to chyba francuskie scenki rodzajowe, jest między nimi człowiek niosący osła na plecach - wziął należące do mojego ojca stare wydanie *Religio Medici* i spojrzął na nie bezmyślnie. Byłam zaskoczona, kiedy po śmierci taty zobaczyłam, że książka została wydana w 1869 roku, choć przecież wiedziałam, że miał ją od wielu lat. Oczywiście na wyklejce widniało jego nazwisko, wraz z datą i miejscem, Southampton 1888, ale miałam nadzieję, że może jednak dostał tę książkę od własnego ojca, mojego dziadka, którego nigdy nie poznałam. Gdy więc trzymałam ją w dłoniach, miałam wrażenie, że wiele par rąk dzierżyło ten mały tom, rąk należących do mojej rodziny. Bo osoba samotna podczas bezsennych nocy szuka pocieszenia u bliskich ludzi, nawet jeśli są to tylko wspomnienia o nich.

Ponieważ tak dobrze znałam tę książeczkę, wiedziałam, na co patrzy doktor Grene. Było to zdjęcie sir Thomasa Browne'a z brodą. Może spojrzął na jego brodę, bardzo wyrazistą, wręcz wydatną na okrągłej grawiurze, i pożałował, że sam swoją stracił. Książkę

wydali Sampson Low, Syn, i Marston. To „syn” brzmi pięknie. Syn Sampsona Lowa. Kim był, kim był naprawdę? Czy pracował ciężko pod okiem surowego ojca, czy też cieszył się jego sympatią i szacunkiem? Przypisy opracował J.W. Willis Bund. Nazwiska, nazwiska ludzi, którzy odeszli, zapomniane, ot, ptasi śpiew w gęstwinie rzeczy. Jeśli J.W. Willis Bund mógł odejść i zostać zapomniany, o ileż łatwiejsze to będzie w moim przypadku? Przynajmniej to nas łączy.

Syn. Jak niewiele wiem o własnym synu. Synu Roseanne Clear.

- Stara książka - zauważył doktor Grene.

- Tak.

- Czyje to nazwisko, Joe Clear, pani McNulty?

Doktor Grene miał niepewną minę, minę pełną namysłu, jak chłopiec, który próbuje rozwiązać problem arytmetyczny. Gdyby trzymał ołówek w dłoni, mógłby polizać jego koniec.

Ogolił brodę i nie ukrywał już pod nią twarzy, więc nagle poczułam, że jestem mu coś winna.

- To mój ojciec - odparłam.

- Był więc człowiekiem wykształconym?

- Owszem. Synem pastora. Z Collooney.

- Collooney - powtórzył. - Collooney tak bardzo ucierpiało podczas rozruchów w latach dwudziestych - zauważył. - Nie wiem, dlaczego cieszę się, że mieszkał tam wtedy ktoś, kto czytał *Religio Medici*.

Wypowiedział ostatnie słowa powoli i zorientowałam się dzięki temu, że nigdy wcześniej nie zetknął się z tą książką.

Doktor Grene przerzucił następne kartki; minął wstęp, powoli szukając, jak wszyscy inni, pewnego rozdziału książki.

- *Od autora. Z pewnością, gdyby człowiek był tak żądny życia, kto by pragnął żyć, kiedy cały świat zmierza ku końcowi...*

Doktor Grene zaśmiał się dziwnie, ale nie był to prawdziwy śmiech, tylko jakby zdławiony szloch. Potem odłożył książkę tam, skąd wziął.

- Rozumiem - rzucił, chociaż nic nie powiedziałam.

Może mówił do starej, brodatej twarzy w książce albo do samej książki. Siedemdziesiąt sześć lat, tyle miał Thomas Browne w chwili śmierci, młodzik przy mnie. Zmarł w swoje urodziny, co czasami się zdarza, choć rzadko. Doktor Grene też jest chyba koło sześćdziesiątki. Nigdy nie widziałam, żeby był tak poważny jak dziś. Trudno nazwać go

wesołkiem, ale czasami ma w sobie dziwną pogodę ducha. W porównaniu z biednym Johnem Kane'em, jego wszystkimi grzechami, gwałtami i przestępstwami, jakich podobno dopuścił się w zakładzie, doktor Grene jest jak anioł. Może w porównaniu z innymi też, trudno mi powiedzieć. Jeśli czuje się rozbitkiem w tym miejscu, jeśli czuje się pod jakimś względem niedzisiejszy, jak to mówią, dla mnie jest człowiekiem jutra i pojutrze. O tym myślałam, gdy tak na niego patrzyłam, próbując rozszyfrować ten jego nowy nastrój.

Doktor Grene podszedł do krzeselka pod oknem, gdzie lubię siadywać, gdy robi się cieplej. Bo inaczej zimno przenika przez szybę. Okno wychodzi na podwórko, wysoki mur i na bezkresne pola. Podobno dalej, na horyzoncie, znajduje się Roscommon. Wśród pól płynie rzeka, która latem odbija światło i za pomocą mojego okna puszcza zajęczki, do kogo czy dokąd, nie mam pojęcia. Odblask światła pada na szybę. Dlatego tak lubię tam siedzieć. W każdym razie doktor Grene też tam przysiada, co zawsze trochę budzi we mnie lęk, bo to zwykle krzeselko na ubrania, jedno z tych sympatycznych krzesełek, które kobiety lubią mieć w sypialni, żeby odkładać na nich ubrania, nawet jeśli to jedyny ładny mebel w domu. Jak znalazł się w tym pokoju, wie tylko Pan Bóg, a może i On nie ma pojęcia.

- Czy przypomina pani sobie, pani McNulty, jak to się stało... to znaczy... jakie wydarzenia doprowadziły do tego, że znalazła się pani w zakładzie w Sligo? Pamięta pani, jak mówiłem, że nie mam żadnych dokumentów w tej sprawie? Szukałem jeszcze raz i nic nie znalazłem. Obawiam się, że dokumentacja pani pobytu tutaj i w Sligo przepadła. Będę szukał dalej i zwróciłem się w tej sprawie do Sligo, licząc, że oni coś tam mają. Pamięta pani, jak to się stało?

- Chyba sobie nie przypominam. Nazywali go hotelem Leitrim. Tyle pamiętam.

- Co takiego?

- Zakład w Sligo nazywali hotelem Leitrim.

- Naprawdę? Nie wiedziałem. Dlaczego tak? Och - powiedział prawie ze śmiechem, prawie - pewnie dlatego, że... no tak.

- Podobno przebywała w nim połowa Leitrim.

- Biedne Leitrim.

- Uhm.

- Jaka dziwna nazwa, Leitrim. Ciekawe, co znaczy to słowo? Przypuszczam, że pochodzi z irlandzkiego. Na pewno.

Uśmiechnęłam się do niego. Był jak chłopiec, który uderzył się w kolano i powoli dochodzi do siebie. Ta pogoda chłopca po bólu i łzach.

Potem jakby znowu spochmurniał, zamknął się w sobie, schował niczym kret w ziemi.

Odpowiedziałam głównie po to, żeby znowu nawiązać z nim kontakt.

- Pamiętam straszne, mroczne rzeczy, śmierć, zamęt, ale to jest jeden z tych przerażających, ponurych obrazów, które wiszą w kościołach, Bóg wie po co, bo nic na nich nie widać.

- Pani McNulty, to piękny opis traumatycznych wspomnień.

- Naprawdę?

- Tak.

Potem siedział w milczeniu, własnej odmianie milczenia. Siedział tak długo, że stał się niemal pensjonariuszem tego pokoju! Jakby sam w nim mieszkał, jakby nie miał dokąd pójść, co zrobić, kim się zająć.

Siedział w zimnym świetle. Rzeka, tocząc własne wody i po raz drugi zalana lutowymi deszczami, nie mogła rzucać światła. Szyba w oknie była bezlitośnie sobą. Tylko cicha, zimowa trawa używała jej cienia zieleni. Jego oczy, teraz, gdy był bez brody, wyrazistsze i bardziej odległe, patrzyły przed siebie, jakby na jakiś przedmiot oddalony o kilometr, tym spojrzeniem, jakie mają twarze na portretach. Siedziałam na łóżku i przyglądałam mu się bez najmniejszego skrępowania, bo zupełnie mnie nie widział. Spoglądał w to dziwne miejsce, pośrodku, najbardziej tajemnicze, ludzkie i pełne znaczeń ze wszystkich odległości. I z jego oczu powoli popłynęły łzy, nieskazitelne, ludzkie łzy, zanim tknie je świat. Rzeka, okno i te oczy.

- Co się stało, doktorze Grene? - zapytałam.

- Och - westchnął.

Wstałam i podeszłam do niego. Zrobilibyście tak samo. To pradowy odruch, coś popycha cię w stronę nagłego smutku - albo od niego odpycha. I odchodzisz. Ja podeszłam, nie mogłam się powstrzymać.

- Proszę nie mieć mi za złe, że stoję przy panu - powiedziałam. - Wczoraj się kąpałam. Nie śmierdę.

- Co takiego? - zapytał, zupełnie zaskoczony, ale tylko przez chwilę. - Co?

Stałam przy nim, wyciągnęłam prawą rękę i położyłam mu ją na ramieniu, właściwie trochę dalej, na plecach. Miałam przed oczami to nieodparte wspomnienie ojca, gdy siedział na łóżku, trzymał matkę za ramiona i poklepywał ją niemal tak, jak się poklepuje dziecko. Nie śmiałam poklepać doktora Grene'a, ale oparłam dłoń w tym miejscu.

- Co się stało? - zapytałam.

- Och - jęknął. - Och. Umarła moja żona.

- Pańska żona?



- Tak - powtórzył - tak. Nie mogła zaczerpnąć tchu. Zakrztusiła się, zakrztusiła... i udusiła.

- Och, mój biedaku - odparłam.

- Tak - powiedział. - Tak.

Dowiedziałam się więc czegoś o doktorze Grenie. Otworzyłam usta, żeby powiedzieć mu coś o sobie, przez wzgląd na brodę, którą zgolił, a wtedy z jego ust dobyła się ta wiadomość, ta ważna informacja.

Z wielkim smutkiem, bardzo cicho dodał:

- A dziś są moje urodziny.

\*

A teraz historia mojej bezdennej głupoty. Nie uwierzycie jak wielkiej.

Bardzo pragnęłam porozmawiać z ojcem, ale ojciec nie żył. Kilka razy odwiedziłam jego grób na cmentarzu prezbiteriańskim, ale jego samego nie mogłam tam znaleźć. Może jego kości to nie był on, może sygnał, który wysyłał, jego istota, znajdowały się gdzieś indziej.

Panował sprzyjający mrok grudniowego popołudnia, już o czwartej było ciemno. Wiedziałam dobrze, że stare bramy na drugim cmentarzu będą otwarte, ale miałam obawy, czy uda mi się wślizgnąć przez nie w ciemnościach i dostać między groby, tak żeby nikt mnie nie zauważył. Miałam nadzieję, że jeśli mogę znaleźć gdzieś ojca, to jakaś jego cząstka będzie właśnie tam, wśród krzaków, ścieżek i pochowanych szczątków, że wszystko to razem stanie się rodzajem pierwotnego radia, które przekaże mi sygnał od niego.

Tak więc zakradłam się tam w swojej starej niebieskiej sukience i płaszczu, w tamtych czasach tak szczupła i smukła jak czapla, a już na pewno podobna do czapli w tym stroju, z gapowatym wyrazem twarzy i długą szyją, niczym nieosłoniętą i narażoną na przeziębienie.

Jakimż spokojem tchnęły rozciągające się przede mną ścieżki, ciche kamienie, znajome liczby i daty na żelaznych tabliczkach wetkniętych w ziemię przy każdym grobie, pokrywające się, jak wiedziałam, z danymi w księdze pochówków, którą trzymano na wszelki wypadek w betonowej świątyni. Żółte światło dnia błąkało się jeszcze w nędznym zagajniku, wśród niskich drzewek, które porastały główne ścieżki i marniały w oparach śmierci. Opatuliłam się płaszczem po szyję i nie zastanawiając się, co robię, jakby nieobecna, zapuściłam się aż po półkole grobów przed świątynią.

Zobaczyłam jej kolumny, stary, ostry łuk z niszczącymi postaciami greckich herosów i innych, z nieznanymi wojen i czasów, oraz żelazne drzwi, lekko uchylone na ciężkich zawiasach, a za nimi ten upragniony blask pieca i lampy, które tak przypominały mi

ojca. Nie myśląc o chwili obecnej, innymi słowy, w ogromnej głupocie, podkrađłam się do tego światła, pod wpływem płynącego z serca pragnienia, żeby znaleźć się znowu w jego kręgu, dawnym kręgu ciepła i rozmów. Drzwi były otwarte na tyle, że mogłam od razu wejść do środka.

I nic się nie zmieniło. Wszystko w środku przypominało mojego ojca. Jego czajnik, który stał na kiwającej się płycie przy palenisku z migocącymi węglami, jego emaliowany kubek, razem z moim, na stole, złożone w porządnny stos książki i rejestry, ślady stóp na wytartej podłodze z desek. Otwierałam coraz szerzej oczy, ze zdumieniem na twarzy, absolutnie przekonana, że zaraz znajdę się przy nim, a on pocieszy mnie, poradzi, przywróci do życia.

Wtedy nagle, ku mojemu przerażeniu, zostałam popchnięta od tyłu. Nie spodziewałam się czegoś takiego w miejscu, które stanowiło azyl mojego ojca. Zrobiłam kilka kroków do przodu, potykając się i tracąc grunt pod nogami, z tym paskudnym uczuciem ściskania w żołądku, gdy gwałtownie próbuje się złapać równowagę. Odwróciłam się i zobaczyłam w drzwiach obcego mężczyznę. Pod welnianym swetrem, zresztą za małym dla niego, miał wydatny brzuch, o kształcie kupnego bochenka chleba, surową twarz o dziwnie zapadniętych policzkach i krzaczaste brwi starego człowieka, choć pewnie był niewiele po pięćdziesiątce. Nie, nie, przecież znałam tego człowieka, oczywiście, że tak. Był to Joe Brady, który nastał na cmentarzu po moim ojcu.

Czyż ojciec Gaunt mi nie mówił? Dlaczego wypadło mi to z głowy? Co, w imię Boga, tam robiłam? Powiecie, że oszalałam, że straciłam rozum. Z całą pewnością nie wyglądał na zalotnika ani nikogo takiego. Wydawał się zaskoczony i rozgniewany, w jego oczach był ten sam ponury błysk, który zauważyłam na pogrzebie. W swojej tęsknocie za ojcem po prostu nie pomyślałam o nim ani razu od czasu, gdy ojciec Gaunt przedstawił swoją propozycję.

Nic nie może się równać z furią wzgardzonej kobiety, pewnie to prawda, ale moje doświadczenie wskazuje, że mężczyźni nie są lepsi. Od zimnych kamiennych płyt na podłodze przeniknęło mnie przerażenie, przerażenie tak wielkie, że muszę wyznać - wybaczcie szczerze starej kobiecie wspominającej dawne strachy - że zsikałam się w majtki. Jestem pewna, że zauważył to nawet w słabym świetle, i czy z tego powodu, czy innego, zaśmiał się nagle. Był to śmiech przypominający warknięcie psa, który boi się, że zostanie nadeptany, śmiech ostrzegawczy, jeśli istnieje coś takiego. A czyż nie piszą w książkach, że ludzki śmiech wywodzi się z dawnych grymasów i groźnych min? Takie to wtedy na mnie zrobiło wrażenie.

- Nie chciałaś mnie - powiedział, odezwał się do mnie po raz pierwszy i byłam tym

zaskoczona - wolisz zostać bezbożnicą.

Podszedł do mnie, nie wiem w jakim celu. Ale gdy zrobił pierwszy ruch, pomyślałam, że obudziło się w nim coś pierwotnego i niepowstrzymanego. Cicha świątynka na cichym cmentarzu, grudniowe ciemności i ja z tym czymś, czego ode mnie chciał. Gdy się zbliżał, odniosłam wrażenie, że zmienił zamiar, z jego twarzy uleciało wszelkie człowieczeństwo, w oczach zabłysło coś głęboko skrywanego i mroczniejszego od człowieczeństwa, coś, co tkwiło w nas, zanim obdarzono nas naszymi kłopotliwymi duszami. Z perspektywy czasu myślę, że chciał mnie zabić, ale dlaczego, nie wiem. Najwyraźniej nadepnęłam temu Joeyowi Brady'emu na odcisk, chociaż jakież to wielki spisek knuł z ojcem Gauntem, nie mam pojęcia. Szukając ojca, znalazłam własnego mordercę. Krzyknęłam, odzyskując nagle głos. Zawylałam!

Za nim pojawił się inny mężczyzna. Jakież miałam szczęście, że w tym odosobnionym miejscu znalazł się jeszcze ktoś. Joe Brady tymczasem dopadł mnie i jakby niczego bardziej nie pragnął na świecie, chwycił obiema rękami moją chudą szyję i przyciągnął do siebie. Wtedy jakoś, na wpół świadomie, zorientowałam się, że gmera przy rozporku, żeby wyjąć, co tam miał, a, Boże drogi, skończyłam dopiero szesnaście lat i choć wiedziałam co nieco o ptaszkach i pszczołkach, o niczym innym nie miałam pojęcia, oprócz tego, że niektórzy chłopcy, gdy obok nich przechodziłam, budzili we mnie coś, ale dlaczego, tego nie bardzo rozumiałam. W tym punkcie mojego życia byłam chyba najbardziej niewinną dziewczyną w Sligo i naprawdę pamiętam, gdy tak tu siedzę i piszę, że w pierwszej chwili pomyślałam, iż wyciąga ze spodni pistolet albo nóż, bo przecież właśnie w tym miejscu widziałam dobywaną broń i słyszałam jej strzały.

Jakby podążając za moimi myślami, mężczyzna stojący za Joeyem Bradym naprawdę wyciągnął broń, duży, potężnie wyglądający gnat, którym uderzył Joeya Brady'ego w tył głowy, tak jak się ścina sierpem wysoki, ciernisty krzew. Zarejestrowałam to wszystko, chociaż stałam jak sparaliżowana ze strachu. Joe Brady nie stracił przytomności od pierwszego ciosu, tylko osunął się na kolana, a wtedy z najwyższą odrazą i przerażeniem zobaczyłam między jego nogami obrzmiałego penisa i zasłoniłam rękami oczy. Mężczyzna zdzielił go jeszcze raz. Pomyślałam: czy wszyscy w tym miejscu mają broń, czy jestem skazana na to, żeby wciąż ją tu oglądać?

Joe Brady leżał cicho na podłodze. Odjęłam rękę od twarzy i spojrzałam na niego, a potem na stojącego za nim mężczyznę. Był to chudy młody chłopak o czarnych włosach.

- Nic ci się nie stało? - zapytał. - To twój ojciec?

- Nie, to nie mój ojciec - odparłam bliska hysterii. - Mój ojciec nie żyje.

- Hm - odpowiedział - a pamiętasz mnie? Bo ja cię pamiętam.

- Nie - odrzekłam - nie pamiętam.

- Cóż, kiedyś się znaliśmy. Wyjeżdżam do Ameryki i chciałem się pożegnać z bratem, Williamem.

- Kto to taki? - zapytałam głupio. - Skąd by się tu wziął?

- Jest tu pochowany. Nie pamiętasz? Czy to nie ty sprowadziłaś tego przekłętą klechę i pewnie żołnierzy, tych żołnierzy, co nas dopadli i wybili, a mnie cudem udało się ujsć z życiem?

- Tak, wiem - powiedziałam. - Znam cię. - I wtedy jego nazwisko zaświtało mi w głowie, może dlatego, że wypowiedział je ojciec, gdy siedział wtedy w saloniku nad gazetą, a może kryło się w murach świątynki? - Ty jesteś John Lavelle. Z tych wysp.

- John Lavelle z Inishkei. I wyjeżdżam stąd, uciekam z tego parszywego, wszawego kraju, z jego cholerną przysięgą lojalności i zdradą wobec przodków.

Patrzyłam na niego. Naprawdę miałam przed sobą budzącą lęk zjawę.

- Ponieważ wyświadczyłem ci tę przysługę, że cię uratowałem - rzekł z nieprzyjazną zuchwałością - czego nie da się powiedzieć o tobie, to może mi powiesz, gdzie jest grób mojego brata, bo zląziłem te alejki wte i wewte, ale jakoś nie mogłem go znaleźć.

- Nie wiem, nie wiem - odpowiedziałam. - Ale przecież to będzie w tamtej księdze, tam, na stole. Czy ten człowiek nie żyje?

- Nie mam pojęcia. Śmieszne, to nie twój ojciec, a ja go stuknąłem. Bo musisz wiedzieć, że ojciec twój ściągnął na siebie wyrok za to, co zrobił. Czy raczej nie on, tylko ty, sprowadzając żołnierzy. Ale przecież nie będziemy zabijać dziewcząt.

- Myślę, że i na to moglibyście się zdobyć, gdybyście spróbowali. Co to znaczy, że ojciec ściągnął na siebie wyrok?

- Podczas wojny wysłaliśmy mu list z wyrokiem śmierci. Ale miał szczęście, bo wojna się skończyła i mu darowaliśmy.

- Szczęście? - zapytałam, nagle wyrzucając z siebie potok słów. - To najniezszczęśliwszy człowiek, jaki kiedykolwiek przyszedł na świat w Irlandii. Biedak leży teraz na tym drugim cmentarzu! Wysłaliście mu list? Nie wiesz, jakie przez to miał straszne życie? Jak zaciążyło to na nim? Och, czułam, że jest coś, o czym nie wiem. Ty, ty, to ty go zabiłeś. Ty go zabiłeś, Johnie Lavelle!

Na to John Lavelle zamilkł. Z jego twarzy zniknął wyraz niezdrowego podniecenia. Nagle odezwał się całkiem normalnie, nawet miło. Z jakiegoś powodu, którego do dziś nie znam, miałam świadomość, że moje słowa nie były prawdą. Jestem dumna, że tyle jeszcze rozumiałam. Cokolwiek zrobił w życiu ten młody człowiek, nie zabił mojego ojca.

- Hm - powiedział - współczuję ci z powodu śmierci twego ojca. Oczywiście, że tak. Nie wiesz, że rozstrzelali moich towarzyszy? Wyprowadzili ich i rozstrzelali bez litości, Irlandczycy Irlandczyków.

Ta nagła zmiana, która w nim nastąpiła, była jak przeziębienie i zaraziłam się nią od niego.

- Przykro mi z tego powodu - odparłam. Dlaczego nagle poczułam się głupio i niezręcznie? - Przykro mi z powodu wszystkiego. To nie ja sprowadziłam żołnierzy. Naprawdę. Ale nie obchodzi mnie, czy mi wierzysz. Nie obchodziłoby mnie nawet, gdybyś mnie zastrzelił. Kochałam ojca. A teraz i twoi towarzysze nie żyją, i mój ojciec. Nie powiedziałam słowa nikomu oprócz księdza, a on nie rozmawiał z nikim po drodze. Nie rozumiesz, że was śledzili? Myślisz, że nikt poza nami was nie widział? To miasteczko nie śpi. Nie bój się, już tam znaję nasze sekrety.

Popatrzył na mnie tymi swoimi oczami o dziwnym odcieniu wodorostów. Wodorostów z jego wyspy. Może pływały w łonach tamtejszych kobiet, z ludu, który częściowo wrócił do morza, jak te pierwsze małe stworzenia ze struną na grzbiecie zamiast kręgosłupa, jeśli wierzyć temu, co czytałam. Och, jego oczy stały się przejrzyste, gdy tak na mnie patrzył, i po raz pierwszy dostrzegłam, co jeszcze kryje się w Johnie Lavelle'u, mianowicie rodzaj dobroci. Ile z niej wojna przysłoniła trupami i przekleństwami, tego nie wiedziałam.

- Pokażesz mi grób mojego brata? - zapytał takim tonem, jakim mógłby powiedzieć „kocham cię”.

- Tak, jeśli go znajdę.

Podeszłam więc do rejestru i przejrzałam zapisane w nim nazwiska. Zobaczyłam piękne kaligraficzne pismo mojego ojca, jak skryby, choć nim nie był. I znalazłam pod „L” to, czego szukałam - Willie, Willie Lavelle. Potem zapamiętałam numer i jakbym była własnym ojcem, a nie szesnastoletnią dziewczyną, która omal nie została rzucona na podłogę i zgwałcona, przeszłam obok bezwładnego ciała Joeya Brady'ego, wkroczyłam między alejki i zaprowadziłam Johna Lavelle'a do jego brata, żeby mógł się z nim pożegnać.

\*

Potem John Lavelle pewnie wyjechał do Ameryki, bo minęło sporo czasu, zanim ktokolwiek znowu o nim usłyszał.

John Lavelle wyjechał do Ameryki, a ja znalazłam się w miejscu o nazwie Café Cairo - nie tak daleko.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

John Kane przyszedł dziś z niezwykłym oświadczeniem. Powiedział, że pojawiły się pierwsze w tym roku przebiśniegi. Kto by pomyślał, że ktoś taki jak on zwraca uwagę na przebiśniegi. Dodał, że w górnym ogrodzie, do którego mogą wchodzić tylko robotnicy z zakładu, zauważył kwitnącego krokusa. Mówił to wszystko w bardzo miły sposób, stojąc z mopem pośrodku pokoju. Właściwie przyszedł umyć podłogę, ale opowiedział mi o tych cudach i poszedł, zapominając o myciu. Zbity z tropu, jak sądzę, własnym, zaskakującym przyływem romantyzmu. To dowodzi jedynie, że ludzie nie są niezmienni, że wciąż robią coś sprzecznego ze swoim charakterem. Jednocześnie jednak nadal nie przepada za myciem i jak zwykle miał rozpięty rozporek. Któregoś dnia jakieś zwierzątko ten rozporek zauważy i zagnieździ się w nim, jak jeź w kuszącej, wilgotnej, jesionowej dziupli.

Piszę to dość spokojnie, choć w tej chwili wszystko by można o mnie powiedzieć, tylko nie to, że jestem spokojna.

Po południu był tu przez godzinę doktor Grene. Byłam wstrząśnięta widokiem jego poszarzałej twarzy, a ku mojemu dodatkowemu zaskoczeniu miał na sobie czarny garnitur, ponieważ właśnie wrócił z pogrzebu żony. Mówił o niej „Bet”, co musi być pieśczośliwą formą imienia „Betty”, a to z kolei zdrobnienie od czego? Nie pamiętam. Może Elizabeth. Powiedział, że na pogrzebie były czterdzieści cztery osoby, policzył. Przyszło mi do głowy, że na mój pogrzeb przyjdzie mniej, znacznie mniej, kilka osób, a może w ogóle nikt, chyba że zjawi się doktor Grene. Ale jakie to ma znaczenie? Każdy rys jego twarzy zdradzał cierpienie, a w miejscu zgolonej brody miał ostrą czerwoną wysypkę, której wciąż dotykał ostrożnie. Powiedziałam, żeby w takim dniu nie zaprzętał sobie głowy kimś takim jak ja, ale nic na to nie odrzekł.

- Niespodziewanie odnalazłem pewien nowy dokument - oświadczył. - Nie wiem, czy nam pomoże, bo odnosi się do dawno minionych czasów. Jak to mówią.

Jak kto mówi? Ludzie, z którymi się widuje? Starzy ludzie z czasów jego młodości? Kiedy doktor Grene był młody? Przypuszczam, że w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych zeszłego wieku. Gdy królowa Elżbieta była młoda, a Anglia stara.

- To zeznanie pod przysięgą, które ktoś złożył wiele lat temu, nie wiem, czy należało do tej instytucji, czy też pochodzi z lat, gdy przebywała pani w szpitalu psychiatrycznym w

Sligo, i zostało tu przysłane wraz z panią. W każdym razie obudziło we mnie nadzieję, że znajdę tam oryginał. Ta kopia jest w bardzo kiepskim stanie, została napisana na maszynie i wyblakła, co było do przewidzenia. I brakuje znacznej jej części. Naprawdę jest jak z egipskiego grobowca. Odnosi się do pobytu pani ojca w Irlandzkiej Policji Królewskiej... od wielu lat nie słyszałem tej nazwy... i do okoliczności jego śmierci... jego zabójstwa, można by powiedzieć. Przeczytałem o tym z wielkim smutkiem. Nie wiem dlaczego, ale poczułem, że muszę się z panią dziś zobaczyć, mimo własnych... problemów. Ten dokument wydał mi się taki żywy, taki świeży, może dlatego, że jestem w tej chwili wyczulony na cierpienie, cierpienia. To pewnie wyjaśnia przyczynę. Bardzo mnie przygnębił, Roseanne. Głównie dlatego, że nie wiedziałem o tym.

Jego słowa zawisły w powietrzu, jak to bywa z takimi słowami.

- To musi dotyczyć kogoś innego - powiedziałam.

- Jak to? - zapytał.

- Ależ tak. Niepotrzebnie się pan przejął. Przynajmniej jeśli o mnie chodzi.

- Nie taki los spotkał pani ojca?

- Nie.

- Nie był w policji?

- Nie.

- Och, cóż, co za ulga. Ale widniało tam pani nazwisko, Roseanne McNulty.

- Wszyscy mówią do mnie „pani McNulty”, ale to zupełnie inna historia, w gruncie rzeczy powinnam używać nazwiska panińskiego.

- Ale była pani zamężna, prawda?

- Tak, byłam żoną Toma McNulty’ego.

- On umarł?

- Nie, nie.

Ale w tej chwili nie mogłam powiedzieć nic więcej.

- Dokument stwierdza, że pani ojciec służył w Irlandzkiej Policji Królewskiej w Sligo podczas największych rozruchów w latach dwudziestych i został zamordowany przez IRA. Muszę przyznać, że słabo się orientuję, jeśli chodzi o cały ten okres. Wydawał nam się w szkole serią tragicznych błędów i... to takie burzliwe dzieje. Nawet druga wojna światowa była dla nas... nie wiem, czym była dla nas. Historią starożytną? A przecież urodziłem się podczas tej wojny. Czy pani ojciec nie nazywał się Joseph, Joseph Clear?

Ogarnęło mnie nieprzyjemne uczucie, nie wiem, czy je znacie, jakby ktoś oblał was od stóp do głów woskiem. Kiedy zacisnęłam usta, miałam wrażenie, że wgryzam się w wosk,

mogłabym przysiąc. Z przerażeniem patrzyłam na doktora Grene'a.

- Co się stało, Roseanne? Zdenerwowałam panią? Tak mi przykro.

- Może - wyjąkałam, wreszcie będąc w stanie odezwać się spod wosku. - Czy to należy do pana obowiązków, doktorze Grene?

- Żeby panią denerwować? Nie, nie. Moim obowiązkiem jest pani pomóc. W tym przypadku ocenić pani stan psychiczny. Do tego mnie zobowiązano. W dzisiejszych czasach panuje taka biurokracja. Z radością zostawiłbym panią w spokoju... to znaczy dałbym pani spokój, żebyśmy mogli rozmawiać o innych rzeczach albo o niczym, co ostatnio wydaje mi się najzdrowszym tematem ze wszystkich.

- Moje panięskie nazwisko brzmi Clear - powiedziałam nagle.

- Tak właśnie myślałem. Widziałem je w tej książeczce, prawda? - zapytał. - To bardzo rzadkie nazwisko. Joe Clear. Nie może być zbyt wielu ludzi, którzy by się tak nazywali. Tak się zastanawiam, czy to nie forma Clare albo czy nie pochodzi od Cape Clear?

Mówił dziwnie udręczonym tonem, z tą niepewną miną nieradzącego sobie w szkole chłopca.

- Myślę, że to nazwisko protestanckie i że pewnie pochodzi z dawnej Anglii.

- Tak pani sądzi? Oczywiście, McNulty to z kolei dość popularne nazwisko. Można spotkać je wszędzie.

- To stare nazwisko, które wywodzi się ze Sligo. Mąż mówił mi, że McNulty byli ostatnim irlandzkim plemieniem kanibali. Pisano gdzieś, że zjadali swoich wrogów.

- O mój Boże.

- A tak. Jeśli o mnie chodzi, nie jadłam wtedy mięsa. Już od samego zapachu robiło mi się słabo, chociaż przyrządzałam je dla niego codziennie. Mój mąż opowiadał więc z upodobaniem, że jestem ostatnim kanibalem jaroszem w Irlandii.

- Dowcipny był ten pani mąż.

O, o, znowu śliski grunt. Czym prędzej zasznurowałam usta. Nie chcę przez to wszystko przechodzić od nowa.

- Hm - powiedział, wstając wreszcie - mógłbym jutro albo pojutrze przynieść dokument, o którym wspomniałem, gdyby miała pani ochotę na niego zerknąć.

- Nie mam już takiego dobrego wzroku jak kiedyś. Czytam Thomasa Browne'a, ale przecież znam tę książkę prawie na pamięć.

- Powinniśmy pani sprawić okulary do czytania, pani McNulty... a może powinienem powiedzieć „pani Clear”?

- Radzę sobie bez nich.



- Świetnie wobec tego.

Wtedy z jakiegoś powodu się zaśmiał, cicho, dźwięcznie, jak ludzie, których rozbawiła własna myśl i nie zdążyli nad sobą zapanować.

- O nie - rzucił, choć nic nie powiedziałam - proszę mi wybaczyć... to nic, nic.

A potem poszedł sobie, kiwając głową. Uniósł prawą rękę przy drzwiach i nawet pomachał nią, jakbym była pasażerem na odpływającym statku.

Czy było to przed czy po tym, jak przyszedł John Kane i wspomniał o przebieśniętach? Nie pamiętam.

Nie, jednak pamiętam. John Kane przyszedł znowu, ale tym razem, żeby zmyć podłogę. Najwyraźniej uświadomił sobie, że tego nie zrobił. W końcu też robi się z niego staruszek, staruszek usługujący staruszkom. Nie żeby komuś usługiwał. Gdy przecierał mopem podłogę pod łóżkiem, przypadkiem wyciągnął stamtąd łyżkę. Była brudna, ze śladami zupy, musiała spaść mi z tacy. Spojrzał na mnie szybko, mrocznym wzrokiem, w ten sposób lekko dał mi w twarz, i wyszedł.

\*

Jak to się dzieje, że szczęśliwa historia staje się nieszczęśliwą historią, wciąż na nowo?

## Z notatek doktora Grene'a

*Z pewnością, gdyby człowiek był tak żądny życia, kto by pragnął żyć, kiedy cały świat zmierza ku końcowi...*

Została pochowana zaledwie dwa tygodnie temu. Bet. Tak trudno napisać choćby samo imię. Czasami nocą sam tu, w domu, słyszę gdzieś lekkie stukanie, pewnie miliony razy słyszałem już ten dźwięk, odgłos drzwi uderzających pod wpływem przeciągu o framugę, i nie wiem dlaczego, patrzę ze strachem w głąb ciemnego holu, zastanawiając się, czy to Bet. Straszne i dziwne - być nawiedzanym przez ducha własnej żony.

Oczywiście, tak nie jest. To tylko jeden z dziwnych efektów nadmiaru cierpienia.

Jak trudno żyć. Mógłbym wręcz powiedzieć, że mój świat się kończy. Jakże często musiałem słuchać w nieświadomości, z profesjonalnym dystansem, jakiejś biednej duszy dotkniętej depresją, chorobą, która może mieć początek w takim nieszczęściu, jakie właśnie spotkało mnie.

Czuję się tak zrozpaczony, że wręcz podziwiam każde świadectwo zwykłej siły ducha,

zdrowia ducha. Obejrzałem zdjęcia z egzekucji Saddama Husajna, „prezydenta Iraku”, jak wciąż o sobie mówił, i szukałem w jego twarzy oznak cierpienia, bólu. Wydawał się zdezorientowany, ale silny, niemal pogodny. Okazywał taką pogardę tym, którzy go ujęli, nawet gdy z niego szydzili. Może nie wierzył, że mają dość siły, aby pozbawić go życia. Aby zakończyć jego historię. Albo myślał, że jeśli zdoła znaleźć siłę w sobie, sam zakończy swoją historię jakimś spektakularnym gestem. Kiedy przed kilkoma miesiącami wyprowadzali go z jego kryjówki, sprawiał wrażenie wynędzniałego i zagubionego. W sądzie miał za każdym razem nieskazitelnie czystą koszulę i marynarkę. Kto mu je prał, prasował, odświeżał? Służące? Jak wygląda jego historia w oczach przyjaciela, zwolennika, kogoś z tego samego miasteczka? Zazdrościłem mu spokoju ducha, gdy szedł na śmierć. Nie okazano litości Saddamowi, który sam jej nie okazywał swoim wrogom. Wyglądał wręcz na pogodnego.

To prawda, że przed dziesięciu laty, przed całą dekadą, Bet przeniosła się do dawnego pokoju służącej na górze. Siedzę tu, w naszej starej sypialni - starej pod wieloma względami, w ciągu tych dwudziestu lat, kiedy ją dzieliliśmy, przez długi czas nie była odnawiana, bo „dawniej” w niej spaliśmy, i tak dalej, i tak dalej, jak wspominałem tysiące razy - i Bet nie ma już nade mną, nie chodzi po podłodze w sypialni na górze, nie trzeszczy jej wąskie łóżko, kiedy się na nim kładzie. Wszędzie panuje absolutna cisza i spokój, z wyjątkiem tego lekkiego stukania gdzieś tam, jakby wcale nie umarła, tylko zamknęła się w kredensie i chciała wyjść. Jej łóżko w pokoiku na górze jest nadal starannie zaścielone, tak jak zostawiła je tamtego ostatniego poranka, nie mógłbym go dotknąć. Na parapecie wciąż stoi kolekcja jej książek o różach (kiedy spaliśmy w jednym łóżku, po jej stronie stały książki o różach, a po mojej z zakresu historii Irlandii), podtrzymywane dwoma kunsztownie rzeźbionymi podpórkami z Hawajów w kształcie bezwstydných dziewcząt. Jej telefon przy łóżku, na chińskim stoliku, który zostawiła jej w spadku cioteczna babka. Cioteczna babka zmarła na alzheimera, ale przed laty, gdy była w kwiecie wieku, wygrała ten stół w karty i Bet, podniecona i wzruszona, bardzo chciała go mieć. W szufladach leżą jej ubrania, w szafie wiszą sukienki, letnie i zimowe, stoją buty, wśród nich te na wysokich obcasach, które wkładała na kolację, te, które moim zdaniem do niej nie pasowały, ale przynajmniej nie byłem tak gruboskórny, aby jej to powiedzieć, kiedy przed laty robiliśmy sobie takie rzeczy, więc nie mam tego na sumieniu. Ale to nie ona mnie teraz nawiedza, to nie ta kobieta, którą znalazłem w holu, jak próbowała złapać oddech, gdy jej płuco zapadło się i gdy wydała ostami krzyk, ten, co ściągnął mnie na dół po wąskich schodach i teraz mnie prześladowuje, to nie ona, lecz tamta młoda osoba, jaką była, gdy się w niej zakochałem. Ta godna pożądaniam, wiotka piękność, która sprzeciwiła się życzeniu ojca i uparła się, że wyjdzie za mąż za

chłopaka bez grosza przy duszy, dopiero co poznanego studenta podczas wakacji w Scarborough, odbywającego praktyki w szpitalu w Anglii, zainteresowanego nieznanym i niezbyt przyszłościowym kierunkiem, psychiatrią. Czysty przypadek, jak to w życiu bywa.

Nie przypadłem do gustu jej ojcu, podwykonawcy zatrudnionemu przy wielkim projekcie hydroelektrycznym w Shannon, i z tego względu postaci historycznej, wręcz epickiej, bo dostarczał żwir z kamieniołomu w Connaght. Ale dopięła swego i wzięliśmy ślub, Boże miej ją w swojej opiece; jej liczna rodzina zebrała się po jednej stronie kościoła, a po drugiej stał tylko mój przybrany ojciec, który musiał znosić nieprzyjazne spojrzenia z naprzeciwka. Moi rodzice byli katolikami, co mogło przemawiać na ich korzyść, tyle że należeli do Kościoła anglikańskiego, więc w oczach moich teściów byli w większym stopniu protestantami niż sami protestanci, a w każdym razie ludźmi bardzo, bardzo tajemniczymi, jak istoty z innej epoki, z czasów, kiedy Henryk VIII szukał żony. Pewnie uważali, że Bet wychodzi za jakieś dziwadło.

Jej największym życzeniem, jak sądzę, było, żebym pozostał taki, jaki jestem, i jakże żałuję, że stało się inaczej. Tylko od róż oczekiwała zmiany, tej dziwnej chwili kwiatowego oczarowania, kiedy jakiś ich gatunek ulega modyfikacji i wydaje „mutanta”, nową, zaskakującą odmianę. Dokonuje „skoku” pod względem urody.

„Idę do ogrodu, zobaczę, co nowego” - mawiała często, bo hodowała róże, które kwitły przez cały rok.

Czekała, żeby jakiś bóg, tajemniczy czarodziej, odpowiedzialny za róże, zrobił swoje. Obawiam się, że wykazywałem tym wszystkim niewielkie zainteresowanie. *Mea culpa*. Próbowałem, ale nie potrafiłem odnaleźć w sobie pasji. Powinienem był jej towarzyszyć, gdy wychodziła z domu w rękawicach i z sekatorem, jak ktoś wyprawiający się na małą bitwę.

Drobne grzechy zaniedbania, które potem przybierają rozmiar wielkiej winy. I można oszaleć.

Piszę to dla własnego zdrowia psychicznego. Mam sześćdziesiąt pięć lat. Więcej niż w tej piosence Beatlesów. Według niektórych jestem jeszcze młody. Ale kiedy człowiek budzi się w czterdzieste urodziny, może powiedzieć, że młodość ma już za sobą. Myślę, że to strasznie głupie i śmieszne. Osoba zdrowa może być zadowolona z życia jako takiego i z ciekawością obserwować upływ czasu, proces starzenia się, starzenia się coraz bardziej. Ale nie wiem, czy mnie będzie na to stać. Kiedy Bet umarła, pierwszy raz od wielu lat spojrziałem w lustro. To znaczy patrzyłem w lustro codziennie rano, gdy przycinałem brodę i tak dalej, ale nigdy nie przyglądałem się sobie. Zdumiało mnie to, co zobaczyłem. Nie poznałem samego siebie. Włosy mi się przerzedziły na czubku głowy, byłem siwy jak borsuk, chociaż

do tej pory wydawało mi się, że zachowałem dawny kolor włosów. Moja twarz przypominała skórę wystawioną przez długi czas na deszcz, tak była pomarszczona. Zdegustowało mnie to i zupełnie zaskoczyło. Nie zdawałem sobie z tego wszystkiego sprawy za życia Bet, po prostu. Zestarzałem się. Nie wiedziałem, co robić. Odszukałem więc starą brzytwę i zgoliłem brodę.

Sześćdziesiąt pięć lat. Za kilka lat przejdę na emeryturę. Nie tylko ten budynek osiągnął punkt krytyczny. Emerytura. I co będę wtedy robił? Szwendał się po Roscommon? A taka Roseanne McNulty, która ma ze sto lat. Gdyby była Angielką, królowa wysłałaby jej list z życzeniami. Czy Mary McAleese wysyła kartki urodzinowe irlandzkim stulatkom? Jestem jednak pewien, że Mary McAleese, jak reszta świata, nie ma pojęcia o istnieniu Roseanne.

Właściwie nie zamierzałem pisać o sobie. Zamierzałem pisać o Roseanne.

Bo kryje się tu jakaś zagadka. Podejrzewam, że gdzieś w dalekiej przeszłości, w jednej z takich instytucji jak ta, spotkało ją coś złego ze strony „personelu”. Nie byłoby w tym nic niezwykłego, takie historie się zdarzały. Jej cierpienia w prawdziwym życiu, w tak zwanym zewnętrznym świecie, były bez wątpienia jeszcze większe. Próbowałem jej zadać kilka delikatnych pytań, takich, które by jej nie wystraszyły i nie skłoniły do milczenia. Ma, zawsze miała, skłonność do żartów, nawet dowcipów. Ja i Bet też tacy byliśmy, dawno temu. Gdy byliśmy na luzie - ale nie, zostawmy to. Jednak ciekaw jestem, czy Bet czuje się samotna tam, gdzie teraz leży? Jak dziwnie było zadzwonić w końcu do tego zakładu pogrzebowego, którego niemile widzianą siedzibę mijałem samochodem tyle razy, z eleganckim wejściem, karawanami z tyłu na podwórku, te wyważone, eufemistyczne sformułowania, liczby, herbata, kanapki, dokumenty pogrzebowe, ceremonia, wyprowadzenie zwłok, wszystkie te sprawy związane ze śmiercią. A dziś rano dyskretny rachunek, z wyszczególnieniem wszystkich pozycji, między innymi trumną, którą wybrałem w przyływie nagłego skąpstwa. Potem, podczas pogrzebu bardzo tego żałowałem. Co ja kupiłem, żeby pochować żonę.

Każdy jej gest, każde zwrócenie głowy, każda chwila czułości między nami, każdy prezent, każda niespodzianka, każdy żart, każde wyjście, wakacje w Bundoran, a później w Benidorm, każde dobre słowo, pomocne zdanie, wszystko to wezbrało jak morze, morze pełne Bet, wystąpiło wielką falą z głębin naszej historii, z otchłani tego wszystkiego, czym byliśmy, i uderzyło w szarzejący brzeg, jakim jestem ja, zalało mnie i o mało nie zmyło na dobre.

O Boże. I znowu zabrnąłem na manowce. Ale tak jest stale w ostatnich tygodniach.

Roseanne. Stara dama. Starucha z ludowych opowieści. Taka wiekowa, a jednak to jedna z tych subtelnych twarzy, które tak bardzo nie zmieniają się od młodości, zdradzają, jak wyglądały kiedyś. Och, jest pomarszczona, bo musi być, z tej kobiety zostały już tylko skóra i

kości, wszystko, co było w niej piękne, jędrne, zwiędło i wyschło. Czy mogę powiedzieć, że Bet zostało to oszczędzone? Nie warto zastanawiać się nad tym, czego oszczędziła nam śmierć. Ona na pewno śmieje się, gdy to słyszy. Co jak co, ale śmierć zna wartość życia.

Z czystej ciekawości chciałbym znaleźć stare zdjęcia Roseanne z czasów młodości. Kiedyś musiała być piękną. Ale żadne zdjęcia nie przetrwały.

Początkowo nie mogłem dowiedzieć się o niej niczego. Właściwie spodziewałem się, że w archiwach niewiele znajdę, biorąc pod uwagę jej wiek. Co o niej wiedziałem? W końcu rozmawiałem z nią co jakiś czas przez dwadzieścia parę lat! A więc kilka faktów. Nazywa się McNulty, nie ma żadnych krewnych, którzy by pozostawali z nią w kontakcie, ani innych znajomych, nikt nigdy nie odwiedził jej w szpitalu i zdaje się, że została przeniesiona tu ze Sligo, ale już ze czterdzieści lat temu, a może i dawniej. Skąd to wiem, nie mam pojęcia, może widziałem kiedyś dokument, który tak stwierdzał, jeszcze w czasach, gdy byłem młody i przyjechałem z Anglii. Naturalnie, Bet chciała mieszkać blisko rodziny, a wiedziałem od ojca, że mam irlandzkie korzenie, więc byłem bardzo zadowolony z możliwości przyjazdu tutaj.

Przypadek, zwykły przypadek, to wszystko. Jakież byłem zaskoczony i zadowolony, pochlebiony, gdy ni stąd, ni zowąd dostałem list od tutejszego ordynatora, pana Amurdata Singha, który proponował mi staż. Skąd dowiedział się o mnie, nie miałem pojęcia, przed zaledwie kilkoma miesiącami ukończyłem studia, nie miałem pracy i desperacko pragnąłem ożenić się z Bet. A tu praca w Irlandii, na czym tak bardzo jej zależało. To było jak cud. Arabowie mówią, że wszystko jest zapisane w księdze życia, a my mamy za zadanie jedynie wypełnić słowa pisma, niewidzialne, nieznanne. Pomyślałem, że może pan Singh uczęszczał do tego samego college'u co ja, ale tak nie było, studiował w Irlandii, na mocy dawnych imperialnych układów, istniejących jeszcze długo po uzyskaniu niepodległości, zarówno przez Irlandię, jak i Indie, jak to bywa. Nie wiem, czy ktoś podał mu moje nazwisko i dlaczego miałby to robić, zwłaszcza że, muszę się przyznać, moja praca magisterska nie była wybitna, zaledwie poprawna. Niemniej czarodziejski list przyszedł i odpowiedziałem na niego z entuzjazmem, młodzieńczym entuzjazmem. Pewnie powiecie, że nie widziałem Roscommon. Ale jeśli nawet było dziurą, to dziurą, która spodobała się Bet. Mieliśmy wszelkie dane, żeby być tu szczęśliwi.

Amurdat Singh, niech Bóg ma go w swojej opiece, był kimś w rodzaju świętego. Może z powodu swojej rasy nie zabłysnął w tym kraju tak, jak mógł. Zasługiwał na to, żeby zostać naczelnym psychiatrą Irlandii. Za jego życia ten szpital był prawdziwym rajem, a on sam miał nowoczesne, ekscytujące poglądy. Bogami byli dla niego Jung i R.D. Laing, których

poglądy stanowiły mieszaną wybuchową. Niestety, umarł w stosunkowo młodym wieku, niewykluczone, że odebrał sobie życie. W sumie jestem zadowolony, że mnie tu ściągnął, niezależnie jak tajemniczym sposobem.

Oczywiście, gdy zjawiłem się w szpitalu, Roseanne Clear przebywała tu już od dobrych dwudziestu lat, w każdym razie pozostawała pod opieką psychiatryczną (może tym razem nie napiszę „tak zwaną”).

Ależ te drzwi stukają. Jakbym znowu miał pięć lat, był w naszym nieistniejącym już domu w Padstow i bał się iść sprawdzić, co wydaje ten dźwięk. Jestem pewien, że to tylko drzwi, może drzwi do tego dodatkowego pokoju, którym Bet wzgardziła, ponieważ znajdował się na jednym piętrze z moim.

Zwróciłem się do szpitala psychiatrycznego w Sligo z prośbą, żeby sprawdzili, czy mają tam jej dane. Mogą nie mieć. Tymczasem znalazłem tu szczątki jakiegoś zeznania, w dużej części zjedzonego przez myszy i oblezionego przez rybiki, jak starożytny zwój na pustyni. A może apokryf Nowego Testamentu. Nie wiem, kto je spisał, ale musiał to być ktoś wykształcony, choć moim zdaniem raczej nie lekarz. Zostało wystukane na maszynie, pewnie jeszcze przez kalkę, którą wkładało się między kartki, wkręcane pod wałek. Mam nadzieję, że w Sligo znajdzie się oryginał.

Jednocześnie staram się rozmawiać z Roseanne, ile mogę, wygospodarowując czas przeznaczony na inne obowiązki, i zdarza się, muszę przyznać, że przesiaduję u niej dłużej, niż powinienem. Mogę powiedzieć, że gdy przebywam w jej pokoju, zatrzuwający mnie ból na krótko maleje. Właśnie wczoraj nawet się rozkleiłem i w desperackiej próbie zachowania profesjonalnego dystansu wyznałem jej, że Bet umarła, co zamiast przywrócić dystans, skróciło go. Pani McNulty podeszła do mnie i poczułem się, jakby przeniknął mnie dobrotliwy piorun, coś pierwotnego, osobliwego i dziwnie czystego.

Może ktoś, kogo nikt nigdy nie odwiedza, ma w sobie jakąś energię, jak elektrownia, od której nie bierze się prądu - jak hydroelektrownia w Shannon w czasach, gdy nie było w domach elektryczności

Owszem, uzyskałem od niej kilka odpowiedzi na moje pytania. Początkowo zastanawiałem się, skąd je zna, czy rzeczywiście, jeśli chodzi o przeszłość, niczego nie pamięta i czy pod jakimś względem naprawdę nie jest chora psychicznie. Czy nie została oddana „pod opiekę psychiatryczną”, bo cierpiała na autentyczną psychozę, a może załamanie nerwowe? Jak to się zdarza wśród chorych psychicznie, mówiła całkiem pewnie i spójnie o tym wszystkim, co rzekomo wie. Nie ukrywała jednak, że o wielu sprawach nie ma pojęcia, co moim zdaniem świadczy, że nie jest chora, tylko jej pamięć też została strawiona przez

czas, jak tamten dokument. Osoby chore często udzielają odpowiedzi na wszystkie pytania, niezależnie od tego, jaka jest prawda. Bardzo nie lubią czegoś nie wiedzieć, bo to powoduje cierpienie i dezorientację.

Później pomyślałem, że stała się ostrożna, bo się mnie boi, albo nie chce mówić, żeby nie wracać do spraw, o których wolałaby zapomnieć. Oczywiście, tak czy inaczej, wiem, że bardzo wiele przeszła. Wyraźnie widać to w jej oczach. To zresztą przydaje jej dziwnego uroku, jeśli mogę tak powiedzieć. Hm, uświadomiłem to sobie dopiero teraz, podczas pisania. Może więc te moje notatki na coś się przydają.

W każdym razie chciałbym poznać historię Roseanne, dotrzeć po nitce do kłębka, jeśli mogę się tak wyrazić. Prawdziwą historię czy to, co da się z niej odtworzyć. Roseanne nie ma wielu lat życia przed sobą, to nie ulega wątpliwości. Wydaje mi się, że najstarszy człowiek w Irlandii w czasach współczesnych dożył stu siedmiu lat, co by znaczyło, że ma ona jeszcze szansę na jakieś siedem. Ale nie sądzę, żeby tyle jej było dane.

Mam nadzieję, że dostanę jeszcze jakieś informacje ze Sligo.

Najbardziej ze wszystkiego żałuję, że Bet wyprowadziła się do tej służbówki. Przyczyną był mój flirt - och, to staroświeckie słowo, które wybrałem podświadomie, żeby zamaskować popełniony przeze mnie grzech - z inną, której życie także spałałem. Przynajmniej tak mi się wydaje, że to było przyczyną. Albo raczej, co bardziej prawdopodobne, że przez to ujrzała mnie w innym świetle. Jako mniejszego, brzydszego człowieka, niż dotąd sądziła.

# **Część druga**



# ROZDZIAŁ DWUNASTY

## Relacja Roseanne

*Ciągle tylko pada* - śpiewała Gwen Farrar, a Billy Mayerl przebiegał palcami po klawiszach. Musiała urodzić się w Sligo, bo śpiewała tak żałośnie: *Chyba przyszedliśmy na świat w płaszcach przeciwdeszczowych...*

Ten ciągły deszcz lejący na Sligo, lejący na duże i małe ulice, tak że domy trzęsą się i tulą do siebie, jak ludzie podczas meczu futbolowego. Lejący niesamowicie, tonami wody, setkami rzek. A sama rzeka, Garravoge, występuje z brzegów, piękne łabędzie, wzięte z zaskoczenia, płyną z nurtem, wpadają pod most i wypływają po drugiej jego stronie jak samobójcy, którym nie udało się zabić, tajemnicze oczy mają czarne, pełne przerażenia, ale tajemniczej gracji nie tracą. Jak dzikie są łabędzie nawet przy tej swojej słynnej urodzie. Deszcz lejący też na chodnik przed Café Cairo, gdy ciągnęłam kotły i różne urządzenia i z płomiennym wzrokiem wyglądałam przez zaparowane okna.

Tak to teraz widzę. Kim byłam wtedy? Kimś obcym, kto jednak nadal tkwi we mnie, w moim ciele. Tkwi w tej pomarszczonej powłoce. Dziewczyna, którą byłam.

\*

Wczoraj zaczęłam pisać o Café Cairo, a potem sparaliżowało mnie jakieś okropne uczucie. Miałam wrażenie, jakby moje kości zamieniały się w wodę, zimną wodę. Spowodowało to coś, o czym mimochodem wspomniał doktor Grene. Jego słowa były jak płyta, która spada na suchy kwiat. Przez cały dzień leżałam w łóżku, czułam się strasznie staro, okropnie, i byłam przerażona. Przyszedł John Kane i nawet on był zaskoczony wyrazem mojej twarzy, bo nic nie powiedział, tylko szybko zabrał się do zamykania pokoju tą swoją okropną miotłą. Chyba wyglądałam na zupełnie obłąkaną. Wszyscy wiedzą, że ludzka skóra stale się łuszczy. Ta miotła musi zbierać drobiny naskórka wszystkich tutejszych pacjentów. Gdy tak nią macha w każdym pokoju. Nie wiem, co to znaczy.

Nie mogę zabrać się do pracy. To chyba dziwne, że próbuję spisać tu swoje puste życie i jednocześnie wzbraniam się przed większością jego pytań. Pewnie chętnie by to wszystko przeczytał, choćby tylko dlatego, żeby ułatwić sobie zadanie, którym go obarczono. Cóż, znajdzie te kartki, kiedy umrę - jeśli oczywiście komuś przyjdzie do głowy, żeby zajrzeć pod te obluźowane klepki. Nie mam nic przeciwko temu, żeby je przeczytał, dopóki nie

muszę odpowiadać na pytania, którymi niewątpliwie by mnie zarzucił, gdyby te zapiski wpadły mu w ręce. Może w gruncie rzeczy prowadzę je dla niego, bo to naprawdę jedyny człowiek, jakiego znam, w każdym znaczeniu tego słowa. Mimo że dopiero od niedawna odwiedza mnie tak regularnie. Pamiętam dobrze, że kiedyś widywałam go dwa razy do roku, na Wielkanoc i w Boże Narodzenie, kiedy wpadał na krótko, pytał, jak się czuję, tak naprawdę nie słuchając odpowiedzi, i wychodził. Ale przecież ma ze stu pacjentów, nie wiem, może nawet więcej. Chociaż zastanawiam się, czy teraz nie jest nas tu mniej. Może jesteśmy już jak te żalosne zakony męskie i żeńskie, które powoli kurczą się do garstki starych braci czy sióstr. Nie mam jak tego sprawdzić, musiałabym obejść cały budynek, co jest mało realne.

Na podwórku, dziś, gdy znów mimo przebieśnięgów Johna Kane'a chwycił mróz, stara jabłoń na pewno strasznie marznie. To drzewo musi mieć ze sto lat. Wiele miesięcy temu schodziłam tam do niego, gdy mi pozwalano. Pień otacza drewniana ławka, jak w starej angielskiej wiosce, jak w starej angielskiej opowieści. Wioskowa zieleń. Ale w pogodny dzień opiera się tam słońce i w jego ciepłe stare drzewo budzi się do życia. A potem pięknie zakwita. W tym roku jeszcze nie zakwitło, a gdyby ośmieliło się wypuścić młode pączki, szcerniałyby od mrozu i musiałoby zaczynać od nowa.

Kiedyś była tu taka mała podkuchenna, która rzucała do prowizorycznego karmnika okruszki z wielkich bochnów chleba, przywożonych do kuchni. Ściągały one sikorki modre, sikorki zielone i wszelkie inne żarłoczne ziarnojady, jakie tylko występują w okolicach Roscommon. Myślę, że odeszła już dawno temu. Zdaje się, że stara jabłoń przetrwa wszystkich.

To drzewo uczyniłoby filozofem kosa. Kwiecie jabłoni jest skromniejsze niż wiśni, ale mimo to jego widok wręcz porusza, aż robi się cieplej na sercu. Kiedyś wiosną doprowadzało mnie do łez. W końcu zawsze zakwitało, mróz czy nie mróz. Chętnie znowu bym to zobaczyła. Mróz może jedynie zatrzymać stare drzewo, ale go nie pokona. Tylko kto mnie tam zaniesie?

*Kiedy zmrożonego mleka wiadro do domu przybywa  
i Dickowi, pasterzowi, na walkonieniu się czas upływa...*

Stary Tom, mój teść, miał wspaniały ogród przy swoim domku w Sligo. Świetnie udawały mu się zimą warzywa. Pamiętam, jak mówił, że mróz dobrze robi zimowej kapuście i sałacie. Był mistrzem uprawy warzyw przez okrągły rok, co najwyraźniej jest możliwe, jeśli

się wie, jak to robić. Jak z większością rzeczy.

Stary Tom McNulty. Do dziś nie wiem, czy był wrogiem, czy przyjacielem. Do dziś mam mieszane uczucia wobec nich wszystkich, wobec Jacka - nie, nie, może mam powody, żeby przeklinać ojca Gaunta i tę starą kobietę, matkę Toma i Jacka, prawdziwą panią McNulty, jak byście powiedzieli. Ale sama nie wiem. Pani McNulty była przynajmniej jawnie nieprzyjazna, podczas gdy Jack i ojciec Gaunt zawsze udawali życzliwych. Och, co za irytująca zagadka.

Teraz zaświtała mi nieprzyjemna myśl, czy doktor Grene też nie udaje życzliwego. Sądząc po jego sposobie mówienia, być może życzliwego zawodowo. Przyjaciel czy wróg, nikt nie ma monopolu na prawdę, nawet ja sama, i to też irytująca, niepokojąca świadomość.

Przykro mi było, gdy powiedział tak od niechcenia, że mój ojciec służył w policji. Nie wiem, po co to mówił. Słyszałam o tym już wcześniej, ale nie pamiętam gdzie i od kogo. To kłamstwo, paskudne zresztą. Za takie pomówienie w dawnych czasach można było zostać rozstrzelanym, kiedyś w Irlandii panowała nawet moda na rozstrzeliwanie, jak z tymi słynnymi siedemdziesięcioma siedmioma, których nowy rząd skazał na śmierć. I przeważnie wszyscy ci straceni byli dawniej ich towarzyszami broni. John Lavelle miał szczęście, że uciekł, bo byłby siedemdziesiąty ósmy. Jednakże na pewno dokonywały się też skrytobójstwa, tajemnicze morderstwa, których nikt nigdy nie policzył i nie pamięta. Smutne, okropne, dokonane z zimną krwią rzezie chłopców w górach i tym podobne, z rodzaju takich, jakiej sama byłam świadkiem, a w każdym razie widziałam jej skutki, jak w przypadku brata Johna, Williego.

Z prawdziwą ulgą przywdziałam więc fartuszek kelnerki w Café Cairo. W kawiarni obsługiwano wszystkich ze Sligo bez wyjątku. Należała ona do rodziny kwaków i dostaliśmy polecenie, żeby nikogo nie odprawiać spod drzwi. Można więc było tam zobaczyć biednego, samotnego emeryta, który pił herbatę i myśląc, że nikt nie widzi, wyjmował zza pazuchy kilka przyniesionych z sobą kawałków sera. Pamiętam tego człowieka bardzo dobrze i to, że wydał mi się strasznie stary w tym swoim znoszonym brązowym garniturku. Prawdopodobnie miał nie więcej niż siedemdziesiąt lat! Obecność tych niedomytych osobników nie zniechęcała jednak wcale dam ze Sligo, które też chętnie przychodziły do nas na pogaduszki.

Były to prawdziwe kwoki: jak siedziały rozparte przy stolikach, jak paplały między sobą i wymieniały plotki, robiąc szum jak pszczoły w ulu! Niektóre z nich były wspaniałymi, pełnymi życia kobietami, które my, to znaczy zastęp kelnerek, uwielbiałyśmy, uwielbiałyśmy patrzeć na nie codziennie, i które chętnie obsługiwałyśmy. Inne były jędzami, jak można się spodziewać. Ale przychodziły tam rozmaite typy ludzi, to naprawdę był mój uniwersytet, tak

wiele się tam nauczyłam, podając herbatę i prawiąc uprzejmości, to mógł być dla mnie początek całkiem udanego życia, jak sądzę.

Myślę, że mogłabym dostać tę pracę w zwykły sposób: zobaczyć ogłoszenie w oknie, wejść do środka, w jakiś sposób dać do zrozumienia, że choć wyglądam niepozornie, jestem prezbiterianką, co stanowiło warunek przyjęcia (choć kwakrzy prowadzący kawiarnię byli otwarci, nie zatrudniali katoliczek, z wyjątkiem Chrissie, która była katoliczką, ale wychowywała się w protestanckiej szkole społecznej). Jednakże stało się to inaczej.

Po śmierci ojca matka, już i tak milcząca, zamknęła się w sobie jeszcze bardziej, jak by powiedziano w tej instytucji. Któregoś rana wstałam i zeszłam do kuchni, żeby zaparzyć jej herbatę, a kiedy wróciłam, nie zastałam jej w łóżku. Był to dla mnie wstrząs, zbiegłam na dół, wołając ją i szukając wszędzie, na ulicy, gdzie się dało. Wtedy przypadkiem wyjrzałam przez okno w spizami przy kuchni i zobaczyłam ją: leżała zwinięta w kłębek jak pies pasterski pod niszczącym motocyklem ojca. O tak, przyprowadziłam ją do domu i położyłam do łóżka, w szarą, muszę przyznać ze wstydem, pościel, bo kładła się spać nieumyta. Ale byłam tak przygnębiona i zdenerwowana, że tego dnia uciekłam z domu i wybrałam się aż do Rosses Point, na najładniejszą plażę, bo pomyślałam, że przejdę się wśród tamtejszych pól golfowych, z małymi jeziorkami, nad którymi zbierały się samotne ptaki, z wyłaniającymi się nagle pięknymi widokami dalekich domów nad morzem, które jakby podchodziły do brzegu, żeby się napić (oczywiście była to słona woda, ale wszystko jedno). I doszłam tam, najpierw dotarłam do domków w Rosses z wyspą Coney po drugiej stronie Garravoge i tą wspaniałą, kojącą sylwetką Metalowego Człowieka, w starym niebieskim ubraniu z żelaza i czarnym kapeluszu, wiecznie wskazującego głębokie wody, żeby informować przybywające statki, dokąd mają płynąć. Był to tylko posąg na skale, ale lepszej metody, żeby wskazywać głębokie, bezpieczne wody, dotąd nie wymyślono. Słyszałam kiedyś, że ma on brata w małym parku nad morzem w miasteczku Dalkey, w hrabstwie Dublin, ale nie wiem, co tam robi.

Za Coney i Metalowym Człowiekiem oczywiście leży Strandhill, trochę brzydsza plaża, która stała się później scenerią moich cierpień.

Kiedy dotarłam do plaży w Rosses Point, wiał dość silny wiatr i choć za wydmami stało całkiem sporo czarnych samochodów, właściciele musieli w nich siedzieć, bo nad morzem nie było nikogo. Tylko ten porywisty wiatr. Ale w pewnej odległości zobaczyłam postać, kobietę w rozwianej białej sukience, z trudem pchającą duży czarny wózek. Gdy podeszłam bliżej, usłyszałam, że coś woła, jej głos zanikał i nasilał się, zależnie od tego, jak chciał wiatr. W końcu doszłam do niej i zauważyłam, że mimo chłodu irlandzkiego lipca cała była spocona.

- O Boże, o Boże - mówiła; wyglądała jak królik z *Alicji w krainie czarów*. - Nie mogę jej znaleźć, nie mogę jej znaleźć.

- Kogo nie może pani znaleźć? - zapytałam, domyślając się po jej akcencie, że musi pochodzić z wyższych sfer i należy się zwracać do niej „proszę pani”.

- Mojej córeczki, mojej małej córeczki - odparła dziwnie zawodzącym głosem. - Zasnęłam na wydmach, na słońcu, moja mała bawiła się tuż obok, ale gdy się obudziłam, już jej tam nie było. Ma dopiero dwa latka. O mój Boże, o mój Boże.

- Nie jest w wózku? - zapytałam pod wpływem nagłej myśli.

- Nie, nie, ona już chodzi. W wózku jest jej braciszek, śpi jak suseł! Moja córka już chodzi. Winnie! Winnie!

I nagle odbiegła ode mnie, jakby po mojej głupiej uwadze o wózku porzuciła myśl, że będę w stanie jej pomóc.

- Pomogę pani szukać - powiedziałam. - Pomogę pani. - I nawet wzięłam ją na chwilę pod ramię. Było chude pod białym lnem. Przystanęła i spojrzała na mnie. Przyjrzała mi się swoimi zielonymi wilgotnymi oczami.

Podbiegłam do wydm i ruszyłam starą ścieżką pomiędzy nimi, którą chadzałam z ojcem dziesiątki razy. Ścieżka biegła raz w górę, raz w dół, i po jakimś czasie znalazłam się znowu przy samochodach. Fala zaczęła się już podnosić, obmywając kamienisty w tamtym miejscu brzeg. Wiedzioną intuicją, wróciłam nad wodę, bo przypomniałam sobie, że jest tam grotta, dziwna, głęboka grotta, którą dzieci wręcz uwielbiały. Ojciec mówił mi, że znaleziono w niej najstarsze szczątki ludzkie w Irlandii, że mieszkali tam jedni z pierwszych ludzi w historii, na pewno bohaterzy, dzielni i wylęknieni jednocześnie, samiuteńcy w krainie przepastnych lasów i mokradeł.

Zajrzałam do mrocznej groty i okazało się, że intuicja mnie nie zawiodła. Zobaczyłam tam małą, skuloną postać, która kopała w suchym piasku, z mokrą pupą, radosna jak skowronek. Wzięłam ją na ręce i nawet się nie przestraszyła, bo może uznała mnie za istotę ze swoich fantazji. Gdy wyszłam z nią na otwartą przestrzeń, zobaczyłam w oddali jej matkę, która przeszukiwała skały po drugiej stronie plaży. Był to jakby obraz bezskutecznych wysiłków, daremnej matczynej troski. Nagle pożałowałam, że moja matka nie szuka mnie z taką desperacją, z kroplami potu na twarzy, że nie znajdzie mnie tu, na końcu świata, nie uratuje, wzywając na pomoc innych, nie przytuli do piersi, co na pewno pragnęła zrobić ta matka w oddali ze szczęśliwą dziewczynką, którą trzymałam w ramionach.

Niemniej ruszyłam przez piach, usiany niezliczonymi, ostrymi jak brzytwa muszelkami, w wietrze, który marszczył każdy centymetr powierzchni wody. Kiedy byłam w

połowie drogi, matka chyba przeczuła, że idę, bo z namysłem zwróciła twarz w moją stronę. Nawet z tak dużej odległości ogarnęło mnie wrażenie jakiejś tajemnicy, wyczułam ogromną panikę tej kobiety i wręcz namacalną ulgę, bijącą od niej, gdy pomyślała, poczuła nadzieję, wypatrzyła mnie ze swoją córką w ramionach. Szłam ku niej szybko, rozchlapując wodę, przez dzielącą nas połąć piachu. Ona zaczęła biec w moją stronę, wciąż pchając przed sobą wielki wózek, i gdy dzieliło nas jeszcze kilka metrów, zaczęła się śmiać, ryczeć ze śmiechu, tak to właśnie brzmiało, wózek niemal wpadł na mnie, dziecko zostało wyrwane z moich ramion, a potem był już tylko płacz, okrzyki, głośny śmiech. I było tak, jakbym przywróciła matce dziecko ze świata zmarłych, zwłaszcza kiedy powiedziałam jej o grocie i początku przyływu.

- Nie umiem ci opisać, nie umiem - powiedziała - tego straszliwego uczucia, kiedy nie mogłam jej odnaleźć. W głowie słyszałam krzyk tysiąca mew. W piersi czułam ból, jakby oblano mnie gorącym olejem. Cała plaża wołała do mnie tą swoją pustką. Moja kochana dziewczynka, moja kochana dziewczynka!

Te ostatnie słowa skierowane były do mnie, choć w objęciach trzymała swoją „kochaną dziewczynkę”, ale zaraz objęła też mnie.

- Dziękuję ci, dziękuję, dziękuję.

I była to pani Prunty, żona właściciela Café Cairo. Niebawem wypytała mnie o wszystko, poznała moją historię, którą opowiedziałam jej w stosownej, jak liczyłam, wersji, gdy wracałyśmy do Sligo jej wielkim czarnym samochodem. I sama zaproponowała, żebym przyszła pracować do Café Cairo, bo skończyłam już naukę, mój ojciec nie żył, a matka, „niedomagająca”, jak to określiłam, musiała przebywać w domu.

\*

Nie pamiętam chwili, gdy Tom po raz pierwszy przyszedł do kawiarni, ale mam w pamięci żywy jego obraz, jak na fotografii, takiej ze złotym brzeżkiem, jak na jednym z fotosów przed kinem w Sligo, i tę jego aurę, bijące od niego nieskończenie dobre samopoczucie - niski, mocno zbudowany, niemal gruby mężczyzna w solidnym, porządnym garniturze, tak niepodobny do brata, Jacka, który ubierał się bardziej sztywnie, chodził w tak eleganckim płaszczu, że miał on nawet miękki skórzany kołnierz, jak u jakiegoś gwiazdora filmowego. Obaj nosili ekstrawagancko drogie kapelusze, choć byli synami krawca w zakładzie dla obłąkanych w Sligo, co może wyjaśnia toporny krój garnituru Toma - bo z pewnością nie jego brata. Ale ich ojciec również prowadził główną orkiestrę taneczną w Sligo, Orkiestrę Toma McNulty'ego, i dzięki temu mieli więcej pieniędzy niż większość ludzi w tych generalnie ubogich czasach. Ojciec, następny niski mężczyzna, którego widywałam w

kawiarni tego upalnego lata, w słomkowym kapeluszu i pasiastej marynarce, takich, jakie można było zobaczyć tylko na środowych wyścigach za miastem, nazywany był Starym Tomem, a Tom - Młodym Tomem, co było bardzo pomocnym rozróżnieniem, bo on także grał w tym sławnym zespole, sławnym choćby tylko wśród wydm Strandhill i w marzeniach mieszkańców Sligo.

Musiałam pracować już ze dwa lata w Café Cairo albo nawet dłużej, gdy po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że istnieją jacyś bracia McNulty. Te pierwsze lata, które spędziłam tam jako zwykła kelnerka, były szczęśliwe, ja i Chrissie nie tylko szybko się z sobą zaprzyjaźniłyśmy, ale też wspierałyśmy się w tym nieprzyjaznym świecie. Chrissie była drobną, schludną, miłą dziewczyną, bo takie dusze się zdarzają. Nie wszyscy są jak noże i siekiery. Co więcej, choć rzadko widywałam panią Prunty, zawsze czułam jej tajemniczą obecność za parującymi kotłami, pięknymi, wielopoziomowymi paterami na ciasta, rzeką srebrnych noży i łyżeczek, i tych ślicznych widelczyków, tylko do najdelikatniejszych ciastek. Wiedziałam, że krząta się gdzieś za tym wszystkim, za kunsztownie rzeźbionymi drzwiami, drobiazgami z jakiegoś Egiptu, którego nikt nigdy nie widział, i mówi o mnie dobrze. Tak sobie przynajmniej wyobrażałam. Zarabiałam kilka szylingów, karmiłam i myłam matkę, wieczorami chadzałam do kina, oglądałam setki filmów, kronik filmowych i innych takich, cuda nad cudami z najpiękniejszych, najbardziej wyrafinowanych marzeń. I jakoś w tamtych czasach to mi wystarczało, odrzucałam wszystkie propozycje, żeby chodzić z kimś „na stałe”, tańczyć z jednym partnerem więcej niż raz czy dwa. Z gromadą dziewcząt z miasteczka wybierałyśmy się na tańce do Toma McNulty'ego nad morzem, płynęłyśmy ciemnymi drogami jak potok róż, czasami wylewając się radośnie, beztrudnie na samą plażę, gdzie z wioski w górnym Strandhill dochodziła droga, a paliki na piasku jeden za drugim wskazywały podczas odpływu drogę na Coney. Może raczej określilibyście nas jako mewy, eleganckie białe ptaki, które nurkują w wodzie i krzyczą, choć zawsze przebywałyśmy na lądzie - jakby na morzu wiecznie był sztorm. Och, siedemnastoletnie i osiemnastoletnie dziewczęta wiedzą, jak żyć, kochają życie, jeśli się im na to pozwoli.

Jak mówię, nikt z nas nie widział nigdy Egiptu, choć Jack jako chłopak służył w brytyjskiej marynarce handlowej i znał każdy port na ziemi - o czym ja oczywiście wtedy nie miałam pojęcia. Nie znałam epopei Jacka - małej epopei, żadnej nadzwyczajnej epopei, lokalnej epopei, ale epopei mimo wszystko. Widziałam jedynie, zaczynałam widzieć, dwóch odszykowanych braci, którzy przychodzili na herbatę, chińską liściastą w przypadku Toma i earl grey w przypadku Jacka.

Ponurą historię ich brata Eneasa poznałam znacznie później, jeśli w ogóle ją poznałam. Zaledwie fragment, kilka kartek wyrwanych ze sfatygowanej książki jego życia. Czy można kochać kogoś, kogo się znało - w biblijnym sensie - tylko jedną noc? Nie wiem. Ale była to miłość, czuła, silna, prawdziwa miłość. Boże, wybacz mi.

## Z notatek doktora Grene'a

*Mirabile dictu* (obowiązkowa lektura Wergiliusza w szkole przynajmniej na coś się przydała, dzięki niej zapamiętałem to powiedzenie), z zakładu psychiatrycznego w Sligo przybyły dalsze dokumenty. Przede wszystkim oryginał starego zeznania - ich archiwa muszą być w lepszym stanie, bo kartki są prawie niezniszczone. Muszę powiedzieć, że jej historia według tego dokumentu bardzo mnie zaintrygowała, osadza osobę, którą znam od lat jako pacjentkę, w pewnej scenerii. W ludzkiej panoramie zdarzeń i problemów, jak na obrazie Leonarda da Vinci, może samej *Mona Lisie*, z zamkami i wzgórzami w tle (z tego, co pamiętam - ale może zamku tam nie ma).

A ponieważ sama zachowuje powściągliwość, przystąpiłem do czytania go z wielkim podnieceniem, jakbym mógł tam uzyskać odpowiedzi na pytania, które jej zadałem. Muszę się jednak bardzo mieć na baczności. Słowu pisanemu niekoniecznie można wierzyć. Nie powinienem wypełniać luk, spowodowanych jej milczeniem, zawartymi tam informacjami, choć to wielka pokusa, bo stanowi drogę na skróty albo obejście. Dokument składa się z jakichś siedemnastu zapisanych na maszynie kartek i jak się zdaje, zawiera relację ze zdarzeń, które prowadzą do jej... zamierzałem powiedzieć „uwięzienia”, ale oczywiście mam na myśli umieszczenie w zakładzie psychiatrycznym. Podzielony jest na dwie części, pierwsza opowiada o jej życiu do czasu zamążpójścia i powodach unieważnienia tego małżeństwa, jeśli tak się to dziś nazywa. Po nim chyba nastąpił okres strasznego zamętu w jej życiu, strasznego, naprawdę przerażającego i godnego współczucia. To wszystko działo się dawno temu, w okrutnej bajce, jaką było życie w Irlandii w latach dwudziestych i trzydziestych, zasadniczo, choć najtrudniejszy okres przypada, jak się zdaje, na lata kryzysu, jak de Valera określał drugą wojnę światową.

Mówiąc z całą szczerością, nie wiem, ile z tego mogę przed nią ujawnić. Jakoś wątpię, sądząc po jej wczorajszej reakcji, że zechce wysłuchać tych rewelacji, które dla niej mogą nie być żadnymi rewelacjami. Jeśli są prawdziwe, to jest to straszna prawda, która musi ciążyć na człowieku. W miejscu takim jak to nie powinniśmy skupiać się za bardzo na moralnej czy



nawet prawnej ocenie. Jesteśmy jak kapelani więzienni, zajmujemy się duszą ludzką po wypowiedzeniu się o niej sił społecznych.

Usiłujemy ją ukoić, przygotować - na co? Pod topór, gilotynę zdrowia psychicznego? Na odsiadkę wyroku śmierci za życia, jaką w gruncie rzeczy jest pobyt tutaj?

Dokument, który mnie tak zainteresował, może nawet trochę przeraził, został podpisany przez ojca Aloysiusa Mary Gaunta, którego nazwisko coś mi mówi. Usiłowałem sobie przypomnieć, skąd je znam, i nagle uświadomiłem sobie, kto to był - biskup pomocniczy Dublina w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, którego pozycja, jako najwyższego moralnego autorytetu w mieście, została określona w ogólnikowych sformułowaniach konstytucji irlandzkiej, jak zresztą większości duchowieństwa. Człowiek, który - jak wynika z jego publicznych wypowiedzi - najwyraźniej pragnął zamknąć kobiety w domach, a mężczyzn wynieść do poziomu istot czystych, szlachetnych i walecznych. Teraz wydaje się to nawet śmieszne, ale wtedy nic śmiesznego w tym nie było.

Ten ojciec Gaunt jako młody wikariusz w Sligo miał, zdaje się, bliską styczność z Roseanne Clear. Była ona córką sierżanta Irlandzkiej Policji Królewskiej (co wiem już ze zniszczonego fragmentu, który znalazłem tutaj). De Valera, jako młody przywódca podczas wojny o niepodległość, oświadczył, że każdy policjant, jeśli będzie w jakikolwiek sposób utrudniał realizację celów ruchu rewolucyjnego, zostanie rozstrzelany. Tacy ludzie, choć Irlandczycy i przeważnie wyznania katolickiego (ojciec Roseanne był wprawdzie protestantem), żyli więc wraz z rodzinami w ciągłym zagrożeniu, w prawdziwym niebezpieczeństwie. To nic nadzwyczajnego w okresie rewolucji, ale zastanawiam się, czy Roseanne, w wieku dwunastu lat czy coś koło tego, mogła zdawać sobie z tego sprawę. To, co się stało, musiało być w jej oczach naprawdę tragiczne, naprawdę oszalamiające i straszne.

Właśnie spojrziałem na zegarek, jest za dziesięć ósma, więc najwyższa pora kończyć, żebym zdążył na obchód o ósmej dziesięć. Muszę iść.

Uwaga dla siebie: budowlańcy mówią, że jeszcze sześć tygodni i nowy budynek będzie gotowy. To informacja z pierwszej ręki, bo wczoraj osobiście byłem na placu budowy, wybrałem się tam jak szpieg, żeby zasięgnąć języka. Ale dość tego...

# ROZDZIAŁ TRZYNASTY

## Relacja Roseanne

To dziwne, ale „pознаłam” Toma nie w Café Cairo, tylko zupełnie gdzie indziej. Mianowicie w morzu.

Jakim przywilejem jest posiadanie dzieci, najlepiej widać na plażach tego świata. Jakaż to tortura dla starej panny czy bezdzietnego mężczyzny widzieć te diabełki i aniołki w różnym wieku, szalejące na brzegu morza. Jak jakiś gatunek ptaków wędrownych. Ludzkie zwierzę powstało przecież z wijącego się stwora, który niestety wypełził z pradawnych mórz na ląd. Dlatego tak bardzo ciągnie nas nad morze.

Nie jestem tak całkiem bezdzietną osobą.

Ta historia też wiąże się z morzem, a w każdym razie z plażą.

Moje dziecko. Moje dziecko zabrano do Nazaretu, tak mi powiedzieli. Albo wydawało mi się, że tak mówili. Ale wtedy nie wszystko słyszałam za dobrze, za dokładnie. Mogli równie dobrze powiedzieć „Wyoming”.

Plaża w Strandhill jest wąska, urwista, zagrożona, wydmy zdają się podciągać swoje wielkie kolana, żeby uniknąć podmycia stóp. Jest tam długa, wyboista promenada, przy której zatrzymywały się kiedyś gigi, dwukółki i samochody, a z nich wysypywali się pasażerowie, z takim samym co zawsze, jestem tego pewna, typowo ludzkim wyczekiwaniem, dzieci wybiegały naprzód, ojcowie się śmiali, przeklinali, a matki upominały albo wpadały w panikę - cała ta wrzawa i zamieszanie towarzyszące zwykłemu szczęściu. Stroje kąpielowe do kolan rywalizujące w wieczności z tymi cudownymi kostiumami bikini, które widziałam w zabłąkanych tu czasopismach. Jakżebym chciała mieć jeden z nich!

I na początku nieliczne domy, wzniesione zuchwale na bagnach i połaciach nawianego piasku, szkocka trawa, wznoszący się coraz bardziej grunt, który w końcu dochodzi do Knocknarei, gdzie w kamiennym grobowcu spoczywa królowa Maeve. Z wierzchołka Knocknarei można zobaczyć plażę w Strandhill, ale ludzie są jak łebki od szpilek, a już dzieci i wszystko ich wielkości jak pył w oku.

Patrzyłam stamtąd w dół, w rozpaczy i we łzach.

Cały ten obszar był później „moją” krainą. Strandhill, Strandhill, wariatka ze

Strandhill.

Najpierw na niepewnym gruncie stanęło kilka domów, potem stary hotel, bungalowy i następne domy, i wreszcie, jakoś w latach dwudziestych, Tom McNulty zbudował salę taneczną o nazwie Plaza. Słynna wielka hala kryta stalową blachą falistą z zaokrąglonym dachem, betonowym frontem o dziwnie niepozornych drzwiach i okienkiem z kasą, cały ten blask, zapraszający, pełen obietnic, och, i to kłębownisko marzeń, które unosiło się nad ściągającym w każdy piątkowy wieczór tłumem i na pewno docierało do nieba, żeby pocieszyć Boga, wątpiącego w to, co stworzył.

A bilety na te marzenia wydawał Tom McNulty, ojciec i syn. Ja zaś czułam to marzenie z całą pasją.

Że też siedzę tu i opisuję to wszystko, ręce mając stare jak Matuzalem. Spójrzcie na te ręce. Nie, przecież nie możecie. Skóra na nich jest cienka jak - czy widzieliście kiedykolwiek muszlę ryby brzytwy? Cała plaża w Rosses jest nimi usiana. Hm, te muszle pokrywa taka przezroczysta warstewka, jak schnący lakier. To coś dziwnego. I taka jest teraz moja skóra. Ciekawe, czy mogłabym przez nią policzyć swoje kości? Prawdę mówiąc, moje ręce wyglądają tak, jakby je zakopano na jakiś czas, a potem wykopano. Przestraszylibyście się na ich widok. Nie spoglądałam w lustro już z piętnaście lat.

\*

Pierwszych kilka kroków w morzu w Strandhill nie stwarzało niebezpieczeństwa. W lecie człowiek czuł się jak w ciepłej kąpiel. Morze nie wysilało się tu szczególnie podczas przyływów i odpływów, tak przynajmniej czułam. Może miały z tym coś wspólnego dzieci, które usiłowały przeniknąć wzrokiem wodę, to znaczy z tym ciepłem. Było naprawdę przyjemnie. Ja i Chrissie, i inne dziewczęta z Café Cairo... Pani Prunty zawsze starała się zatrudniać w kawiarni przyzwoite dziewczęta, ale jednocześnie takie, które miały dobrą prezencję, a to zupełnie nie to samo. Myślę, że wyglądałyśmy jak boginki. Mary Thompson mogłaby pozować do zdjęć w czasopiśmie, Winnie Jackson kiedyś pozowała, do „Sligo Champion”. *Panna Winnie Jackson korzysta z pięknej pogody w Strandhill.* W pięknym jednoczęściowym kostiumie kąpielowym, który przysłano jej w pudełku od Amotta w Dublinie, pociągami relacji Dublin-Sligo. Zachwycilibyście się. Miała śliczny, wydany biust i chłopcy, patrząc na nią, musieli popadać w rozpacz, że nigdy nie będą mieli okazji nawet z nią porozmawiać.

Nasze ciała stawały się wręcz czarne w gorącym sierpniowym słońcu. Czasem wieczorami miałyśmy czerwone twarze, gdy wracałyśmy przez plażę do domu, piekła nas poparzona skóra i leżąc już w łóżkach, starałyśmy się nie dotykać ramionami pościeli.

Niczego nie brakowało nam do szczęścia. A następnego ranka skóra dochodziła do siebie i znowu pragnęła znaleźć się na plaży, a potem znowu i znowu. Byłyśmy szczęśliwe. Takie zwyczajne, prostolinijne dziewczęta. Lubiłyśmy doprowadzać chłopców do rozpaczy.

Kto czał się na obrzeżach naszego szczęścia niczym rekin, pożerając nas wzrokiem? Czasami rozmawiałam z jakimś chłopcem na tańcach, ale oni nigdy dużo nie mówili, a kiedy już coś powiedzieli, nie było to warte słuchania. Nikomu to jednak nie przeszkadzało. Schodziliśmy się wszyscy na tańce, państwo z miasteczka i chłopcy w za krótkich spodniach, spod których wystawały skarpetki albo gołe nogi w zdartych butach. Na zewnątrz przywiązanych było zawsze kilka osłów, stały tam jakieś chabety i ustawione na sztorc wózki. Ze stoków góry niczym dziwna lawina staczały się jej synowie i córki. Urocza zbieranina ludzka.

Zawsze był tam też ojciec Gaunt albo ktoś taki, ten czy inny wikary, czaple między płotkami. Mój Boże, o ile pamiętam, istniał jakiś edykt przeciwko tańcom. A może to sobie tylko wymyśliłam. Wydaje mi się, że w kościołach grzmiano przeciwko tańcom, ale nie wiem dokładnie, jak to było. Miało nie być przytulania. Mieliśmy tańczyć dziwnie, chłodno, bez dotykania. A cudownie było otrzeć się o chłopaka pod koniec utworu, ty spocona, on spocony, jak to latem, bijący od niego zapach mydła i torfu. I to coś, czym smarowali wtedy włosy, brylantyna, tak to się chyba nazywało. Byli tam chłopcy, których ojcowie i matki pewnie jeszcze rozmawiali po irlandzku daleko na wzgórzach Sligo, a oni sami chodzili już do kina i chcieli wyglądać jak amanci ze srebrnego ekranu, chyba że próbowali upodobnić się do irlandzkich patriotów, i tak też się zdarzało. Michael Collins wydawał się bardzo męski z brylantyną. Nawet de Valera miał gładko przylizane włosy.

A zespół Toma McNulty'ego grał porywająco. Młody Tom, stojący na skraju podestu z uniesioną trąbką albo klarnetem, potrafił zagrać wszystko to, czego się wtedy słuchało. Na tańcach obowiązywał jazz, ale lubiliśmy także fokstrota, a nawet walce. Tom nagrał płytę, wydał ją jako Zespół Ragtimowy Toma McNulty'ego, i na jej punkcie sala szalała, naprawdę. Tom wtedy promieniał. Oczywiście, w tamtym czasie był dla mnie tylko sławnym człowiekiem, z którym nigdy nie rozmawiałam, chyba że w kawiarni, gdy pytałam: „Co dla pana?”. Na to przeważnie padała odpowiedź: „Chińska herbata i bułeczka z rodzynekami. A dla brata earl grey”. Uwielbiał bułeczki z rodzynekami. Ciekawa jestem, czy wciąż je tam podają. Były wtedy niemal obiektem kultu religijnego, nie piło się bez nich kawy, bo po co. Zabawne, że w tamtych czasach wszystko było ustalone, niezmiennie. Bułeczki z rodzynekami, ciastka z kremem, eklerki, bułeczki z wiśniami i białym lukrem na wierzchu - wydawało się, że to wszystko istnieje od tak dawna jak wieloryby, delfiny czy makrele, stanowi element

naturalnego biegu rzeczy, historii naturalnej kawiarni.

Miałam stale świadomość, że ojciec nie żyje, ale jakoś udawało mi się to upychać pod poduszkę z własnych włosów, na której spałam. Nie mogłam nic poradzić na to uczucie szczęścia ogarniające mnie, kiedy budziłam się rano; owszem, musiałam zajmować się matką, ale byłam w stanie ją nakarmić i opiekować się nią, ona nigdy nic nie mówiła, nigdzie nie wychodziła, tylko siedziała w domu, w pasiastym szlafroku, a ja miałam w sobie energię, jak samochód uruchomiony korbą, byłam nakręcona jak on, dziwnie nakręcona każdego ranka, gdy się budziłam, ta energia mnie wręcz rozpierała, wypędzała z domu i gnała ulicami Sligo, tak że wpadałam przez szklane drzwi Café Cairo, całowałam na przywitanie moją przyjaciółkę Chrissie, śmiałam się, jeśli pani Prunty była w pobliżu, posyłała mi nieśmiały uśmiech, a ja wręcz jaśniałam, jaśniałam.

Zawsze warto wyliczać powody do szczęścia, w życiu jest tak dużo jego przeciwieństwa, że lepiej zaznaczać je zakładką, dopóki można. Kiedy byłam w tym stanie, wszystko wydawało mi się piękne, zacinający deszcz przypominał srebro, wszystko mnie interesowało, wszyscy czuli się przy mnie swobodnie, nawet te łążęgi ze Sligo o oczach jak szparki, z palcami żółtymi od papierosów, tych gwoździ do trumny, które palili, i z żółtą plamą nad górną wargą, gdzie stale tkwił pet. Mówiący z akcentem, który przypominał brzęk butelki rozbijanej w bocznej uliczce.

Teraz wszystko to powraca do mnie nieproszone. A miałam dziś napisać o Tomie i morzu. Ratującym mnie w morzu szczęścia.

\*

Zanurkowałam. Myślałam, że wiem, co robię. To dziwne, jak dobrze pamiętam dotyk tego kostiumu kąpielowego z cienkiej wełny na skórze. Był w paski, trzy grube paski następujące przemiennie po sobie, i trzymałam go przez całą zimę z myślą o lecie. Nie znaleźlibyście w Sligo ładniejszego. Gorący dzień w Irlandii jest takim cudem, że w mgnieniu oka stawaliśmy się szalonymi cudzoziemcami. Deszcz zapędza wszystkich do domu, jak historia. W gorący dzień nic się nie dzieje, a ponieważ w naszym świecie generalnie panuje wilgoć, zaskoczona zieleń pól i wzgórz jakby zapalała się ze zdumienia, zadziwienia. Ziemia sama się sobie podoba, a chłopcy i dziewczęta na plaży, pomalowani płową żółcią, błękitem i zielenią morza, też jakby płonęli. A przynajmniej takie miałam wrażenie. Można by pomyśleć, że jest tam całe miasteczko, wszystko wydawało się pociągnięte tym samym pędzlem upału, wszystko stapało się i topniało. Nie wiem, czy Plaza już wtedy istniała, na pewno istniała, bo widziałam Toma McNulty'ego, jak gra, a skoro tak, musiał to być rok 1929 albo nawet później, więc nie byłam już podlotkiem, ale nie jestem tego do końca pewna.

Trudno ocenić wiek kogoś ubranego w kostium kąpielowy, do tego w blasku słońca, i nie umiem powiedzieć, ile miałam wtedy lat, wpatruję się w ten obraz oczami wyobraźni i jedyne, co widzę, to migotanie.

I pod powierzchnią morza też wszystko migotało, usiane plamkami, połączone w łańcuch cudów, w tej cudownej półślepcie, jaka ogarnia oczy pod wodą, zamglone, bo samo morze jest wielką soczewką i jakby nosiło się je na twarzy, na nosie. Więc zaczęło to jeszcze bardziej przypominać obraz, szalony, zwariowany obraz, w bibliotece w ratuszu jest cały album o tych malarzach, którzy tworzyli we Francji i na początku byli wyśmiewani, jakby w ogóle nie umieli malować. Nie będę ryzykować i nie wymienię nazwisk, ale pamiętam je dobrze, trudne, trudne nazwiska i do tego trudne życie, dźwięczą mi w głowie, gdy to piszę. Ale byłoby mi wstyd, gdybym napisała je źle. Jestem więc pod wodą, mam rozluźnione całe ciało, ale jednocześnie napięte, płuca początkowo pełne powietrza, a potem desperacko go łaknące, i lżejszą głowę, wspanialszą, woda jest coraz chłodniejsza, omywa mi twarz, pyta ją, kim jest, jaki ma kształt, w niezliczonych detalach. Nagle pragnę opowiedzieć o tym doktorowi Grene'owi, nie wiem dlaczego, wyobrażam sobie, że by go to zainteresowało, sprawiło mu przyjemność, ale jednocześnie boję się, że coś by z tego wyczytał. On wszystko interpretuje, a to niebezpiecznie, bardzo. O tak, plaża w Strandhill, przyływ, przez chwilę jest przyjemnie, potem morze się cofa, nagle znajdujesz się w głębokiej wodzie zatoki, to jak wielki mięsień, ogromny, niczym słynna rzeka Hudson, nie, nie, oczywiście nie tak wielki, ale czuję, że nie tyle w niego wchodzę, ile dotykam czegoś olbrzymiego, wijącego się tam, pod okiem Boga. Mam wrażenie, że ciągnie mnie to, szybko, głębiej? Nie wiem. Wiem tylko, że oddaję temu całe moje serce, wiem, że jestem przez to unoszona, może płaczę, ale czy można płakać pod wodą, to chyba niemożliwe? Jak długo przebywam pod wodą bez wypływania na powierzchnię? Minutę, dwie, trzy, jak poławiacz pereł w morzach południowych, gdziekolwiek są, a pod kostiumem kieszonka z dwoma szylingami, za które mam wrócić do Sligo starym zielonym autobusem, schowałam je dla bezpieczeństwa do tej kieszonki, jak katolik schowałby medalik. I moja młodość, moja miękkość, moja twardość, moje niebieskie oczy, moje jasne włosy, gładkie pod wodą, a tam gdzieś w głębinie ze trzysta rekinów, zbliżających się rekinów, cudownie, cudownie, nie obchodzi mnie to. Sama staję się rekinem.

Potężny nurt zaczyna mnie zagarniać jak słowo, które niknie w coraz głośniejszej muzyce.

Wtedy, w tym całym poczuciu szczęścia, nagle zostaję złapana, porwana, uniesiona w górę przez znajome, ludzkie ramiona, wprawne, niemal przebiegłe. I ten ktoś, gładki, krągły, silny, ciągnie mnie wśród tego migotania do góry i wynurzamy się na powierzchnię, a tam

znowu pełen dźwięków świat, rozkołysane morze, niebo w górze czy na dole, nie mam pojęcia. I pływak holuje mnie z powrotem ku plaży, ku chłopcom i dziewczętom, koszom, staremu działu wymierzonemu w morze, domom, Plazie, ogłupiałym osłom, kilku samochodom, ku Sligo, Strandhill, mojemu losowi, żalotnemu jak los ojca, mojemu głupiemu, okrutnemu, śmiesznemu losowi.

Nie mógłby wyłowić mnie nikt inny na świecie, tylko Tom McNulty. To musiał być on. W każdym razie był sławnym pływakiem, zdobył już medal za uratowanie życia, wręczył mu go sam burmistrz Sligo, dzięki czemu trafił do polityki, jak zawsze mówił. Tą drugą osobą, którą uratował, była stara wiedźma, którą zabrała z brzegu fala - to nawet śmieszne, stara wiedźma, choć nie taka stara jak ja teraz. O nie.

- Znam cię - powiedział, lśniący, już na piasku, z uśmiechem na swojej sympatycznej, okrągłej twarzy, wokół nas zebrał się cały tłum, był też Jack, w swoich czarnych kąpielówkach, jego ciało nigdy nie wyglądało jak z krwi i kości, tylko jak z kamienia, miał sylwetkę komiwojżera. - Jesteś tą dziewczyną z Café Cairo.

Zaśmiałam się na to, albo raczej próbowałam się zaśmiać, z ust prysnęła mi słona woda.

- Och, zlitujże się - powiedział. - Wypilaś ocean wody. Tak, tak. Jezu, gdzie twój ręcznik? Masz ręcznik? No, masz? A ubranie? Dobrze, chodź już.

Moje ramiona zostały okryte ręcznikiem, ubranie pozbierane przez Jacka, który trzymał je ostrożnie, i obaj zaprowadzili mnie na drugą stronę rozpalonej drogi do Plaży, szliśmy trawiastym poboczem, gdy się dało, a potem przez pustynię parkingu i do kasy, Tom się śmiał, był bardzo rozluźniony i pewnie zadowolony, że mnie uratował. Nie pamiętam, czy dostał też medal za mnie, mam nadzieję, że tak, bo prawdopodobnie na to zasłużył, biorąc wszystko pod uwagę.

\*

Och, Boże, trudno patrzeć wstecz na te radosne dni, wiem jednak, że zaznać takiej radości, takiego szczęścia w życiu to rzadki przywilej.

Zdawałam sobie sprawę, że jestem szczęśliwa, jak wróbel, gdy znajdzie okruszek chleba tylko dla siebie.

Byłam też dumna, dumna z niego, z jego sławy i pewności siebie.

Między wawrzynowymi żywopłotami wchodziliśmy po betonowych schodach do kina. Moglibyśmy być hollywoodzką parą, ja - samą Mary Pickford, choć, prawdę mówiąc, Tom był za niski na Douglasa Fairbanksa.

Za ciemną stroną naszego małego świata należy uznać to, że mężczyźni w Sligo lubili

pić. Tom i jego brat byli nad ranem tak pijani, że wyprawiali rzeczy, których nie tylko potem nie pamiętali, ale i nie chcieli pamiętać, co było dla nich niewątpliwie błogosławieństwem.

Ja stałam na parkiecie, szczęśliwa, że jestem sama, i patrzyłam na podest, który zajmował zespół Toma, jego eleganckiego ojca, mistrza klarnetu i każdego innego instrumentu, jaki chcecie. Późnym wieczorem Tom grał *Remarkable Girl*, patrząc swoimi bystrymi oczami na mnie. Gdy któregoś razu szliśmy plażą w Rosses, zaczął przekomarzać się ze mną, śpiewając *When Lights are Low in Cairo*, bo pracowałam w Café Cairo. Był wtedy taki piosenkarz, Cavan O'Connor, który modulował głos, i Tom uważał go za największego artystę, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi. Ale wychował się raczej na Jellym Rollu Mortonie i szalał na punkcie Bubbera Mileya, jak wszyscy trębacze, nawet bardziej niż na punkcie Louisa Armstronga. Tom twierdził, że Bubber utorował drogę Duke'owi Ellingtonowi, bez dwóch zdań. Te sprawy były dla niego prawie tak samo ważne jak polityka. Gdy zaczynał mówić z kolei o niej, mimowolnie przestawałam słuchać. Był to dla mnie temat znacznie mniej interesujący niż muzyka. Tom niebawem zaczął sadzać mnie przy pianinie, razem z orkiestrą, gdy pianista nie mógł grać. Był to potężny facet aż zza Knocknarei, chory na gruźlicę. Jego popisowym kawałkiem, jak można by powiedzieć, był *Black Bottom Stomp*. Jack nigdy nie występował na scenie, choć lubił śpiewać przy pierwszych drinkach, kiedy stawał się wesoły, bardzo wesoły. Wtedy śpiewał *Roses of Picardy*, *Long Way to Tipperaty*, bo jako młody chłopak służył w brytyjskiej marynarce handlowej, ale już chyba o tym pisałam. Był w każdym porcie, od Cove do Kairu, ale o tym też chyba pisałam. Choć może warto to powtórzyć.

Jack był z nami, a potem zniknął na jakiś czas. Wyjeżdżał do Afryki na kontrakty. Och, Tom był z niego bardzo dumny, Jack ukończył jednocześnie dwa kierunki w Galway, geologię i inżynierię. Był wspaniałym facetem. Muszę przyznać, że prezentował się trzy razy lepiej niż brat, choć to nie ma znaczenia. Ale to fakt, miał tę małomiasteczkową urodę gwiazdora filmowego. Byliśmy w kinie, na przykład na *Melodii Broadwayu* czy czymś takim, a gdy na końcu zapalały się światła, budziliśmy się znowu w tym przeklętym Sligo - wszyscy z wyjątkiem Jacka. On nadal roztaczał wokół siebie aurę Hollywoodu.

Jednakże trzymał nas na dystans, choć jaki to był rodzaj dystansu, nie wiem. Miał zbyt ironiczne spojrzenie na świat, żeby się z kimś zaprzyjaźnić, żartował i się wygłupiał, ale czasami przyłapywałam go na tym, że patrzył na mnie nieładnie. Nie chodzi mi o to, że pożądliwie, ale raczej z dezaprobatą. Przeciągłe spojrzenia, kiedy sądził, że nie patrzę. Oceniające.

Jack miał forda, który pasował mu do skórzanego kołnierza przy płaszczu. Jeździliśmy



nim stale, oglądaliśmy przez przednią szybę najróżniejsze irlandzkie krajobrazy, przetarliśmy tony deszczu małą wycieraczką, śmigającą tam i z powrotem, tam i z powrotem, a oni podczas tych podróży wypili galony whisky. Wspaniale było wyjechać na plażę przy wyspie Coney w czasie odpływu i pędzić po wodzie, zaledwie głębokości cala, z całkowitą beztróską, wśród pokrzykiwań i śmiechów. Zawsze byli z nami przyjaciele, najładniejsze panny, które kręciły się przy zespole, i inni chłopcy ze Sligo oraz Galway. Zabawne, że Jack miał dziewczynę, z którą zamierzał się ożenić, o imieniu Mai, ale nigdy jej nie widywaliśmy, mieszkała w Galway z rodzicami, bardzo zresztą zamożnymi. Jej ojciec był agentem ubezpieczeniowym, co ogromnie imponowało Jackowi, mieli dom w Galway, nazywał się dom jakiś tam, co też musiało robić wrażenie na człowieku, którego ojciec był krawcem w zakładzie dla obłąkanych. Poznał tę dziewczynę na uniwersytecie, była tam jedną z pierwszych studentek, och, powiedziałabym, że przodowała pod wieloma innymi względami, na pewno patrzyła na mnie z góry. Nie, to niesprawiedliwe, chyba widziałam ją tylko raz.

Ale właściwie wyrządzam Tomowi krzywdę, mówiąc to. Ponieważ jego kuzyn był właścicielem „Sligo Champion” i członkiem parlamentu, jak mówiono, pierwszego prawdziwego Dáil, to znaczy Dáil po traktacie angielsko-irlandzkim. A Jack zawsze mawiał - gdy opowiadał to nowemu znajomemu - że jest spokrewniony z niesławnym Edwardem Carsonem, który zdradził sprawę Wolnego Państwa, zwiął jak szczur z tonącego okrętu, licząc i modląc się, że okaże się ono tonącym okrętem. Tom powiedział mi, że jego przodkowie trudnili się w Sligo importem masła, a może eksportem, że mieli statki, tak jak Jacksonowie i Pollexfenowie. I że protoplasta rodu, Thomas Oliver McNulty, znalazł się tu, bo w czasach Cromwella rodzina straciła ziemię, gdy odmówił przejścia na protestantyzm. Mówiąc to, Tom patrzył na mnie uważnie, żeby sprawdzić, co ja na to, jako protestantka. Byłam protestantką, ale może nie taką jak należy. Jack lubił zamożnych protestantów i wbił sobie do głowy, że sam należy do jakiejś katolickiej arystokracji. Nie sądzę, żeby zastanawiał się szczególnie nad długą tradycją prezbiteriańską w Irlandii. Klasa robotnicza. Tego określenia bano się najbardziej.

- Ten gość to klasa robotnicza, i już - kwitował Jack. Ponieważ jeździł do Afryki, używał dziwnych wyrażeń, na przykład „odgrywać białego człowieka”. Czy „hamma-hamma”. A ponieważ przepił setki nocy, mawiał, że trzeba „bawić się przyzwoicie”. Jeśli uważał kogoś za niegodnego zaufania, nazywał go „zwykłym worem gnoju”.

Rude włosy, a raczej kasztanowate, zaczesane do tyłu. Dość ostre rysy, poważne oczy. O tak, Clark Gable, albo, jeszcze lepiej, Gary Cooper. Fantastyczny.

Szukam w tych wspomnieniach matki, ale nie mogę jej znaleźć. Po prostu zniknęła.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

### Z notatek doktora Grene'a

Gdy jechałem dziś rano do pracy, minąłem wzgórze z wiatrakami, których wcześniej nie zauważyłem. Mogłem nie zauważyć, bo ich po prostu nie było, ale jeśli tak, na pewno nie zwróciłem uwagi, jak je budowano, co przecież musiało trwać jakiś czas. Nagle zobaczyłem, że są. Bet zawsze mówiła, że w ogóle nie widzę, co się dzieje na świecie. Któregoś dnia przyszedłem do domu z deszczu, usiadłem na kanapie, a po paru minutach, przypadkiem dotknąwszy głowy, zapytałem: „Dlaczego mam mokre włosy?”. Bet uwielbiała opowiadać tę historię, dawno temu, gdy tylko miała okazję.

No więc nagle te wiatraki. Jest takie wzgórze - może bardziej góra, jeśli coś takiego występuje w Irlandii - nazywa się Labanacallach, i jest także las, Nugens Wood, który dochodzi do linii śniegu. Kim był ten Nugent i dlaczego zasadził las, można się jedynie domyślać, pewnie tylko najstarsi ludzie mogliby to wiedzieć. Jechałem swoją toyotą, czułem się okropnie, bo ciągle w mojej głowie tłuką się te same oskarżenia, gdy nagle zobaczyłem te wiatraki obracające się srebrzyście, jeśli można tak powiedzieć, i serce mi urosło. Naprawdę. Były takie piękne. Pomyślałem o wiatrakach na obrazach, dziwnych emocjach, jakie budzi już sama myśl o nich. Na przykład Don Kichot. Zawsze robiło mi się przykro, gdy widziałem wiatrak w ruinie. Magiczne budowle. Te współczesne wersje to oczywiście nie to samo. I oczywiście budzą ostry sprzeciw. Ale są piękne. Wywołują we mnie optymizm, jakbym wciąż mógł jeszcze czegoś dokonać.

Obudziłem się w nocy z bardzo nieprzyjemnym uczuciem wstydu i niepokoju. Gdybym mógł wymienić części składowe mojego cierpienia i opublikować to w czasopiśmie fachowym, wyświadczyłbym światu wielką przysługę. Przypuszczam, że trudno jest zapamiętać ból, a już na pewno jest on niewidzialny. Niemniej to płacz duszy i nie wolno mi w przyszłości nie doceniać jego niszczycielskiej siły w przypadku innych. Jeśli nie mogę zrobić nic innego, to postaram się chociaż zachować tę wiedzę, w nadziei że kiedy już przestanę odczuwać ból, będę miał w pamięci jego anatomię.

Dzięki Bogu za te wiatraki.

Ale obudziłem się w nocy. Myślę, że to było znowu to tajemnicze stukanie, którego

źródła wciąż nie udało mi się zidentyfikować. To Bet, która błaga, żebym jej nie zapomniał. Niepotrzebnie się martwi. Przejrzałem to, co napisałem o Roseanne Clear, ale jedyne, co zauważyłem, co rzuciło mi się w oczy, to te głupie uwagi o Saddamie Husajnie. Dobrze, że nie jestem nikim ważnym, dzięki temu moje opinie, zwłaszcza te niepoprawne i żenujące, mogą pozostać sprawą prywatną.

Kiedy umarł ostatni papież, także ogarnęły mnie dziwne uczucia. Głęboko poruszyła mnie śmierć tego człowieka, choć przecież bardzo nie pomagał moim pacjentom, tym wierzącym, którzy byli jednocześnie gejami albo, nie daj Boże, kobietami. Kiedy żył, ideałem egzystencji wydawało się to, co on sobą reprezentował. Ale w swojej śmierci okazał się wręcz wspaniały, dzielny. W swojej śmierci stał się może jeszcze większym demokratą, bo śmierć ogarnia wszystko, uwielbia wszystko, co ludzkie - nigdy jej nie dosyć. Śmierć może nie jest dumna. Owszem, tak, ale jednocześnie jest potężna i przerażająca. Papież rozprawił się z nią bez ceregieli.

Za dużo tego myślenia o śmierci. Ale to melodia naszych czasów. Gdy poprzednie milenium dobiegało końca, tacy głupcy jak ja myśleli, że zaznamy stulecia pokoju. Clinton ze swoim cygarem był człowiekiem znacznie większego formatu niż Bush z karabinem.

\*

Im dłużej patrzę na zeznanie ojca Gaunta, tym bardziej w nie wierzę. A to dlatego, że pisze on dobrze, w sposób klasyczny, składni i stylistyki uczył się niewątpliwie w Maynooth. Ma moim zdaniem bardzo łaciński styl, który pamiętam mgliście ze szkoły w Kornwalii, gdy zmagalem się z Cyceronem. Z jego relacji bije pragnienie, żeby ją zdać, podszyte wręcz lękiem, jeśli miałbym tu użyć terminologii psychiatrycznej.

Zrzuca z siebie ciężar, jakby spowiadał się z grzechu. Z pewnością jego tekst jest daleki od świętości. Ale on nawet się nie wzdrygnie. Jest nieugięty. Nieustraszony. Ojciec Gaunt zdaje relację sumiennie, ze wszystkimi szczegółami.

Zazwyczaj policjant w Irlandii nie pełnił służby w pobliżu swojego rodzinnego miasteczka, zapewne dlatego, żeby nie okazywał względów ludziom, wśród których dorastał. Ojciec Roseanne był jednym z niewielu wyjątków od tej reguły, ponieważ urodził się i wychował w Collooney, niedaleko, a w każdym razie nie dość daleko od Sligo. Znał więc to miejsce w sposób może niezbyt dla siebie zdrowy. Możliwe, że mieszkańcy odbierali jego obecność w miasteczku bardziej osobiście, zwłaszcza po sprowadzeniu oddziałów pomocniczych, złożonych z oficerów, którzy brali udział w pierwszej wojnie światowej, i Black and Tans, walczących po tej samej stronie. Była to odpowiedź na różne „akty przemocy” podczas wojny o niepodległość, przeważnie zasadzki i zamachy na żołnierzy i

policjantów - siły Korony, jak mówiono.

Dlatego jej ojciec prawdopodobnie dobrze się orientował, co dzieje się w miasteczku. Być może łatwiej przychodziło mu zdobywanie informacji niż komuś obcemu. Wieczorami w pubie ludzie bardziej skłonni byli dzielić się z nim plotkami i pogłoskami. Z pewnością miał mocną głowę, jeśli chodzi o alkohol, jak doker mógł wypić w ciągu jednego wieczoru piętnaście pint porteru i później bez problemów trafić do domu. Córka, Roseanne, musiała wypatrywać go z niepokojem i kiedy pojawił się na ulicy, odprowadzać do drzwi.

Roseanne lubiła bawić się na cmentarzu w Sligo, za domem. Znała tam każdą alejkę i każdy zakamarek, a jej ulubione miejsce stanowiła stara zrujnowana świątynia, gdzie w walącym się portyku grywała w klasy i tym podobne. Pewnego wieczoru, pisze ojciec Gaunt, była, jak się zdaje, świadkiem dziwnego pochówku. Zjawiała się bowiem grupa mężczyzn z trumną i bez księdza ani żadnych formalności pogrzebała ją w ciemnościach, a jedynym świadectwem ich obecności były żarzące się papierosy w ustach i stłumione głosy. Roseanne, naturalnie, pobiegła opowiedzieć ojcu, co widziała. Myślała najwyraźniej, że byli to rabusie grobów, choć tak naprawdę trumna została zakopana, a nie wykopana, zresztą w Irlandii ani nigdzie indziej takie kradzieże nie zdarzały się już od pół wieku.

Skąd ojciec Gaunt znał wszystkie te detale, nie bardzo wiadomo, i teraz, gdy czytam to od nowa, dziwi mnie jego wszechwiedza, choć może wtedy księża musieli wszystko wiedzieć.

W każdym razie jej ojciec polecił następnego ranka wydobyć trumnę, ksiądz osobiście był przy tym obecny, i odkryto w trumnie nie zwłoki, ale cały skład broni, o którą było bardzo ciężko podczas wojny o niepodległość i którą zdobywano z dużym wysiłkiem, często zabierając ją zabitym policjantom. Okazało się zresztą, że wiele pistoletów, ukrytych w trumnie, pochodziło z wyposażenia policji i zostało przejętych podczas zasadzek i napadów. Ojciec Roseanne więc, ze swojego punktu widzenia, patrzył na pamiątki po zamordowanych towarzyszach i jednocześnie dowody popełnionych na nich zbrodni.

Nazwisko, które wryto na płycie nagrobnej, brzmiało „Joseph Brady”, ale nikt taki nie umarł w miasteczku.

Co wręcz niewiarygodne, mężczyźni wraz z bronią ukryli w grobie notatki o sekretnych spotkaniach, a także - jakimś cudem - różne nazwiska i adresy, w tym również ludzi poszukiwanych za zamachy. Był to wręcz skarb dla policji. Zanim ktokolwiek się połapał, niektórzy z wymienionych zostali aresztowani, a jeden z nich zastrzelony „podczas próby ucieczki”, niejaki Willie Lavelle, którego brat odegrał potem pewną rolę w życiu Roseanne, jak twierdzi poczciwy ojczulek. Z jakiegoś powodu ten Willie Lavelle został

pochowany w tym samym grobie, w którym wcześniej daremnie ukryto broń.

Odkrycie broni i dokumentów, a także śmierć towarzysza wzbudziły wściekłość w kręgach ludzi, którzy brali udział w akcji ukrycia ich. Niewątpliwie dano sygnał do wszelkich możliwych aktów odwetowych przeciwko policji. Ale nie nastąpiły one od razu, trwało to na tyle długo, że Roseanne i jej rodzice żyli w strachu przez wiele dni i nocy. Na pewno niczego bardziej nie pragnęli, tylko tego, żeby powstanie zostało stłumione i w Irlandii przywrócono spokój. Może im się uda, pewnie mówili.

Kładąc rękę na tej okropnej relacji ojca Gaunta, zastanawiam się szczerze, jak mam ją wykorzystać. Czy mogę prosić Roseanne, żeby przeszła przez to wszystko jeszcze raz? Muszę jednak pamiętać, że tak naprawdę nie powinienem zajmować się cierpieniem, jakiego doznała w życiu, tylko skutkami tego cierpienia i prawdziwym powodem umieszczenia jej w zakładzie. Powracam tu do pierwotnej przyczyny moich poszukiwań, czyli konieczności ustalenia, czy jest obłąkana i czy jej skierowanie na leczenie psychiatryczne było uzasadnione, a także czy można zalecić jej powrót do życia w świecie zewnętrznym. Chyba mogę o tym zdecydować bez jej udziału, chyba że będzie chciała. Muszę ocenić prawdziwość tego, co mam przed sobą, a nie tego, co mi się sugeruje albo co podsuwa mi własna intuicja.

Dzwony w kościele Świętego Tomasza biją na ósmą. Jestem już tak spóźniony jak królik z *Alicji w krainie czarów*.

## Relacja Roseanne

Z Tomem poznałam dosłownie wszystkich, bo był on człowiekiem niezwykle towarzyskim, ale minęło kilka lat, zanim przedstawiono mnie jego matce. Oczywiście dużo o tej kobiecie słyszałam, obaj bracia siłą rzeczy często o niej wspominali. Stworzyłam sobie w wyobraźni jej obraz, drobnej postaci, upodobania do albumów z wycinkami, do których wklejała wszystko, co dotyczyło synów, bilety z podróży Jacka, dokumenty, anonse w „Championie” o wieczorkach tanecznych Toma, a później, z biegiem czasu, o jego wystąpieniach przy różnych okazjach, na różne tematy. Nabrałam przekonania, że nie była z mężem w najlepszych stosunkach, że Stary Tom, według niej, chodził swoimi drogami, specjalnie się z nią nie licząc. Ale może to ona się z nim nie liczyła. Oczywiście, sama pewnie była innego zdania. Wiedziała, że obiecała oddać swoją jedyną córkę do klasztoru i że ta dziewczyna, Teasy, w młodym wieku posłusznie wstąpiła do nazaretanek, jako zakonnica z wianem. Był to zakon żebraczy, miał zresztą siedziby w całej Anglii, a nawet w Ameryce. Nie

wiem, czy matka żywiła ambicje, żeby synowie zostali księżmi, ale prawdopodobnie uważała, że jeśli poświęci córkę Bogu, zagwarantuje swojej duszy nieśmiertelność, tak mi się wydaje.

Był w rodzinie jeszcze jeden syn, Eneas oczywiście, ale wspomniano o nim niechętnie, choć raz czy dwa chyba przyjechał do domu, wracając z szerokiego świata, po którym najwyraźniej się objął; zdaje się, że przesypiał u matki cały boży dzień i wychodził tylko w nocy. Była to jeszcze jedna mała tajemnica w czasach wielkich tajemnic i nie pamiętam, żeby mnie to szczególnie interesowało.

- Dlaczego twój brat Eneas stale wyjeżdża z domu? - zapytałam kiedyś Toma.

- Z powodu pewnego grzeszku - odparł Tom i początkowo nic więcej nie mówił na ten temat.

Ale kiedyś byliśmy razem w miasteczku i jeden z jego rywali politycznych, dobrze zapowiadający się republikanin, zaczepił go na ulicy. Nazywał się Joseph Healy i na pewno nie był lajdakiem.

- Ach, Tom - powiedział - braciszek policjanta.

- Co takiego? - zapytał Tom bez swojej zwykłej pogody i dobroduszości.

- Nieważne, nieważne. Wszyscy mamy jakiegoś trupa w szafie, to pewne.

- Zamierzasz to wykorzystać, Healy, w nadchodzących wyborach do Rady Miejskiej?

- Co takiego? Nie - odrzekł Joseph Healy, niemal ze skrucą, bo chociaż byli przeciwnikami, wszyscy naprawdę lubili Toma, a Healy, jak mówię, był w gruncie rzeczy porządnym człowiekiem. - Tak tylko żartowałem, Tom.

Potem wymienili serdeczny uścisk dłoni. Zauważyłam jednak, że Tom stracił humor, przez całą drogę był milczący i ponury. W kraju szaf pełnych trupów, a już zwłaszcza po wojnie domowej, nie było ludzi o nieposzlakowanej opinii. Jednak widziałam, że Tom gryzł się tym, i to bardzo. Miał w końcu plan, drogę przed sobą, co było naprawdę godne podziwu w przypadku tak młodego człowieka. Ale bez trupa najwyraźniej nie mogło się obejść.

Matka była za nim całym sercem. Cieszyła ją pozycja Jacka i pozycja Toma, mimo że Jack swoje szykowne stroje wynajdywał w kufrach ze starymi rzeczami, a Tom z kolei obnosił się w nowej Irlandii z modnym kapeluszem. To wynikało jasno z ich rozmów, a zawsze nadstawiałam uszu, gdy była o niej mowa, jak szpieg w barach, bo miałam przecucie, że pewnego dnia będę potrzebowała wszelkich informacji, jeśli mam przeżyć spotkanie z nią.

Jeśli w tej grze była jakaś słaba karta, to moja matka - pusta, ciemna karta.

\*

W tym dziwnym czasie, w którym, jeśli mogło zdarzyć się coś niespodziewanego, to

się zdarzało, głową państwa został de Valera.

- No to w Dáil znowu pojawi się broń - zauważył Tom ze smutkiem.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytałam.

- Są tak wystraszeni zwycięstwem, że na obrady izby będą przychodzić uzbrojeni po zęby.

Tom mówił o tym ze zrozumiałym niesmakiem, bo byli to ci sami ludzie, których jego polityczni kompani usiłowali schwytać, uwięzić i niestety, stracić. Doszło więc do tego, że ci wszyscy, którzy byli przeciwni traktatowi i których tacy jak Tom chcieli wymazać z historii Irlandii, znaleźli się przy władzy... W Sligo dawało się wręcz wyczuć zmianę frontu. Na fali znaleźli się teraz republikanie, jak Joseph Healy. Biorąc wszystko pod uwagę, było to trudne i przykre dla Toma. Jeśli chodzi o mnie, miałam ich wszystkich w nosie, ale Tom nie potrafił przestać rozmawiać o polityce nawet wtedy, gdy spotykał się ze mną.

Leżeliśmy na piasku, osłonięci wielką wydumą, od której wzięło nazwę Strandhill, gdy Tom wyraził powyższą obawę. Była to największa przeszkoda dla jego kariery, jaką kiedykolwiek napotkał. Sam nigdy nie nosił broni, był za młody, gdy rozgrywało się to wszystko. Żeby oddać mu sprawiedliwość, uważał, że walka zbrojna należy już do przeszłości. Wyznawał pogląd, że Północ mogłaby w końcu zostać przyłączona do Południa, ale że wtedy - szalony pomysł - „królem Irlandii”, jak to żartobliwie określał, powinien zostać ktoś taki jak Carson. Ludzie pokroju Toma od dawna głosili podobne idee. Jego poglądy miały w sobie pewien taneczny rozmach, jak jego muzyka. Tymczasem Joseph Healey chętnie zastrzeliłby Carsona, gdyby mógł to zrobić po cichu, a później wrócić do domu, do swoich.

Teraz zaangażowane w to były całe rodziny, nie tylko młodzi chłopcy i czasami dziewczęta, które im pomagały.

Cóż, mimo tego wszystkiego niebawem znowu zaczął mnie całować, tam, w zaciszu wydmy, w obecności oburzonych mew, bo poza nimi nikt nas nie widział, no i morza, które po drugiej stronie plaży wciąż pamiętało jego bohaterski czyn. W nadmorskich trawach buszowała typowa dla Strandhill bryza. Było lodowato, ale radę na to stanowiły pocałunki.

A kilka tygodni później, gdy szłam przez most obok hotelu Swan, kto zamajaczył przede mną, jeśli nie John Lavelle?

Był już niemal młodym mężczyzną, ale miał w sobie coś jeszcze. Wyglądało na to, że dostał w kość w Ameryce czy gdzie tam był, bo wydawał się zmarniały, i zauważyłam, że miał zdarte podeszwy. Wyobraziłam go sobie wskakującego do pociągów jak włóczęga i w ogóle tułającego się bez celu. Był dość przystojny z tą swoją pociągłą, szarą twarzą.



- Popatrz, popatrz - powiedział. - Ledwie cię poznałem.

- I wzajemnie - odparłam. Byłam sama, ale rozejrzałam się wokół, bo Sligo przypominało okropną rodzinę, w której wszyscy się znają i jeśli nie wiedzą wszystkiego o sobie nawzajem, to chętnie by się dowiedzieli. John Lavelle chyba zauważył moje ukradkowe spojrzenia.

- O co chodzi? - zapytał. - Nie masz ochoty ze mną rozmawiać?

- Och, wcale nie - odrzekłam. - Jak się miewasz? Byłeś w Ameryce?

- Nie, nie udało mi się wyjechać - powiedział. - Mimo że wszystko było już zapięte na ostatni guzik.

- Ach tak - odparłam.

- Ale teraz przynajmniej mogę poruszać się swobodnie w Irlandii - dodał.

- Jak to?

- No bo Dev<sup>6</sup> jest przy władzy.

- A tak. Tyle dobrego przynajmniej.

- Lepsze to niż odsiadka w tym pieprzonym Curragh.

Drgnęłam, słysząc przekleństwo, ale pomyślałam, że miał prawo go użyć.

- Byłeś w więzieniu?

- A byłem.

- Hm, John, wobec tego do zobaczenia.

- Jadę na jakiś czas do domu, na wyspy, ale, owszem, zobaczymy się znowu. Będę pracować dla Rady.

- Startowałaś w wyborach?

- Nie, nie - odparł. - Roboty drogowe. Zlecone przez Radę. Kopanie i tak dalej.

- Świetnie. Praca to praca.

- Tak. Zwłaszcza że trudno o nią. Nawet w Ameryce, jak słyszałem. Ty też pracujesz?

- W Café Cairo - wyjaśniłam. - Jako kelnerka.

- Cieszę się. Wpadnę do ciebie, jak wrócę do Sligo.

- Tak, pewnie, uhm - odpowiedziałam, nagle wytrącona z równowagi i zmieszana, choć nie wiedziałam dlaczego.

\*

John Kane właśnie przyniósł mi zupę.

- Ta cholerna robota mnie wykończy - oświadcza. - Wolałbym już raczej łapać krety w

---

<sup>6</sup> Dev - przydomek Eamona de Valery.

Connaght.

I wciąż to nieszczęsne gulgotanie w gardle.

- Ale w Connaght nie ma kretów - zauważam.

- W całej Irlandii ich nie ma. Ale czy to nie świetna robota dla starego człowieka? Te cholerne schody.

I wyszedł.

\*

Dom matki był dość przyjemny, ale zalatywało w nim gotowaną jagnięciną - w panice, która mnie ogarnęła, mogłabym nawet powiedzieć, że baranka ofiarnego. Jakby gdzieś tam w głębi bulgotały na ogniu jarmuż, kapusta, z ogrodu Starego Toma, i jagnię, które gotowało się i gotowało, wypełniając korytarze swoim charakterystycznym, mdłym, wilgotnym zapachem. Takie miałam wrażenie. Tylko dwa razy w życiu znalazłam się w pobliżu tego domu i w obu przypadkach czułam, że zaraz umrę. W tamtych czasach od woni mięsa wywracał mi się żołądek. A już od gotowanego na pewno. Dlaczego, nie wiem, bo moja matka jadła mięso we wszelkich postaciach, także podroby i flaki, które zrobiłyby wrażenie na chirurgu. Zjadłaby z przyjemnością nawet jagnięce serce.

Tom wprowadził mnie do salonu od frontu. Poczulałam się tam jak zwierzę gospodarskie, jak krowa, cielę czy świnia musiały czuć się w dawnych czasach, gdy na noc wprowadzano je do chałupy. Kiedyś w Irlandii ludzie i zwierzęta spali w jednej izbie. Dlatego w wielu wiejskich kuchniach wciąż można spotkać nieco nachyloną podłogę, biegnącą w dół od paleniska, posłania na piecu i łóżek na górze, żeby nie zanieczyściły ich odchody zwierząt. Kwatery dla ludzi. I tak się właśnie poczułam, nie na miejscu, gdy wpadłam na jakiś mebel, co normalnie by mi się nie zdarzyło. Stało się tak dlatego, że nie powinnam się tam znaleźć. Tak nie miało być. Powiedziałabym, że nawet Boga to zaskoczyło.

Te kilka foteli i kanapa, które tam stały, obite było ciemnym, ciemnoczerwonym aksamitem, wszystkie tak stare i nierówne, jakby zdechło w nich coś, tam pod obiciem, i zamieniło się w rodzaj poduszek. I wszędzie ten smród jagnięciny. Nie chciałam napisać „smród”, nie chcę opisywać tego wszystkiego krytycznie. Boże, wybacz mi.

Obrzuciła mnie bardzo łagodnym spojrzeniem. To mnie zdziwiło. Ale już jej głos nie był tak miły jak powierzchowność. Z perspektywy czasu myślę, że próbowała być sympatyczna, zrobić dobre wrażenie. Była drobną kobietą z trójkąciem włosów u nasady czoła. Cała ubrana na czarno, miała na sobie małą sukienkę z czarnego materiału o podejrzanym połysku, jak na łokciach księżej sutanny. Na szyi nosiła naprawdę przepiękny złoty krzyżyk. Wiedziałam, że jest krawcową w zakładzie dla obłąkanych, tam gdzie

pracował jej mąż, Stary Tom. Tak, tak, poznali się właśnie tam, przy stole do krojenia.

- Wyglądała jak anioł w świetle padającym z okna - powiedział mi kiedyś Stary Tom. Choć nie wiem, a propos czego ani gdzie. Może wcześniej, w lepszych czasach. Niekiedy błądził gdzieś myślami i miewał dziwne skojarzenia. Był bardzo zadowolonym z siebie człowiekiem i przypuszczam, że miał ku temu wszelkie powody. Ale ona nie wyglądała już jak anioł.

- Nie masz podołka - powiedziała, patrząc surowo na moje nogi.

- Czego nie mam? - zapytałam.

- Podołka, podołka nie masz.

- Żeby sadzać na nim dzieci - wyjaśnił Tom, ale to wyjaśnienie niewiele mi dało.

- Aha - odparłam.

Twarz miała dziwnie powleczoną czymś białym, jak warstewka pierwszego śniegu na poboczu drogi. Może pudrem. Zdradzało to światło, które tego dnia dosłownie wlewało się przez okno do pokoju.

Muszę starać się pisać o niej sprawiedliwie.

Potem Stary Tom wskazał mi jedno z nierównych krzeseł. Na każdym oparciu leżała mała mata w kwiatki haftowane prostym ścięciem. Była to skromna, porządna robota. Pani McNulty usadowiła się na kanapie, obok niej wznosił się stosik książek, jak się okazało, jej albumów z wycinkami. Na moment bezlitośnie zostawiła je samym sobie, jak ktoś uzależniony od czekolady, kto odkłada czekoladowy batonik. Stary Tom przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko mnie. Był bardzo wesołym człowiekiem, tak wesołym, jak tylko potraficie sobie wyobrazić. W dłoniach trzymał flet albo pikolo i nagle, bez żadnych wstępów, zaczął grać, z tą swoją słynną wirtuozerią, jakąś irlandzką melodię. Potem przerwał, zaśmiał się i zaczął następną.

- Co powiesz na wiolonczelę? - zapytał. - Lubisz ten instrument?

Oczywiście podczas wieczorów tanecznych nigdy nie grywał na pikolu ani na wiolonczeli i można by pomyśleć, że zamiast prowadzić ze mną normalną rozmowę, przemawia do mnie za pośrednictwem tych bardziej egzotycznych instrumentów. Ale nie bardzo mogłam się zorientować, co próbuje mi powiedzieć. Często rozmawialiśmy na tańcach w Plazie, ale te pogawędki wydawały się tutaj nie na miejscu. Czułam się tak, jakbyśmy spotkali się pierwszy raz w życiu. To było bardzo dziwne.

Pani McNulty wydała osobliwy dźwięk, jakby prychnięcie, wstała i wyszła z pokoju. Ten dźwięk mógł znaczyć wszystko i miałam nadzieję, że to tylko charakterystyczny dla niej okrzyk, jak pisano w starych powieściach. Stary Tom zagrał jeszcze coś ze swojego

repertuaru, potem też wstał i wyszedł. Chwilę później i Tom opuścił pokój. Nawet na mnie nie spojrzął.

Zostałam więc sama. Byłam tylko ja, pokój, echa granej przez Starego Toma muzyki i tego dźwięku, który pozostawiła po sobie pani McNulty, równie enigmatycznego, jak fragment O'Carolana.

Tom wrócił w końcu, podszedł do mnie i podał mi rękę. Nic nie powiedział, tylko spojrzął na mnie przez chwilę szeroko otwartymi oczami, jakby mówił: „Hm, tu jesteś, a gdzie byś miała być”.

Wyszliśmy na Strandhill Road, gdzie na podobnych, akrowych działkach stały jeszcze ze cztery identyczne domy. Ta droga miała w sobie coś niepełnego, niedokończonego, tak jak spotkanie z panią McNulty.

- Nie spodobałam się jej? - spytałam.

- Hm, niepokoi się z powodu twojej matki. Cóż, można by powiedzieć, że to zainteresowanie zawodowe. Ale w gruncie rzeczy nie o to chodzi. Nie. Tak zresztą myślałem. Matka jest bardzo religijna - wyjaśnił Tom. - I tu leży problem.

- Ach tak - powiedziałam, biorąc go za rękę. Uśmiechnął się do mnie łagodnie i ruszyliśmy przed siebie w kierunku węższych uliczek na skraju miasteczka.

- No - odezwał się Tom. - I chciałaby porozmawiać z ojcem Gauntem, jeśli to możliwe.

- Po co? - zapytałam. Więc ona przyjaźni się z ojcem Gauntem, pomyślałam, o Boże.

- No wiesz - ciągnął. - Te wszystkie „co z tym zrobić” i „co teraz będzie”. Tak. I cały ten cholerny dekret *Ne temere*<sup>7</sup>, rozumiesz. A niech to, nie obchodziłoby mnie, gdybyś była hinduską, ale tu chodzi o ten prezbiterianizm. O Jezusa, do tej pory jeszcze żaden protestant nie przekroczył progu jej domu, to pewne. Chryste Panie.

- Ale ja... czy ja zupełnie jej się nie spodobałam?

- Nie wiem - odparł - nic takiego nie powiedziała. To było jak zebranie komitetu w spiżarni przy kuchni, bardzo formalne.

Tom nie poprosił mnie o rękę ani nic takiego, ale wiedziałam, że cała ta rozmowa ma coś wspólnego z małżeństwem. Jeśli o mnie chodzi, nagle zdałam sobie sprawę, że nie chcę wyjść za niego ani za nikogo innego, nie chcę, żeby ktokolwiek mi się oświadczył. Skończyłam już dwadzieścia lat, a w tamtych czasach w wieku dwudziestu pięciu lat dziewczynę uznawano za starą pannę i nawet garbus nie chciałby się z nią ożenić. A w

---

<sup>7</sup> Dekret soboru z 2 sierpnia 1907 r., o zasadach zawierania małżeństwa przez wszystkich katolików obrządku łacińskiego.

Irlandii było wtedy znacznie więcej kobiet niż mężczyzn. Dziewczęta szły więc po rozum do głowy i wyjeżdżały do Ameryki albo Anglii, zanim ugrzęzły tu na dobre. W Ameryce brakowało kobiet, były doskonałym irlandzkim towarem eksportowym, na wagę złota. Dlatego każdego roku wyjeżdżały całe ich setki, całe setki. Ładne, okrągłe, niskie, brzydkie, silne, wyczerpane, młode, stare, wszelkich kategorii. Przypuszczam, że pragnęły wolności, szły za instynktem. Wolały być służącymi w Ameryce niż starymi pannami w tej przeklętej Irlandii. Nagle poczułam przemożne, gorące, niemal gwałtowne pragnienie, żeby się do nich przyłączyć. To przez tę woń jagnięciny, którą przesiąkło mi ubranie i która mogła zniknąć tylko podczas podróży morskiej na drugą stronę Atlantyku, tak przynajmniej myślałam.

Ale sęk w tym, że kochałam tego Toma. Boże dopomóż.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

### Z notatek doktora Grene'a

Dziwna i przygnębiająca sprawa Johna Kane'a. Na zebraniu personelu usiłowaliśmy odnieść się do sprawozdania jednego z oddziałów. Krewna pewnej pacjentki zastała ją w stanie pobudzenia; chodzi o kobietę z Leitrim, dość młodą w porównaniu z resztą zaawansowanych wiekowo pacjentów, bo chyba tuż po pięćdziesiątce. Przybyła do nas całkiem niedawno, po psychotycznym epizodzie, kiedy wydawało jej się, że jest nowym mesjaszem w wydaniu kobiecym, któremu nie udało się zbawić świata i dlatego musi się poddać samobiczowaniu. Użyła to tego celu drutu kolczastego. A wszystko to w scenerii całkiem zwyczajnego gospodarstwa pod Leitrim, w całkiem zwyczajnym i, sądząc z pozorów, szczęśliwym małżeństwie. Samo to było już więc tragedią. A tu jeszcze jej krewna, chyba siostra, wczoraj rano zastała ją w pokoju bardzo zdenerwowaną, z zadartą koszulą szpitalną i niepokojącymi śladami krwi na nogach. W niewielkiej ilości, były to tylko smugi. Oczywiście zrodziło się najgorsze podejrzenie, jak zwykle, i stąd to zebranie personelu. Wszystkim natychmiast przyszedł na myśl John Kane, bo oczywiście był zamieszany w takie sprawy już wcześniej, choć niczego mu nie udowodniono. Ale czy byłby do tego zdolny, w jego wieku? Przypuszczam, że mężczyzna jest zawsze zdolny. Ale nie ma dowodu, nic, i musimy po prostu być czujni.

Uderzyło mnie znowu, jak bardzo wszyscy na tych zebraniach wpadają w przerażenie, gdy zachodzi konieczność ujawnienia jakiejś sprawy wewnętrznej na forum publicznym. Gdy trzeba poinformować o czymś osoby z zewnątrz, nieważne jakiego szczebla. Nawet w przypadku lekkiego zatrucia pokarmowego na oddziale strach jest równie wielki, jak ten dzisiejszy. Można by odnieść wrażenie, że zespół zbiera się i zwija w kulkę, wystawiając igły. Muszę przyznać, że sam też się tak czuję. Ktoś z zewnątrz byłby pewnie zaszokowany tym, ile z dziejących się tu nieprawidłowości jesteśmy w stanie tolerować, nawet prawdziwych katastrof. Niemniej to reakcja instynktowna, zwłaszcza w zakładzie psychiatrycznym, gdzie praca sama w sobie jest często uciążliwa, nawet dziwaczna. Gdzie stres można porównać do huraganu i tsunami, i to występujących na porządku dziennym. Już lepiej jest w szpitalach. Ale nie wiem, co pomyśli sobie ta krewna.

Jakie to dziwne, gdy się pomyśli, że po likwidacji zakładu to wszystko zostanie rozpedzone na cztery wiatry, znikną ci ludzie, sale i problemy.

Co dziwniejsze, ta cała sprawa wypłynęła w tym samym tygodniu, w którym u Johna Kane'a zdiagnozowano nawrót raka krtani. Nie żeby mu o tym powiedziano, o nie. Ma narastające trudności z przełykaniem, wie tylko tyle. Wszyscy bardzo by mu współczuli, gdyby nie ta druga kwestia. Jeśli nasze podejrzania są prawdziwe, możemy tylko liczyć, że „zawinie się” szybko, jak to mówią w Irlandii. Choć jest już w takim wieku, w którym rak rozwija się powoli. W jakim dokładnie, nie mogłem nigdzie sprawdzić. Jak sam twierdzi, nie ma świadectwa urodzenia, bo wychowali go gdzieś rodzice adopcyjni. Hm, coś nas łączy, ale mam nadzieję, że tylko to. Pewnie dlatego jeszcze pracuje, że nikt nigdy nie pomyślał, aby go wysłać na emeryturę, w dokumentach nie ma bowiem wzmianki o jego wieku. Co więcej, wykonuje pracę tak niewdzięczną, że trudno by było znaleźć kogoś na jego miejsce, nawet z Chin, Bośni czy Rosji. On sam wcale nie wykazuje ochoty, aby odłożyć miotłę. I uparcie wdrapuje się po schodach do pokoju Roseanne, choć dostaje przy tym strasznej zadyszki i powiedziano mu, że może zostawić to komuś innemu. O nie, „nie ma mowy”, zaczął mamrotać.

Muszę przyznać, że z powodu Bet nie przejąłem się specjalnie tymi sprawami. W każdym razie próbowałem się nie przejąć. Jest we mnie już tyle cierpienia, ile pestek w owocu granatu. Może ono ze mnie tylko wyciec, bo więcej się go nie zmieści. Gdy ordynator i pielęgniarki rozmawiali o tej nieszczęsnej molestowanej pacjentce, jeśli to właśnie jej się przydarzyło, mnie pękała głowa. Siedziałem wśród nich z pękającą głową.

Potem poszedłem do pani McNulty i byłem u niej przez jakiś czas. Wydawało się to logiczne. Nawet jeśli to logika biednego pana Spocka, który nic nie czuje. Ale mną miotały najróżniejsze uczucia. Nie kontynuowałem śledztwa w sprawie powodów umieszczenia jej w szpitalu. Nie mogłem. To okropne wyznanie, ale taka jest prawda.

Siedziałem tam, w mroku jej pokoju. Chyba mi się przyglądała. Ale też nic nie mówiła. W głowie krążyły mi myśli, których w żadnym razie, w żadnych okolicznościach, nie mógłbym przy niej wypowiedzieć na głos. Myśli będące dziwną mieszanką dawnego pragnienia i ciągle świeżego żalu.

Próbowałem wziąć się w garść, jak mówią Amerykanie. Ponieważ to była kolejna dziwna noc, ta miniona. Nie wiem, co powiedziałbym samemu sobie, gdybym przyszedł do siebie jako pacjent. To znaczy już nie wiem. Najwyraźniej są takie otchłanie cierpienia, które znają tylko cierpiący. To jak podróż do wnętrza ziemi, wielką, ciężką maszyną wgryzającą się w głębę. A za deską rozdzielczą mały człowieczek, który coraz bardziej traci panowanie nad

sobą. Strach, strach, a nie ma powrotu.

Wykańcza mnie to stukanie. Taki drobiazg. Ale powoduje, że nerwy mam napięte jak postronki. Nerwy! Mówię jak lekarz z epoki wiktoriańskiej. Jednak to naprawdę jak tamte wiktoriańskie nerwy, seanse spirytystyczne, doznania pozazmysłowe, te niszczące nagrobki na cmentarzu Mount Jerome, których nie można tknąć, bo zostały zakupione na wieczność, ale się rozpadają, i nikt z żyjących już tam nie przychodzi, nie poleruje mosiądzu. Spójrzcie na moje dzieła, wy, możni tego świata, *et cetera*.

Zeszłej nocy sprawy posunęły się jeszcze dalej w mrok. Leżałem w łóżku czujny jak pies. Nagle w całkowitych ciemnościach, w tych bezludnych godzinach nad ranem, zadzwonił telefon Bet, słyszałem nad głową, jak dzwoni. Załatwiłem jej własną linię, ponieważ skarżyła się, że stale okupuje Internet i nie może nigdzie zadzwonić. Mówiła, że chociaż koleżanki zostawiają tylko wiadomości, nawet ich potem jej nie przekazują. Więc dobrze, załatwiłem dla niej drugą linię, chociaż było to kosztowne przedsięwzięcie. Telefon stoi przy jej łóżku.

I nagle zaczął dzwonić, podskoczyłem jak postaci z kreskówek. Pod względem chemicznym to było tak, jakbym nagle dostał zastrzyk adrenaliny w głowę, czy ja wiem. Ale jednocześnie zrobiło mi się niedobrze, to było takie niespodziewane, dziwne wrażenie. A telefon dzwonił i dzwonił, bo nikt nie odbierał, oczywiście. Nie miałem zamiaru iść na górę, do jej pokoju, w środku nocy. Ale potem wydało mi się dziwne, że jak wtedy, gdy Bet nie było w domu, nie włącza się automatyczna sekretarka. Pewnie telekomunikacja odłączyła już ten numer. Potem zacząłem się zastanawiać, czy sam nie zadzwoniłem do nich przed kilkoma tygodniami, żeby to zrobili. Jeśli tak, nie mogłem sobie tego przypomnieć, telefon musiał zadzwonić w wyniku jakiejś usterki czy nieporozumienia. Och, ale leżałem tam i słuchałem, jak dzwoni.

Potem przestał. Próbowałem się uspokoić, przekonać samego siebie, że powinienem poczuć ulgę. I wtedy zdarzyło się coś strasznego. O Jezu, tak. Usłyszałem to wyraźnie, nad głową, cichy, stłumiony głos, bo musiał przeniknąć przez deski podłogowe i stary sufit, jednak usłyszałem wyraźnie słowo „Halo?”. Był to głos Bet.

Tak się przestraszyłem, że prawie puścił mi pęcherz. Już zobaczyłem potwora, który oplata się wokół mnie jak anakonda i powoli zaciska. Anakonda zabija, napierając z taką siłą na narządy wewnętrzne, że pęka serce. Ten potwór prawie do tego mnie doprowadził. Strasznie tęskniłem za Bet, lecz szczerze mówiąc, nie chciałem słyszeć jej głosu, nie w takich okolicznościach. Żywa, oddychająca kobieta, owszem, ale nie pojedyncze słowo, które dochodzi do mnie, przebija się do mnie. Jednak potem pomyślałem, że zdarzyła się jakaś okropna pomyłka, może wyobraziłem sobie, że umarła, albo pogrzebałem ją żywcem i... ale



nie miałem czasu na dalsze tego rodzaju głupoty, bo padło następne słowo, tym razem było to moje imię, wyraźne jak bicie dzwonu: „William!”.

O Jezus, pomyślałem, to do mnie. Już samo to było szaloną myślą. Bo na miłość boską, nikt nie mógł odebrać tego telefonu, więc jak miałby być do mnie?

Ktoś jednak wypowiedział moje imię. Głos brzmiał tak samo jak zwykle, ten sam ton, z tą samą nutą zniecierpliwienia, irytacji, że dałem komuś jej numer i ten ktoś teraz korzysta z jej linii.

Nie wiedziałem, co zrobić.

- Co?! - bezwiednie zawołałem w górę.

Nie mogłem tego tak zostawić - następny objaw szaleństwa - i nic nie odpowiedzieć. Wstałem z łóżka, czując się, jakbym sam już nie żył, jakbym przebywał w świecie zmarłych albo w tej opowieści M.R. Jamesa, którą Bet tak lubiła. Podszedłem do drzwi pokoju z największą niechęcią i boso ruszyłem korytarzem. Gdyby mnie zobaczyła, pomyślałem, udzieliłaby mi ostrej reprymendy za to, że chodzę bez kapci.

Dotarłem do małego podestu schodów prowadzących na strych i zacząłem po nich wchodzić, stopień po stopniu.

Doszedłem do półpiętra, gdzie wtedy znalazłem ją walczącą o życie, i niemal spodziewałem się, że ją tam zobaczę. Próbowałem włączyć światło, ale żarówka musiała się przepalić, choć tego nie zauważyłem, bo nadal panowała ciemność. Przez okno wpadał słaby blask księżyca, mała plama światła. Zostawiłem drzwi do jej pokoju lekko uchylone, żeby była wentylacja, w ramach walki z pleśnią. Podszedłem więc do nich powoli, ciężkim, ołowianym krokiem i zatrzymałem się na chwilę.

- Bet?! - zawołałem cicho.

Byłem kupką nieszczęścia. Jeśli strachowi towarzyszy jakaś substancja chemiczna - adrenalina i jej pokrewne - to w tej chwili zalała mi mózg. Dosłownie ugięły się pode mną kolana i poczułem, że zawartość moich jelit zamienia się w wodę. Zebrało mi się na wymioty. Przed wieloma laty jako chłopak widziałem w rzeźni w Padstow krowy stojące w kolejce do uboju - ze strachu sikały i robiły pod siebie. Poczułem się tak samo. Gdzieś w głębi duszy pragnąłem, żeby Bet była w środku, ale jednocześnie znacznie bardziej bałem się tego, bałem się tak, jak żywi muszą bać się zmarłych. To podstawowe prawo życia. Grzebiemy albo palimy zmarłych, bo chcemy oddzielić ich cielesność od naszej miłości i wspomnień. Nie chcemy, żeby przebywali po śmierci w swoich pokojach, chcemy zachować w pamięci obraz ich żywych, w pełni życia.

A jednak, nagle, równocześnie, jak ogarnięty pierwszym powiewem wiatru

zapowiadającym straszną burzę, zapragnąłem znaleźć ją w środku, naprawdę zapragnąłem tego. Popchnąłem drzwi i wszedłem do pokoju, pragnąc, żeby Bet tam była, pragnąc wziąć ją delikatnie w objęcia, tak jak nie robiłem tego przez wiele, wiele lat, zaśmiać się i wyjaśnić jej, wyjaśnić, jaki byłem głupi, jak myślałem, że umarła, i prosić, żeby wybaczyła mi to moje głupstwo w Bundoran, może zaczniemy od nowa, jedźmy dokądś na urlop, dlaczego nie, do samego Padstow, zobaczyć stary dom i pójść do tej nowej, eleganckiej restauracji, o której słyszeliśmy, spędzić miło czas...

Pusto. Oczywiście pusto.

Gdyby ktoś zobaczył mnie wtedy, pomyślałby, że widzi ducha - musiałem wyglądać jak duch. Głupi, sześćdziesięcioletni mężczyzna z wytrzeszczonymi oczami w pokoju zmarłej żony, obłąkany z bólu, który wciąż szuka przebaczenia i rozgrzeszenia, jak normalni ludzie szukają czasu. Typowy mechanizm na myśl o niej. Bet - daj mi rozgrzeszenie, pomóż mi, wybacz mi. Kiedy prawda jest taka, że powinna mnie odrzucić.

Myślałem o tym wszystkim, siedząc w pokoju Roseanne.

Nie mogłem jej o niczym z tego powiedzieć. Byłem w pokoju pacjentki, po to, żeby ocenić jej stan zdrowia na ewentualność zwolnienia, powrotu na „łono społeczeństwa”. Jedną z idei reżimu pani Thatcher w Anglii, ktoś mógłby powiedzieć - thatcherowska moda, która nie przeminęła. Roseanne siedziała w łóżku, w tej swojej białej mantylce, która w półświecie wygląda jak złożone skrzydła, skrzydełka motyla, zanim napłynie do nich krew i ku własnemu zdumieniu będzie mógł wzniesić się na nich w powietrze.

Ocenić jej stan zdrowia. Nagle wydało mi się to tak absurdatne, że zaśmiałem się głośno. Jediną chorą psychicznie osobą w tym pokoju mogłem być tylko ja.

## Relacja Roseanne

Pobraliśmy się w Dublinie, w kościele w Sutton, nic łatwiejszego. Ksiądz był przyjacielem Toma, studiowali w Dublinie w tym samym czasie, choć w innych college'ach. Tom wytrwał tylko kilka miesięcy na prawie w Trinity College, ale wystarczająco długo, żeby nawiązać w mieście znajomości. Potrafił w jedno popołudnie na wyścigach znaleźć przyjaciela od serca. Wszystko, co trzeba było załatwić, żeby ożenić się z prezbiterianką, zaświadczenia, dyspensy, zostało załatwione. Przypuszczam, że poczciwi mieszkańcy Sutton nie byli pod wielkim wrażeniem tego ślubu, ale jeśli nawet nie był huczny, stawiało się na nim kilku dublińskich przyjaciół Toma, później pojechaliśmy do Barry's Hotel, gdzie spędziliśmy

dwie noce, a drugiego wieczoru wybraliśmy się na tańce do Metropole, bo Tom znał tamtejszego szefa orkiestry, i chyba pierwszy raz tańczyliśmy z sobą. Z jakiegoś dziwnego powodu rzadko nam się to zdarzało u nas na tańcach. Tom sprawiał wrażenie zadowolonego i nie wspominał ani słowem, że na ślubie nie było nikogo z jego rodziny. Jack by przyjechał, gdyby nie był w Afryce, ale w ramach prezentu zafundował bratu ślubny lunch. Tom wypił tyle whisky, że nie bardzo nadawał się w nocy do czegokolwiek, ale nadrobiliśmy to następnego wieczoru po tańcach. Był cudownym kochankiem. O tak.

Leżeliśmy w ciemnościach w pokoju hotelowym. Tom kupił paczkę tych długich rosyjskich papierosów w College Green, tuż przy swojej dawnej uczelni, i palił jednego z nich. Miałam wtedy chyba dwadzieścia pięć lat, on był trochę starszy.

- Wiesz co? - powiedział. - Bardzo tu przyjemnie. Tak się zastanawiam, czyby nie przenieść się do Dublina.

- Nie tęskniłbyś za zachodem?

- Chyba tak - odparł, wypuszczając kłąb dymu z rosyjskiego papierosa w mrok pokoju.

- Tom? - zapytałam.

- Tak?

- Kochasz mnie?

- No pewnie. Pewnie, że tak.

- To dobrze - powiedziałam - bo ja też cię kocham.

- Naprawdę? - odparł. - Wykazujesz bardzo dobry gust. To mądre z twojej strony, muszę powiedzieć. Tak, tak.

A potem się zaśmiał.

- A wiesz - zaczął po chwili. - Naprawdę tak.

- Co? - spytałam.

- To wcale nie takie tam gadanie. Poważnie. Kocham cię.

I myślę, że rzeczywiście tak było.

\*

To był bardzo przyzwoity człowiek, trzeba to zaznaczyć.

Skutki słynnej wojny gospodarczej, prowadzonej w tamtym czasie przez de Valerę, można było w dużej części zaobserwować z okna pociągu. Pobraliśmy się wiosną, a ponieważ nie było teraz popytu na owce, rolnicy musieli zabijać jagnięta na polach. Gdy więc jechaliśmy przez tereny wiejskie, co jakiś czas widzieliśmy rozkładające się zwłoki zwierząt. Toma bardzo to wszystko przygnębiało. Rządy sprawowali ludzie de Valery, a dla niego to

było tak, jakby kraj przejęli mordercy i bandyci, ten sam kraj, który po traktacie chcieli zniszczyć. Widząc to, tacy jak on zaciskali zęby. Tom był młody, miał niezależne poglądy i chciał przejąć odpowiedzialność za kraj, zrobić coś dla niego. Miał poczucie, że de Valera, poczyniwszy próbę zamordowania nowej Irlandii u jej narodzin, zmarnuje także jej dzieciństwo i zaprzepaści przyszłą pozycję w świecie. W każdym razie twardzi rolnicy z bólem serca zabijali jagnięta, a ponieważ nie mieli dokąd wysyłać samych owiec, tracili nadzieję, że ich marzenia kiedykolwiek się spełnią.

- Jak w jakimś cholernym domu wariatów - zauważył Tom, który siedział obok mnie i patrzył na opustoszałe gospodarstwa. A wiedział, co mówi, bo oboje jego rodzice pracowali w zakładzie dla obłąkanych. - Cała Irlandia przypomina dziś wariatkowo.

Tak więc poprosił ojca o uszycie dla niego błękitnej koszuli<sup>8</sup> i zaczął organizować w Sligo małe spotkania i marsze, żeby spróbować zmienić coś w kraju. Działal pod kierunkiem niejakiego O'Duffy'ego, człowieka, który był kiedyś szefem policji, ale z niewiadomych powodów stracił to stanowisko i teraz stał się kimś takim jak Mussolini czy Franco. Tom go podziwiał, bo kiedy był ministrem, usiłował wprowadzić ustawy chroniące prawa dzieci w Irlandii. Nie udało mu się to, ale jednak. O'Duffy potrafił też przemawiać z pasją. Tom był zdania, że nie ma już wielkich przywódców, że wszyscy zginęli podczas powstania, na czele oczywiście z Collinsem. A O'Duffy był wielkim zwolennikiem Collinsa. To wszystko razem układało się więc w jedną całość, przynajmniej dla Toma. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś pocił się tak jak on, i po marszu jego błękitna koszula była wręcz mokra. Musiałam farbować ją kilka razy, bo odbarwiała się pod pachami, co nie wyglądało dobrze. Nigdy nie widziałam go podczas marszów, ale chciałam, jako żona, żeby dobrze się prezentował.

Tymczasem wprowadziliśmy się do małego domku o dachu z blachy falistej w Strandhill. Była to właściwie chałupa, ale leżała blisko sali tanecznej i na tyle daleko od Sligo, że nie musiałam się w nim pokazywać, a jednocześnie Tom mógł łatwo do niego wyskoczyć. Okna naszej sypialni wychodziły na Knockrtareę, można z nich było nawet zobaczyć czubek kopca Maeve na jej szczycie, zabawne to było, my, młode małżeństwo w latach trzydziestych, nowoczesnych czasach, leżeliśmy tu, i ona tam, w swoim łóżu, swojej *leaba*, jak mówią, i to od czterech tysięcy lat. Z rozwalającego się ganku od frontu mieliśmy ładny widok na Coney i choć Metalowy Człowiek krył się za jej linią, wiedziałam, że tam stoi, solidny, wieczny, widziałam go oczami wyobraźni, jak wytrwale, po stoicku wskazuje głębokie wody.

---

<sup>8</sup> W Irlandii w 1933 r. powstał faszystujący Ruch Błękitnych Koszul.

\*

*Karioka. Panowie w cylindrach.* Człowiekiem, który wtedy władał krajem, był nie de Valera, ze swoją chudą, znękaną twarzą, ale Fred Astaire, ze swoją chudą, znękaną twarzą.

\*

Do kina chodziły nawet ważne osobistości. Gdyby to był kościół, mieliby w nim swoje ławki. Na balkonie widać było głównie futra. Reszta Sligo tłoczyła się na parterze. Panowała wrzawa, ale pan Clancy, podobnie jak pozostali jego bracia, służył kiedyś w wojsku, i wyprowadzał niesfornych gości niczym niesubordynowanych rekrutów. Jeśli ktoś sprawiał kłopoty, brał go za ucho i wyrzucał w ciemną, deszczową noc, co nie należało do przyjemności. Nie chodziło mu o całowanie, nie był przecież księdzem proboszczem, zresztą co mógł zrobić, gdy gaszono światła. Nie był to kościół, a jednak było jak w kościele, tylko lepiej, znacznie lepiej. Gdy człowiek rozejrzał się po sali, widział urzeczony twarze, jakie niejeden ksiądz czy pastor pragnąłby ujrzeć któregoś dnia w swoim kościele. Całe Sligo w wilgotnej ciżbie, ludzie różnych stanów, biedacy i bogacze, zrównani w swoim zauroczeniu. Można by powiedzieć, że Irlandia była wtedy zjednoczona i wolna, w każdym razie w kinie. Chociaż Tom poddał mnie kwarantannie w Strandhill, dopóki wrogość jego matki wobec mnie nie złagodnieje, nie był tak okrutny, żeby trzymać mnie na wygnaniu w sobotnie wieczory. Zajeżdżaliśmy do miasteczka jego ładnym małym samochodem i zajmowaliśmy nasze stałe miejsca, jakbyśmy bali się o swoje dusze, jeśli tego nie zrobimy.

W kinie panowała atmosfera rozbawienia, chłopcy bez skrępowania obrzucali się żartobliwie wyzwiskami. Niekiedy padały aluzje do poglądów politycznych, zazwyczaj przyjmowano to wszystko spokojnie, ale od czasu do czasu ktoś tracił panowanie nad sobą i w latach trzydziestych zdarzało się to coraz częściej. Można było wiele się dowiedzieć o stanie kraju na podstawie obelg wymienianych podczas sobotnich seansów wieczornych. Oczywiście pan Clancy nie popierał żadnej partii politycznej i być może polityki w ogóle. Za brzydką uwagę wylatywało się wobec tego za drzwi, czego nie dało się powiedzieć o Dáil, jak mawiał Tom.

- Za to, co mogłabyś powiedzieć w Dáil Éireann bezkarnie, z Gaiety zostałabyś wyrzucona - twierdził.

Przed filmem zawsze wyświetlano kronikę i jeśli na przykład wspomniano w niej o hiszpańskiej wojnie domowej, rozlegały się głośne komentarze na temat Błękitnych Koszul i tak dalej. Pan Clancy i jego bracia mieli wtedy pełne ręce roboty, bo próbowali wyłapać politycznych prześmiewców.

- Kanalie - komentował Tom.

- Zwykle wory gnoju - dodawał Jack, jeśli nie był akurat w Afryce. Jednak nie zamierzał przyłączyć się do Błękitnych Koszul. - Obawiam się, że twój kumpel O'Duffy to też zwykły wór gnoju - mawiał do Toma.

Ale Tom zawsze wybuchał śmiechem, lubił Jacka, nie przejmował się jego słowami. Na tym polegał wielki urok Toma jako przyjaciela i brata. Był z gruntu poczciwym człowiekiem. Poza tym uważał Jacka za geniusza, bo skończył dwa kierunki w Galway, inżynierię i geologię, podczas gdy Tom wytrzymał zaledwie kilka miesięcy na studiach prawniczych. Od dzieciństwa powtarzał też opinie Jacka. Nie wiem, jakie w tym wszystkim miejsce zajmował trzeci brat, Eneas. Oczywiście, o Eneasio mówili niewiele.

Pewnego wieczoru, na *Panach w cylindrach*, gdy szłam do damskiej toalety, drogę zastąpiła mi znajoma ciemna postać. Nie należało do zwyczaju, żeby kawaler zaczepiał mężatkę i wdawał się z nią w rozmowę, ale John Lavelle nie przejmował się konwenansami. Teraz, gdy jego stronnicy byli przy władzy, wręcz kwitł, choć tylko tłukł kamienie przy budowie drogi. Było to i tak znacznie lepsze niż ciągła ucieczka czy więzienny wikt w Curragh. Musiał lubić czarne stroje, bo ubierał się wyłącznie na czarno, przez co wyglądał jak kowboj, ze swoją bladą cerą i skrzydłem czarnych włosów nad czołem. Jak na robotnika drogowego z pewnością świetnie znał się na kamizelkach. Ja z kolei miałam na sobie moją najlepszą letnią sukienkę, fioletową, co chyba mówi samo za siebie. No, w każdym razie John Lavelle nie przejmował się zbytnio tym, co komu wypada, a co nie wypada.

- Witaj, Roseanne. Wiesz, dziewczyno, wyglądasz naprawdę ślicznie.

W jego ustach był to wyjątkowy komplement. I nie tylko w jego. Dotąd w najmniejszym stopniu nie zalecał się do mnie. W końcu poznaliśmy się przy okazji okropnej tragedii. Może nawet wciąż uważał, że to ja wydałam go żołnierzom Wolnego Państwa. A może taki sposób zwracania się do mnie był subtelną formą rewanżu. Jakkolwiek było, nie potraktowałam go poważnie i chciałam iść dalej. Czulałam parcie na pęcherz.

- W niedziele przeważnie bywam na Knocknarei - powiedział. - Znajdziesz mnie tam przy kopcu.

Zarumieniłam się ze zmieszania. Wokół mnie kłębił się tłumek kobiet i dziewcząt, które zmierzały tam gdzie ja, ale zachowywały się cicho, bo za nami na ekranie leciał film. Właściwie z trudem zrozumiałam, co powiedział John Lavelle. Miałam jednak nadzieję, że tylko ja to usłyszałam. Może chciał jedynie być miły. Może chciał powiedzieć: wiem, że tam mieszkasz, sam często bywam w tej okolicy.

Nigdy nie widziałam go na tańcach. Nie przychodziłam już do Plazy tak często jak za dawnych czasów, kiedy byłam niezamężną dziewczyną i mogłam grywać na pianinie, nie

budząc zgorszenia. Bo wtedy mężatki nie pracowały. Przypominałyśmy muzułmanki, mężczyźni chowali nas przed światem, z wyjątkiem takich okazji jak ta, gdy w kinie można było zobaczyć dobry film.

John Lavelle nie był jak inni faceci. Nie traktowałam go jak obwiesia z ulicy, który rzuca za moimi plecami grubiańskie uwagi, stał się dla mnie ważny, bo znał mojego ojca i wiedział o nim różne rzeczy. Można by powiedzieć, że łączyło nas coś więcej niż śmierć dwóch ludzi, jego brata i mojego ojca. Powinniśmy zostać wrogami, ale jakoś nimi nie byliśmy. Nie miałam nic przeciwko niemu, nawet jeśli nie byłam za nim. Do dziś właściwie tego nie rozumiem. Rzadko go widywałam, a jednak pojawiał się w moich snach. Zawsze ginął w nich od kuli, jak jego brat w prawdziwym życiu. Często w tych snach patrzyłam na jego śmierć. Trzymałam go za rękę i tak dalej. Jak siostra.

Jednak nie powiedziałam o tym spotkaniu Tomowi. Wolałam tego nie robić. Jak miałabym zacząć? Tom kochał mnie, czy raczej kochał osobę, którą znał, którą we mnie widział. Może nie powinnam mówić takich rzeczy, ale zawsze podobał mu się mój tyłeczek. Taka jest prawda.

- Kiedy jest mi smutno - powiedział kiedyś - myślę o twoim tyłeczku.

Może nie było to zbyt romantyczne, a jednak w pewnym sensie bardzo romantyczne. Mężczyźni są tacy nieludscy, nie, to znaczy... mają inne priorytety. Wprawdzie nie bardzo wiem, jakie priorytety mają kobiety, to znaczy chyba wiem, ale ja nigdy ich nie rozumiałam. Jeśli o mnie chodzi, naprawdę straszliwie pożałowałam Toma. Jego całego. Jak to powiedzieć... Stale miałam przy nim wrażenie, że kręci mi się w głowie. Są takie rzeczy, które nigdy ci się nie znudzą. Czekoladą można się przejeść. Ale są. Lubiłam jego towarzystwo, w każdej sytuacji. Lubiłam pić z nim herbatę. Lubiłam całować jego uszy. Może nigdy nie byłam prawdziwą kobietą. Boże, wybac mi. Może moim największym błędem było to, że czułam się mu równa. Był on i byłam ja, jak Bonnie i Clyde, którzy w tamtym czasie rozbijali się po Ameryce, strzelając do ludzi, a głównie - na różne sposoby dawali wyraz swojej miłości.

Dobrze, to dlaczego następnej niedzieli poszłam na kopiec?

Nie mam pojęcia. Bo John Lavelle mnie o to poprosił? Nie. Wiem, że postąpiłam źle, że popełniłam błąd. Dlaczego łosoś płynie do domu, w górę Garravoge, skoro ma całe morze?

## Z notatek doktora Grene'a

W pierwszych latach co roku obowiązkowo jeździliśmy na wakacje do Bundoran.

Teraz ludzie śmieją się z Bundoran, jest ono dla nich symbolem dawnych urlopów w Irlandii, wilgotne pensjonaty, ciągle deszcze, kiepskie jedzenie i tak dalej. Ale nam podobało się to wszystko, mnie i Bet. Też się z tego śmialiśmy, ale z czułością, jak człowiek śmieje się ze zwariowanej stryjecznej babci. Uwielbialiśmy tam jeździć - można by powiedzieć, że odbywaliśmy tam pielgrzymkę, żeby odzyskać siły.

Światło słońca potrafi najlepiej czytać z twarzy. Wyjazdy w to samo miejsce rok po roku sprawiły, że twarz Bet stawała się jakby zegarem. Za każdym razem pojawiała się na niej następna historia, następne w kolejności zdjęcie. Powinienem był fotografować ją co roku, w tym samym miejscu, o tej samej porze. Stale narzekała, martwiła się, że się starzeje, wykrywała każdą nową zmarszczkę już w minucie, gdy się pojawiła, jak śpiący pies, który nagle się budzi, słysząc, że obca stopa narusza granice posiadłości. Jedyłą ekstrawagancją, na jaką sobie pozwalała, były drogie kremy przeciwzmarszczkowe na noc, które kupowała, walcząc z upływającym czasem. Była bardzo inteligentną osobą, знаła całe fragmenty Szekspira z czasów szkolnych, kiedy dopadł ją jeden z tych niespełnionych, natchnionych nauczycieli i też próbował zrobić z niej nauczycielkę. Ale gdy patrzyła na swoje zmarszczki, opuszczała ją cała jej inteligencja, było w tym coś pierwotnego, pradawnego. Jeśli o mnie chodzi, mogę powiedzieć z ręką na sercu, że nigdy nie przejmowałem się takimi rzeczami. To jedna z zalet małżeństwa, że z jakiegoś magicznego powodu zawsze wyglądamy dla siebie nawzajem tak samo. Nawet nasi przyjaciele jakby się nie starzeli. To prawdziwe dobrodziejstwo, za młodu nigdy bym się tego nie spodziewał. Ale jak mogłoby być inaczej? W domu starców nie ma takiej osoby, która nie patrzyłaby z nieufnością na innych pensjonariuszy. Oni są starzy, stanowią klub, do którego nikt nie chciałby wstąpić. Ale my sami starzy nie jesteśmy. Dzieje się tak dlatego, że u schyłku dnia statkiem, którym płyniemy, staje się dusza, nie ciało.

Och, i ja to piszę, największy agnostyk w Irlandii. Jak zwykle brakuje mi słów, aby wyrazić, co chcę powiedzieć. A próbuję powiedzieć, że kochałem Bet, tak, całą duszą, a tamte zmarszczki i bruzdy miały znaczenie tylko dla niej, dla jej przerażającej interpretacji własnego życia. To nie tak, że nie doceniałem cierpienia, jakie jej sprawiały. Będąc według swojej oceny zwyczajną kobietą, nie chciała być zwyczajną starą kobietą. Jednakże kwestionowałbym także tę jej zwyczajność. Były takie chwile, że jej twarz rozjaśniała się, rozświecła własną urodą. Kiedyś staliśmy obok siebie w kościele i spojrzałem na nią sekundę przed tym, jak powiedziała: „Tak”, a potem usłyszałem, jak to mówi - jej twarz rozpromienił niezwykle blask, który dosięgnął i mnie. To była miłość.

Człowiek nie spodziewa się ujrzeć takiej miłości. Ja w każdym razie się nie



spodziewałem.

Dlaczego więc musiałem zdradzić ją właśnie w Bundoran?

Przyjechałem tam całkiem niewinnie, bez niej, na konferencję, która odbywała się w tym nowym hotelu przy plaży. Był to zjazd psychiatrów. Poświęcony akurat psychozie starczej, demencji i tak dalej. Miałem przedstawić referat na temat różnych wersji pamięci, absolutnej, faszystowskiej pewności pamięci, okrutnej presji pamięci. Były to, jak przypuszczam, charakterystyczne dla wieku średniego bzdury, ale w tamtym czasie uważałem je za radykalne, rewolucyjne. Zostały potraktowane na konferencji jako ekscentryczne. Jako coś w rodzaju wyskoku umysłowego. Może więc nie było nic niezwykłego w tym, że po nim nastąpił wyskok fizyczny, cielesny.

Biedna Martha. Miała czterech wspaniałych chłopców i męża, jednego z najzdolniejszych prawników swojego pokolenia. Nieobecny, zatroskany człowiek, ale na pewno wartościowy. To było strasznie banalne. Wypiliśmy za dużo wina, szliśmy korytarzem wzdłuż nijakich pokoi hotelowych, poczuliśmy do siebie nagłe pożądanie, pocałowałem ją, zaczęliśmy rozbierać się w ciemnościach, nawet nie zdjęła majtek, Boże, miej nas w swojej opiece, doszła pod dotknięciem mojej ręki i na tym się skończyło. To był krok wstecz, kapitulacja, powrót do młodości, kiedy takie obmacywanki wydawały się heroiczne i poetyckie.

Martha wróciła do domu i powiedziała wszystko swojemu poczciwemu mężowi. Nie sądzę, żeby miała taki zamiar, żeby w ogóle chciała to zrobić. Chyba wolałaby, aby to między nami w ogóle się nie zdarzyło. Świat nie jest pełen osób, które dopuściły się zdrady, jest pełen ludzi o dobrych intencjach, pragnących postępować właściwie w stosunku do tych, którzy je znają i kochają. To mało znana prawda, ale myślę, że jednak prawda. Tak wynika z mojej wieloletniej praktyki. Wiem, że to niebywała konkluzja, ale prawdziwa. Lubimy charakteryzować człowieczeństwo jako dzikie, pożądliwe, prymitywne, lecz przez to każdy staje się kimś obcym. Nie jesteśmy wilkami, tylko owieczkami, które dziwią się słońcu i latu na skraju pola. Straciła to, co było jej światem, to znaczy Martha. Ze mną było tak samo. Niewątpliwie każde z nas na to zasłużyło. Jej mąż natomiast, cokolwiek wycierpiał, nie zasłużył na to, Bet, cokolwiek wycierpiała, też na pewno nie.

Ponieważ wierność nie zależy od ludzi, tylko od roli boskiej.

Ale znowu zaczynam.

\*

Zastanawiam się, co by powiedział na to ojciec Gaunt.

Ojciec Gaunt, który tak skrupulatnie, tak gorliwie demaskuje Roseanne, jej charakter,

jej straszne uczynki.

Jego zeznanie zostało w sąsiednim pokoju, jestem zbyt zmęczony, żeby po nie iść. Zobaczą, ile potrafię przytoczyć z pamięci. O wydarzeniach na cmentarzu już pisałem. Potem nastąpiła niepodległość, rozwiązano policję imperialną, co, jak przypuszczam, musiało wzmocnić strach ojca Roseanne, a później... chyba znowu minął jakiś czas. Poczucie zagrożenia wzrosło, zmalało? I wreszcie jej ojciec dostał pracę na tym samym cmentarzu. Ponieważ przydzielała ją Rada Miejska, trudno zrozumieć, dlaczego podobna synekura przypadła człowiekowi z taką plamą na życiorysie, choć może praca była tak podła, że uważano ją za zniewagę. Po jakimś czasie jednak i tę stracił, i dostał nową, szczurołapa w Sligo, niewątpliwie obelżywą dla kogoś takiego jak on. Ojciec Gaunt pisze jadowicie: *Ponieważ topił swoich rodaków jak szczury, można powiedzieć, że nadawał się do tej roboty.* (Czy coś w tym stylu). Jednakże pamięć w Irlandii rzuca i długi, i krótki cień, jak wszędzie, gdzie toczą się takie walki. Wojna domowa, która rozpętała się potem, jeszcze bardziej namieszała w głowach skądinąd poczciwych młodych ludzi w Sligo. I w końcu przyszedł czas, że przypomniano sobie o ojcu Roseanne, którego spotkał dziwny koniec, choć nie od razu.

Pewnego wieczoru, gdy wracał do domu, został porwany na rogu ulicy. Był pijany, jak zwykle, i jak zwykle czekała na niego córka. A wydaje mi się, i wynika to jasno z relacji ojca Gaunta, że Roseanne uwielbiała swojego dziwnego ojca. W każdym razie został on pochwycony przez kilku mężczyzn i zawleczony na cmentarz. Roseanne poszła za nimi. Zdaniem ojca Gaunta plan był taki, żeby zabrać go na szczyt okrągłej wieży, która stała pośrodku cmentarza, i wyrzucić przez okno.

W usta wepchnięto mu pierze, które niewątpliwie miało symbolizować jego poprzednią profesję, choć Bóg mi świadkiem, nie bardzo rozumiem, na czym polegało tchórzostwo tego człowieka, mimo że mógł pod wieloma względami błędzić. Potem, cóż, pobito go młotkami i próbowano wyrzucić przez okienko na szczycie wieży. Roseanne stała na dole i patrzyła na to. Z pomieszczenia na górze musiały dobiegać straszliwe krzyki. Ale udało im się wypchnąć go tylko częściowo, bo miał od piwa zbyt duży brzuch, który nie chciał przejść przez otwór. Nie umarł też na skutek pobicia i gdy krzyczał, z ust wypadło mu pierze. W desperacji wciągnęli go z powrotem do środka i jeden z mężczyzn wyrzucił przez okno te cholerne młotki. Pierze rozwiało się w powietrzu, a młotki spadły na ziemię, uderzając w głowę patrzącą na to Roseanne, tak że straciła przytomność.

Egzekucji dokończono w sposób już mniej teatralny, wieszając go w pobliskim opuszczonym domu. Biorąc pod uwagę atmosferę panującą w tamtych czasach, nie sądzę, żeby ktoś po nim płakał. Niewątpliwie działał przeciwko własnym rodakom. Jego zabójcy

byli młodymi ludźmi, usiłującymi pomścić wielkie zło, a młodzi ludzie są porywcy. Tak, kto by go oplakiwał.

Oprócz Roseanne.

Jak mam jej to wszystko przedstawić? A to dopiero koniec pierwszej części, druga opowiada historię jej samej. I stanowi naprawdę przykre, nawet przerażające oskarżenie jej samej. Grzechy ojca to jedno, ale grzechy matki... Cóż. Muszę pamiętać - znowu to sobie powtarzam - dlaczego się tym zajmuję. Bądź profesjonalistą. Zachowaj rezerwę. Chociaż będąc w pewnym sensie Irlandczykiem, wychowałem się w Anglii, mam już pewien dystans wobec dziwnych rozdziałów zdumiewającej historii tego kraju.

I czyż dzieje nas wszystkich nie są powikłane i niemal nam obce, to znaczy obce naszej wyobraźni? Śmierć mojej własnej matki, ależ była okrutna, pod każdym względem - i jedyna dobra rzecz, jaka z niej wyniknęła, to że „zainspirowała” mnie do studiów psychiatrycznych w Durham, tak jakbym chciał się zabezpieczyć na przyszłość przed czymś takim.

Mieszkała w raju, po drugiej stronie rzeki, naprzeciwko Padstow, w domu, który podziwiali i którego zazdrościli jej goście, wśród drzew na samej plaży.

Oczywiście, nie chodzi o moją „prawdziwą” matkę ani „prawdziwego” ojca.

Po przejściu na emeryturę co roku jeździli do Lake District. Pewnego ranka ojciec, bez niej, wybrał się w góry. Kiedy dotarł na szczyt, spojrzął na dół, w dolinę, która rozciągała się pod nim, i zobaczył małą postać wchodzącą do wody. Był za daleko, żeby go usłyszała. Natychmiast ją rozpoznał.

Jakieś trzy lata po tym, jak mnie adoptowali, porzuciwszy już nadzieję, że będą mieli własne dziecko, urodził im się John, mój brat. Był do mnie bardzo przywiązany. Kiedy jako chłopcy łowiliśmy ryby w strumieniu, godzinami stał w szortach w wodzie i pochylony łapał dla mnie do słoika małe rybki na przynętę.

Gdy miałem czternaście lat, jeździliśmy rano rowerami wokół ujścia rzeki, żeby złapać autobus, ja - do katolickiej szkoły średniej, a on - do podstawówki, do której i ja kiedyś chodziłem. Przystanki stały blisko siebie, ale po przeciwnych stronach drogi, bo jego szkoła znajdowała się w innym kierunku niż moja. Była to mała wiejska droga za wsią, kursowały nią błyszczące, przysadziste autobusy z tamtych czasów.

Pewnego ranka - który, jak wszystko, staje się historią, mógłbym równie dobrze powiedzieć: „dawno, dawno temu” - gdy zostawiliśmy jak zwykle rowery za żywopłotem, zobaczyłem, że z jednej strony nadjeżdża mój autobus, a z drugiej, prawie w takiej samej odległości, jego. John, około dziesięcioletni, cmoknął mnie w policzek, uściśnął i zamierzał

przejsć przez ulicę. Zauważyłem, że trzymam jego płaszcz razem z moim, i zawołałem: „Hej, młody człowieku!”. John zatrzymał się i odwrócił. „Twój płaszcz!” - krzyknąłem i miałem zamiar go rzucić; zobaczyłem jednak, że John się uśmiecha i robi kilka kroków w moją stronę. Wówczas nadjechały oba autobusy i cokolwiek kierowcy zamierzali wobec przechodzącego przez drogę chłopca, mój krzyk spowodował zamęt i jeden z nich przejechał Johna, podczas gdy ja stałem z płaszczem w wyciągniętej ręce.

To była przyczyna rozpaczy matki.

Wielkiej rozpaczy. Przechodzącej wszelkie pojęcie. Od której pękło jej serce. Ale jest w tym coś, na co nie mogłem się zdobyć. Na prawdziwe zrozumienie.

Pod wszelkimi względami miała bogate życie. Mieszkała w rajku. Właściwie zostawiła w tym rajku mojego biednego ojca. Czy nie byłem na nią jednocześnie zły? Za to, że ja jej nie wystarczałem? Ani ojciec? To bardzo niesprawiedliwe, wiem. Ale przecież istnieje coś takiego jak wytrzymałość, to pewna cecha. Chyba usiłuję przez to powiedzieć, choć w żadnym razie nie chcę być okrutny wobec matki, że Roseanne wytrzymała, mimo że życie ciężko ją doświadczyło.

Jestem zdegustowany samym sobą, że to napisałem.

I dlaczego płaczę?

Ze zdumieniem czytam to, co właśnie wyszło spod mojej ręki. Zrobiłem anegdotę z tragicznej śmierci brata, za którą najwyraźniej się obwiniam, świadczy o tym jasno chłodna konstrukcja zdań. Nawet gdy byłem w Durham, gdzie jako studenci ćwiczyliśmy na sobie wzajemnie analizę, nigdy o tym z nikim nie rozmawiałem. Nawet o tym nie myślałem, nie wracałem do tego przez ostatnich pięćdziesiąt lat. To zatuszowany skandal we mnie samym. Widzę to wyraźnie, gdy patrzę na gołe fakty. Ale jak mam spojrzeć na to teraz, jak mam sobie pomóc? To wykracza poza moje możliwości. Jedyнным człowiekiem, z którym mógłbym o tym porozmawiać, był Amurdat Singh, który od dawna leży w grobie. Albo z ojcem, ale on też nie żyje. Co też musiał wycierpieć, pod maską tej swojej ujmującej angielskiej powściągliwości.

Ale to zupełnie inna sprawa. Jestem całkiem zadowolony, że nie ma dla mnie pomocy. To niesmaczne. Między nami mówiąc, już nie tylko płaczę, ale jeszcze się trzęsę.

Oczywiście życie Roseanne spina to wszystko, uosabia ona świat, jaki znamy, ostatnie sto lat jego historii. Powinna być ikoną narodową, kimś, do kogo się pielgrzymuje. A tymczasem nawet nie ma swojego miejsca na ziemi i jest nikim. Nie ma rodziny ani wręcz własnego narodu. Prezbiterianka. Zapomina się, że w latach dwudziestych czyniono wysiłki, żeby do Senatu wprowadzić przedstawicieli wszelkich światopoglądów, ale były to wysiłki

daremne i wkrótce stracono do nich serce. Nasz pierwszy prezydent był protestantem - piękny, romantyczny gest. Nie ma co, gubimy tyle nitki naszej historii, że gobelin irlandzkiego życia musi się rozpaść. Nic go nie scala. Jeden powiew wiatru, następna wielka wojna, która nas dotknie, i zostaniemy zdmuchnięci aż do Azorów.

A Roseanne jest jak skrawek papieru powiewający na skraju pustkowi.

I uświadamiam sobie, że trochę za bardzo się w jej sprawę zaangażowałem. Może to nawet obsesja. Nie tylko nie mogę wydobyć od niej historii jej życia, ale jeszcze poznałem jego wersję, której moim zdaniem nie zechce zaakceptować. Mam pod opieką kilkanaście innych dusz, którymi powinienem się zająć - wysłuchać ich, żeby sprawdzić, czy mogą wrócić do „społeczeństwa”. Na Boga, ten szpital ma być zamknięty, rozwiązany, mam tyle roboty, tyle roboty.

Ale codziennie czuję potrzebę pójścia do jej pokoju, często się spieszę, jak pod koniec tego starego filmu, *Spotkanie*. Jakby miało jej tam już nie być, gdybym się spóźnił. Co zresztą może się zdarzyć.

Nie umiem żyć bez Bet. Muszę się nauczyć.

Może wykorzystuję do tego celu Roseanne, opiekując się kimś, kogo podziwiam i nad kim mam jednocześnie władzę? Muszę przeanalizować własne motywy, bo obawiam się, że w przeszłości wyrządzono jej krzywdę, niezależnie od prawdziwości zarzutów wobec niej, czy może raczej plotek, to chyba lepsze słowo. Chociaż do pewnego stopnia została tu pogrzebana, nie jest Saddamem ukrywającym się w tej strasznej norze, nie będzie się jej wyciągać stąd siłą, nie będzie się jej zaglądać w zęby jak koniowi (ale uwaga dla siebie: trzeba by zbadać jej zęby, zauważyłem, że ma w kilku miejscach ślady próchnicy). Zaglądać w zęby, odwszawiać, upokarzać, likwidować.

# ROZDZIAŁ SZESNASTY

## Relacja Roseanne

Doktor Grene był tutaj przed chwilą. Wchodząc do pokoju, przypadkiem stanął na obluzowanej klepce, pod którą chowam te zapiski i która zaskrzypiała okropnie, zapiszczała jak mysz, gdy opada klapka w pułapce, i bardzo się przestraszyłam. Ale nie, doktor Grene nie zwracał na nic uwagi, nawet na mnie. Usiadł w moim starym fotelu i nic nie mówił. Nikły blask zza okna ledwie oświetlał jego twarz. Ponieważ siedziałam na łóżku, widziałam tylko jego profil. Zachowywał się tak, jakby był zupełnie sam, co chwila wzdychał ciężko, ale chyba nie był tego świadomy. Takie nieświadome westchnienia. Nie przeszkadzało mi to. Cieszyłam się, że jest w pokoju i nie zadaje mi żadnych pytań. Zresztą dobrze się bawię we własnym towarzystwie. Chwała Bogu, nasze myśli są nieme, zamknięte, nieczytelne.

Dlaczego więc piszę to wszystko?

W końcu, gdy już myślałam, że wychodzi, jak ci detektywi w starych filmach odwrócił się przy drzwiach i spojrzał na mnie z uśmiechem.

- Pamięta pani ojca Garveya? - zapytał.

- Ojca Garveya?

- Tak, kiedyś był tu kapelanem. Ze dwadzieścia lat temu.

- Taki niski mężczyzna z włosami w nosie?

- Hm, włosów nie pamiętam. Siedziałem tu i przypomniałem go sobie, nie lubiła pani, gdy przychodził. Nie wiem, dlaczego nagle mi się przypomniał. Był jakiś powód, że go pani nie lubiła?

- Och. Nie. Po prostu nie przepadam za osobami zbyt pobożnymi.

- Pobożnymi? Chodzi pani o wierzących?

- Nie, nie, o księży, zakonnicę i im podobnych.

- Dlaczego?

- Są tacy pewni wszystkiego, a ja nie. To nie dlatego, że jestem prezbiterianką. Nie lubię świętych ludzi. Był bardzo miły, ten ojciec Garvey. Powiedział, że rozumie - dodałam, bo rzeczywiście tak było.

Stał jeszcze chwilę przy drzwiach. Chciał coś powiedzieć? Chyba tak. Jednak nie

zrobił tego, tylko kilka razy pokiwał głową.

- Ale nie ma pani nic przeciwko lekarzom, mam nadzieję? - zapytał.

- Nie - odparłam - zupełnie nic.

Zaśmiał się i wyszedł.

\*

Fred Astaire. Niezbyt przystojny mężczyzna. Sam mówił, że nie umie śpiewać. Łysiał przez całe życie. Tańczył tak lekko, jak biega gepard, z wdziękiem pierwszych istot, jakie zostały stworzone. Tego pierwszego tygodnia. W jeden z tych dni Bóg musiał też stworzyć Freda Astaire'a. Może w sobotę, bo to dzień, w który chodziło się do kina. Na jego widok od razu robiło się człowiekowi lepiej. Był jak lekarstwo. Butelkowany w filmach i rozprowadzany po całym świecie, od Castlebar po Kair, uzdrawiał kulawych i ślepych. To prawda ewangeliczna. Święty Fred. Fred Odkupiciel.

\*

Mogłabym się do niego modlić w tamtym czasie.

\*

U podnóża góry podniosłam gładki kamyk, który leżał na mokrej od deszczu ścieżce. Stary zwyczaj nakazuje przynieść kamyk i złożyć go na kopcu. Och, ależ byłam rozdygotana. Nie od wspinaczki, w tamtym czasie to była dla mnie pestka. Nie, w głowie mi się kręciło, jak pisano kiedyś w romansidłach. I właściwie nie umiem powiedzieć dlaczego, wiedziałam tylko, że nie powinnam robić tego, co robię. Dzień był jak najbardziej spokojny, jak najbardziej bezwietrzny, pasma błękitu rozdzierały zasnute chmurami niebo, ale mój nastrój zupełnie z tym nie harmonizował. Lepiej pasowałby do dnia, gdy nad Knocknareę lał deszcz, spływając niewidzialnymi wojskami i efektownymi smokami do Strandhill, dopadając je pomiędzy wioskami i morzem. Miałam gołe ramiona, gdy schylałam się po kamyk, mimo niepokoju starając się wybrać przyzwoity - gołe ramiona i gołe serce.

Jeśli los ojca był gdzieś zapisany, to pewnie mój też.

Drogi Czytelniku, proszę Cię o ochronę, bo się boję. Całe moje stare ciało się trzęsie. To było tak dawno temu, a ja wciąż czuję strach. To było tak dawno temu, a ja wciąż stoję pochylona i czuję kamyk w dłoni, jakby nadal w niej tkwił. Jak to możliwe? Czyżbym czuła tę samą energię co wtedy, gdy tak wspinałam się stanowczym krokiem? W górę, w górę, raz, raz. A może i czuję cię tego? Gorącą krew w moim ciele, skórę gładką jak metal, tkwiącą we mnie niedocenianą, lekceważoną młodość. Dlaczego tak niewiele wiedziałam? Dlaczego wciąż wiem tak niewiele? Roseanne, Roseanne, gdy tak wołam do ciebie, ja sama do siebie samej, słyszysz mnie? A jeśli słyszysz, czy posłuchasz?

\*

Mniej więcej w połowie drogi na szczyt pojawiła się grupka schodzących ludzi, słyszałam ich śmiechy i od czasu do czasu po ścieżce toczyły się kamyki. Potem ich zobaczyłam, gabardynowe płaszcze, filcowe kapelusze, szale i znowu śmiechy. Było to lepsze towarzystwo ze Sligo, znałam nawet jedną z kobiet, bo przychodziła często do Café Cairo. Pamiętałam jeszcze, co zwykle zamawiała, ona najwyraźniej też.

- No, no! - zawołała. - Kakao i bułeczkę z wiśniami poproszę!

Roześmiałam się. Na pewno nie chciała być niegrzeczna. Jej towarzysze spojrzeli na mnie z lekkim zainteresowaniem, gotowi okazać sympatię, jeśliby tak życzyła sobie kobieta. Nie przedstawiła mnie. Ale cichym głosem zagadnęła:

- Słyszałam, że wyszłaś za mąż. Za naszego cudownego chłopca z Plazy. Gratulacje.

To było miłe z jej strony, bo w miasteczku niewiele się mówiło o tym małżeństwie, a jeśli nawet, to niezbyt życzliwie. Tak to nazwijmy. Właściwie wywołało ono mały skandal, jak większość rzeczy w Sligo, które wykraczały poza konwenanse. To było bardzo małe miasteczko, zagubione w deszczu.

- Miło cię było zobaczyć. Przyjemnej drogi na górę.

I rzuciwszy to angielskie pożegnanie, oddaliła się, schodząca ostro ścieżka powiodła ją w przeciwną stronę, kapelusze i szale zniknęły w dole. A razem z nimi śmiechy. Słyszałam jeszcze miły głos kobiety, być może mówiła o mnie, może komentowała fakt, że nie było ze mną Toma, nie wiem. Ale nie odwiodło mnie to od mojego zamiaru.

Co nim było? Sama nie miałam pojęcia. Dlaczego wspinałam się na Knocknaree wezwana przez partyzanta ostatniej wojny domowej i być może partyzanta w życiu? Byłego więźnia, który kopał rowy w Sligo? Który, z tego, co wiedziałam, nie był żonaty i z nikim się nie umawiał na randki? Zdawałam sobie sprawę, co robię i jak to wygląda, ale nie rozumiałam, co pchało mnie naprzód. Może była to niezaspokojona ciekawość, wynikająca z miłości do ojca? Potrzeba powrotu do wspomnień, jakiegokolwiek wspomnienia o nim, dzięki któremu stałby się bardziej obecny, nawet gdyby miały to być wydarzenia tamtej nieszczęsnej nocy na cmentarzu - obu nieszczęsnych nocy.

Na pierwszy rzut oka na górze nie było nikogo, z wyjątkiem może starożytnych kości królowej Maeve pod milionem kamyków. Jej kopiec był wyraźnie widoczny z pół na dole, z plaży w Strandhill, ale stamtąd wydawał się mały. Dopiero gdy podeszłam do niego na moich zmęczonych nogach, zdałam sobie sprawę, jaki jest wielki - dzieło setki ludzi, dawno temu zbierających ze stoków góry dziwny plon kamieni wielkich jak pięść i rzucających je na stos, poczynając być może od samej królowej pod kilkoma starannie ułożonymi płytami, tak że



powoli, jak pojedyncze kawałki torfu dodawane do całej sterty, jak pojedyncze zdarzenia składające się na epopeję, powstał wielki kurhan, pod którym mogła spać. Mówię „spać”, ale mam na myśli „rozkładać się” „rozpadać” - niknąć, zlewać się z wilgotną ziemią, stanowiąc pożywkę dla lśniących jak diamenty wrzosów i mchów. Przez chwilę miałam wrażenie, że słyszę muzykę, narastające dźwięki starego amerykańskiego jazzu, ale był to tylko zmęczony wiatr, potykający się o wierzchołek góry. A pośród tej muzyki usłyszałam własne imię.

- Roseanne!

Rozejrzałam się, ale nikogo nie zobaczyłam.

- Roseanne, Roseanne!

Nagle ogarnął mnie dawny, dziecinny strach, jakbym usłyszała głos nie z tego świata, jakby na szczycie kopca siedział duch królowej, z resztkami długich, pokrytych pyłem włosów i zapadniętymi policzkami, który chciałby mnie zabrać do krainy cieni. Ale nie, to nie był kobiecy głos, tylko męski, i chwilę później zobaczyłam, że zza kamiennego murka wyłania się jakaś postać, w ciemnym ubraniu, z ciemnymi włosami, o bladej twarzy.

- Jesteś - powiedział John Lavelle.

Minęło sporo czasu, od kiedy spojrzałam na zegar w sklepie z mydłem i powidłem we wsi na dole, ale mimo to uważałam za sukces, że udało mi się go znaleźć na podstawie tak lakonicznej informacji. Niedziela o trzeciej. Gdyby zachodziła wyższa konieczność, gdyby miały się tu spotkać oddziały wojska, żeby zniemacka zaatakować wroga, tak łatwo by nie poszło. Ale los jest, zdaje się, najlepszym strategiem i potrafi zdziałać cuda, żeby doprowadzić do naszej zguby.

Podeszłam do niego. Bardzo mu współczułam - tak, to chyba było to - że stracił brata w tak strasznych okolicznościach. Był jak fragment mojego dzieciństwa, od którego nie mogłam się odciąć. Czuję, że jest dla mnie ważny z powodów, których jednak nie potrafiłam zrozumieć. Żywiłam dla niego rodzaj niechętnego szacunku; być może zajmował się kopaniem rowów, ale w moim odczuciu miał w sobie coś heroicznego, był księciem w przebraniu żebraka.

Stał wśród czegoś, co wyglądało na kamienny fundament niewielkiej budowli. Kiedyś mogła być ona przykryta płytą, która dawno temu zapadła się albo została zabrana.

- Leżałem sobie tutaj - powiedział. - To bardzo nasłonecznione miejsce. Dotknij mojej koszuli.

I wyciągnął do mnie jej połą. Kiedy musnęłam ją ręką, poczułam, że była naprawdę ciepła.

- Co może zdziałać słońce w Irlandii, jeśli da mu się szansę? - zauważył.

Przez następną chwilę żadne z nas nie wiedziało, co powiedzieć. Serce mocno biło mi w piersi, bałam się, że to słycać.

Och, nie z miłości do niego. Z miłości do mojego biednego ojca. Z pragnienia, aby znaleźć się blisko kogoś, kto był blisko niego. Straszna, groźna, niewytłumaczalna głupota z mojej strony.

Nagle zdałam sobie z tego sprawę. Pomyślałam: Tom ożenił się z wariatką. Ta myśl prześladowała mnie od tamtej chwili wielokrotnie. Ale mogę niemal z dumą powiedzieć, że pierwsza na to wpadłam.

Nie mogłam się oprzeć urokowi rzeki. Otwarte morze nie było w stanie mnie zatrzymać. Łosoś składa ikrę na kamieniu w najwęższym miejscu ojczystej rzeki, tam, gdzie wytryska ona z ziemi. Tajemniczy świat, same tajemnice, królowe w kamiennych kopcach, rzeki wzbierające pod ziemią.

- Wiesz co, Roseanne? - powiedział po chwili. - Jesteś kropka w kropkę jak moja żona.

- Twoja żona, Johnie Lavelle? - zapytam, nagle rozgniewana.

- Tak, moja żona. Jesteś do niej bardzo podobna, być może w mojej pamięci przybrała ona nawet twoją twarz.

- A gdzie wobec tego jest twoja żona?

- Na North Island, na Inishkei. Kilku chłopaków z wyspy spaliło koszary policji w dwudziestym pierwszym. Nie wiem po co, bo policjantów tam żadnych nie było. Więc przyłynęli Black and Tans, żeby zobaczyć, jak mogą się zemścić. W tym czasie urodziły mi się bliźniaki. Moja Kitty stała w drzwiach domu, trzymając na rękach obu chłopców, żeby się „przewietrzyli”, jak to się mówi po irlandzku. Black and Tans, którzy byli dość daleko, postanowili postrzelać sobie do niej na chybił trafił. Dostała w głowę, druga kula zabiła Michaela a’Bhilli, a Seanin wypadł z ramion matki i głowę sobie rozbił o kamienny próg.

Mówił to bardzo spokojnie i jakby z lękiem. Chwyciłam go za rękaw.

- Bardzo mi przykro - powiedziałam.

- Seanin przeżył, ma teraz piętnaście lat. Ale po tym upadku w głowie mu się pomieszało. Jest trochę dziwny. Chłopak woli trzymać się z boku, patrzy tylko. Wychowuje go rodzina matki, zresztą drugie imię ma po niej, śliczne stare imię z wysp, Keane. Ale lubi ze mną rozmawiać. Ostatnim razem, gdym zjechał do domu, opowiadałem mu o tobie i zasypał mnie mnóstwem pytań. Powiedziałem, że jeśli coś by mi się stało, ma cię odszukać, a on obiecał, że to zrobi, choć nie sądzę, żeby zrozumiał nawet połowę z tego, co mówiłem, pojęcia nie ma, gdzie leży Sligo.

- Dlaczego tak mu powiedziałaś, Johnie Lavelle? - zapytałam.

- Nie wiem. Po prostu...

- Co po prostu?

- Nie wiem, co się ze mną stanie. Chyba wrócę znowu do wojaczki. Nie dla mnie to kopanie rowów. To jeden powód, i boję się śmiertelnie. A drugi jest chyba taki, że nigdy nie widziałem śliczniejszej od ciebie dziewczyny, z wyjątkiem Kitty.

- Jesteś dla mnie prawie obcym człowiekiem. To dziwaczne.

- Obcy - odparł. - Może i obcy. W tym kraju wszyscy są obcy. Masz rację. Ale co ludzie mówią, gdy czują to co ja? Chyba „kocham cię”.

Staliśmy tam pewien czas, gdy usłyszałam czyjeś głosy, nowe głosy dochodzące z dołu. Zdałam sobie sprawę ze swojej sytuacji i niemal rzuciłam się w kierunku ścieżki. Nie było innej drogi na dół, choć najpierw pomyślałam, żeby pobiec przez wrzosowiska, wśród rumowisk na wschód; wiedziałam jednak, że pod Knocknareą jest wysoka skarpa i minęłoby wiele czasu, zanim bym ją obeszła i dostała się na drogę. Tak wiele czasu, że Tom mógłby zacząć się niepokoić, co się ze mną stało, a nawet wszcząć poszukiwania. Takie myśli przebiegały mi przez głowę, gdy wiatr, coraz silniejszy, w miarę jak zbliżała się pora na herbatę, zwał mi włosy na twarz i na ścieżce pojawiła się grupka ludzi.

Byli to ludzie w czarnych ubraniach i sutannach. Grupka księży na niedzielnej wycieczce. Czyż nie było w tym cienia bluźnierstwa? Można by pomyśleć, że ze względu na swój stan duchowny, modlitwy i obowiązujące ich zasady powinni trzymać się miasteczka. Ale znaleźli się tam, z tym swoim innym śmiechem, szemrzącymi głosami. Obejrzałam się z przerażeniem, żeby zobaczyć, gdzie jest John Lavelle. Och, stał tuż za mną, jak część samego wiatru.

- Uciekaj! - powiedziałam. - Ukryj się gdzieś! Nie mogą mnie z tobą zobaczyć!

- Dlaczego? - zapytał.

- Jak to „dlaczego”? Oszalałeś? Oszalałeś tak jak ja? Idź, ukryj się za tymi skałami.

Ale było za późno. Oczywiście. Świątobliwa grupka już nas zobaczyła, uśmiechy, pozdrowienia, uchylanie kapeluszy. Oprócz jednej twarzy, zaczerwienionej z wysiłku i od wiatru, która posłała mi puste, bolesne spojrzenie. Był to ojciec Gaunt.

\*

Kiedy wróciłam do naszego domku w Strandhill, Toma nie było, bo pojechał do Sligo, żeby powitać na stacji „Generała” przed paradą na Wine Street, której celem było zadeklarowanie, jak to określił, wielkiego poparcia dla ruchu generała O’Duffy’ego w miasteczku. Prosił, żebyśmy włożyła błękitną koszulę, którą Stary Tom uszył dla mnie za jego

namową, ale prawda była taka, że ten Tom mnie przerażał. Pewnie w dawnej Café Cairo, w samym Kairze - choć nie sądzę, żeby pani Prunty tam kiedykolwiek była - paliło się nargile, nie mówiąc już o występach dziewczyn lekkich obyczajów, które wykonywały taniec brzucha. Nigdy nie widziałam w Tomie opiumisty, ale miałam wrażenie, że w jego oczach pojawia się niemal orientalny błysk, kiedy mówił o Generale i korporacjonizmie (cokolwiek to było, nie jestem pewna, czy sam wiedział), o odwecie na „tym zdrajcy de Valerze” i „prawdziwym początku chwały Irlandii”, tych wszystkich popularnych wówczas hasłach. Po marszu w Sligo wszyscy mieli iść do Strandhill na wiec w Plazie. Nie najmniejszą przyczynę mojego strachu po spotkaniu z Johnem Lavelle'em stanowił fakt, że taki człowiek jak on był „wrogiem” Generała i jego ruchu. Nie wiem, dlaczego tak bardzo mnie to niepokoiło, ale tak właśnie to odczuwałam. Stałam w naszym saloniku, skromnym jak w czynszówce, ale czystym i miłym, i drżałam w mojej letniej sukience. Zadrżałam jeszcze bardziej, gdy usłyszałam w oddali odgłos silników, cichy warkot, który powoli się nasilał, aż w końcu podbiegłam do okna, wyjrzałam przez nie i zobaczyłam sznur samochodów, fordów i innych, i Toma za kierownicą swojego wozu, a obok niego człowieka, który wyglądał na bardzo ważnego, w jednej z tych miękkich czapek, z haczykowatym nosem, mniej więcej takim, jaki miał brat Toma Jack. Samochodów były dziesiątki, wszystkim towarzyszyła ta ich metaliczna muzyka, a spod kół niczym na samej Saharze dobywał się biały pył, jak to na wąskiej nadmorskiej drodze. I wszystkie twarze, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, rozświetlał nad błękitnymi koszulami i bluzkami ten dziwny blask, bliski szczęściu - był to obraz niewiarygodnego optymizmu, jak reklama w dziwnym amerykańskim czasopiśmie, które dotarło do nas, do Sligo, na koniec świata, owinięte w upragnione jankeskie dolary dla rodziny.

I ogarnęło mnie dziwne wrażenie, jakbym patrzyła na obcy świat, obcego Toma, obce Sligo. Jakbym wkrótce miała stamtąd wyjechać, nie była tam wystarczająco długo albo w ogóle nie była. Poczulałam się jak duch, i to nie pierwszy raz.

Położyłam się do łóżka, leżałam w zimnej pościeli i próbowałam się uspokoić. Próbowałam znowu być sobą, ale nie mogłam odnaleźć tamtej Roseanne. Być może chciała uciec ode mnie. Może zrobiła to już dawno. Podczas wojny o niepodległość ginęli nie tylko żołnierze i policjanci, nawet ci głupi chłopcy, którzy poszli na Wielką Wojnę, nie zastanawiając się, co robią, ale także włóczędzy i trampy. Ludzie, którzy zaciemniali obraz rzeczy, którzy stali na brzegach zdjęć przedstawiających ładne miejsca i w oczach innych je szpecili. Gdy w nadchodzącej wojnie Niemcy zbombardowali Belfast, dziesiątki tysięcy ludzi uciekły na wieś, całe tysiące z najbiedniejszych dzielnic miasta, i nikt nie chciał ich przyjąć

do siebie, bo stanowili zapomnianą dziką rasę, byli tak biedni, że nigdy nie widzieli klozetu, i nie chcieli jeść niczego innego poza chlebem i herbatą. Sikali na podłogę w porządnym domach. Wszyscy oni żyli w ukryciu, dopóki nie wypędziły ich niemieckie bomby i ogień. Jak nieszczęsne szczury mojego ojca. Leżałam na łóżku w czystej pościeli, ale czułam się jak oni. Tak jak oni nie byłam wystarczająco wdzięczna i skalałam własne gniazdo. Miałam świadomość, że ci wszyscy przyjaciele Toma, tam za oknem, zebrani w Plazie, gdyby znali mnie dobrze, chcieliby - nie wiem: zlikwidować mnie, osądzić, usunąć poza ramy zdjęcia, jakim jest życie. Zachwycające krajobrazy zwykłego życia. Oczywiście wtedy nie wiedziałam nic o Niemcach, oprócz tego, że i u nich, i we Włoszech, i w Finlandii byli tacy ludzie jak Generał, silni, głośni, którzy chcieli pociągnąć za sobą wszystkich, zrobić wśród nich porządek i zaprowadzić czystość, żeby pomogli potem całą hordą zlikwidować zawszonych, obdartych, moralnie niepewnych. Gdzieś w głębi serca, w paszporcie, który tam nosiłam, gdyby się do niego zajrzało, można by zobaczyć moją prawdziwą twarz - nieumytą, osmaloną ogniem, przerażoną, niewdzięczną, chorą i niemą.

Obudziłam się nad ranem, przytomniejąc na dźwięk krzątania Toma. Nad Knocknareą wisiał wielki księżyc, kopiec był tak dobrze widoczny jak w świetle słonecznym. Nie mogłam otrząsnąć się ze snu i przez chwilę miałam wrażenie, że widzę na szczycie jakąś postać, w czerni, ze złożonymi na plecach jasnymi skrzydłami. Ale oczywiście było to o wiele za daleko, żebym mogła cokolwiek zobaczyć.

- Nie śpisz, kotku? - zapytał Tom i kiedy na niego spojrzałam, zobaczyłam, że zdejmuję szelki.

- Masz krew na twarzy - zauważyłam, siadając.

- Mam krew na całej koszuli - odparł - chociaż na niebieskim ledwo widać.

- Mój Boże - jęknęłam - co się stało, Tom?

- Nic, zupełnie nic. Straż w Sligo trochę stawiała opór. Maszerowało nam się świetnie, gdy z Quay Street wyszła grupa facetów, gości ściągniętych chyba z Collooney, bo nie byli to strażnicy ze Sligo. I jeden z nich tak walnął mnie pałką, że mówię ci, bolało jak diabli. Generał zaczął na nich krzyczeć, a oni na Generała, że nie ma pozwolenia na marsz w Sligo. Na Generała, który jeszcze parę lat temu stał na ich czele! Cóż. W ogóle było dużo krzyku i przepychanek. Więc cieszyliśmy się, że udało nam się dojść do ratusza, mówię ci. I to nie była zabawa. Takiego tłumu jeszcze nie widziałam.

W tym czasie zdążył przebrać się w swoją ładną pasiastą piżamę, potem podszedł do umywalki i energicznie ochlapał wodą twarz, wytarł ją ręcznikiem, a następnie rzucił się na łóżko obok mnie.

- A co ty robiłaś? - zapytał. - Szkoda, że nie przyszłaś. Było świetnie.

- Poszłam na spacer - odparłam.

- Ho, ho - skomentował. - Naprawdę? Zresztą czemu nie?

Przełożył lewe ramię pod moją ręką, przyciągnął mnie do siebie i po chwili zasnęliśmy, między krwią i blaskiem księżyca.

## Z notatek doktora Grene'a

Wczoraj w budynku zapanowała panika. Muszę powiedzieć, że byłem wręcz pokrzepiony tym poruszeniem, bo w przeszłości bardzo często w tych starych murach panowała atmosfera całkowitego zastoju. Ale potem zniknęła ta młoda kobieta, którą niedawno znaleziono roztrzęsioną i pokrwawioną. Oddziałowa przeraziła się, bo właśnie odwiedziła tę pacjentkę siostra, która przyniosła jej w prezencie nowy szlafrok. Pielęgniarka zauważyła, że był przy nim pasek z tego samego materiału, ale nie miała serca zabrać go od razu. Zaczęła biegać po salach i pytać wszystkich, czy widzieli tę biedaczkę, co spowodowało prawdziwe poruszenie wśród wiekowych pacjentów, pierwszy raz od wielu lat. W końcu okazało się, że kobieta nie tylko się nie powiesiła, ale też zeszła w szlafroku do rejestracji i wypisała się ze szpitala, do czego w świetle nowych przepisów miała całkowite prawo. Potem wyszła na główną drogę i złapała okazję do miasteczka, tam wsiadła w autobus do Leitrim, cały czas w szlafroku. Był jak magiczny płaszcz, który zawiódł ją z powrotem do domu. Jej mąż zadzwonił do nas zeszłego wieczoru, żeby nam o tym wszystkim powiedzieć, i słysząc było, że jest wściekły. Mówił, że szpital powinien brać odpowiedzialność za swoich pacjentów. Rozmawiała z nim przełożona pielęgniarek, była bardzo uprzejma, zupełnie nie w stylu tych starych bab, które tu kiedyś pracowały. Nie wiem, jak to się skończy, ale pomyślałem, że to doskonale rozwiązanie sprawy. Życzę tej biednej kobiecie jak najlepiej i przykro mi, że tak niewiele jej pomogliśmy, a może nawet zaszкодziliśmy. I cieszę się, że panika oddziałowej była nieuzasadniona.

Rano poszedłem do pani McNulty - nie, nie, Roseanne - z całkiem lekkim sercem. Oczywiście, jeszcze nie wiadomo, co będzie z tamtą młodą kobietą, ale wystarczająco długo żyję, żeby cenić sobie zwyczajne życie.

Do pokoju wpadało z ukosa trochę wiosennego słońca, można było odnieść wrażenie, że wkrada się przez szybę niemal przepraszająco. Wąski jego snop oświetlał twarz Roseanne. Tak, jest bardzo stara. Światło słoneczne zwykle najokrutniej zdradza wiek, ale też jest

wiernym malarzem. Przypomnił mi się fragment wiersza T.S. Eliota ze szkoły w Anglii:

*Moje życie bez wagi czeka na wiatr śmierci,*

*Jak ptasie piórko na wierzchu mej dłoni<sup>9</sup>.*

Słowa te wypowiada Symeon, człowiek, który chciał żyć tak długo, żeby doczekać nowo narodzonego Mesjasza. Nie sądzę, żeby Roseanne na to czekała. Przypomniały mi się też te autoportrety Rembrandta, tak wiernie niewierne wyobrażeniu własnej powierzchowności, które nosimy w sobie jako antidotum na wyrzuty sumienia. Jak nie dopuszczamy do świadomości tego, że skóra nam wiotczeje pod brodą, niemal odpada jak tynk ze starego sufitu.

Jej skóra jest tak cienka, że widać pod nią żyły i całą resztę, niczym drogi, rzeki, miasteczka i pomniki na mapie. Jak coś, na czym dałoby się pisać. Ale żaden mnich nie przyłożyłby pióra do tak cienkiego pergaminu. I znowu pomyślałem, jaka musiała być piękna, jeśli nawet teraz, w wieku około stu lat, wydaje się dziwnie urodziwa. Mocny kościec, mawiał mój ojciec, jakby sam, starzejąc się wraz z innymi wokół siebie, znał jego wartość.

Ma jednak wysypkę na części twarzy, dość czerwoną, „zaognioną”, jak się to określa, i zauważyłem, że dość dziwnie mówi, jakby miała spuchnięty u nasady język. Muszę poprosić doktora Wynna, żeby do niej zajrzał. Może trzeba jej będzie przepisać antybiotyk.

Jakby wyczuła mój nastrój, sam nie wiem, była bardzo rozmowna, otwarta. Dziwnie się odprężyła. Może z radości. Wiem, że ogromnie cieszy ją poprawa pogody, nadejście nowej pory roku. Pokłada wiele nadziei w tych żonkilach wzdłuż alejki, zasadzonych przez jakiegoś starego możnowładcę, kiedy ten dom należał do dużej posiadłości, jeszcze w dawnych czasach. Z lękiem, delikatnie, biorąc za przykład to światło słoneczne, w końcu poruszyłem temat jej dziecka. Mówię „w końcu”, jakbym najpierw poruszył z powodzeniem tysiąc innych tematów albo zmierzał do tego jednego od początku rozmowy. Tak jednak nie było. Ale niepokoiła mnie ta cała sprawa, bo oczywiście, jeśli to, co napisał ojciec Gaunt, jest prawdą, kwestia jej stanu psychicznego, jej długiego pobytu tutaj i w Sligo jest bardzo, i być może nieodwracalnie, zagmatwana. A skoro mowa o Sligo, napisałem tam jeszcze raz, z pytaniem, czy mógłbym w najbliższym czasie przyjechać z wizytą i porozmawiać z dyrektorem, który, jak się okazuje, jest moim starym znajomym, to niejaki Percival Quinn; o innym Percym ostatnio nie słyszałem, nie mówiąc już o poznaniu. To najwyraźniej on zadał

---

<sup>9</sup> Pieśń dla Symeona, przekład Krzysztof Boczkowski.

sobie trud, żeby wykopać zeznanie ojca Gaunta, więc może znajdą się tam jeszcze inne dokumenty, których wagi nie docenia nawet Percy, chociaż kto wie. My, psychiatrzy, jesteśmy jak MI5. Wszystkie informacje stają się poufne, niepokojące i cenne, czasami nawet te, które dotyczą zwykłej pory dnia. Zdam się jednak na intuicję.

Dziś wieczorem w domu panuje zupełna cisza. To niemal tak samo dziwne jak tamto stukanie. Ale jestem zadowolony. Samotny, starzejący się, zadowolony człowiek. Czy będzie nie na miejscu, jeśli napiszę tu, napiszę wprost do ciebie, Bet, że wciąż cię kocham i jestem ci wdzięczny?

Roseanne była tak bezbronna, taka godna podziwu, taka otwarta podczas naszej rozmowy, że wiedziałem, iż mogę zapytać ją o wszystko, poruszyć każdy temat i nawet usłyszeć prawdę albo to, co według niej jest prawdą. Wiedziałem o tym, zdawałem sobie z tego sprawę, i gdybym dążył dalej, pewnie dużo bym uzyskał, ale może i coś stracił. Dziś mogła powiedzieć mi wszystko, ale wybrałem jej milczenie, uszanowałem jej prywatność. Bo czuję, że jest coś ważniejszego od wszelkich ocen. Myślę, że nazywa się to litość.

## Relacja Roseanne

Przyszedł doktor Grene, pełen energii, przyciągnął sobie krzesło, jakby chciał omówić ze mną coś ważnego. Byłam tak zbита z tropu, że nawet wdałam się w rozmowę.

- Piękny wiosenny dzień mamy dzisiaj - zauważył - i nabrałem śmiałości, żeby zadać pani znowu kilka tych męczących pytań, których na pewno nie chce pani już słyszeć. Ale naprawdę mam wrażenie, że może z nich coś wyniknąć. Właśnie wczoraj dowiedziałem się czegoś, co sprawia, że wszystko wydaje mi się możliwe. Że coś, co na pierwszy rzut oka wydaje się mroczne i trudne do rozwiązania, można zobaczyć w nowym świetle, zaskakującym świetle.

Mówił tak przez chwilę i w końcu doszedł do tego swojego pytania. Dotyczyło znowu mojego ojca i udało mi się odpowiedzieć całkiem składnie, po raz drugi, że ojciec nigdy nie pracował w policji. Natomiast rodzina McNultych miała z nią powiązania.

- Brat mojego męża, Eneas, służył w policji. Wstąpił do niej około dziewiętnastego roku, a był to nie najlepszy czas, żeby szukać tam zatrudnienia - powiedziałam coś w tym rodzaju.

- Ach tak - odparł doktor Grene - więc sądzi pani, że stąd ta... sugestia?

- Nie wiem - powiedziałam. - Czy weszły już żonkile przy alejce?



- Prawie, wszędzie lada dzień - odrzekł. - Może boją się ostatnich przymrozków.

- Przymrozki to nic dla żonkili - wyjaśniłam. - Jak wrzosey mogą zakwitnąć nawet na śniegu.

- Tak - zgodził się - chyba ma pani rację. Roseanne, drugą sprawą, o której chciałem z panią porozmawiać, jest sprawa dziecka. Czytam właśnie pewne zeznanie i jest w nim mowa o dziecku.

- Tak, rzeczywiście, było dziecko.

A potem zamilkłam, bo co mogłam więcej powiedzieć? Obawiam się, że zaczęłam płakać, cichutko.

- Nie chciałem pani zasmucić - powiedział z wielką delikatnością.

- Nie mam co do tego wątpliwości - odparłam. - Tylko że... gdy tak się patrzy wstecz... to wszystko jest takie...

- Tragiczne? - podsunął.

- To wielkie słowo. W każdym razie bardzo smutne, tak mi się wydaje.

Wsadził rękę do kieszeni marynarki i wyjął małą złożoną chusteczkę higieniczną.

- Bez obaw - powiedział. - Nie używałem jej.

Przyjęłam z wdzięcznością tę bezużyteczną rzecz. Dlaczego sam z niej nie skorzystał, gdy miał ostatnio problemy? Spróbowałam wyobrazić go sobie, jak siedzi gdzieś w domu, miejscu, którego oczywiście nigdy nie widziałam. Bez żony. Którą, jak wszyscy okrutni kochankowie, zabrała śmierć.

I otarłam łzy. Poczułam się jak Barbara Stanwyck w jakimś głupim, łzawym melodramacie, przynajmniej Barbara Stanwyck w wieku stu lat. Doktor Grene patrzył na mnie z tak żalną miną, że się roześmiałam. Potem przyjrzał mi się uważniej i też się zaśmiał. Śmialiśmy się razem, ale bardzo cicho, spokojnie, jakbyśmy nie chcieli, żeby ktokolwiek usłyszał.

\*

Muszę przyznać, że tłuką mi się w głowie wspomnienia, które są dziwne nawet dla mnie. Nie chciałabym mówić tego doktorowi Grene'owi. Pamięć, jeśli się ją zaniedbuje, staje się chyba jak rupieciarnia albo strych w starym domu, gdzie robi się bałagan, nie tylko na skutek niedbalstwa, ale i zbyt chaotycznych poszukiwań, które się wśród nich prowadzi, a także dokładania niepotrzebnych już rzeczy, właściwie do wyrzucenia. Podejrzewam, że... cóż, nie wiem, co podejrzewam. Trochę kręci mi się w głowie na myśl, że to wszystko, co pamiętam, może nie być... może nie być prawdziwe. Tyle się wtedy działo... że co? Że szukałam ucieczki w innych niewiarygodnych historiach, marzeniach, fantazjach? Nie wiem.

Jeśli zawierzę pewnym wspomnieniom, może staną się jak most i będę mogła przebyć rwący potok „minionych czasów”, nie wpadając do niego.

Mówi się, że ludzie starzy mają przynajmniej wspomnienia. Nie jestem pewna, że to zawsze dobra rzecz. Staram się być wierna temu, co mam w głowie. Mam nadzieję, że to coś też stara się być wierne mnie.

Stało się to najzwyczajniej w świecie. Po prostu nie wrócił do domu. Czekałam przez cały dzień. Przygotowałam zapiekankę z mięsa i ziemniaków, tak jak obiecałam mu rano, bo lubił potrawy z jednego garnka, zwłaszcza odgrzewane, choć to jego brat służył w marynarce. To ulubione danie marynarzy i żołnierzy, co potwierdziłby mój ojciec. Ale jedzenie wystygło pod pokrywką. Noc zapadła nad Knocknareą, nad zatoką Sligo, nad Ben Bulben, gdzie zabito brata Johna Lavelle'a. W wyższych partiach, gdzie powietrze jest już rzadsze i rosną wrzosi. Strzelono mu w serce, a może w głowę, gdy się poddał. John Lavelle widział to ze swojej kryjówki. Jego własny brat. Bracia Irlandczycy. John i Willie, Jack i Tom, i Eneas.

Od razu wiedziałam, że stało się coś strasznego, ale można to wiedzieć i nie dopuszczać do świadomości. Taka myśl pojawia się z tyłu głowy, gdzie nie można nad nią zapanować. Ale ból rodzi się z przodu głowy.

Siedziałam tam, muszę wyznać, gorejąc miłością do męża. Ta jego sprawność w działaniu, nawet zdecydowany krok na chodnikach Sligo. Jego kamizelki, gabardynowy płaszcz czy trencz z czterema warstwami watoliny, buty o podwójnych skórzanych podeszwach, które podobno nie wymagały żelowania (oczywiście tak nie było). Jego promienna twarz i zdrowe rumieńce na policzkach, papieros w kąciku ust, tej samej marki, którą palił jego brat, Army Club Sandhurst. Jego muzykalność i pewność siebie, to, jak piął się coraz wyżej w świecie, jak był na to gotowy. I nie tylko, on zamierzał ten świat zdobyć, zdobyć Sligo i wszystko, co na wschód i na zachód, „od Portugalii do morza”, jak mówiło stare porzekadło, choć prawdę mówiąc, nie ma w nim sensu. Tom McNulty, człowiek, który miał wszelkie prawa do życia, ponieważ cenił je, ciesząc się nim.

O Boże, o Boże, siedziałam tam i siedziałam. Wciąż siedzę.

Jestem na tyle stara, aby wiedzieć, że upływ czasu to tylko sztuczka, pozór. Wszystko zawsze tkwi w tym samym miejscu, właśnie się rozgrywa, właśnie się dzieje. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, wiecznie w głowie, jak szczotki, grzebienie i wstążki w torebce.

Po prostu nie wrócił do domu.

Tam, w Strandhill, w te wieczory, kiedy nie było tańców, kiedy czasami słyszało się tylko warkot starego samochodu, który jechał do wsi na górze, odzywała się sowa. Myślę, że żyła pod Knocknareą, w miejscu, gdzie następuje ostry spadek terenu i powstaje rodzaj doliny

prowadzącej do morza. Ta sowa mieszkała na tyle blisko, że jej pohukiwania, ta sama, niezmienna nuta, niosły się wyraźnie nad polami krzaków i nieużytkami. Pohukiwała i pohukiwała, jakby chciała coś powiedzieć. Czy stworzenia, które budzą się i polują w nocy, również w nocy nawołują samca albo samicę? Pewnie tak.

Moje serce też nawoływało, wysyłając sygnał w ten inny, ludzki świat. Do Toma, żeby wrócił do domu, wrócił do domu.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Chyba musiałam tak siedzieć przez dwie noce. Chociaż wydaje się to wręcz niemożliwe. Czyżbym nic nie jadła, nie wychodziła do ustępu za domem, ani razu nie rozprostowała nóg? Czy może pamiętam tylko, że tam siedziałam, i gdy nad Strandhill zapadł zmierzch, wszystko się powoli uspokoiło, nawet barwy trawy, a od zatoki powiała nocna bryza, pod wpływem której moje róże zaczęły uderzać o szybę, w każdym razie młode pączki, stuk, stuk, stuk, jak sam Gene Krupa, gdy zaczynał wystukiwać rytm jakiejś melodii na perkusji. A potem, jak na zawołanie, usłyszałam, dochodzące drogą, potem tuż zza rogu i wreszcie zza drzwi, dźwięki *Honeysuckle Rose*, najpierw kilka nut, potem Harry B. uderzył w perkusję, dołączył się ktoś na klarncie, jakby Tom, i wreszcie trzeci na pianinie, najwyraźniej nie ja, i po topornych uderzeniach zorientowałam się, że to być może sam Stary Tom, a na gitarze rytmicznej prawdopodobnie Dixie Kiełty, który uwielbiał ją jak dziecko, och, i melodia się rozwijała, przybierała na sile, pęd za pędem, kwiat za kwiatem, jak samo kapryfolium<sup>10</sup>, choć w tamtych stronach zakwita ono później.

Oczywiście potem domyśliłam się, że jest sobota. Zorientowałam się po tej muzyce.

Według Jiminy to świetna piosenka do gitarowego solo.

*Honeysuckle Rose*. Bum, bum, bum - słuchać perkusję oraz wznoszące się i opadające, raz po raz, gitarowe akordy. Nawet wiejscy chłopcy ze Sligo szaleją na punkcie tej melodii. Umarłego porwałaby do tańca. Nawet niemy przyłączyłby się do solówek.

Podobno, przynajmniej tak mówił mi Tom, Benny Goodman grał ten utwór w salach tanecznych przez dwadzieścia minut. Chętnie w to wierzę. Można by go grać przez cały dzień i wciąż mieć w nim coś do powiedzenia. Bo, rozumiecie, to piosenka, która mówi. Nawet bez wokalisty, śpiewającego słowa.

Więc.

Więc poszłam tam. Zrobiłam to pod wpływem najdziwniejszego, zgubnego impulsu. Ubrałam się ładnie, w moją najlepszą sukienkę, pospiesznie umalowałam się, przeczesalam włosy, upięłam je, włożyłam pantofle do występów na scenie, cały czas ciężko oddychając, potem wyszłam w wietrzną noc, czując jej chłód, tak że przez chwilę zadrżałam. Ale nie zważałam na to.

---

<sup>10</sup> Kapryfolium - po angielsku *honeysuckle*.

Ponieważ wciąż myślałam, że może nic takiego się nie stało. Dlaczego? Bo nikt mi nie powiedział, że jest inaczej. Tkwiałam w nieświadomości.

Było jeszcze wcześniej jak na tańce, ale już zjeżdżały się samochody ze Sligo, światła ich wielkich reflektorów przypominały łopaty przesuwające się po zrytej koleinami drodze. Wewnątrz pełne oczekiwania twarze, chłopcy stojący na stopniach tu i tam. Był to radosny widok, najradośniejszy w Sligo.

Im bardziej zbliżałam się do Plazy, tym bardziej czułam się jak duch. Plaza była kiedyś domem letniskowym, salę taneczną dobudowano na jego tyłach, tak że od frontu wyglądała jak zwykłe domostwo, tyle że pokryte betonem, jakby ścięte. Nad dachem trzepotała ładna flaga z napisem PLAZA. Nie było tu zbyt dużo świateł, ale któż by ich potrzebował, skoro miejsce to stanowiło mekkę powszednich marzeń i myśli całego miasteczka. Człowiek mógł przez cały tydzień pracować jak niewolnik, tkwić w nędznej robocie, ale ponieważ istniała Plaza... To było coś więcej niż religia, mówię wam, te tańce. To była religia. Jeśli ktoś nie mógł tu przyjść, nie pozwolono mu, czuł się jak... no cóż, jak ekskomunikowany, jak ktoś niedopuszczony do świętych sakramentów, jak członkowie IRA podczas wojny domowej.

Tacy chłopcy jak John Lavelle, oczywiście.

*Honeysuckle Rose*. Zespół skończył ją i zaczął grać *The Man I Love*, co jak wszyscy wiedzą, jest wolniejszą melodią, i pomyślałam, że to nie najlepszy utwór na tak wczesny wieczór. Wciąż czułam się członkiem zespołu. Na każdą melodię jest pora. Na niektóre ta pora przychodzi rzadko, jak na stare piosenki bożonarodzeniowe czy cikliwe dawne ballady, które gra się w środku zimy, kiedy wszyscy nastawieni są melancholijnie. *The Man I Love* sprawdza się jako przedostatni taniec albo coś takiego, kiedy goście są już zmęczeni, ale szczęśliwi, i ze wszystkiego bije blask, z twarzy, ramion, instrumentów, serc.

Kiedy weszłam na salę, tańczyło tylko kilka osób. Miałam rację, było o wiele za wcześnie na tę piosenkę. Zespół jednak wyglądał tak, jakby był już późny wieczór. Stary Tom grał solowy kawałek z początku, a potem dołączył do niego syn na klawirze. Doznałam wstrząsu. Może inni też to zauważyli: otóż Tom, mój Tom, był najwyraźniej pijany. Chwiał się lekko, ale nie fałszował, dopóki nagle jakby nie zastygł w bezruchu i nie opuścił instrumentu. Zespół zakończył utwór najszybciej, jak się dało. Potem wszyscy zwrócili twarze na Toma, żeby sprawdzić, co się stało. Tom jak zwykle ostrożnie odłożył klawir, zszedł ze sceny i chwiejnym krokiem wyszedł za kulisy, gdzie znajdowała się nasza garderoba. Nie wiem, czy mnie widział.

Ja też tam poszłam. Od starej kurtyny, która wisiała w drzwiach, dzielił mnie tylko

parkiet. Wkroczyłam na niego zdecydowanym krokiem, ale nagle drogę zastąpił mi Jack, miał w mroku bardzo poważną twarz.

- Czego chcesz, Roseanne? - zapytał lodowato, jak nigdy dotąd, mógłby się urodzić w Arktyce.

- Jak to: czego chcę?

Śmieszne, milczałam przez dwa albo trzy dni i mój głos niemal zaskrzeczał, kiedy się odezwałam, zgrzytnął jak igła opuszczona na płytę.

Myślę, że nikt na mnie nie patrzył. Na pewno wyglądaliśmy na dwoje gawędzących pogodnie przyjaciół, jak tysiące starych przyjaciół w sobotni wieczór. Co by było z przyjaźniami, gdyby nie Plaza, nie mówiąc już o miłościach?

Miałam chyba pusty żołądek, ale zebrało mi się na wymioty. Była to reakcja na lodowaty ton Jacka. Powiedział mi on więcej niż wszelkie mowy, mowy, które pewnie miałam usłyszeć. Nie był to głos kata, jak ten Anglik, Pierrepoint, którego w latach czterdziestych sprowadził rząd Wolnego Państwa, żeby wieszał członków IRA, ale głos sędziego, który ogłasza wyrok. Iluż morderców i innych zbrodniarzy zna już swój los po samej jego minie, nie musi mieć jak kat czarnego kaptura na głowie, choć każdą komórką swojego jestestwa odsuwają od siebie tę wiedzę i żyją nadzieją do końca, dopóki nie padną ostateczne słowa. Pacjent patrzący w twarz chirurga. Wyrok śmierci. To, co spotkało Eneasa za pracę w policji. Wyrok śmierci.

- Czego chcesz, Roseanne?

- Jak to: czego chcę?

Potem ten odruch wymiotny. Wtedy już ludzie zaczęli mi się przyglądać. Pewnie myśleli, że wypiliśmy zbyt szybko pół butelki ginu czy coś takiego, niczym stremowani tancerze albo szemrani klienci, jak nazywał ich Tom. Wprawdzie nie było widać, że jest mi niedobrze, ale to nie zmieniało faktu, że byłam straszliwie zmieszana. Towarzyszyło temu jeszcze inne, głębsze, dziwne uczucie, może wyrzuty sumienia, może przerażenie.

Jack odsunął się ode mnie, jakbym była urwiskiem albo czymś niebezpiecznym, co może się osunąć, zarwać na krawędzi i pociągnąć go za sobą ku śmierci. Klify Moharu, Dun Aengus.

- Jack, Jack - jęknęłam, ale nie bardzo wiedziałam, co chcę powiedzieć.

- Co się z tobą dzieje? - zapytał. - Co się z tobą dzieje?

- Ze mną? Nie wiem. Niedobrze mi.

- Nie, tylko nie teraz, do cholery, Roseanne. Co ci chodzi po głowie?

- Dlaczego, kto ci nagadał, że coś mi chodzi po głowie?

To nawet dla mnie zabrzmiało dziwnie. Kto ci nagadał. Jak ze starej murzyńskiej pieśni z południa Stanów.

Ale Jack milczał.

- Mogę pójść za kulisy i zobaczyć się z Tomem? - zapytałam.

- On nie chce cię widzieć.

- Na pewno chce, Jack, to mój mąż.

- To się jeszcze zobaczy, Roseanne.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Jack?

Nagle przestał być taki lodowaty. Może przypomniał sobie dawne czasy, nie wiem. Może uświadomił sobie, że zawsze odnosiłam się do niego życzliwie, z szacunkiem dla jego osiągnięć. Bóg wie, że lubiłam Jacka. Lubiałam tę jego surowość i dziwne napady wesołości, kiedy nagle zrywał się na nogi i wykonywał, jak mówił, taniec murzyński. Tej ogromnej wesołości, która ogarniała go na zabawie, ni stąd, ni zowąd, bez żadnej zapowiedzi, gdy nagle jakby przenosił się do Nigerii. Lubiałam go, z jego ładnymi płaszczami i jeszcze ładniejszymi kapeluszami, z cienkim złotym łańcuszkiem od zegarka, samochodem, najlepszym samochodem w Sligo, nie licząc wielkich limuzyn bogaczy.

- Posłuchaj, Roseanne - powiedział. - To wszystko jest bardzo skomplikowane. Masz otwarty rachunek w sklepie w Strandhill. Nie umrzesz z głodu.

- Co takiego?

- Nie umrzesz z głodu - powtórzył.

- Jack - powiedziałam - dlaczego nie mogę porozmawiać z Tomem? Chcę zamienić z nim tylko słówko. Dlatego tu przyszedłam. Nie oczekuję... że zagram w zespole, na miłość boską.

Ostatnie zdanie nie zabrzmiało zbyt logicznie i chyba powiedziałam je podniesionym głosem. To nie było dobre posunięcie, Jack bardzo liczył się z tym, co myślą o nim inni, i nade wszystko nienawidził scen. Jego wspaniała dziewczyna z Galway na pewno ich nie urządzała. Ale zachował spokój, tylko zbliżył się do mnie na kilka centymetrów.

- Roseanne, zawsze byłem ci życzliwy. Zaufaj mi i wróć do domu. Będę z tobą w kontakcie. Ta cała afera może jeszcze przyschnąć. Uspokój się i wracaj do domu. No, idź, Roseanne. Głos w tej sprawie zabrała matka, a jej nie można się sprzeciwiać.

- Matka?

- Tak, tak, matka.

- A co takiego, w imię Boga, powiedziała?

- Roseanne - odparł cicho, z naciskiem - nie rozumiesz, jak to jest z matką. Czasami i

ja nie rozumiem. W dzieciństwie wiele przeszła. W efekcie ma niewzruszone zasady.

- Wiele przeszła? Co takiego przeszła?

Prawie już syczał, pewnie dlatego, że nie chciał, aby ktoś nas usłyszał, ale także po to, żeby wmówić mi coś, czego nie mógł mi wmówić.

- Sprawa stara jak świat. Chce, żeby Tom dobrze się ożenił, bo, bo... z tych powodów, co zawsze, co zawsze.

- Mówisz jak szaleniec! - zawołałam. Mogłabym go spalić samym kadzidełkiem.

- Ale posłuchaj, posłuchaj, cała sprawa może jeszcze przyschnie - powtórzył.

W głębi serca zdawałam sobie sprawę, że gdybym się odwróciła i wyszła z tej sali tanecznej, „cała sprawa” na pewno by nie przyschła. Jak przychodzi pora na piosenkę, tak przychodzi pora na rozmowę, choćby zdarzało się to bardzo rzadko. To była właśnie ta rzadka chwila w życiu i wiedziałam, że jeśli zobaczę się z Tomem, czy raczej doprowadzę do tego, że on zobaczy się ze mną, kobietą, którą tak bardzo kochał, pożądał, szanował i kochał, wszystko znowu się ułoży.

Ale Jack nie zamierzał mi na to pozwolić. Nie było co do tego wątpliwości. Stał nieco bokiem do mnie, jak wędkarz, który chce przeskoczyć na drugą stronę strumienia i przenosi ciężar na lewą stopę.

Nie był draniem, nie był okrutnym człowiekiem. Ale w tym przypadku czuł się bratem, a nie szwagrem.

Stanowił też dużą przeszkodę. Ruszyłam przed siebie, próbując przeciwstawić mu się siłą woli, która nie dorównywała jego sile fizycznej. Zahartowany podróżami w Afryce, był jak drzewo, gdy na niego wpadłam; chwycił mnie i usiłował wyprowadzić z sali, a ja krzyczałam, wołałam Toma, błagałam o litość, wzywałam Boga. Objął mnie w pasie, mocno, mocno, hamma-hamma, by użyć słowa, którego nauczył się w Afryce, łamanej angielszczyzny, którą tak lubił przedrzeźniać i wyśmiewać, i jeszcze przyciągnął do siebie, tak że znalazłam się w jego uścisku, unieruchomiona w nim, bezwolna, nie mogąc się wyrwać, jak w dziwnym uścisku miłosnym.

- Roseanne, Roseanne - powiedział. - Cicho, kobieto, bądź cicho.

A ja wyłam i płakałam.

Tak kochałam Toma i moje życie z nim. Tak bardzo bałam się przyszłości i jej nienawidziłam.

\*

Po powrocie do krytej blachą chaty nie wiedziałam, co z sobą zrobić. Położyłam się do łóżka, żeby się przespać, ale nie mogłam zasnąć. Miałam wrażenie, że głowę ogarnia mi



chłód, powodując fizyczny ból, jakby ktoś rozcinał mi czaszkę ostrym, ostrym otwieraczem do konserw. Ostrym hamma-hamma.

Są takie cierpienia, o których jako czujące istoty zapominamy, bo inaczej nie przeżylibyśmy wśród innych żywych istot. Podobno tak się ma w przypadku bólów porodowych, ale ja się z tym nie zgadzam. I ból, jaki wtedy czułam, też taki nie był. Nawet jako zwiędnięta stara kobieta w tym pokoju wciąż go pamiętam. Wciąż trochę go czuję. To ból, który przyćmiewa wszystko inne, dlatego tamta młoda kobieta, leżąca tam, w swoim małżeńskim łóżu, była jednym wielkim bólem, jednym wielkim cierpieniem. Oblał mnie dziwny pot. W dużej mierze przyczyną tego bólu był paniczny strach, że nic go już nie złagodzi, nic, ani cyrk, ani jankeska kawaleria, ani ręka ludzka.

A jednak chyba nie miało to znaczenia. Pod tym względem nie byłam nikim szczególnym, w tych czasach straszliwego cierpienia, znacznie większego niż moje, jeśli wierzyć powszedniej historii świata. Dziś ta myśl jest dla mnie pewnym pocieszeniem, ale wtedy nie była. Co mogło pocieszyć tę skręcającą się z bólu kobietę na jakimś łóżku, w jakimś Strandhill - nie wiem. Gdybym była koniem, można by mnie zastrzelić, żebym się nie męczyła.

To niemała rzecz zastrzelić człowieka, a jednak w tamtych czasach nie przywiązywano do tego wielkiej wagi. Na całym świecie, nie tylko u nas. Wiem, że Tom na krótko wyjechał z Generałem do Hiszpanii, żeby walczyć za Franco, i że zabijali tam ludzi. Wyprowadzali mężczyzn i kobiety na krawędź malowniczego urwiska i rozstrzeliwali ich, tak żeby ofiary od razu spadały w przepaść. Ta przepaść była zarówno przeszłością, jak i przyszłością. Zrzucali ludzi w ruiny ich kraju, w błoto i ruiny, tak jak w Irlandii. Podczas wojny domowej wystrzelaliśmy się tak, jakbyśmy wymordowali nowy kraj w kolebce. A może nie tylko.

Mówię w swoim imieniu, tak jak teraz to widzę. Wtedy niewiele wiedziałam o tym wszystkim. Chociaż byłam świadkiem morderstwa, widziałam je na własne oczy. Widziałam też, że morderstwa dokonują się skrycie, pozbawiają swoje ofiary życia bez ich wiedzy. Ta przebiegłość i wszechobecność morderstwa.

Nazajutrz był absurdalnie piękny dzień. Do domu wpadł wróbel, który przeraził się, gdy zobaczył, że weszłam z sypialni do pustego saloniku. Zapędziłam go do kąta, wzięłam szamoczącego się w dłonie, jak fruujące serce, ruszyłam do drzwi, które zapomniałam zamknąć w swojej zgryzocie poprzedniego wieczoru, i wyszłam na ganek, tam uniosłam ramiona i wypuściłam z powrotem ku słońcu bezużytecznego szarego ptaszka.

Wtedy zauważyłam, że drogą idą Jack McNulty i ojciec Gaunt.

\*

Jak księża mieli w tamtych czasach poczucie, że władają tym nowym krajem, tak ojciec Gaunt chyba miał poczucie, że kryta blachą chata należy do niego, w każdym razie wkroczył do środka i wybrał rozchwiane krzesło, nie mówiąc ani słowa, a Jack wszedł za nim. Ja wycofałam się do kąta jak wróbel. Ale nie liczyłam na to, że wezmą mnie w dłonie i wypuszczą.

- Roseanne - odezwał się ojciec Gaunt.

- Tak, ojciec.

- Minął już jakiś czas, odkąd rozmawialiśmy z sobą - powiedział.

- Rzeczywiście.

- Od tej pory trochę się u ciebie zmieniło, chyba można tak powiedzieć. A jak się miewa twoja matka, nie widziałem jej od dawna?

Cóż, nie sądziłam, żeby wymagało to odpowiedzi, to on chciał oddać ją do zakładu, zresztą i tak nie mogłabym odpowiedzieć, nawet gdybym chciała. Nie wiedziałam, jak ma się moja matka. To pewnie źle z mojej strony, że nie wiedziałam. Ale tak było. Miałam nadzieję, że wszystko u niej dobrze, lecz nie wiedziałam tego na pewno. Sądziłam, że wiem, gdzie jest, ale nie wiedziałam, jak się ma.

Moja biedna szalona matka, wrak człowieka.

I oczywiście zaczęłam płakać. O dziwo, nie nad sobą, choć jestem pewna, że mogłabym, bo miałam powody, ale nie, nie nad sobą. Nad matką? Kto potrafi określić przyczynę ludzkich łez?

Ale ojciec Gaunt nie przejął się moim głupim płaczem.

- Eee... Jack reprezentuje stanowisko części rodziny w tej sprawie, mam rację, Jack?

- Cóż - zaczął Jack. - Chcemy załatwić tę sprawę uczciwie. Zamierzamy postąpić jak cywilizowani ludzie. Zawsze znajdzie się jakieś rozwiązanie, choćby sprawa była nie wiadomo jak pogmatwana. Wierzę w to. W Nigerii często zdarzały się problemy, które wydawały się przytłaczające, ale przy pewnym wysiłku... Mosty nad rzekami, które co roku zmieniają bieg. Takie rzeczy. Inżynieria musi rozwiązywać tego rodzaju problemy.

Stałam tam cierpliwie i słuchałam Jacka. Była to chyba najdłuższa mowa, jaką kiedykolwiek do mnie wygłosił, a przynajmniej w mojej obecności czy w moim kierunku. Był gładko ogolony, wymuskany, czysty, skórzany kołnierz miał podniesiony, kapelusz nasadzony pod idealnym kątem. Wiedziałam od Toma, że od kilku tygodni dużo pił, ale wcale nie widać było tego po nim. Zaręczył się z tą swoją dziewczyną z Galway i z tego powodu, jak twierdził Tom, jako mężczyzna wpadł w lekką panikę. Zamierzał się z nią ożenić i zabrać

ją z sobą do Afryki. Tom pokazał mi zdjęcia bungalowu Jacka w Nigerii i jego samego w grupie mężczyzn, białych i czarnych. Byłam naprawdę zaintrygowana, może „oczarowana” to lepsze słowo, widokiem Jacka w rozpiętej u góry koszuli i w białych spodniach, z laską. A na jednym zdjęciu był Murzyn, może też jakiś urzędnik, choć nie w rozpiętej u góry koszuli, tylko w czarnym garniturze z kamizelką, w sztywnym kołnierzyku i krawacie, nie wiem, czy było bardzo gorąco, wyglądał całkiem świeżo i wydawał się pewny siebie. Widziałam też zdjęcie Jacka w tłumie prawie nagich mężczyzn, bardzo, bardzo, bardzo czarnych, być może robotników kopiących kanały, które Jack budował, długie, biegnące prosto kanały, mówił Tom, prowadzone w głąb kraju, żeby dostarczać upragnioną wodę do odległych farm. Jack, zbawca Nigerii, ten, który sprowadza wodę, budowniczy mostów.

- Właśnie - potwierdził ojciec Gaunt. - Na pewno wszystko da się załatwić. Na pewno. Jeśli wspólnie pochylimy głowy nad tym problemem.

Nie bardzo uspokoiła mnie wizja mojej głowy obok głów krótko, surowo ostrzyżonego ojca Gaunta i eleganckiego Jacka w kapeluszu, ale rozwiała się ona w plamkach światła słonecznego, które przenikało do pokoju.

- Kocham męża - oświadczyłam tak nagle, że prawie podskoczyłam. Po co to powiedziałam tym dwóm emisariuszom przyszłości, do dziś nie mam pojęcia. Nie przychodzili mi do głowy żadni inni ludzie, którym mogłabym to powiedzieć z jakimkolwiek efektem. To tak jakbym uścisnęła ręce dwóch biednych żołnierzy, którzy dostali rozkaz wykonania na mnie wyroku. Takie można było odnieść wrażenie, gdy wypowiedziałam te słowa.

- Hm - odezwał się ojciec Gaunt, niemal ochoczo, gdy padł ten temat. - To już przeszłość.

Wydałam kilka cichych dźwięków złożonych z samogłosek i spółgłosek, bo nie bardzo wiedziałam, jakich słów użyć, ale w końcu wyjąkałam:

- Co takiego?

- Potrzebuję trochę czasu, żeby ocenić zasięg tego problemu - powiedział ojciec Gaunt. - Chciałbym, Roseanne, żebyś w tym czasie pozostała tutaj, w tej chacie. Kiedy podejmę decyzję, poinformuję cię o twojej sytuacji i będziemy mogli poczynić kroki na przyszłość.

- Tom oddał tę sprawę w ręce ojca Gaunta, Roseanne - wyjaśnił Jack. - Ojciec ma jego upoważnienie.

- Tak - potwierdził ojciec Gaunt. - Otóż to.

- Chcę być z mężem - powiedziałam, bo taka była prawda, i tylko to mogłam

powiedzieć spokojnie. Bo zaczął budzić się we mnie gniew, i to większy niż tamten żalony ból, dziki, głodny gniew, jak u wilka w owczarni.

- Powinnaś była pomyśleć o tym wcześniej - rzekł ojciec Gaunt równie zwięźle. - Zamężna kobieta...

Ale urwał. Może nie wiedział, co powiedzieć dalej, albo wiedział i zrezygnował z tego, nie chciał albo nie mógł się na to zdobyć. Jack odchrząknął jak na filmach w kinie Gaiety i pokręcił głową, jakby miał mokre włosy i chciał otrząsnąć je z wody. Ojciec Gaunt zrobił się nagle poważny, bardzo zakłopotany, jak tamtej nocy przed laty, kiedy w świątynce mojego ojca leżały, tak żałośnie, tak beznadziejnie, zwłoki Williego Lavelle'a. Wiedziałam, co myśli. Już drugi raz przeze mnie znalazł się w sytuacji, która budziła jego - co? Niezadowolenie, irytację. Niezadowolenie i irytację z powodu kobiecej natury? Kto wie? I nagle spojrzałam na niego z nieoczekiwaną pogardą. Gdyby mój wzrok mógł zabijać, padłby trupem. Byłam świadoma jego władzy, absolutnej w tej sytuacji, i nagle poczułam, że go dobrze znam. Mały, przekonany o własnej słuszności, bezgranicznie, na północ, południe, wschód i zachód, i śmiertelnie niebezpieczny.

- Cóż - powiedział - chyba załatwiliśmy sprawę, Jack. Siedź tu, Roseanne, rób co tydzień zakupy w sklepie i nie szukaj towarzystwa. Nie masz się czego bać, najwyżej samej siebie.

Stałam w miejscu. Z zadowoleniem mogę powiedzieć, że chociaż byłam osaczona i nie miał mi kto pomóc, wzbierała we mnie dzika furia, fala za falą, jak samo morze, furia, która, co dziwne, przyniosła mi pocieszenie. Pewnie na mojej twarzy widać było jej oznaki, jak to zwykle na twarzach.

Dwaj mężczyźni w ciemnych ubraniach wyszli na światło słoneczne. Ciemne garnitury, ciemne płaszcze, ciemne kapelusze, które w zalewie nadmorskich błękitów, żółci i zieleni próbowały stać się jaśniejsze.

Furia, mroczna furia, jej nic nie mogło rozjaśnić.

\*

Ale pełna furii kobieta, sama w chacie o blaszanym dachu, to mała rzecz, jak już powiedziałam.

Jedyna pociecha w tym, że w historii świata jest tyle cierpień, iż moje małe cierpienia zajmują w niej marginalne miejsce, są jak popiół na brzegach ogniska. Powtarzam to, bo chcę, żeby tak było.

Choć przepelniający człowieka ból zdaje się ogarniać cały świat. To jednak złudzenie.

Widziałam już, na własne oczy, znacznie gorsze nieszczęścia niż to, które przydarzyło

się mnie. Na własne oczy. A jednak tamtego wieczoru, samotna i przepelniona niewyobrażalnym gniewem, krzyczałam i krzyczałam w tamtej chacie, wylałam jak jedyny cierpiący pies na całym świecie, niewątpliwie wzbudzając zgrozę i przerażenie każdego przechodnia. Krzyczałam i wylałam. Biłam się w piersi tak mocno, że następnego dnia pojawiły się na nich siniaki - moje ciało wyglądało jak mapa piekła, mapa głuszy, jakby oparzyły mnie słowa Jacka McNulty'ego i ojca Gaunta.

I jakkolwiek wyglądało moje życie do tego dnia, po nim było już zupełnie inne. I taka jest najświętsza prawda.

## **Część trzecia**

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Niezgłębione. Głębia. Zastanawiam się, czy na tym polega trudność, że moje wspomnienia i wytwory wyobraźni spoczywają głęboko w tym samym miejscu. Albo jedne na drugich, jak warstwy muszli i piasku w kawałku wapienia, tak że łączą się z sobą i nie można ich już odróżnić, chyba że patrzy się z bliska, z bardzo bliska.

Dlatego tak się boję rozmawiać z doktorem Grene'em, boję się, że będę w stanie zaoferować mu tylko wytwory mojej wyobraźni.

Wtwory wyobraźni. Ładne określenie katastrofy i złudzeń.

\*

Zostawili mnie tam na całe lata, bo całych lat wymaga załatwienie tego, co usiłowali załatwić, Jack, ojciec Gaunt i niewątpliwie także inni, żeby uratować Toma McNulty'ego. Sześć, siedem, nawet osiem? Nie pamiętam.

Po napisaniu tych słów, kilka minut temu, odłożyłam długopis i oparłam głowę na dłoniach, zastanawiając się przez chwilę, próbując zgłębić te lata. Trudna sprawa, trudna. Co jest prawdziwe, a co nieprawdziwe? Jaką drogę wybrałam, z jakiej zrezygnowałam? Kiepski teren, zdradliwy teren. Myślę, że relacja zdawana przed Bogiem musi zawierać wyłącznie prawdę. To nie ludzie, którym można mydlić oczy. Bóg zna prawdę, zanim ją spiszę, łatwo więc może mnie złapać na kłamstwie. Muszę starannie oddzielać jedno od drugiego. Jeśli mam jeszcze duszę - bo może nie mam - od tego zależy jej los. Myślę, że w ciężkich przypadkach dusze są anulowane, skreślane w jakimś biurze w pałacach nieba. Że przybywasz do bram nieba już pod zły adres, zanim święty Piotr zdąży powiedzieć choć słowo.

Ale to wszystko jest takie mroczne, takie trudne. Boję się, bo nie wiem, co robić. Roseanne, musisz przeskoczyć kilka rowów. Musisz znaleźć siły w swoim starym ciele, żeby wykonać skok.

\*

Czy to możliwe, że spędziłam te wszystkie lata w tamtej chacie i nic się nie zdarzyło, że chodziłam co tydzień do sklepu, nie odzywając się do nikogo ani słowem? Chyba tak. Chcę być tego pewna. „Nic się nie zdarzyło”, mówię, ale przecież wiedziałam, że w Europie wybuchła wojna, tak jak wtedy, gdy byłam mała. Nie widziałam jednak mundurów. Chata

była jak środek wielkiego zegara: Nowy Rok w Strandhill, warkot samochodów przejeżdżających drogą w sobotni wieczór, dzieciaki z wiaderkami, szpaki przez całą zimę, ciemniejąca i jaśniejąca góra, wrzos ze śniegiem maleńkich kwiatków, co za pociecha, i ja - próbuję coś zrobić z różami na ganku, zajmuję się nimi, przycinam je i patrzę, jak z upływem roku dzień po dniu wzbierają ich pąki; to chyba były Souvenir de St. Anne's, gatunek uzyskany w dublińskim ogrodzie z tej sławnej róży, którą Józefina wyhodowała na pamiątkę miłości Napoleona, Souvenir de Malmaison.

Boże - drogi Czytelniku, nazywam Cię przez chwilę Bogiem - drogi, drogi Boże, naprawdę usiłuję sobie przypomnieć. Wybacz mi, wybacz mi, jeśli zapamiętałam coś nie tak.

Wolałabym raczej pamiętać to, co wydarzyło się naprawdę, niż to, co przemawia na moją korzyść. Nie dano mi takiego luksusu.

\*

Kiedy ojciec Gaunt w końcu przyszedł do mnie, zrobił to sam. Przypuszczam, że ksiądz zawsze jest sam w pewnym sensie. Nie ma przy boku nikogo. I nagle jakby się postarzał, już nie był taki pogodny, zauważyłam, że łysieje na skroniach, że linia jego włosów się cofa, jak mała fala, która już nie wróci.

Była pełnia lata i wyglądał w swoim wełnianym ubraniu na zgrzanego. Zamawiał ubrania w sklepie dla duchownych przy Marlborough Street w Dublinie - skąd to wiedziałam, nie pamiętam. Były całkiem nowe, dziwnie stylowe, sutanna przypominała sukienkę, którą kobieta mogłaby włożyć na elegancki wieczór, tyle że była czarna i dłuższa. Gdy wszedł przez furtkę, zajmowałam się różami; zaskoczył mnie, a właściwie przestraszył, bo nikt od długiego, długiego czasu nie szczerknął zasuwką, oprócz mnie samej, gdy wymykałam się wieczorem na wydmy i bagna, które teraz, po kilku tygodniach upałów, wyschły i zrobiły się gąbczaste pod stopami. Myślę, że wyglądałam porządnie, nie tak jak później, miałam nożyczki i mogłam sama obciąć sobie włosy przed lusterkiem, którego Tom używał kiedyś do golenia, a tego dnia byłam w czystej sukience, przyjemnie sztywnej, jak to bawełna, gdy wyschnie na krzaku.

Miał z sobą małą skórzaną teczkę, porysowaną i sfatygowaną od długiego, częstego używania. Naprawdę można by uznać tego człowieka za starego przyjaciela, znałam go tak długo i tak wiele nas łączyło. Z pewnością mógłby spisać szczegółową historię mojego życia, ponieważ był świadkiem pewnych dziwnych jego fragmentów.

- Roseanne - zaczął dokładnie tym samym tonem co przed kilku laty, jakbyśmy po prostu kontynuowali tamtą rozmowę. Żadnego „dzień dobry”, „jak się masz”, chwili wahania. Właściwie zachowywał się jak lekarz, który ma do przekazania ważną informację, nie



wykazywał nawet tej sympatycznej czujności doktora Grene'a, kiedy znowu zamierza zagadnąć mnie o moje „sekrety”. Czy mogę powiedzieć, że go nie lubiłam? Chyba nie. Ale go nie rozumiałam. Nie wiedziałam, co sprawia mu przyjemność w życiu, co podtrzymuje go na duchu. Gdy wchodził po schodkach na ganek, a potem do środka ciemnej chaty, spjrzał na moje róże.

Otarłam palce z zielonego soku o jeden z drewnianych stopni i poszłam za nim.

Czy był to przejaw nadzwyczajnej słabości z mojej strony, że tkwiłam w tej chacie na jego polecenie? Niemal ze wstydem myślę, że może tak. Czy nie powinnam rzucić się na niego poprzednim razem, skoczyć mu do gardła, i Jackowi też, wbić zęby w ich wystające grdyki i wyrwać struny głosowe? Wściec się na nich, zwymyślać ich? Ale po co? To byłyby tylko gniew, bezsensowny gniew, wylewający się na pokrytą białym pyłem drogę w Strandhill.

- Nie mam czym ojca poczęstować - powiedziałam. - Chyba że napije się ojciec sodki Beechama?

- Po co miałbym pić lekarstwo na żołądek, Roseanne?

- Na opakowaniu piszą, że to orzeźwiający napój na lato. Dlatego go kupiłam.

- To dla tych, którzy za bardzo sobie folgują - odparł. - Ale dziękuję ci.

- Nie ma za co, ojczu.

Usiadł tam, gdzie siedział ostatnim razem, bo nie widziałam powodu, żeby przesunąć krzesło w inne miejsce. Słońce wkroczyło za nami do pokoju i zalewało nas pełnym kurzu światłem.

- Widzę, że dobrze sobie radzisz - zauważył.

- O tak.

- Oczywiście, mam swoich szpiegów, którzy cię pilnują. - Powiedział to bez odrobiny zażenowania. Szpiegów.

- Och, nie zauważyłam.

- To jasne.

Otworzył teczkę, którą trzymał na kolanach. Wyjął z niej plik kartek, czystych, starannie złożonych, na pierwszej z nich widniała budząca respekt pieczęć czy jakiś znak.

- Moje wysiłki, żeby uwolnić Toma, zostały uwieńczone sukcesem - oświadczył.

- Słucham? - nie zrozumiałam.

- Gdybyś kilka lat temu posłuchała mojej rady, Roseanne, gdybyś się nawróciła i zachowywała, jak na żonę katoliczkę przystało, nie znalazłabyś się dziś w takiej sytuacji. Ale zdaję sobie sprawę, że nie można cię obciążać całkowitą odpowiedzialnością. Nimfomania to

z definicji objaw szaleństwa. Niewykluczone, że objaw choroby, ale przede wszystkim szaleństwa, które może mieć podłoże fizyczne. Rzym zgodził się z tą oceną, a wydział Kurii, który zajmuje się takimi rzadkimi, dzięki Bogu, przypadkami, nie tylko się zgodził, ale i przyjął jego interpretację. Możesz więc być spokojna, że twoja sprawa została rozpatrzona gruntownie, z całą wnikliwością, przez ludzi dobrze poinformowanych, obiektywnych i życzliwych.

Popatrzyłam na niego. Schludny, czarny, obcy. Kolejna istota ludzka w kryjówece istoty ludzkiej. I ten jego sposób mówienia: poważny, wyważony, spokojny. Ani śladu podniecenia, triumfu, tylko jak zwykle oszczędny, powściągliwy ton.

- Nie rozumiem - powiedziałam i tak było, choć chyba jednocześnie już wszystko wiedziałam.

- Twoje małżeństwo zostało unieważnione, Roseanne.

Ponieważ nic nie mówiłam, powiedział po pół minucie:

- Jakby go nigdy nie było. Jakby nie istniało. Tom może poślubić inną, jakby nigdy nie był żonaty. I dla mnie nigdy nie był.

- To tym ojciec zajmował się w ostatnich latach?

- Tak, tak - odparł z pewnym zniecierpliwieniem. - To było ogromnie skomplikowane przedsięwzięcie. Takich orzeczeń nie wydaje się jakby nigdy nic. Wymagało ze strony Rzymu, no i mojego biskupa, głębokiego, bardzo głębokiego namysłu. Trzeba było zważyć wszystko, wszystko rozpatrzyć, złożone przeze mnie oświadczenie, słowa Toma, starszej pani McNulty, która oczywiście styka się w pracy z podobnymi przypadkami kobiet. Jack oczywiście jest w Indiach, na wojnie, bo inaczej też złożyłby zeznanie. Wyrok został wydany po starannym zbadaniu sprawy. Zajrzano pod każdy kamień.

Wciąż patrzyłam na niego.

- Możesz być pewna, że potraktowano cię sprawiedliwie.

- Chcę, żeby przyszedł tu mój mąż.

- Nie masz męża, Roseanne. Nie jesteś w stanie małżeńskim.

- Jestem rozwiedziona?

- To nie rozwód - powiedział nagle rozeźlony, jakby to słowo budziło jego obrzydzenie. - W Kościele katolickim nie ma czegoś takiego jak rozwód. Tego małżeństwa nie było. Zostało unieważnione z powodu niepoczytalności podczas jego zawarcia.

- Niepoczytalności?

- Tak.

- Dlaczego ojciec tak uważa? - zapytałam po chwili, i to z trudnością, bo nie mogłam

mówić, głos wiązał mi w gardle.

- Nie wierzymy, żeby twoja zdrada ograniczyła się do tego jednego razu, którego, jak pamiętasz, byłem świadkiem. Uznano za niemożliwe, żeby była to pojedyncza historia, biorąc pod uwagę twoją obecną pozycję, a także przeżycia z dzieciństwa, nie mówiąc już o stanie twojej matki, który prawdopodobnie jest dziedziczny. Szaleństwo, Roseanne, objawia się w rozmaity sposób. W przypadku twojej matki całkowitym zamknięciem się w sobie, w twoim zaś poważną, chroniczną nimfomanią.

- Nie wiem, co oznacza to słowo.

- Oznacza... - zaczął, tak, tak, ze śladem lęku w oczach, bo użył już tego słowa i może myślał, że nie budzi mojego sprzeciwu. Wiedział jednak, że mówiłam prawdę, i nagle się przestraszył. - Oznacza szaleństwo, które objawia się potrzebą pozamałżeńskich stosunków z innymi.

- Słucham? - odpowiedziałam. Wyjaśnienie było równie niezrozumiałe, jak samo słowo.

- Wiesz, o czym mówię!

- Nie wiem - odparłam i była to prawda.

Ostatnie zdanie wręcz wykrzyczał, naprawdę wykrzyczał. Szybko schował z powrotem papiery do teczki, zamknął ją z trzaskiem. Nie wiem dlaczego, zauważyłam, że ma wypolerowane buty, pokryte warstewką pyłu z drogi, którą musiał pokonać, gdy niewątpliwie niechętnie wysiadł z samochodu i podszedł do moich drzwi.

- Nie będę wdawał się w wyjaśnienia - powiedział niemal z grymasem irytacji i gniewu. - Próbowałem wyjaśnić ci twoją sytuację. I sądzę, że to zrobiłem. Rozumiesz swoją sytuację?

- Jak brzmi to słowo, którego ojciec użył?! - zawołałam.

- Stosunki! - wykrzyknął. - Stosunki! Współzycie płciowe!

- Ale nigdy nie miałam stosunków z nikim oprócz Toma.

- Oczywiście, możesz się wypierać, jeśli tak wolisz.

- Niech ojciec zapyta Johna Lavelle'a. On potwierdzi, że nie kłamię.

- Nie bardzo śledzisz losy swoich kochanków - powiedział złośliwie. - John Lavelle nie żyje.

- Jak to możliwe?

- Wrócił do IRA, sądząc, że będziemy osłabieni wojną z Niemcami, zabił policjanta i został słusznie powieszony. Rząd irlandzki sprowadził z Anglii samego Alberta Pierrepointa do tej roboty, więc możesz być pewna, że wykonana została, jak należy.

Och, John, John, głupi John Lavelle. Boże, wybacz mu i niech spoczywa w pokoju. Przyznaję, że często się zastanawiałam, gdzie jest, co robi. Czy wrócił do Ameryki? Żeby zostać kowbojem, drugim Jesse Jamesem, napadać na pociągi? Zabił policjanta. Irlandzkiego policjanta w państwie irlandzkim. To straszne przestępstwo. A jednak wyświadczył mi wielką przysługę, że trzymał się z dala, że nie nagabywał mnie więcej, choć bałam się, że może to zrobić, trzymał się z dala, nie szukał mnie, bo na pewno zdawał sobie sprawę, że już narobił mi kłopotów, wtedy, na Knocknarei. Tak obiecał i dotrzymał słowa. Gdy księża odeszli, wziął mnie za rękę i obiecał. I honorowo się z tej obietnicy wywiązał. Honor. Nie sądzę, żeby stojący przede mną człowiek go miał.

Ojciec Gaunt chciał mnie wyminąć, jak najszybciej dostać się do drzwi i uciec. Na chwilę zagroziłam mu drogę. Zagroziłam mu ją. Wiedziałam, że gdybym chciała go zabić, znalazłabym siły, czułam to. Wiedziałam, że mogłabym coś chwycić, krzesło czy cokolwiek innego, co wpadłoby mi w rękę, i zdzielić go po głowie. I było to równie prawdziwe, jak moja deklaracja wobec niego. Zamordowałabym go, jeśli nie z radością, to przynajmniej z satysfakcją, bezwzględnie, starannie. Nie wiem, dlaczego tego nie zrobiłam.

- Grozisz mi, Roseanne? Odsuń się od drzwi, dobra kobieto.

- Dobra kobieto? I ojciec to mówi?

- To takie powiedzenie - odparł.

I ustąpiłam mu z drogi. Wiedziałam, wiedziałam, że godziwe, porządne życie się dla mnie skończyło. Słowo takiego człowieka jak on było niczym wyrok śmierci. Czułam, że Strandhill i okolice są przeciwko mnie, że całe Sligo jest przeciwko mnie. Wiedziałam to od początku, ale czym innym jest znać z góry wyrok, a czym innym usłyszeć go z ust sędziego. Może przyjdą i spalą mnie w chacie jak wiedźmę. Nie było nikogo, kto by mi pomógł, nikogo, kto by stanął po mojej stronie, tak wyglądała prawda.

Ojciec Gaunt czym prędzej umknął z budzącego lęk domu. Upadła kobieta. Obląkana. Wolność dla Toma, mojego kochanego Toma. A co dla mnie?

## Z notatek doktora Grene'a

Ostatniej nocy znowu całkowita cisza w domu. Jak gdyby, zawoławszy mnie zeszłym razem, nie miała już takiej potrzeby. Ta myśl wyzwoliła mnie z lęku i wprawiła w całkiem inny stan. Poczulem coś w rodzaju dumy, że jednak, po tym wszystkim, zdolny byłam do miłości. I może ona też. Nasłuchiwałam jeszcze, nie ze strachem, ale z pewną ponurą

tęsknotą. Tym razem już wiedząc, że nie będzie pytania ani odpowiedzi. Dziwny stan. Chyba szczęście. Nie trwał długo, ale jak bezradny pacjent w największym cierpieniu nakazałem sobie go zapamiętać, utrwalić - i przypomnieć, gdy kiedyś znowu dopadną mnie inne, mroczniejsze uczucia. Bardzo trudno jednak być bohaterem, gdy się nie ma publiczności, w tym sensie, że każdy z nas jest bohaterem osobliwego, nieudanego filmu zwanego życiem. Ale obawiam się, że to spostrzeżenie nie wytrzyma głębszej analizy.

Jak brzmi ten fragment z Biblii o aniele, który tkwi w każdym z nas? W każdym jest coś takiego. Nie pamiętam. Myślę, że tylko anioł - może ta nasza część, która nie została skalana - potrafi docenić szczęście. Umie to, ponieważ niewiele go zaznaje. A jednak... Wystarczająco.

Anioły. Przykry temat dla psychiatry. Ale jestem już stary i zaznałem cierpienia, które na początku wydawało mi się nie do wytrzymania; myślałem, że mnie zabije, obedrze ze skóry, powiesi, więc pytam, choćby tylko tu, w tym notatniku, dlaczego nie? Mam serdecznie dość racjonalności. Kogo przypomina ta istota? Niebieskiego pedanta?

Ponownie przeczytałem zeznanie ojca Gaunta. Zastanawiam się, czy jeszcze istnieją tacy wszechwiedzący, surowi i zupełnie nieznający przebaczenia księża? Pewnie tak, tylko się nie ujawniają. Może z powodu swojego niepewnego, tajemniczego pochodzenia de Valera szukał wsparcia u kleru. Niewątpliwie zapewnił im w swojej konstytucji mocną pozycję, ale prawdą jest także, że oparł się żądaniu ówczesnego arcybiskupa, aby uczynić katolicyzm religią panującą. Dzięki Bogu, aż do tego się nie posunął, choć poszedł dostatecznie daleko, chyba znacznie dalej, niż powinien. Był przywódcą, który zmagił się z aniołami i demonami, czasami w jednym ciele. Ponieważ należał do IRA podczas wojny o niepodległość, a potem do IRA antytraktatowej i siedział po wojnie domowej w więzieniu, to gdy w latach trzydziestych doszedł do władzy, stwierdził, że musi pozbyć się dawnych towarzyszy, którzy w większości odrzucili zarówno traktat, jak i krytykowali jego samego. To musiało być dla niego bardzo bolesne, na pewno spędzało mu sen z powiek, jak byłoby w przypadku każdego. Ojciec Gaunt opisuje los niejakiego Johna Lavelle'a, który pojawił się w życiu Roseanne i w końcu został powieszony przez de Valerę na początku drugiej wojny światowej, bez litości. Inni jego towarzysze zostali wychłostani, a nie wiedziałem, że chłosta była legalnie stosowana w Irlandii, nie mówiąc już o karze śmierci przez powieszenie. Ojciec Gaunt pisze, że było to trzydzieści sześć razy dyscypliną dziewięciorzemienną, co wydaje się zbyt okrutne. De Valera musiał się czuć, jakby batożono i wieszano jego synów czy też synów albo dziedziców towarzyszy jego młodości. I zapewne wywołało to w nim jeszcze innego rodzaju wstrząs. To cud, że kraj doszedł do siebie po tych nieszczęściach i traumatycznych

przeżyciach, i de Valerze należy tylko współczuć, że zmuszony był do takich okrucieństw. Może tu trzeba szukać początków dziwnej demoralizacji ostatniego pokolenia polityków irlandzkich, nie mówiąc już o wielu księżach, którzy, jak się okazuje, brukają niewinność dzieci, wykorzystując je seksualnie. Absolutna władza takich jak ojciec Gaunt prowadzi nieuchronnie do straszliwej deprawacji.

Przyszła mi do głowy niegodna myśl, że może de Valera pragnął uniknąć drugiej wojny światowej nie dlatego, iż bał się wewnętrznego wroga, bał się rozpadu swojego młodego kraju, ale efektem były dalsze wysiłki zmierzające do stłumienia wszelkiej seksualności Irlandczyków. W pewnym sensie było to rozszerzenie polityki władz kościelnych. W tym przypadku, jeśli to nie jest zbyt oczywiste i prymitywne, męskiej seksualności.

Jestem tak zmęczony w tej chwili, że nie wiem, czy to, co piszę, nie jest banałem. W razie czego później będę mógł to podrzeć.

Ten Lavelle, który w dawnych czasach mógł siedzieć w tym samym więzieniu co Dev i został powieszony za jego warty, jeśli tak można powiedzieć, nie był aniołem. Jak twierdzi ojciec Gaunt, zawlókł schwytanego policjanta na wzgórze za Sligo, włożył mu kaptur na głowę i przytknął rewolwer do skroni. Kręcił bębenkiem i naciskał spust. Przypuszczam, że biedny policjant odchodził od zmysłów z przerażenia. Lavelle usiłował się dowiedzieć, kiedy do koszar przywozi się żołd, bo chciał go zrabować. Dziwnie to sobie wymyślił. Ale ten, czy był taki odważny, czy nie wiedział, nie chciał albo nie umiał odpowiedzieć. Lavelle raz po raz naciskał spust. Kilku jego współników porwało także żonę i córkę policjanta; trzymali je w opuszczonym domu w miasteczku i Lavelle zagroził mu, że zostaną zabite, jeśli nie zacznie mówić. Ale pewnie prawda jest taka, że biedak nie wiedział za wiele. I w końcu Lavelle go zastrzelił. Wszystko to wyszło na jaw, bo jeden z jego towarzyszy wystąpił jako świadek koronny i ukarany został tylko wspomnianą chłostą. Ale zaczęła się wojna i de Valera bardzo się bał, że IRA znowu się wzmocni, wiedział, że jej przywódcy już kontaktują się z Niemcami. I jeśli Dev wyznawał jeszcze jakąś religię, to była nią neutralność i bronił jej do upadłego, wbrew wszelkiemu rozsądkowi. Nie mógł więc oszczędzić Lavelle'a. Nie mogę powiedzieć z całą szczerością, że jego śmierć była wielką stratą.

Piszę tak, jakbym był świętym mężem od pszczoł na Skellig. Oczywiście, żaden ze mnie święty. Wypadałoby przyznać, że wszyscy podlegamy tym współczesnym grzechom. A wojna domowa to zło, które kała nasze dusze po równo.

Chociaż moje wykształcenie nie pozwala mi mówić o grzechach.

Ojciec Gaunt relacjonuje to wszystko w swoim dokumencie z istic cycerońskim

wysiłkiem, żeby opleść Roseanne - nie, to nie jest odpowiednie słowo - omotać ją jakąś pajęczyną, złapać w nią. Nie szczędzi w tym celu atramentu. To naprawdę niezwykle dzieło, urzędnicze, skrupulatne i przekonujące. Jest jak pożar lasu, trawi wszystkie jej ślady, niszczy jej wersję i obraca ją w popiół. Mała, nieznana, zapomniana Hiroszima. Dokument przepaja jakiś dziwny niepokój, który czasami uwidacznia się w niepotrzebnych, może powinienem się wyrazić - zaskakujących szczegółach. Ojciec Gaunt patologicznie skupia się na seksualności Roseanne. Dziwnie jest czytać takie rzeczy o Roseanne z tamtych czasów, kiedy posiadaczka tego imienia jest stuletnią staruszką i moją pacjentką. Nie wiem, czy to naprawdę są informacje objęte tajemnicą zawodową. Czasami wydają się bardzo voyeurystyczne, moralnie podejrzane. Częściowo dlatego, że moralność samego ojca Gaunta jest staroświecka. Każdym słowem, które pisze, zdradza wielką nienawiść, jeśli nie do kobiet, to do kobiecej seksualności czy też seksualności w ogóle. Dla niego to narzędzie szatana, podczas gdy dla mnie jeden z ogromnych uroków życia. Nie jestem przeciwnikiem Zygmunta Freuda. Jest także jasne jak słońce, że traktuje jej protestantyzm jako zasadnicze, pierwotne zło samo w sobie. Przepelnia go ogromny gniew, że nie chciała przejść na katolicyzm, sięgający jeszcze czasów, zanim wyszła za katolika, a i wtedy nie zmieniła wiary. Już choćby to jest dla ojca Gaunta perwersją.

Niemal od samego początku uważa więc, że jest, jeśli nie zła, to uparta, krnąbrna, być może zagadkowa. Nie udaje nawet, że ją rozumie, choć twierdzi, że zna dobrze jej historię. Dziewczyna wystawiała się na widok publiczny, obnosiła się ze swoją urodą przez samo to, że była, trzeba to powiedzieć, po prostu piękna. To tak, jakby kusiała wszystkich mężczyzn ze Sligo, a usidliwszy samego Toma McNulty'ego, poniżyła się przed kimś tak nieokiełznanym jak John Lavelle, którego ojciec Gaunt opisuje jako *dzikusa z najciemniejszego zakątka Mayo*.

Zrobiła coś takiego, a potem, gdy ojciec Gaunt oczywiście zaoferował jej pomoc, odrzuciła ją. Tu znowu daje się odczuć jego wściekłość. Zostaje skazana na pobyt w chacie krytej blachą, gdzie znowu jest jak magnes dla pożądlivych mieszkańców Sligo. Co najstraszniejsze ze wszystkiego, gdy ojciec Gaunt załatwia w Rzymie unieważnienie jej małżeństwa, Roseanne w tajemniczych okolicznościach zachodzi w ciążę i rodzi dziecko. Rodzi dziecko, mówi ojciec Gaunt, i w typowy dla siebie bezwzględny sposób kwituje krótko: *I zabija je*.

Gdybym czytał te słowa przed laty, poparte autorytetem księdza, sam musiałbym wydać na nią wyrok.

# ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

## Relacja Roseanne

John Kane staje się coraz bardziej tajemniczy. Teraz już zupełnie nic nie mówi, ale dziś rano chyba uśmiechnął się do mnie. To z jego strony dziwny, nie całkiem uwieńczony powodzeniem wysiłek. Lewa strona twarzy jakby mu trochę opada. Kiedy wychodził, znowu stanął na obluzowanej klepce. Zastanawiam się, czy nie daje mi do zrozumienia, że wie, iż coś pod nią jest. Ale na pewno nie sądzi, że to coś wartościowego, a zagłębienie pod klepki raczej nie leży w jego naturze. Gdy stałam przy oknie i patrzyłam na niego, usiłowałam sobie przypomnieć, jak długo go znam. Mam wrażenie, że nasza znajomość sięga zamierzchłych czasów, niemal dzieciństwa, ale to niemożliwe. W każdym razie jest długa. Nosi tę samą dzinsową kurtkę od jakichś trzydziestu lat. Tak jak ja własną zdartą garderobę. Wstyd mi z powodu mojego szlafroka, bo gdy podeszłam do okna, zobaczyłam, jaki jest brudny i poplamiony z przodu. Instynktownie chciałam odsunąć się od światła, ale odeszłam już tak daleko od łóżka, że szkoda mi było wracać. Chciałam zapytać go o postępy wiosny na dworze, skoro ujawnił już zainteresowania botaniczne, albo o coś takiego. Biały, żółty, niebieski, taka jest kolejność. Przebiśniegi, żonkile i dzwonki, gdy zakwitają żonkile, wędzną przebiśniegi. Ciekawe, dlaczego tak jest. Ciekawe, dlaczego wszystko jest, jak jest.

Potem, przy oknie, zakręciło mi się w głowie i zrobiło słabo, jakby ugięły się pod mną nogi. Uniosłam ręce i usiłowałam oprzeć się o ścianę. John Kane, trzeba mu to przyznać, choć był już na korytarzu, wrócił i pomógł mi dojść do łóżka, a przecież to nie należy do jego obowiązków. Był bardzo delikatny i wciąż się uśmiechał. Spojrzałam mu w twarz. Miał zarost, ale to nie broda, tylko coś, co przypomina różnobarwne wrzosa na mokradłach. A jego oczy są niebieskie. Wtedy uświadomiłam sobie, że wcale się nie uśmiecha, tylko ma dziwnie rozciągnięte usta i jakby nie mógł nimi swobodnie poruszać. Miałam ochotę go o to zapytać, ale nie chciałam go wprawiać w zakłopotanie ani denerwować. To chyba głupie z mojej strony.

\*

Niedługo po „wizycie” ojca Gaunta spacerowałam którejś chłodnej, księżycowej nocy po oddalonych wydmach na plaży Strandhill. Od czasu tamtej rozmowy z nim źle się czułam



w chacie, jakby wciąż był tam obecny. Codziennie czekałam niecierpliwie, aż zapadnie zmrok, bo wtedy przynajmniej mogłam swobodnie wędrować po wydmach i moczarach.

Nie chciałam, żeby ktokolwiek mnie zobaczył, nie miałam ochoty z nikim rozmawiać. Niekiedy podczas tych spacerów byłam w tak osobliwym stanie ducha, że biegłam do domu, gdy tylko dostrzegłam kogoś w oddali. Czasami wydawało mi się, że widziałam ludzi, których wcale nie było - sztuczki płatane przez trawę morską czy co tam rosło albo zrywającego się do lotu ptaka na moczarach - a szczególnie „prześladował” mnie ktoś, kto pojawiał się z rzadka, albo raczej zdawało mi się, że się pojawia, daleko na horyzoncie, jakby w czarnym garniturze i brązowym kapeluszu, jednak nawet gdy zbierałam się na odwagę i ruszałam ku niemu, przy tych nielicznych okazjach, kiedy go widziałam, natychmiast znikał. Ale tak bywało w tamtych czasach.

Pamiętam dobrze ów wieczór, bo była to najdziwniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam, a widziałam w swoim życiu niejedno.

Muszę podchodzić do tych „wspomnień” bardzo ostrożnie, bo jestem świadoma, że kilka całkiem żywych w mojej pamięci wydarzeń z tamtych niespokojnych czasów nie mogło mieć miejsca. Nie sądzę jednak, żeby należał do nich ów wieczór, choć wydaje się nieprawdopodobny.

Miarą mojego wstydu jest to, że zamiast wdrapać się na wierzchołek wydmy, co wcześniej uwielbiałam, choć zawsze istniało ryzyko, że natknę się na zakochane pary, a nawet je nadepnę, wyszłam od razu na skraj tego wszystkiego, gdzie do morza wpadała głęboka, wąska rzeka i za dnia urządziły tu sobie popas ptaki morskie.

Stałam na piasku. Był odpływ i panowała całkowita cisza. Daleko, po prawej stronie od Knocknarei, krętą wąską drogą sunęły światła niewidocznego samochodu, które pojawiały się i znikwały. Ale znajdował się w zbyt dużej odległości, żebym mogła go usłyszeć.

Nie było wiatru, niebo wydawało się ogromne i w blasku księżyca miało barwę niebieskiej emalii. Łatwo było uwierzyć, że samotna istota ludzka jest tu najmniej ważna. Morze cofało się akr po akrze, zostawiając za sobą połacie spokojnej, kojącej wody.

Potem w oddali rozległ się cichy pomruk. Nawet spojrzałam za siebie, myśląc, że może to być wściekły pies na plaży albo coś takiego. Ale nie, dźwięk dochodził z daleka po prawej stronie. Spojrzałam w tamtym kierunku, za pustą plażę, na światelka tych kilku budynków wzdłuż brzegu, jakieś dwieście metrów dalej. Na horyzoncie pojawiła się żółta, świetlista linia, gdzieś pomiędzy lądem a wodą.

Pomyślałam, że Bóg przychodzi, żeby mnie unicestwić, tak jak unicestwił mnie ojciec Gaunt. Nie wiem, dlaczego przyszło mi to do głowy, może dlatego, że tak bardzo czułam się

winna.

Cienka jasna linia przybliżała się powoli. Pomruk narastał i odniosłam wrażenie, że piach drży pod moimi stopami, jakby coś się przezeń przebijało. Światła rosły w oczach i hałas też stawał się coraz bliższy i bliższy, potem pojawiło się coś, co wyglądało jak brzeg latającego dywanu, złożonego z potworów, a odgłos, który wydawały, zamienił się w huk ogromnego wodospadu, a ja patrzyłam w górę, naprawdę jak wariatka, z pewnością czułam się jak wariatka, gdy tymczasem i światła, i huk stawały się coraz intensywniejsze, aż ujrzałam okrągłe brzuchy i metalowe nosy, i huk przeszedł w warkot, i okazało się, że to samoloty, dziesiątki samolotów, może setki, i wszystkie wyglądały w blasku księżyca jak zwierzęta, ale o dziwo, z cienkimi okienkami z przodu, i może to był objaw mojego szaleństwa, ale pomyślałam, że widzę głowy i twarze, a razem tworzyło to formację, tak to się chyba nazywa, ponurą, złowieszczą, jak koniec świata. A ponieważ tyle było tych samolotów, hałas, który powodowały, osiągnął niemal biblijne rozmiary, rodem z Apokalipsy, i wypełnił niebo nade mną, huk, stal i światło wręcz mnie zalały, znajdowały się tak blisko wody, że moc silników zasysała wodę, rozcinała ją w płachty i wznosiła, a te opadały z szumem przypominającym syk węży, i czułam, jak samoloty mnie przyciągają, przyciągają plażę, usiłując wyrwać nas z miejsc, próbując wyrwać mi mózg z czaszki, oczy z oczodołów, a potem zaczęły przewalać się nade mną, linia po linii, było ich pięćdziesiąt, sto, sto pięćdziesiąt...? Przewalały się przez kilka minut, a potem odlatywały w dal, zostawiając za sobą na niebie jakby wielką próżnię, ciszę jeszcze boleśniejszą od tamtego huku, jakby pozbawiły tlenu całe powietrze nad Sligo. I odleciały, szarpiąc, rozrywając wybrzeże Irlandii.

\*

Kilka dni później byłam na ganku i pielęgnowałam róże. Była to praca, która nawet w moim nieszczęściu przynosiła pewne pocieszenie. Bo nie ma dla mnie wątpliwości, że wszelkie starania w dziedzinie ogrodnictwa, nawet takie chaotyczne, nieregularne jak moje, to starania zmierzające do tego, żeby sprowadzić na ziemię barwy nieba i to, co jest w nim ważne. Dzień był zimny i na gołych ramionach miałam gęsią skórkę.

Już samo istnienie płatków róż, jeszcze niewidocznych, tajemniczo zwiniętych w zielonych pąkach, przyprawiało mnie niemal o zawrót głowy.

Obejrzałam się przez prawe ramię, bo usłyszałam, że ktoś nadchodzi drogą. Ktoś albo coś - ponieważ mógł to być stary osioł, powłóczący kopytami, sądząc po odgłosach. Nie chciałam, żeby ktokolwiek mnie zobaczył, ani człowiek, ani zwierzę, choć tak lubiłam pracować przy różach. Może w tym roku będą wyglądały inaczej, nie jak St. Anne's ani Malmaison, ale powoli staną się Sligo, Souvenir de Sligo, pamiątką ze Sligo. Nie był to

jednak osioł, tylko człowiek, bardzo dziwny człowiek, pomyślałam, bo miał króciutko ostrzyżone włosy, które wiły się przy skórze jak u murzyńskich jazzmanów, i garnitur w dziwnym, ciemnoszarym kolorze. Nie, to nie był garnitur, raczej jakiś mundur. Nawet jego twarz wydawała się dziwnie niebieskawa. I ku swojemu zdumieniu rozpoznałam w nim Jacka. Oczywiście, to by tłumaczyło mundur, bo Jack walczył przecież w Indiach, za króla - ale jeśli był w Indiach, to co takiego robił w Strandhill, czyli na ziemi niczyjej?

Nagle zrobiło się jakby chłodniej niż w zwykły chłodny dzień na zdradzieckim irlandzkim wybrzeżu i dostałam jeszcze większej gęsiej skórki. Czy ta dziwna zjawka to nie był mój wróg?

- Jack?! - zawołałam w każdym razie, porzucając ostrożność. Przyszła mi do głowy szalona myśl, że może zjawił się, żeby mi pomóc. Ale co się z nim stało? Zbliżył się i wyglądał jeszcze dziwniej, powiedziałabym, że był osmalony, naprawdę osmalony.

Mężczyzna zatrzymał się na ścieżce, może zaskoczony, że się do niego odezwałam. Właściwie wyglądał na przestraszonego.

- Jack McNulty? - zapytałam, jakby to mogło pomóc. Przecież musiał wiedzieć, jak się nazywa. Założę się, że wyglądałam wtedy na równie niepewną, jak on.

Odpowiedział jak ktoś, kto nie odzywał się przez kilka dni, z trudem dobył głosu.

- Co? - spytał. - Co, co takiego?

Wydawał się tak przerażony, że podeszłam ścieżką do furtki i stanęłam obok niego. Pomyślałam, że zaraz ucieknie drogą, jak osioł. Ale przecież byłam tylko drobną kobietą w bawełnianej sukience.

- Nie jesteś Jackiem McNulty, prawda? - rzuciłam. - Ale bardzo go przypominasz.

- Kim ty jesteś? - zapytał i zerknął w stronę morza, jakby bał się zasadzki.

- Nikim - odparłam, chcąc go uspokoić. - Roseanne, żona Toma... w każdym razie byłam nią.

- Och, słyszałem o tobie - powiedział, ale bez nuty potępienia w głosie, której się spodziewałam. Nagle jakby się ucieszył, że ze mną rozmawia, że mnie poznał. Uniósł prawą rękę, jakby chciał się ze mną przywitać, ale zaraz ją opuścił. - Tak.

Poczułam wielką ulgę, jego reakcja sprawiła mi taką radość, że miałam ochotę z nim pozartować, pogawędzić, opowiedzieć mu o tym wszystkim, co się zdarzyło, o rozmaitych drobiazgach, na przykład o dwóch szczurach, które poprzedniej nocy przyłapałam na tym, jak próbowały wypchnąć jedno z moich jajek przez dziurę w ścianie chaty, tak małą, że jeden z nich położył je sobie na brzuchu, a drugi zaczął przeciągać go przez dziurę! Śmieszne. Ale sprawiła to życzliwość w jego głosie, zwykła życzliwość, z którą nie zetknęłam się od tak

dawna, że nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak mi jej brakuje.

- Jestem Eneas - powiedział. - Brat Toma.

- Eneas? - zapytałam. - Co ty tu robisz?

- Właściwie nie ma mnie tu - odparł. - Nie powinno mnie tu być i wkrótce nie będzie.

- Co masz na sobie?

- Jak to: co mam na sobie?

- Jesteś cały brudny - wyjaśniłam. - Szary jak popiół.

- Tak, na Boga. Byłem w Belfaście. Wracałem do Francji, rozumiesz. Jestem żołnierzem.

- Tak jak Jack.

- Tak jak Jack, tylko że on jest oficerem. Byłem w Belfaście, Roseanne, czekałem na okręt i nocowałem właśnie w małym hotelu, kiedy zawyło tych kilka żałosnych, nędznych syren, które tam mają, i po paru minutach nadleciały bombowce, całe ich dziesiątki, zaczęły rzucać bomby, tymczasem na niebie ani jednego obłoku dymu z dział przeciwlotniczych, ani jednego, a wszędzie wokół mnie eksplodowały domy i ulice. Jak się stamtąd wydostałem, nie wiem, biegłem jak szalony i na pewno krzyczałem, modliłem się żarliwie za mieszkańców miasta, a tych niebawem były na ulicach setki, wszyscy robili to samo co ja, ludzie w piżamach i golutcy jak dzieci, wszyscy biegli i krzyczeli, za miastem też się nie zatrzymaliśmy, tylko szliśmy przed siebie, a za nami nadlatywały falami samoloty, cały czas bombardując nas bezlitośnie, a po godzinie, może więcej, nie umiem powiedzieć, znalazłem się u podnóża wielkiej ciemnej góry, obejrzałem się i Belfast wyglądał jak jezioro ognia, płonął, płonął, płomienie wspinały się jak jakieś czerwone zwierzęta, tygrysy czy coś takiego, wysoko, wysoko w niebo, i ci, którym udało się uciec razem ze mną, także patrzyli na to i płakali, zewsząd słychać było jęki i zawodzenie. I przypomniał mi się fragment z Biblii, którą dawali nam podczas rejsów, bo często, wędrując po świecie, zaciągałem się na statki: *Jeśli się ktoś nie znalazł zapisany w księdze życia, został wrzucony do ognia...*<sup>11</sup>, i zadrzałem, zadrzałem na ten gniew Pana, tylko że to nie był Pan, ale ci Niemcy w górze, pod gwiazdami, którzy patrzyli na swoje dzieło i pewnie nadziwić się nie mogli, nadziwić się nie mogli, tak jak my.

Tu Eneas urwał. Znowu drżał. Był w kiepskim stanie. W oczach miał wciąż to jezioro ognia.

- Wejdz - powiedziałam - tylko na chwilę i odpocznij. - Czy był to instynkt

---

<sup>11</sup> Apokalipsa św. Jana, Pismo Święte. Wydawnictwo Pallottinum, Poznań-Warszawa 1988 r.

macierzyński, czy siostrzany, nie umiem powiedzieć. Ale nagle ogarnęła mnie ogromna fala czułości do niego. Pomyślałam: jest taki jak ja, tak jakby. Był wyrzutkiem w swoim świecie, w świątku Sligo. I nie mogę powiedzieć, żeby wyglądał na łajdaka. Nie mogę powiedzieć, żeby wyglądał na bezwzględного policjanta z tych wszystkich opowieści, nie żebym je wtedy znała. Naprawdę, jak mało o nim wiedziałam, jak rzadko wspominali o nim bracia, a jeśli już, to wzdychając ciężko i wymieniając znaczące spojrzenia.

- Nie, nie mogę - odpowiedział. - Nie znasz mnie. Gdybyś wiedziała, kim jestem, nie zaprosiłabyś mnie do swojego domu. Tylko ściągnę na ciebie kłopoty. Nie mówili ci, że ciąży na mnie wyrok śmierci? Nawet nie powinienem tu być, w Sligo. Uciekłem z Belfastu, szedłem przez Enniskillen i znalazłem się tu, tak jak gołąb, który wraca do domu i nic nie może na to poradzić.

- Wejdz - powtórzyłam - i nie martw się niczym. Jestem przecież twoją szwagierką. No, wejdz.

Więc wszedł. Przy każdym ruchu opadały z niego drobiny czarnego pyłu. Przebył tę całą drogę z Belfastu, naprawdę długą drogę, wracając do Sligo jak gołąb albo jak łoś od podążający do źródeł Garravoge. Wydał mi się najsmutniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

Kiedy wszedł do chaty, powiedziałam mu bez żadnych ceremonii, żeby zdjął mundur. Jednak najbardziej potrzebował wody, którą wypił łapczywie, jakby w jego wnętrznościach płonął ogień, wymagający ugaszenia. Miałam starą blaszaną wannę i po kilku kursach do studni napełniłam ją, gdy tymczasem na piecu grzała się woda w czajniku. Potem wlałam ją do wanny, zaledwie neutralizując lodowaty chłód wody ze studni, ale nic ponadto. Przez cały ten czas pokryty popiołem człowiek stał pośrodku chaty w swoich długich kalesonach, których czystość mnie zaskoczyła. Był dobrze zbudowanym, zgrabnym mężczyzną, nie miał żadnych okrągłości jak Tom, ani grama tłuszczu.

- Pójdę do spizarki i wezmę trochę sera na kanapkę - powiedziałam.

Zostawiłam go samego, ze względu na skromność, i słyszałam, że potknął się lekko, gdy zdejmował kalesony, a potem wszedł do wanny, żeby się umyć. Przypuszczam, że jako żołnierz przywykł do mycia w zimnej wodzie, taką przynajmniej miałam nadzieję. W każdym razie nawet nie syknął. Kiedy uznałam, że skończył, wróciłam do pokoju. Umył się starannie, bo wanna była pełna szarych mydlin, i stał na podłodze, zapinając guziki od kalesonów. Zobaczyłam wtedy, że włosy miał rudawe, mimo że były spalone niemal do skóry. Miał ogorzałą od słońca skórę, a dłonie szorstkie, o grubych palcach. Skinęłam głową, jakbym chciała zapytać: „Wszystko w porządku?”, a on odpowiedział tym samym, jakby potakiwał.

Podalam mu grubą pajdę chleba z serem, a on pochlonął ją tam, gdzie stał.

- Hm - powiedział z uśmiechem - dobrze jest mieć rodzinę.

I zaśmiał się.

- Wiem, co masz na myśli - odparłam.

Na dworze zapadał zmrok i znowu odezwała się moja stara przyjaciółka, sowa. Nie wiedziałam, co mam z nim teraz zrobić. Wydawało mi się, że znam go dobrze, przynajmniej jego ciało i twarz, bo oczywiście nie wiedziałam, jaki jest naprawdę. A jednak nie spotkałam dotąd równie delikatnego, dziwnego człowieka. Stał w zupełnym bezruchu jak jeleń w górach, gdy usłyszy trzask gałązki.

- Dziękuję ci - powiedział z największą prostotą i szczerością. Bardzo mnie ujęło, że ktoś mi dziękuje. Ujęło mnie, że ktoś zwraca się do mnie z szacunkiem i uprzejmością. Też stałam nieruchomo i patrzyłam na niego, wręcz osłupiała.

- Wyniosę twój mundur na dwór i wytrzępię - zaproponowałam - bo gdybym go wyprała, do jutra by nie wysechł.

- Nie - odparł - zostaw go. Nie powinienem go nosić w Wolnym Państwie. Włożę go w takim stanie, w jakim jest. Pojadę do Dublina i postaram się tam dołączyć do jednostki. Sierżant będzie się o mnie niepokoił.

- Na pewno - powiedziałam.

- Dobry ze mnie żołnierz, wiesz? - zapytał.

- Nie mam co do tego wątpliwości.

- Nie jestem z tych, co dezertują - dodał zupełnie niepotrzebnie. Nie wyglądał na takiego. - Wiesz - odezwał się po chwili - nie mam wobec ciebie żadnych zamiarów, to, że stoję przed tobą, obcą kobietą, tylko w kalesonach, nie znaczy, że... Znalazłem się w Strandhill, bo miałem kiedyś dziewczynę i oboje tu przychodziliśmy, na tańce oczywiście, nazywała się Viv, ale nagadali jej o mnie różnych rzeczy, rozumiesz, i już się z nią nie widuję. Chciałem tylko stanąć na plaży, tam gdzie kiedyś staliśmy, i popatrzeć na zatokę. No wiesz, tak po prostu. Viv była taką śliczną dziewczyną, naprawdę. I chcę ci powiedzieć, ale bez żadnych zamiarów, że ty też jesteś piękna, jak ona, jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem.

Hm, to były urocze słowa. I nie miał żadnych złych intencji, był tylko szczerzy. Nagle tak się zarumieniłam, chyba z dumy, jak nie rumieniłam się już dawno. Ten człowiek, choć tego nie wiedział, mówił jak mój ojciec, kiedy chciał powiedzieć coś ważnego. Miało to w sobie jakiś dawny urok, tak jak książka, ta, którą zachowałam i mam przy sobie, *Religio Medici* Thomasa Browne'a. Ale Thomas Browne żył w siedemnastym wieku, więc nie wiem,

skąd ten język u Eneasa McNulty'ego.

- Wiem, że jesteś zamężną kobietą - powiedział - więc wybacz mi, w dodatku jesteś żoną mojego brata.

- Nie - wyznałam, też w imię prawdy, zanim się nad tym zastanowiłam. - Nie jestem zamężna. A przynajmniej tak mi powiedziano.

- Tak? - zapytał.

- Uhm. Bo widzisz, na mnie też wydano wyrok śmierci.

Ja stałam tu, a on tam. Więc podeszłam do niego jak myszka, cicho, cichutko, żeby go nie wystraszyć, i ujęłam za jedną z tych stwardniałych rąk, i zaprowadziłam do pokoju z tyłu, gdzie lepiej było słycać sowę i lepiej widać Knocknareę, z mojego ubogiego posłania.

A potem leżeliśmy jak dwa kamienne posągi na wieku grobowca, tak szczęśliwi jak w każdym momencie dzieciństwa.

- Jack chyba mówił mi, że twój ojciec służył w marynarce handlowej - powiedział po jakimś czasie.

- A tak, owszem - odparłam.

- To tak jak ja... i Jack.

- Naprawdę?

- Tak. I mówił też, że twój ojciec należał do dawnej policji, to prawda?

- Jack tak powiedział? - zapytałam.

- Tak mi się zdaje. A interesowało mnie to oczywiście, bo sam w niej służyłem. Co w końcu dużo mnie kosztowało. Ale skąd mogliśmy to wiedzieć. My, chłopaki McNultych, lubimy mundury. Jack służy teraz w wojskach inżynieryjnych. Nawet młody Tom pojechał do Hiszpanii z tym Duffym, co?

- O'Duffym. Naprawdę? Nie wiedziałam.

- Słusznie, O'Duffym. Powiniennem pamiętać, bo później był szefem policji. Uhm, Tom wyjechał, tak przynajmniej słyszałem.

- I jak mu tam było?

- Jack powiedział, że po dwóch tygodniach wrócił. Nie podobało mu się, że Tom pojechał wspierać Franco. Oj nie. W każdym razie Tom wrócił. Był zawiedziony. Całkowicie zerwał z O'Duffym. Tkwili w okopach, gdzie szczury podgryzały im palce u stóp, a O'Duffy pojechał sobie dokądś, pewnie do Salamanki. Używał życia. A jakże.

- Biedny Tom - powiedziałam. - Taki piękny mundur i poszedł na marne.

- A owszem - odparł Eneas. - Więc twój ojciec nie był w policji? - zapytał niewinnie, gdy tak gawędziliśmy w blasku księżyca.

- To ma być rozmowa kochanków? - odparłam, nie chcąc urazić tak niewinnego człowieka. Zaśmiał się na to.

- Rozmowa irlandzkich kochanków - skwitował. - Tylko wojna, za kim jesteś i tak dalej.

Zaśmiał się ponownie.

- A kiedy to wszystko było, ten wyjazd do Hiszpanii i cała reszta? - zapytałam.

- Och, chyba w trzydziestym siódmym. Dawno temu, co? Tak mi się wydaje.

- Masz jakieś świeże wieści o Tomie?

- Och, wiem tylko, że kwitnie. Robi karierę i tak dalej, no wiesz.

Spojrzał na mnie, bo może się obawiał, że sprawia mi przykrość. Ale nie. Przyjemnie było mieć go przy sobie. Czułam ciepło jego nogi przy mojej nodze. Nie, nie przeszkadzał mi.

\*

Był u mnie lekarz. Nie podobała mu się wysypka na mojej twarzy, zauważył ją też na plecach. Prawdę mówiąc, czuję się trochę zmęczona i powiedziałam mu o tym. To dziwne, bo zwykle, gdy na dworze nastawała wiosna, nabierałam wigoru. Widziałam już w wyobraźni, jak w alejce kwitną zonkile, i pragnęłam wyjść, żeby je zobaczyć, ująć je na przywitanie w stare dłonie. Taka długa męka pod zimną, wilgotną ziemią, a potem ta cała krasa. Więc to dziwne i tak mu powiedziałam.

Stwierdził, że nie podoba mu się też, jak oddycham, a ja na to, że mnie się dość podoba, więc się zaśmiał i wyjaśnił:

- Nie, po prostu nie podobają mi się te dziwne szmery w piersi, chyba przepiszę pani antybiotyk.

A potem zdradził mi prawdziwą nowinę. Powiedział, że główna część szpitala została już opróżniona i że działają jeszcze tylko dwa skrzydła po mojej stronie. Zapytałam, czy starsze panie też zostały przeniesione gdzieś indziej, a on potwierdził. Powiedział, że to było straszne, z powodu odleżyn i bólu. Że mądrze z mojej strony, iż się ruszałam i nie dopuściłam, żeby zrobiły mi się odleżyny. Powiedziałam, że też je kiedyś miałam, gdy byłam w Sligo, i że to była przykra rzecz.

- Wiem - odparł.

- A czy doktor Grene wie o tych zmianach? - zagadnęłam.

- O tak - odpowiedział - zorganizował to wszystko.

- I co teraz stanie się z tym budynkiem?

- Zostanie w swoim czasie zburzony - wyjaśnił. - A panią oczywiście przeniesiemy do nowego, przyjemnego miejsca.



- Ach - odrzekłam.

Nagle się przeraziłam, bo pomyślałam o tych kartkach pod podłogą. Jak je schowam, jeśli mnie przeniosą? I gdzie przeniosą? Poczułam się jak w kipieli, jak ta szczelina w klifie, w głębi zatoki Sligo, kiedy przychodzi przypływ i woda przeciska się przez nią.

- Myślałem, że doktor Grene powiedział pani o tym wszystkim, bo w przeciwnym razie bym milczał. Niech się pani nie martwi.

- A co się stanie z drzewem tam, na dole, i z żonkilami?

- Słucham? - zapytał. - Och, nie wiem. Pani McNulty, poproszę doktora Grene'a, żeby wszystko pani wyjaśnił. To leży w zakresie jego kompetencji i obawiam się, że niechcący w nie wkroczyłem.

Byłam zbyt zmęczona, żeby znowu, chyba już z tysięczny raz w ciągu sześćdziesięciu lat i więcej, wyjaśniać, że nie jestem panią McNulty. Że nie jestem nikim, żadną „panią”, niczyją żoną. Tylko po prostu Roseanne Clear.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

### Z notatek doktora Grene'a

Katastrofa. Lekarz, doktor Wynn, który na moją prośbę odwiedził Roseanne, niechętny puścił farbę o likwidacji szpitala. To znaczy myślał, że o tym wiedziała, że ktoś ją poinformował. Jeśli tak było, zapomniała o tym. Powinienem być to przewidzieć i ją przygotować. Chociaż nie wiem, jak miałbym to zrobić, żeby nie wywołać podobnego efektu. Chyba najbardziej się martwi, że zostały zabrane starsze panie, te przykute do łóżek. Mam wrażenie, że w ogóle wszystkich nas przeniesiono szybciej, niżbyśmy chcieli, ale nowy budynek w Roscommon zostanie oddany do użytku lada dzień, a w gazecie już pisano, że będzie stał pusty. Na tej ostatniej prostej daliśmy więc z siebie wszystko. W szpitalu pozostali jeszcze tylko pensjonariusze z oddziału Roseanne i mężczyźni w skrzydle zachodnim. To przeważnie starzy dziwacy w czarnych szpitalnych piżamach. Oni też są bardzo przygnębieni perspektywą przeprowadzki, a wstrzymuje ją tylko to, że nie ma dokąd ich przenieść. Nie można ich wypędzić na drogę i powiedzieć: dobra, panowie, idźcie sobie. Otaczają mnie jak gawrony, gdy rozmawiam z nimi na dziedzińcu, gdzie spacerują sobie trochę i palą. Są wśród nich ci, którzy okazali się tacy pomocni tamtej nocy, gdy w szpitalu wybuchł pożar, wielu z nich wynosiło starsze panie na plecach, po tych długich schodach, zdumiewające, a potem jeszcze żartowali, że dawno nie wychodzili z dziewczyną, że miło było znowu zatańczyć fokstrota, i tak dalej w tym samym stylu. Z pewnością nie są chorzy umysłowo, przynajmniej większość z nich, to po prostu „niedobitki” systemu, kiedyś słyszałem, że tak o nich mówiono. Wiem, że jeden z nich walczył w Kongu w armii irlandzkiej. Zresztą sporo z nich to wojskowi. Brakuje nam takiego miejsca jak Dom Weteranów w Chelsea czy Szpital Inwalidów w Paryżu. Kto chciałby być starym żołnierzem w Irlandii?

Roseanne leżała spocona w łóżku, gdy do niej zajrzałem. To może być reakcja na antybiotyki, ale myślę, że raczej zwykły lęk. Możliwe, że to straszne miejsce w strasznym stanie, ale Roseanne jest człowiekiem jak reszta z nas i tu ma dom. Boże, miej ją w swojej opiece. Ze zdziwieniem zastałem u niej Johna Kane'a, z tym gulgocącym głosem jak u indyka, biedny człowiek, i chociaż miałem wobec niego pewne podejrzenia, wydawał się autentycznie zaniepokojony, mimo że stary z niego łobuz albo i gorzej.

Szczerze mówiąc, sam nie jestem optymistycznie nastawiony do tego wszystkiego, czuję się poganiany i przeganiany, ale jednocześnie to przecież dobra rzecz - otrzymać nowy budynek, bez zacieków od deszczu w niektórych pokojach i dziur w dachu, których nikt nie chciał naprawić, bo jak mi mówiono, przegniły już same belki stropowe. Tak, tak, to śmiertelna pułapka ten cały budynek, ale też skandalicznie ignorowano jego pogarszający się stan i nigdy nie przyznano żadnych funduszy na renowację, skazując to, co można było konserwować, na ruinę. I dla osób postronnych wygląda to jak ruina, przedsiemek piekła. Choć nie dla Roseanne.

Roseanne nie ożywiła się na mój widok, poprosiła tylko, żebym podszedł do stołu i podał jej książkę. Była to *Religio Medici*, ten stary wysłużony egzemplarz, który często u niej widywałem. Powiedziała, że była to ulubiona lektura jej ojca, zapytała, czy już mi o tym mówiła, a ja odpowiedziałem, że tak, chyba tak. Dodałem, że kiedyś pokazała mi nawet nazwisko ojca na wyklejce, owszem.

- Mam sto lat - oświadczyła wtedy - i chciałabym, żeby coś pan dla mnie zrobił.

- Co takiego? - zapytałem, zdumiony tym, że tak dzielnie opanowała panikę, jeśli to była panika, i że znowu mówi spokojnym głosem, nawet jeśli jej stara twarz obsypana jest tą cholerną wysypką. Wyglądała, jakby przeskakiwała przez ognisko i za bardzo pochyliła nad nim twarz.

- Chcę, żeby pan to oddał mojemu dziecku - powiedziała. - Synowi.

- Pani synowi? - zapytałem. - A gdzie jest pani syn, Roseanne?

- Nie wiem - odparła, jej oczy nagle się zachmurzyły, wręcz zamglily, ale potem jakby odzyskała jasność myślenia. - Nie wiem. W Nazarecie.

- Nazaret jest daleko - odpowiedziałem, żeby ją rozbawić.

- Doktorze Grene, zrobi pan to?

- Oczywiście, oczywiście - odrzekłem, całkowicie przekonany, że nie wywiążę się z tej obietnicy, nie będę w stanie, biorąc pod uwagę to, co wiedziałem z zeznania ojca Gaunta. A zresztą minęło tyle czasu. Jej syn chyba też byłby już starszym człowiekiem, gdyby żył. Mogłem ją o to zapytać, gdybym sam był szalony. Nie, to nie było pytanie, które można by zadać zręcznie, nawet profesjonalnie. Poza tym dotąd właściwie ani razu nie udzieliła mi odpowiedzi. Nie zdradziła nic, co mogłoby zmienić moją opinię o jej stanie psychicznym, mówiąc językiem medycznym.

Och, i nagle poczułem się zmęczony, tak zmęczony, jakbym miał tyle lat co ona albo i więcej. Zmęczony, bo nie mogłem jej przywrócić do „życia”. Nie mogłem. Nie mogłem przywrócić do życia nawet siebie.

- Zrobi pan to - powiedziała, patrząc na mnie uważnie. - W każdym razie mam taką nadzieję.

Dość niezgrabnie wzięła z moich rąk książkę, a potem włożyła ją w nie z powrotem i pokiwała głową, jakby chciała powiedzieć: postaraj się to zrobić.

## Relacja Roseanne

Nie czuję się najlepiej, kiepsko ze mną, ale nie mogę się poddać, bo dochodzę do części, którą muszę Ci opowiedzieć.

Drogi Czytelniku, Boże, doktorze Grene, kimkolwiek jesteś.

Kimkolwiek jesteś, ponownie ślubuję Ci moją miłość.

Będąc już aniołem. Żartuję.

Poruszając w niebie ciężkimi skrzydłami.

Może. Jak Ci się wydaje?

\*

Pamiętam straszny, deszczowy luty i najgorsze, najstraszniejsze dni w moim życiu.

Może byłam wtedy w siódmym miesiącu. Ale nie umiem powiedzieć na pewno.

Miałam taki brzuch, że nie mogłam już ukryć mojego „stanu” pod starym płaszczem, gdy chodziłam do sklepu w Strandhill, mimo że starałam się to robić w powszednie dni o zmroku, a pod tym względem zima była błogosławieństwem, bo zmrok zapadał już o czwartej.

Kiedy patrzyłam na siebie w lustrze na drzwiach szafy, widziałam bladą jak zjawa kobietę o dziwnie pociągłej twarzy, jakby pod wpływem ciężaru brzucha wydłużało się całe moje ciało, tak że przypominałam topniejący posąg. Pępek wystawał mi niczym nos, a włosy łonowe urosły tak, że były dwa razy dłuższe niż zwykle.

Miałam coś w sobie, tak jak rzeka ma coś w sobie, kiedy płynie nią losoś. Gdyby w biednej Garravoge były jeszcze lososie. Czasami rozmawiano w sklepie o tym, jak zamula się z powodu wojny, bo nabrzeże i zatoka u ujścia rzeki w miasteczku były zamknięte do odwołania i pogłębiarki nie usuwały mułu i piasku. Mówiono o okrętach podwodnych w zatoce Sligo i niedoborach na rynku, braku herbaty i dziwnej obfitości takich produktów jak sodka Beechama. Mogliby również wspomnieć o braku litości. Na drogach było mniej samochodów i wieczorami w okolicach mojej chaty panowała cisza, chociaż ludzie nie zrezygnowali z tańców i udawali się na nie rowerami, pieszo, dwukółkami. Ktoś w Sligo

kupił omnibus, który brnął przez piach ze spragnionymi zabawy pasażerami jak pojazd nie z tej epoki. W Plazie zgaszono nieliczne światła na zewnątrz budynku, bo mogłyby ściągnąć przelatujące niemieckie samoloty, takie jak te, które widziałam, gdy wracały ze swojej misji w Belfaście, ale tancerzom zagrażał tylko czas.

Byłam jedynie obserwatorką tego, co się działo. Ciekawa jestem, jaką wtedy miałam opinię, kobieta z chaty krytej blachą falistą, kobieta upadła, wiedźma, ktoś, kto „przekroczył granicę”. Jakby na granicy ich świata był wodospad, w który kobieta mogła spaść, niewidzialna Niagara codziennego życia. Wielka ściana kipiącej wody z unoszącą się nad nią mgłą.

Pewnego dnia minęłam miłą kobietę w płaszczu z gronostajowym kołnierzem, która spojrzała na mnie uważnie. Musiała być zamożna, miała czarne, błyszczące buty i ciemne włosy, których ułożenie wymagało wielu godzin u fryzjera. Po drugiej stronie drogi stał stary dom otoczony wysokim murem i tam właśnie zmierzała, a skądś dochodziły dźwięki zabawy, z gramofonu płynęła piosenka, którą śpiewała kiedyś Greta Garbo. Pomyślałam, że znam tę kobietę, więc zatrzymałam się na ulicy wbrew moim zwyczajom, mimowolnie, jak za dawnych czasów. Ku swojemu wielkiemu zdziwieniu, spojrzawszy za furtkę, zobaczyłam Jacka McNulty’ego, jak zwykle w pięknym płaszczu, ale - muszę powiedzieć - z wynędzniałą, udręczoną twarzą. A może wszystko wtedy mi się takie wydawało. Dlatego pomyślałam, że była to ta sławna Mai, bogata dziewczyna z Galway, z którą się ożenił. Uznałam, że chyba tak. Była więc moją szwagierką, to znaczy byłaby.

Nagle wydała mi się zaniepokojona i rozdrażniona. Na pewno stanowiłam przykry widok, w tym moim okropnym płaszczu, który nigdy nie wyglądał nadzwyczajnie, i brązowych butach, które zamieniły się w chodaki, bo nie miałam do nich sznurowadeł, a potrzebne były cienkie, długie, którymi taki sklep jak Strandhill nie handlował, czym zresztą się szczycił. Tak, być może widać było, że nie mam pończoch, co stanowiło zbrodnię, wiem, no i ten wydatny brzuch pod płaszczem...

- Spaliliśmy za sobą mosty, prawda? - rzuciła i nic więcej nie powiedziała. Wkroczyła za furtkę. Patrzyłam za nią, zdziwiona jej słowami, ale też nie bardzo wiedząc, jaki miały wydźwięk: okrutny, rozpaczliwy, rzeczowy? Nie mogłam się zorientować. Para weszła razem do domu, bez oglądania się, żeby Mai nie zamieniła się w słup soli, co pewnie mogłoby się stać, gdyby ponownie spojrzała na Sodomę.

\*

Pogoda się pogarszała i ja czułam się coraz gorzej. Nie były to już tylko poranne nudności, wychodzenie za dom w trawę i wrzosa, żeby wymiotować na świeżym powietrzu.

Było to coś innego, coś, co jakby wrzało w moich nogach, powodowało ból brzucha. Stałam się taka ociężała, że z coraz większym trudem wstawałam z krzesła, bałam się, że utknę w tej chacie, zdana wyłącznie na siebie, a najbardziej martwiłam się o dziecko. Czasami widziałam pod skórą łokietki i kolanka, a kto chciałby narażać na niebezpieczeństwo taką istotkę? Nie wiedziałam, w którym jestem miesiącu, przerażała mnie myśl, że zacznę rodzić, z dala od kogokolwiek, kto mógłby mi pomóc. Żałowałam stale, że nie porozmawiałam z Mai ani nie przywołałam Jacka, nie wiem zresztą, dlaczego tego nie zrobiłam, może dlatego, że widzieli, w jakim jestem stanie, a i tak nie pomyśleli, żeby mi pomóc. Wiedziałam, że dzikie kobiety na równinach Ameryki chodzą w zarośla i samodzielnie rodzą tam dzieci, ale Strandhill to nie Ameryka, poza tym nie chciałam ważyć się na tak desperacki, tak ryzykowny krok. Nauczyłam się nie wchodzić ludziom w oczy i jakoś sobie radzić, będąc zdana na siebie, ale to byłoby już przesadą. Modliłam się do Boga, żeby przyszedł mi z pomocą, tysiące razy odmawiałam *Ojcze nasz*, jeśli nie na kolanach, to - z konieczności - na krześle. Wiedziałam, że coś muszę zrobić, nie dla siebie, bo nie miałam złudzeń, że mogę liczyć na pomoc i współczucie, ale dla dziecka.

I któregoś dnia w lutym wyruszyłam w drogę do Sligo. Wcześniej poświęciłam godzinę czy dwie na mycie. Poprzedniego wieczoru wyprałam sukienkę i rozwiesiłam ją przy dogasającym ogniu, żeby wyschła przez noc. Była jeszcze trochę wilgotna, gdy ją wkładałam. Stałam przed lustrem i raz po raz przeczesywałam palcami włosy, bo nie mogłam znaleźć szczotki. Zostały mi jeszcze resztki czerwonej szminki, ostatnia smużka na usta. Żałowałam, że nie mam odrobiny pudru, mogłam tylko zeskrobać trochę tynku ze ściany, w miejscu, gdzie był komin z litego kamienia, pokruszyć go w dłoniach i próbować rozsmarować w miarę równomiernie na twarzy. Wybierałam się do samego miasteczka i chciałam wyglądać godnie, przynajmniej trochę. Pracowałam nad sobą jak Michał Anioł nad sklepieniem Kaplicy Sykstyńskiej. Nic nie mogłam zrobić z płaszczem, ale oderwałam kawałek prześcieradła z łóżka i owinęłam go wokół szyi jak szalik. Nie miałam kapelusza, jednak wiał tak silny wiatr, że i tak by mi go zerwał. A potem wyszłam, powędrowałam dalej na wzgórze niż kiedykolwiek w ostatnich czasach, minęłam przybytek Kościoła irlandzkiego na rogu i wkroczyłam na drogę w Strandhill. Wydała mi się długa i nie do przebycia, więc pożałowałam, że nie mogę przewieźć się pod brzuchem jednego z tych niemieckich samolotów, które widziałam. Po prawej stronie wznosiła się góra i nie mogłam się nadziwić, że kiedyś weszłam na nią tak łatwo. Miałam wrażenie, jakby od tego czasu minęło sto lat.

Nie wiem, ile godzin zajęła mi ta wędrówka, ale szłam długo, z wielkim wysiłkiem. Złe samopoczucie jednak mnie opuściło, jakby nie było na nie miejsca w tej rozpaczliwej

sytuacji. Poczułam przyływ optymizmu i otuchy, jakby moja misja mogła zakończyć się powodzeniem. Mówiłam sobie: ona mi pomoże, oczywiście, że mi pomoże, też jest kobietą, a przecież byłam żoną jej syna. To znaczy byłabym nią, gdyby małżeństwo nie zostało unieważnione w Rzymie. Myślałam: może przed laty, kiedy pojawiłam się w jej domu, odnosiła się do mnie chłodno, ale na pewno pokona niechęć, przecież zna życie - i tak dalej.

Tak myślałam w kółko, gdy wlokłam się, kilometr za kilometrem, na rozstawionych ze względu na brzuch nogach, co pewnie za ładnie nie wyglądało, i usiłowałam przekonać samą siebie, że nie może być inaczej.

## Z notatek doktora Grene'a

Znamy już datę rozbiórki i jakby tego jeszcze brakowało, nie tak odległą. Muszę to sobie stale przypominać. Jakoś trudno mi sobie wyobrazić ten koniec, choć w całym szpitalu stoją pudła gotowe do przeprowadzki, codziennie przyjeżdżają po nie ciężarówki i vany, korespondencja i karty pacjentów zostały oddane do depozytu, przenosi się dziesiątki pensjonariuszy, nagle, ni stąd, ni zowąd, w najdziwniejszy sposób, znalazło się miejsce nawet dla moich biednych pacjentów w czarnych piżamach, a niektórzy z nich na próbę zostaną umieszczeni wśród - omal nie napisałem „wśród żyjących”. „Mieszkania dla osób wymagających częściowej opieki, starszych lub niepełnosprawnych” - tak to brzmi oficjalnie, choć raz przyzwoite, ludzkie określenie. Przynajmniej w mojej ocenie. Wąska grupa, która zostanie, będzie przeniesiona do nowego budynku. Och, jakżebym pragnął wreszcie rozstrzygnąć sprawę Roseanne.

Miły list od Percy'ego Quinna ze Sligo, który pisze, żebym przyjechał, kiedy tylko zechcę. Muszę więc to wreszcie zrobić. Odpowiedział w tonie tak sympatycznym, że zapytałem go, czy wie, gdzie w Sligo przechowywane są archiwa Irlandzkiej Policji Królewskiej, i poprosiłem, żeby - jeśli się dowie - był tak miły i odszukał akta Josepha Cleara. Okres wojny domowej był tak burzliwy, tak niszczycielski, że nie mam nawet pojęcia, czy takie tajemnice w ogóle przetrwały, a jeśli tak, to czy ktoś zadał sobie trud, żeby je zabezpieczyć. Wojska Wolnego Państwa, które siłą próbowały wypędzić przeciwników z Four Courts w Dublinie, spaliły do cna wszystkie archiwa cywilne, świadectwa urodzin, zgonów, ślubów i inne bezcenne dokumenty, niszcząc w ten sposób historię tego samego narodu, któremu chcieli przywrócić życie, puszczając z dymem wszelkie pamiątki. Używając do tego celu broni, ofiarowanej albo pożyczonej, jeśli dobrze pamiętam, przez odchodzących

Brytyjczyków, którzy niewątpliwie próbowali wspomóc nowy rząd, z tą swoją ujmującą wielkodusznością, stanowiącą przeciwieństwo towarzyszącej jej krwiożerczości. Nie żebym mówił coś o tym Percy'emu. Odpisując na jego list, przypomniałem sobie nagle, że był na tej fatalnej konferencji w Bundoran, ale oczywiście nic o tym nie wspomniał, a ja oczywiście do tego nie nawiązywałem.

Wczoraj po południu, gdy zmęczony wróciłem wcześniej do domu, poszedłem do pokoju Bet bez strachu, tak mi się przynajmniej wydawało. Myślę, że etap samooskarżeń i poczucia winy mam już za sobą. W końcu, cokolwiek by mówić, zostałem sam i nasza historia się skończyła. Położyłem się na łóżku Bet, żeby znaleźć się bliżej niej. Wyczułem lekki zapach jej perfum, Eau de Rochas, których szukałem w sklepach bezcłowych na lotnisku, gdy jeszcze takie były. Zrobiło mi się dziwnie, ale nie było to uczucie nieszczęścia. Prosiłem ją, żeby się zjawiała, w ramach dziwnego, przewrotnego pocieszenia.

I po kilku minutach odniosłem wrażenie, że jestem nią, leżę jako ona na łóżku, podczas gdy ja jako ja, ten prawdziwy, przebywam na dole, w starej sypialni, i zacząłem się zastanawiać, co sędzę o sobie. Niekochający mężczyzna, który nie dorósł, zdradził? Ktoś dziwnie niezbędny, mimo podłogi i sufitu pomiędzy? Nie miałem pojęcia. Nawet jako Bet nie znałem Bet. Ale choć przez kilka minut miałem w sobie część jej siły, jej subtelności, jej prawości. Co za wspaniałe uczucie.

Mój wzrok padł na jej kolekcję książek o różach, wziąłem jedną z nich i zacząłem czytać. Muszę powiedzieć, że była bardzo ciekawa, nawet pełna poezji. Potem wstałem, ująłem wszystkie książki z obu stron i uniosłem razem, a następnie obróciłem, żeby znieść je na dół, jak łup, jak coś skradzionego. Położyłem się do własnego łóżka i czytałem dalej, długo w noc. Czuję się, jakbym czytał list od niej albo miał możliwość zagłębienia się w temat, który prawdopodobnie wyściełał jej głowę jak tapeta. Pierwsza była *Rosa Gallica*, zwykła mała róża, jak te, które widuje się wykute na średniowiecznych budowlach, o nazwie *Rosa Mundi*. Ostatnie to wielkie róże herbaciane, które wyglądają w ogrodach jak pupy tancerek w majtkach z falbankami. Kim jesteśmy, że przez wieki doprowadziliśmy do czegoś takiego zwykły kwiat, tak jak zamieniliśmy te nędzne, żywiące się padliną i resztkami zwierzęta, które kręciły się przed wiekami wokół naszych ognisk obozowych, w charty rosyjskie i pudle. Nigdy nam nie wystarcza rzecz sama w sobie, ta pierwotna, musimy ją ulepszać, doskonalić, poetyzować. Chyba po to, *by zrekompensować krótkość naszego życia*, jak pisał Thomas Browne w tej książce, którą Roseanne przekazała mi dla syna. W pewnym sensie rozbiłem namiot między *Religio Medici* i *Różami* Królewskiego Towarzystwa Ogrodniczego. I to, że Bet chciała i czuła potrzebę, żeby wiedzieć to wszystko o różach,



przepeliło mnie nagle szczęściem i dumą. I o dziwo, to uczucie nie ustąpiło żalowi ani poczuciu winy. Nie, otwierało pokój po pokoju, różę po róży, do dalszego szczęścia. Był to nie tylko najlepszy dla mnie dzień od jej śmierci, ale też jeden z najlepszych dni w całym moim życiu. Miałem wrażenie, że wyciągnęła do mnie rękę i zesłała mi z nieba kawałek siebie samej. Byłem jej cholernie wdzięczny.

Och, zapomniałem powiedzieć (ale komu w ogóle to mówię?), że gdy ostrożnie odkładałem książkę Roseanne, żeby skupić się na księgach Bet, wysunął się z niej list. Był to bardzo dziwny list, dziwny dlatego, że koperta sprawiała wrażenie nieotwartej, chyba że zakleiła się powtórnie na skutek wilgoci w pokoju szpitalnym. Poza tym na znaczku widniał stempel z maja 1987 roku, czyli sprzed dwudziestu lat. Nie wiedziałem więc, co mam o tym myśleć ani co zrobić. Ojciec zawsze mnie uczył, że prywatna korespondencja to świętość i otwarcie czyjegoś listu jest nie tylko przestępstwem, bo chyba jest nim faktycznie, ale także oznaką poważnej degrengolady moralnej. Obawiam się, że odczuwam silną pokusę, aby ulec takiej degrengoladzie. A może jednak powinienem list zwrócić. Albo spalić? Nie, co to, to nie. Albo zostawić w spokoju?

## Relacja Roseanne

Obrzeża miasteczka przyjęły mnie chłodno. Chyba wyglądałam jak jakaś straszna dzikuska, którą przywiał z moczarów. Dziewczynka siedząca z lalką w oknie domu, zamknięta w czterech ścianach z powodu burzy, pomachała do mnie z litością, na którą stać tylko małe dziewczynki. Cieszyłam się, że nie muszę wchodzić do samego miasteczka. Każdy krok po twardym chodniku powodował wstrząs dla mojego brzucha, ale dzielnie szłam dalej. I wreszcie znalazłam się przy furtce domu pani McNulty.

Ogród Starego Toma stanowił akr czystego piękna w zarodku. Widziałam wszystkie te grządki z dobrze przygotowanymi roślinkami, kwiatami próbującymi zakwitnąć, tyczki bambusowe podpierające je wszystkie w ochronie przed wiatrem. Za kilka tygodni miała nastąpić tu prawdziwa eksplozja. W górnym rogu zajęty był kopaniem niepozornie wyglądający człowiek, możliwe, że Stary Tom. Kopał, nie zważając na porywy wiatru i zacinający deszcz ze śniegiem, w obszernym płaszczu i poważnej zydwestce. Myślałam o tym, żeby do niego podejść, ale nie wiedziałam, czy nie jest moim wrogiem. Jednakże sądząc po ponurym spojrzeniu Jacka wtedy przy bramie naprzeciwko mojej chaty, oni wszyscy byli moimi wrogami. Postanowiłam nie zbliżać się do niego.

I spróbować szczęścia za drzwiami. Naprawdę pamiętam, że w tym momencie mięśnie mojego brzucha były napięte jak lina, na której artyści cyrkowi wykonują swoje popisy.

Chyba byłam przemoczona i ubłocona, chyba tak. Wszystkie moje wysiłki, żeby jakoś wyglądać, zostały zniweczone przez wędrówkę w deszczu. Nie miałam lusterka, żeby sprawdzić, jak wyglądam, były tylko okna po obu stronach drzwi, i kiedy w nie spojrzałam, zobaczyłam upiora z dziwacznie potarganymi włosami. Wiedziałam, że to mi nie pomoże. Ale co miałam zrobić? Wrócić tą samą drogą, w milczeniu, pokonana? Bałam się, bałam się tego domu, ale jeszcze bardziej przerażała mnie myśl, co będzie, jeśli nie nacisnę dzwonka.

Pisząc to, siedzę tu stara i wysuszona, z kruchymi kośćmi. Ale wcale nie mam wrażenia, że to było dawno temu, że to już historia, sprawa skończona. Nie, wszystko jeszcze przede mną. To tak jak u bram świętego Piotra, gdy człowiek puka do nich, prosząc, żeby go wpuszczono, lecz wie w głębi serca, że za dużo ma grzechów na sumieniu, za dużo grzechów. Ale może okaza mu litość!

Nacisnęłam gruby dzwonek z bakelitu. Nie wydał żadnego dźwięku, ale gdy go puściłam, usłyszałam drażniący terkot w przedpokoju. I przez długi czas nic. Słyszałam własny nerwowy oddech na ganku. Wydawało mi się, że słyszę bicie swojego serca. Wydawało mi się, że słyszę bicie serca mojego dziecka, które mnie wspiera. Nacisnęłam dzwonek jeszcze raz. Jakbym była kimś innym, chłopakiem od rzeźnika, komiwojażerem, a nie tą ociężałą, żalostną istotą o urywanym oddechu. Wyobraziłam sobie drobną postać pani McNulty, z tą jej schludnością, twarzą białą jak kwiaty lunarii, zaraz potem usłyszałam szuranie nóg po drugiej stronie, drzwi się otworzyły i zobaczyłam ją w szparze.

Przyjrzała mi się. Nie wiem, czy od razu mnie poznała. Mogła wziąć mnie za żebraczkę, Cygankę albo uciekinierkę z domu wariatów, w którym pracowała. I rzeczywiście byłam w pewnym sensie żebraczką, przyszłam żebrać u drugiej kobiety o zrozumienie. Opuszczona, opuszczona - to słowo dzwoniło mi w głowie.

- Czego chcesz? - zapytała oczywiście, bo w końcu chyba mnie rozpoznała, nieodpowiednią kobietę, którą jej syn poślubił i której nie poślubił. Przypuszczam, że przed laty intrygowała przeciwko mnie, ale teraz o to nie dbałam. Nie wiedziałam, w którym miesiącu ciąży jestem. Bałam się nawet, że zacznę rodzić na progu jej domu. Może tak byłoby lepiej dla dziecka.

Nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Nie znałam nikogo, kto byłby w takiej sytuacji jak ja. Zresztą nie wiedziałam, jaka jest moja sytuacja. Potrzebowałam - rozpaczliwie potrzebowałam kogoś, kto by...

- Czego chcesz? - zapytała ponownie, jakby zamierzała zamknąć drzwi, jeśli się nie

odezwę.

- Mam kłopot - powiedziałam.

- Widzę, dziecko - odparła.

Próbowałam spojrzeć jej w oczy. Dziecko. Tu, na ganku, to słowo zabrzmiało wręcz pięknie.

- Mam straszny kłopot - powtórzyłam.

- Nic cię już z nami nie łączy - odparła. - Nic.

- Wiem - odpowiedziałam. - Ale nie mam nikogo innego, do kogo mogłabym pójść.

Nikogo.

- Nic i nikogo - powtórzyła.

- Pani McNulty, błagam panią o pomoc.

- Nic nie mogę zrobić. Co miałabym dla ciebie zrobić? Przerażasz mnie.

To mnie nagle otrzeźwiło. Czegoś takiego nie brałam pod uwagę. Przerażałam ją.

- Niepotrzebnie, pani McNulty. Potrzebuję pomocy. Jestem, jestem...

Próbowałam powiedzieć, że jestem w ciąży, ale to słowo nie mogło mi przejść przez gardło. Gdybym je wypowiedziała, w jej uszach zabrzmiałyby jak „dziwka”, „ prostytutka”. Miałyby takie samo znaczenie. Wydawało mi się, że mam w ustach drewno, całkowicie wypełniające moje gardło. Nagle na ścieżce za mną powiał silny wiatr, jakby chciał wepchnąć mnie przez drzwi. Chyba pomyślała, że próbuję wdrzeć się do środka. A ja tymczasem poczułam się tak słabo, jakbym za chwilę miała się przewrócić.

- Wiem, że też miała pani w przeszłości problemy - powiedziałam, desperacko usiłując sobie przypomnieć, co takiego Jack powiedział mi w Plazie. Ale czy coś w ogóle mówił? Cokolwiek masz powiedzieć, lepiej milcz. - „Ona wiele przeszła”, tak się wyraził. Dawno to było?

- Nie waż się! - wykrzyknęła. Zaraz potem zawoła: - Tom!

A później wyszeptała, bezbronna jak zraniony ptak:

- Co ci powiedział, co Jack ci powiedział?

- Nic. Tylko że wiele pani przeszła.

- Wstrętne plotki - syknęła. - I nic więcej.

Nie wiem, jak Stary Tom ją usłyszał, może był wyczulony na jej głos, w każdym razie chwilę później wyszedł z domu w płaszczu i kapeluszu, tak że wyglądał jak podtopiony żeglarz.

- Jezus Maria! Józefie święty - powiedział. - Roseanne.

- Zabierz ją stąd - poleciła pani McNulty.

- Chodź, Roseanne - odezwał się Stary Tom - chodź, chodź za furtkę.

Zrobiłam posłusznie, co mi kazał. Mówił życzliwym tonem. Kiwał głową, prowadząc mnie z powrotem.

- Chodź, chodź - powtarzał jak do cielęcia, które znalazło się po złej stronie pola. - Chodź.

Znowu znalazłam się na chodniku. Powiał wiatr, przenikliwie, ze świstem, jakby ulicą śmignęła brygada niewidzialnych ciężarówek.

- Chodź - mówił Stary Tom.

- Dokąd? - zapytałam z desperacją.

- Wracaj - powiedział. - Wracaj.

- Potrzebuję pomocy.

- Nikt ci nie pomoże.

- Niech pan poprosi Toma, żeby mi pomógł, błagam.

- Tom ci nie pomoże, dziewczyno. Tom się żeni. Wiesz o tym? Tom nie może ci pomóc.

Żeni się? Mój Boże.

- To co ja zrobię?

- Wracaj, skąd przyszedłaś - powiedział. - Wracaj.

\*

Wróciłam na drogę, nie dlatego, że mi tak kazał, ale dlatego, że nie miałam innego wyjścia.

Myślałam: jeśli tylko zdołam dojść do domu, wysuszę się i odpocznę, a potem wymyślę nowy plan. Żeby tylko schronić się przed deszczem i wiatrem, móc się zastanowić.

Tom żeni się drugi raz. Nie, nie drugi raz, pierwszy.

Gdybym miała go przed sobą, mogłabym go zabić czymkolwiek, co tylko znalazłabym pod ręką. Wyrwałabym kamień ze ściany, sztachetę z płotu i tłukłabym go, aż bym go zabiła.

Za to, że z miłości ściągnął na mnie takie straszne niebezpieczeństwo.

Wydaje mi się, że nie szłam, tylko się włókłam. Dziewczynka, którą minęłam wcześniej, wciąż siedziała w oknie, wciąż z lalką, i wciąż czekała na koniec burzy, żeby wyjść na podwórko i się pobawić. Tym razem, nie wiem dlaczego, nie pomachała do mnie.

Mówią, że pochodzimy od małp, i może właśnie tkwiące w nas zwierzę rozumie lepiej to, z czego my sami prawie nie zdajemy sobie sprawy. Coś zaczęło się we mnie budzić, działać, jakiś zegar albo silnik, i instynkt nakazał mi przyspieszyć kroku, przyspieszyć kroku,

żeby znaleźć spokój i schronienie, gdzie mogłabym zrozumieć ten mechanizm. Miało to w sobie coś naglącego, jakiś zapach i dziwny dźwięk, który dobył się ze mnie i został uniesiony przez wiatr. Byłam już na asfaltowej drodze do Strandhill, wśród zielonych pól i kamiennych murków, deszcz w widoczny sposób siekł powierzchnię drogi i odbijał się od niej z pewnym gniewem. Czułam się tak, jakbym miała w brzuchu muzykę, wyraźną, porywającą, rytmiczną melodię, *Black Bottom Stomp*, na granicy improwizacji, z pianistą, którego ponosi przy klawiaturze.

Droga łagodnie skręciła i widać już było w dole zatokę. Do kogo mogłam zwrócić się o pomoc? Do nikogo. Gdzie podział się świat? Jak to się stało, że żyłam w bezludnym świecie? Jak to się stało, że mieszkańcy tych nielicznych domów przy drodze nie przyszli do mnie, nie zabrali pod swój dach, nie wzięli w objęcia? Ogarnęła mnie wściekłość: tak mało liczyłam się w świecie, że nikt nie chciał mi pomóc, ksiądz, jakaś kobieta i jakiś mężczyzna wydali werdykt, że nie wolno mi pomagać, że trzeba zostawić mnie na pastwę losu, jakbym była zwierzęciem na dwóch nogach, zupełnie opuszczonym przez wszystkich.

Może właśnie wtedy jakaś część mnie oddzieliła się od reszty, coś uleciało z mojego rozumu, sama nie wiem.

Ucieczka. Człowiek w rozpaczliwym położeniu szuka ucieczki. Myślałam: zostawiłam żar pod popiołem i wystarczy, żebym tylko go wrzuciła, dorzuciła torfu, i rozpali się całkiem przyzwoity ogień. Zdejmę mój stary płaszcz i sukienkę, zrzucę buty i wysuszę się wreszcie w ciepłym pokoju, uśmiechnięta, zwycięska, pokonawszy zawieruchę i nieprzyjaznych ludzi. Mam w garnku mięso duszone z jarzynami i zjem je, a gdy już będę sucha i najedzona, położę się do łóżka i będę w nim leżeć, patrzeć na Knocknareę, biedną starą królową Maeve w jej kamiennym łożu, smaganą najgorszym deszczem tam w górze, i oglądać swój brzuch, tak jak lubię, łokietki i kolanka, pojawiające się i znikające, gdy dziecko poruszy się i przeciągnie. Od upragnionego azylu dzieliło mnie jeszcze z dziewięć kilometrów drogi. Zorientowałam się po ukształtowaniu terenu, że gdybym dostała się na plażę, tak jak samochody podczas odpływu, mogłabym zaoszczędzić ze trzy kilometry. W całym tym swoim przygnębieniu zauważyłam, że odpływ osiągnął najniższy punkt, choć trudno to było dostrzec w strugach deszczu. Zeszłam więc z głównej drogi po spadzistym stoku, nie zważając zbyt na kamienie, zadowolona, że skrócę sobie marsz, ze zdrętwiałymi z zimna stopami i nogami, w których chyba już nawet nie czułam bólu. Cały mój ból skupiał się w brzuchu, związany był z dzieckiem, i pełna niepokoju, chciałam jak najszybciej dotrzeć do domu.

Niegdyś piękna, ale to już przeszłość.

Na dole, na piasku, było jak na tańcach, jakby Plaża rozciągnęła się i objęła zatokę Sligo. Deszcz przypominał szerokie spódnice, które wirują i unoszą się, z nogami jak filary, uderzającymi o podłogę, całą plażę i morze między Strandhill a Rosses zamazywały miliony szarych, szarych smug, jak pociągnięcia pędzla. Pomyślałam, że zejście na plażę to nie był najrozsądniejszy pomysł albo miałam pecha i pogoda się jeszcze pogorszyła, bo sztorm najwyraźniej przybierał na sile, ryczący wiatr szarpał mną i moim brzuchem, istotką z kolankami i łokietkami.

Zaczęłam brodzić w płytkiej wodzie i zorientowałam się, że zabłądziłam. Piach, po którym jeździły samochody w drodze na tańce, znajdował się wyżej i w sobotnie letnie wieczory przeważnie był suchy. Bałam się, że idę ku ujściu Garravoge, co byłoby niewyobrażalną katastrofą, ale nie wiedziałam, w którą stronę mam się skierować. Gdzie jest góra, gdzie wznosi się ląd? Gdzie leży Strandhill, a gdzie Coney?

Nagle przede mną zamajaczył potwór - nie, to nie był potwór, tylko stożek z ociosanego kamienia, jeden z szeregu, które tworzyły linię wyznaczającą drogę na wyspę, wzdłuż najlepszej plaży, ostatniego jej odcinka zalewanego podczas przyływu. A przyływ właśnie się zaczął, wiedziałam to, bo słyszałam, pośród ryku burzy, odgłos zbliżającego się morza, które już się spieszyło, żeby objąć we władanie puste przestrzenie. Doszłam jednak do kamiennego stożka i wsparłam się na nim przez chwilę, próbując się uspokoić, choć odrobinę pokrzepiona tym, że go znalazłam. Dopóki się nie odwróciłam, myślałam, że rzeka jest po mojej prawej stronie, a Strandhill gdzieś po lewej. Na czubku stożka zobaczyłam bowiem zardzewiałą metalową strzałkę, która wskazywała wyspę.

Nieustraszony Metalowy Człowiek stał wśród burzy na skale, wskazując głębokie wody, wskazując i wskazując. Nie miał czasu pomagać takim jak ja.

Wiedziałam, że muszę iść, bo jeśli zostanę tam, gdzie się zatrzymałam, dosięgnie mnie przyływ, woda przykryje piasek u moich stóp i powoli, powoli zatopi kamienny stożek. Bałam się zawrócić w stronę brzegu, gdzie mógł podnieść się poziom wody. Przyływ zalewał większość stożków i nie byłam tam bezpieczna. Miejsce to miało się wkrótce stać królestwem podwodnych prądów i ryb. Zwróciłam się plecami do stożka i zgodnie z tym, co wskazywała strzałka, ruszyłam w burzę, modląc się, żebym utrzymała wskazany przez ten kompas kurs i dotarła do Coney.

Nagle przez zawieruchę przedarł się gniewnie snop niebieskiego światła, przypominający kawałek szalonego tortu, i w oddali zarysował się wielki dziób Ben Bulben, który wyglądał jak pływający prosto na mnie liniowiec. Nie, nie, był całe mile ode mnie. Ale wznosił się tam, gdzie przypuszczałam, i mogłam dotrzeć do następnego stożka. Och, z

wdzięcznością pomyślałam o Metalowym Człowieku. Widziałam już przed sobą zarys Coney, słabo widoczny, ale wystarczająco. Ruszyłam w stronę wyspy. Gdy minęłam kolejny stożek, poczułam, że chlusta ze mnie coś, co ciepłą falą obmyło mi nogi. Po kolejnych bolesnych stu krokach dotarłam do pierwszych skał i czarnych wodorostów i zaczęłam wspinać się stromą ścieżką. Nie wiem, co bym zrobiła bez tej chwili wytechnienia podczas burzy, chyba bym utonęła we wracającym pospiesznie morzu. Ponieważ chwilę później znalazłam się znowu w środku sztormu, jak w pomieszczeniu, w którym zapanowało kompletne szaleństwo, pomiędzy ścianami wody, pod sklepieniem z huczącego ognia, i dysząc ciężko, półżywa, spoczęłam na legowisku z kamieni.

\*

Obudziłam się. Sztorm wciąż szalał wokół. Ledwie wiedziałam, kim jestem. Pamiętam, że nie byłam w stanie nawet ubrać swoich myśli w słowa. W tym śnie, czy w jakimkolwiek byłam wówczas stanie, podciągnęłam się i oparłam plecami o omszałą skałę, nie mam pojęcia dlaczego. Sztorm szalał, deszcz siekł wielkimi strugami. Leżałam nieruchomo i przyszła mi do głowy szalona myśl, że nie żyję. Ale daleko mi było do tego. Co jakiś czas, nie mogłabym powiedzieć, czy co kilka minut, czy godzin, coś mnie chwyciło, jakby ścisnęło od czubka głowy po palce u stóp. Było to tak bolesne, że wykraczało poza ból, nie wiem, jak to inaczej opisać. Uniosłam się na rękach i nogach, znowu nie całkiem świadomie, ale jakby pod wpływem czyjejś woli. Rozejrzałam się gorączkowo dookoła i zdawało mi się, że w potokach deszczu widzę kogoś, kto mi się przygląda. Potem sztorm zamazał tę postać. Zawołałam ją, kimkolwiek była, wołałam i wołałam. Potem dopadła mnie kolejna fala bólu, jakby rozłupywano mi kości toporem. Czyżby ktoś obserwował mnie w deszczu? Nikt, kto by pospieszył mi z pomocą. Mijały godziny. Czułam, że morze znowu oddala się od wyspy, czułam to w trzewiach. Sztorm spływał ogniem z nieba. Czy raczej to ja płonęłam, mimo że byłam cała mokra. Mój brzuch przypominał piec chlebowy, rozgrzewał się coraz bardziej. Nie, nie, przecież nie mógł być piecem. Czas odliczany przez zegary w ludzkim świecie przestał obowiązywać, odliczał go teraz ból, który przychodził i odchodził. Był coraz bliżej czy mi się wydawało? Coraz mniej czasu upływało między jego falami? Czyżby tymczasem zapadła noc, pogrążając sztorm w ciemności? A może oślepiłam? Nagle zrobiło się pilno, gwałtownie, czerwono. Spojrzałam między nogi. Czułam, że wyciągnęłam ramiona jak skrzydła, gotowa złapać coś spadającego z nieba. Ale to nie spadało z nieba, tylko wypadało ze mnie. Na przemoczony wrzos pociekła krew i zawołałam o pomoc do Boga, miotające się w bólu jego stworzenie. Był to głos mojej krwi. Nie, nie, to był tylko okrzyk szaleństwa, szaleństwa. Między nogami miałam węgle, krąg rozpalonych do

czerwoności węgli, tak że nic, co by przezeń przeszło, nie mogło przeżyć. W tym szaleństwie, w jednej jego chwili, ukazał się czubek główki, w drugiej ramionko, całe w błonie i krwi. Potem pojawiły się buzia, mały tors, brzuszek i dwie nóżki, i nawet burza jakby wstrzymała oddech, zamilkła, wtedy spojrzałam w dół, wzięłam na ręce tę małą istotkę, ona pociągnęła za sobą śliską pępowinę, uniosłam dziecko do twarzy i przegryzłam ją, ponownie bez udziału świadomości, a burza znowu się wzmogła, zaczęła wyć, a wraz z nią jakby wezbrało moje dziecko, przybrało kształt w chłuszczącej ciemności, pochwyciło pierwszy diament powietrza i zakwiliło słabiotko, zaczęło cicho wołać, przyzywać wyspę, Sligo, mnie, mnie.

\*

Kiedy obudziłam się ponownie, burza przeszła, zniknęła jak wirująca sukienka, która omiotła Sligo niczym salę taneczną. Gdzie podziała się mała istotka? Zostały tylko krew, błona, pępowina i łóżysko. Próbowałam się podnieść. Kręciło mi się w głowie i sama byłam słaba jak nowo narodzony żrebak. Gdzie moje dziecko? Ogarnął mnie przeraźliwy strach, że je straciłam. Rozejrzałam się gorączkowo, z przerażeniem, jak każda matka, czy to z gatunku człowieka, czy zwierzęcia. Zaczęłam rozgarniać gałązki wrzosu i traw, szukałam, zataczając coraz dalsze kręgi wokół siebie. Wzywałam pomocy. Niebo było bezkresne, niebieskie aż do samych bram rajów.

Jak dawno skończyła się burza? Nie wiedziałam.

Przewróciłam się i uderzyłam biodrem o kamień. Wciąż wypływała ze mnie strużka krwi, ciemnej krwi, ciepłej i ciemnej. Leżałam tam, patrząc na świat jak ktoś postrzelony w głowę, przede mną rozciągała się spokojna plaża, mewy ze swoimi długimi dziobami zniżały lot i nurkowały w wodzie wzdłuż cofającej się linii brzegu. „Pomocy, błagam” - powtarzałam, ale nie miał mnie kto usłyszeć oprócz tych ptaków. Czy na wyspie nie było kilku domów, które kryły się tu i tam przed wiatrem? Czy ktoś nie mógłby tutaj przyjść?

Gdy tak leżałam, poczułam rwący ból w piersiach, to napływające do nich mleko, pomyślałam. Miałam już mleko. Ale gdzie było moje dziecko, żeby je nim nakarmić?

Wtedy na wijącej się drodze ku plaży zobaczyłam białą furgonetkę. Od razu się domyśliłam, że to karetka, bo nawet z tak daleka, w tej ciszy, słyszałam syrenę. Dotarła do plaży i wjechała na nią, podążając, tak jak ja podczas burzy, wzdłuż kamiennych stożków. Wstałam znowu i zamachałam rękami, jak rozbitek na wyspie, kiedy wreszcie dostrzeże statek na horyzoncie. Ale to nie ja potrzebowałam pomocy, tylko ten maleńki człowieczek, który zniknął. Kiedy podeszli do mnie mężczyźni z noszami, prosiłam ich, żeby mi powiedzieli, gdzie jest moje dziecko, błagałam.

- Nie wiemy, proszę pani - odpowiedział jeden z nich, bardzo grzecznie. - Co pani



przyszło do głowy, żeby rodzić dziecko tu, na Coney? To nie miejsce na poród.

- Ale gdzie ono jest, gdzie moje dziecko?

- Był przyływ, proszę pani, i pewnie je zabrał, Boże, miej w opiece biedne maleństwo.

- Nie, nie, trzymałam je w ramionach i zasnęłam, ale trzymałam je przy sobie, tu, w cieple. Wiedziałam, że przy mnie nie zmarznie. Proszę posłuchać, trzymałam je tu, przy piersi, niech pan spojrzy, mam rozpięte guziki, żeby było mu ciepło, żeby nic mu się nie stało.

- Dobrze, dobrze - powiedział drugi. - Proszę się uspokoić. Ona wciąż krwawi - zwrócił się do kolegi. - Musimy zatamować krwotok.

- Nie wiadomo, czy się uda - odparł tamten.

- Zawieźmy ją jak najszybciej do Sligo.

I wsadzili mnie do karetki. Ale czy nie zostawiliśmy gdzieś mojego dziecka? Nie wiedziałam. Zaczęłam drapać w drzwi, gdy się zamknęły.

- Szukajcie wszędzie - prosiłam. - Było tu dziecko. Było.

Och, kiedy włączyli silnik, poczułam się, jakbym spadała przez wiele pięter, zemdlalam.

\*

Zaczynam napotykać trudności. Drogi rozchodzą się w lesie, a las jest tak zasypany śniegiem, że widać tylko biel.

Ktoś zabrał moje dziecko. Karetka zawiozła mnie do szpitala. Wiem, że krwawiłam przez wiele dni, i nikt nie spodziewał się, że przeżyję. To wszystko jeszcze pamiętam. Pamiętam, że wzięli mnie na operację, bo przestałam krwawić i przeżyłam. A później przyszedł ojciec Gaunt i powiedział mi, że zajmą się mną, że zna bezpieczne miejsce, w którym można mnie umieścić, że na pewno mi się tam spodoba i żebym się nie martwiła. Bez przerwy pytałam go o moje dziecko, a on za każdym razem mówił tylko: „w Nazarecie”. Nie wiedziałam, co to znaczy. Byłam tak słaba, że chyba zachowywałam się jak więzień wobec strażnika, szukałam u ojca Gaunta pomocy. Być może nawet prosiłam go o pomoc. Na pewno bardzo płakałam i przypominam sobie, że przytulał mnie wtedy. Czy był tam ktoś jeszcze? Nie pamiętam. Wkrótce zobaczyłam dwie wieże zakładu i znalazłam się w piekle.

Krzyczałam, że chcę zobaczyć się z matką, ale mówili: „Nie możesz się z nią zobaczyć, nikt nie może się z nią zobaczyć, z nią nie można się widzieć”.

Pamięć mnie już zawodzi. Tak. Krztusi się, jak silnik uruchamiany korbą, który nie chce zaskoczyć. Chrrr, chrrr, chrrr. Och, czy to Stary Tom i pani McNulty, tam, w ciemności, może w ciemnym pokoju, i ja z nimi, czy mierzą mnie swoimi centymetrami krawieckimi,

żeby uszyć mi koszulę, nic nie mówią, tylko biorą miarę, w biuście, w pasie, w biodrach? Tak jak brali miarę ze wszystkich innych pensjonariuszy, na koszule, gdy ci przychodzili, i potem na całun, gdy odchodzili?

I tu wspomnienia się kończą. Nie ma ich więcej. Nie pamiętam nawet cierpień, udręki. Nie ma ich. Pamiętam, że któregoś wieczoru przyszedł Eneas, przekonał personel, żeby pozwolili mu się ze mną zobaczyć. Miał na sobie mundur majora, choć wiedziałam, że jest tylko szeregowcem, ale wyznał mi, że poszedł do Jacka i pożyczył jego mundur, zresztą bardzo dobrze w nim wyglądał, z tymi epoletami. Kazał mi szybko się ubrać, powiedział, że jest z dzieckiem, które zostawił na zewnątrz, i że zamierza mnie uwolnić. Mieliśmy uciec razem do innego kraju. Nie miałam co na siebie włożyć, oprócz tych szmat, w których chodziłam, wiedziałam, że jestem brudna i zawszona, że wszędzie na sobie mam zaschłą krew, ale przekradliśmy się przez mroczny korytarz, Eneas i ja, on uchylił wielkie drzwi budynku i przeszliśmy pod starymi wieżami, na drugą stronę żwirowej alejki, jakoś zupełnie nie zważałam na ostre kamienie, i wtedy wyjął dziecko z wózka, w którym na nas czekało, ślicznego chłopca, wziął ten tłumoczek na ręce, przeprowadził mnie, z krwawiącymi stopami, przez trawnik, i stanęliśmy nad małą rzeczką u stóp wzgórza. Przeszedł na drugą stronę i ruszył w górę piękną zieloną łąką o bujnej trawie. Blask księżyca rzucał cienie na rzekę, pohukiwała znajoma sowa i gdy weszłam do wody, moja sukienka się rozplynęła i obmyła mnie woda. Wysłam po drugiej stronie z sitowia i Eneas spojrzał na mnie, wiedziałam, że znowu jestem piękna, i podał mi dziecko, a wtedy poczułam, że mleko napływa mi do piersi. Eneas, ja i dziecko staliśmy tam na łące, w świetle księżyca, a przed nami rozciągał się rząd wielkich zielonych drzew, których konary poruszały się delikatnie w ciepłym, letnim wietrze. I Eneas zdjął niepotrzebny już mundur, tak było ciepło, i staliśmy tam, tak szczęśliwi, jak kiedyś szczęśliwi byli ludzie, my, pierwsi i ostatni ludzie na świecie.

\*

Wspomnienie tak wyraźne, tak cudowne, tak wychodzące poza granice tego, co możliwe.

Wiem.

Wnętrze mojej głowy jest przezroczyste jak szkło.

\*

Jeśli to czytasz, to najwyraźniej myszy, czerwie i inne robaki oszczędziły te zapiski.

Co mogę powiedzieć ci więcej? Kiedyś żyłam wśród ludzi i przekonałam się, że w większości są oni okrutni i zimni, chociaż mogłabym wymienić trzy lub cztery osoby, które były jak anioły.

Myślę, że oceniamy nasze życie według tych nielicznych aniołów, które dostrzeżemy wśród nas, a jednak nie jesteśmy jak one.

Nawet jeśli bardzo cierpimy z tego powodu, to u schyłku naszych dni dar życia staje się czymś wielkim. Większym niż stare góry Sligo, czymś trudnym, ale dziwnie olśniewającym, co sprawia, że pierze i młotki spadają tak samo.

I tak jak impuls, pod wpływem którego stara panna urządza sobie ogródek, z mizerną różą i wątłym żonkilem, daje przebłysk przyszłego raj.

\*

Jedyne, co po mnie pozostało, to sława mojej urody.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

### Z notatek doktora Grene'a

Cóż, wreszcie wybrałem się do Sligo, udało mi się wyrwać od tych wszystkich przygotowań do przeprowadzki. Taka krótka podróż, ale rzadko ją odbywałem przez ten cały czas. Piękny wiosenny dzień. A jednak nawet w taki dzień zakład psychiatryczny w Sligo wyglądał ponuro z tymi swoimi złowróżbnymi bliźniaczymi wieżami. To wielki budynek. Potocznie nazywają go hotelem Leitrim, jak wyjaśniła mi Roseanne, bo podobno przebywa w nim połowa tego miasta. To jednak niewątpliwie objaw typowego regionalnego uprzedzenia.

Biorąc pod uwagę, że znałem się kiedyś z Percym Quinnem, to chyba dziwne, że nie utrzymywaliśmy z sobą kontaktu, choć mieszkamy tak blisko siebie. Ale niektóre przyjaźnie, nawet głębokie i ciekawe, mają krótki żywot i nie można go przedłużyć. Niemniej Percy, łysiejący już i pulchniejszy, niż go zapamiętałem, był bardzo serdeczny, gdy znalazłem się w jego gabinecie, który mieści się w jednej z wież. Nie wiem, jaką ma opinię, czy jest postępowy, czy też spokojnie pozwala sprawom przybierać własny bieg, co obawiam się, można by zarzucić mnie samemu. Nie przyznałbym się do tego otwarcie, ale na pewno święty Piotr ma na mnie kwity.

- Bardzo mi przykro z powodu śmierci twojej żony - powiedział. - Chciałem przyjechać na pogrzeb, ale akurat tamtego dnia nie mogłem.

- Och, nic nie szkodzi, nie przejmuj się - odparłem. - Dziękuję ci. - Nie bardzo wiedziałem, co dalej powiedzieć. - Wypadł bardzo dobrze.

- Chyba nie znałem twojej żony, prawda?

- Nie, nie, na pewno nie. Poznałem ją później.

- Więc teraz prowadzisz śledztwo? - zapytał.

- Cóż, usiłuję, z różnych powodów, zbadać sprawę pacjentki, o której ci pisałem, Roseanne Clear, a ponieważ nie jest zbyt rozmowna, próbuję dowiedzieć się czegoś okrezną drogą, zająć ją od tyłu, jak to mówią.

- Poszperałem dla ciebie w papierach - powiedział. - I znalazłem coś nowego. Właściwie zaczęło mnie to intrygować. Chyba każdy ma jakieś tajemnice w życiu. Posłuchaj, wezwę Maggie i poproszę, żeby zrobiła nam herbaty.

- Nie, nie trzeba - odparłem. - Ja w każdym razie dziękuję. Ale może ty się napijesz?

- Nie, nie - rzucił szybko. - Pierwsza sprawa, która może cię zainteresować. Zachowały się akta Irlandzkiej Policji Królewskiej. Znajdują się w ratuszu, uwierzysz? Nazwisko, które mi podałeś, brzmi Joseph Clear, prawda? I owszem, są dokumenty dotyczące tego człowieka, z lat dwudziestych i wcześniejszych.

Byłem rozczarowany, muszę przyznać. Chyba liczyłem, że to wersja Roseanne okaże się prawdziwa. Ale cóż.

- Myślę, że to ta sama osoba.

- To nie jest zbyt często spotykane nazwisko.

- Właśnie. A potem zacząłem sprawdzać, co jeszcze mamy, oprócz bardzo dziwnej relacji tego ojca Gaunta, którą przeczytałem jeszcze raz. Zaniepokoiło cię to, że zabiła swoje dziecko, mam rację?

- Może nie zaniepokoiło. Próbowałem tylko ustalić prawdę, bo ona temu zaprzecza.

- Tak? Ciekawe. Co mówi na ten temat?

- Zapytałem ją, co stało się z dzieckiem, bo wspomina o nim ojciec Gaunt, był to zresztą główny powód umieszczenia jej tutaj, i odpowiedziała, że jest ono w Nazarecie, co nie ma sensu.

- Hm, wydaje mi się, że wiem, co miała na myśli. Sierociniec w Sligo mieścił się w klasztorze Nazaretanek. Nie ma w nim już sierot, teraz to raczej dom starców, ale wolę kierować ludzi tam niż... No wiesz.

- Och, rozumiem, wszystkie elementy tej historii zaczynają do siebie pasować.

- Owszem. I muszę powiedzieć, że to byłoby bardzo nie w porządku, nawet wbrew prawu, gdyby ojciec Gaunt sugerował coś tak strasznego, wiedząc, że to nieprawda. Próbuję znaleźć jakąś interpretację jego słów. Mogę tylko się domyślać, że chodziło mu o zabójstwo metaforyczne. W tamtych czasach uważano, że grzech matki przechodzi na nieślubne dziecko. Może to miał na myśli nasz przedsiębiorczy księżulo. Bądźmy wspaniałomyślni. Oczywiście w przypadku, gdyby się okazało, że nie zabiła dziecka.

- Myślisz, że mógłbym pojechać do tych nazaretanek i zapytać, czy mają tam jakieś dokumenty?

- Chyba tak. Kiedyś nie lubili udostępniać tego rodzaju informacji, chyba że umiało się ich odpowiednio podejść. Na pewno nadal nie są skłonni tego robić, ale jak wiele podobnych instytucji spotykali się ostatnio z różnymi zarzutami. Istnieje wiele klasztorów Nazaret, jak mówi się o tym zgromadzeniu potocznie, i niektóre z nich oskarżano o straszne praktyki w przeszłości. Może okażą się więc bardziej pomocni, niż można by oczekiwać. I

znają mnie. To znaczy zakonnice. Zawsze służyły mi pomocą. To pierwotnie był zakon żebraczy. Szlachetna idea, cokolwiek by mówić.

Potem przez chwilę milczał. „Namyślał się”, jak mówiła Bet.

- I jeszcze jedno - powiedział w końcu. - Żeby wykazać otwartość z mojej strony, chyba powinienem ci powiedzieć. Niestety to część naszej poufnej dokumentacji. Dochodzenia wewnętrzne, rozumiesz, te rzeczy.

- Tak? - zapytałem ostrożnie.

- Tak. Sprawa dotyczy twojej pacjentki. Pracował tu niejaki Sean Keane, pielęgniarz, sam najwyraźniej lekko stuknięty, żeby użyć określenia slangowego, który wniósł skargę przeciwko innemu pielęgniarzowi. Oczywiście było to dawno temu, pod koniec lat pięćdziesiątych, tak że nawet nazwisko osoby prowadzącej akta tej sprawy, Richardson, nic mi nie mówi. Otóż Sean Keane oskarżył tego drugiego, nazwiskiem Brady, o nękanie i obawiam się, że także molestowanie twojej pacjentki, i to przez długi czas. Opisuje się ją jako kobietę o „niespotykanej urodzie”, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Wiesz co, Williamie, już ze skrótowości tych notatek wynika, że prowadzący je niechętnie to wszystko spisał. Zaraz powiesz, że niewiele się w tej kwestii zmieniło.

Nic nie powiedziałem. Skinąłem tylko głową, żeby mówił dalej.

- W każdym razie chyba właśnie wtedy postanowiono przenieść twoją podopieczną do Roscommon i zatuszować sprawę.

- A co stało się z człowiekiem, który ją rzekomo molestował?

- Hm, to dość przykre, ale pracował tu do emerytury, do końca lat siedemdziesiątych, jak sprawdziłem w papierach. Ale sam rozumiesz.

- Rozumiem. To bardzo trudne sprawy.

- Właśnie - przytaknął Perry. - Śmierdzące z daleka i człowiek stara się ich nie rozgrzebywać, żeby nie narobić jeszcze więcej smrodu.

- Uhm - skwitowałem.

- Sean Keane jednak znika razem z Roseanne Clear, co chyba nie powinno nikogo dziwić, więc pewnie został zwolniony. Richardson najwyraźniej wybrał święty spokój.

Siedzieliśmy tam we dwóch, zastanawiając się nad tym, być może obaj myśleliśmy, że rzeczywiście niewiele się zmieniło.

- Jej matka tu zmarła. Wiedziałaś? W czterdziestym pierwszym.

- Nie.

- No. Była głęboko upośledzona.

- Ciekawe. Nie miałem o tym pojęcia.

- To śmieszne, że nasze szpitale znajdują się tak blisko siebie, a my prawie w ogóle się nie spotykamy - zauważył.

- Właśnie o tym myślałem, jadąc tu.

- Hm, takie jest życie.

- Takie jest życie.

- Bardzo się cieszę, że przyjechałeś - powiedział. - Może wprowadzimy taki zwyczaj.

- Dziękuję, że zająłeś się tym. Jestem ci naprawdę wdzięczny, Percy.

- Nie ma o czym mówić - odparł. - Posłuchaj, zadzwonię do nazaretanek i uprzedzę, że się do nich zwrócisz, powiem, kim jesteś, i tak dalej. Dobrze?

- Dzięki, Percy.

Serdecznie uścisnęliśmy sobie dłonie, choć może nie tak bardzo, pomyślałem. Obaj byliśmy trochę skrępowani. Samo życie.

\*

Ta część klasztoru Nazaretanek, do której mnie skierowano, była nowa, ale miała już w sobie coś ponurego, jak reszta instytucji, choć może nie do tego stopnia, co stary budynek. Kiedy byłem młody, myślałem, że placówki dla osób chorych i obłąkanych powinny być bardzo jasne i przyjemne, emanować pogodnym nastrojem, który by łagodził ludzkie nieszczęścia. Ale może takie miejsca są jak zwierzęta i nie mogą bardziej zmienić swojego ubarwienia niż pantery czy tygrysy. Archiwum prowadziła zakonnica, jak ja w zaawansowanym wieku średnim, jeśli już nie starczym, która miała na sobie współczesny, swobodny strój. Niemal spodziewałem się habitu i kornetu. Powiedziała, że poczciwy Percy już dzwonił, podał jej nazwiska i daty, i ma dla mnie trochę informacji. „Danych”, tak to określiła.

- Ale będzie pan musiał pojechać do Anglii, jeśli naprawdę chce pan zbadać tę sprawę - dodała.

- Do Anglii? - zapytałem.

- Tak - potwierdziła z trudnym do określenia regionalnym akcentem, według mnie z Monaghan albo okolic nawet jeszcze bardziej wysuniętych na północ. - Mamy tu adnotacje, ale wszystkie akta dotyczące interesujących pana osób znajdują się w naszym klasztorze w Bexhill-on-Sea.

- Dlaczego są właśnie tam, proszę siostry?

- Cóż, nie mam pojęcia, ale jak pan wie, to stare sprawy i więcej może się pan dowiedzieć tylko w Anglii.

- Ale czy to dziecko jeszcze żyje? Bo oddano je do waszego ośrodka?

- Mamy to nazwisko w kartotece, ale tą sprawą zajmowała się jedna z naszych sióstr w Bexhill, siostra Declan, która oczywiście pochodziła stąd. Już nie żyje i pokój jej duszy. Była z McNultych. Wie pan, doktorze Grene, że pani McNulty przebywała u nas pod koniec życia? Tak. Umarła w wieku dziewięćdziesięciu lat. Mam przed sobą jej akta, niech odpoczywa w spokoju, niech obie odpoczywają w spokoju.

- Można załatwić to telefonicznie?

- Nie, nie, to nie są sprawy na telefon.

- Czy to córka pani McNulty była tą zakonnicej w Anglii?

- Tak, właśnie. Jej matka bardzo wspierała nasz zakon. Miała trochę pieniędzy i zapisała je nam. Była wielką damą i dobrze ją pamiętam. Drobną, niską, miała dobroć wymalowaną na twarzy, zawsze starała się wszystkim pomagać.

- Nie mam co do tego wątpliwości.

- O tak. Sama chciała wstąpić do zakonu, ale nie mogła tego zrobić za życia męża, a on dożył dziewięćdziesięciu sześciu lat, no i oczywiście byli synowie. To mogło im się nie spodobać. Mogę zapytać, czy jest pan katolikiem, doktorze Grene? Sądząc po akcencie, pochodzi pan z Anglii.

- Tak, jestem katolikiem - odparłem swobodnie, bez skrępowania.

- No to pan wie, jacy jesteśmy specyficzni - odparła drobna zakonnica.

\*

Wracałem stamtąd w niezwykłym stanie ducha. Wydawało mi się takie dziwne, że ludzie zostawiają po sobie pewne ślady, które można zobaczyć i próbować rozszyfrować, ale czy odpowiednio zrozumieć, wątpię. Wyglądało na to, że Roseanne rzeczywiście wiele wycierpiała, tak jak się obawiałem. To tragedia stracić dziecko, w jakikolwiek sposób to się stało, a później być narażoną na umizgi jakiegoś drania, który interesował się nią tylko, żeby zaspokajać swoje własne, niezdrowe żądze. Podejrzewam też, że po rozstaniu z dzieckiem - czy dlatego, że je straciła, czy zabiła, jeśli ojciec Gaunt się nie myli - mogła w końcu postradać zmysły. Takie traumatyczne przeżycia wywołują czasami bardzo poważną psychozę. Ze swoją „niespotykaną urodą” stała się wkrótce obiektem zabiegów wszelkich nieciekawych typów z personelu. Boże, miej ją w swojej opiece. Pomyślałem o pogodnej starszej pani w swoim pokoju, tu, w Roscommon. Chociaż jestem psychiatrą, muszę przyznać, że poczułem dla niej wielkie współczucie. I z perspektywy czasu ogarnęło mnie poczucie winy. Tak. Przede wszystkim dlatego, że pewnie zachowałbym się tak samo jak ów Richardson.

Z drugiej strony - myślałem podczas jazdy - raczej nie znajdę czasu, żeby pojechać do



Anglii. I zacząłem się zastanawiać: co ty, na Boga, robisz, Williamie? Przecież wiesz, że nie zalecisz jej powrotu do społeczeństwa i normalnego życia. Trzeba będzie ją gdzieś przenieść (uwaga: tylko nie do nazaretanek w Sligo ani tamtejszego zakładu psychiatrycznego, z wiadomych względów), bo jest za stara na cokolwiek innego. Dlaczego więc zajmuję się tą sprawą? Cóż, prawda jest taka, że znajduję w tym pocieszenie. I jest w niej coś, czemu nie mogę się oprzeć. Chyba należy uznać cały ten impuls za formę cierpienia. Cierpienia z powodu Bet, cierpienia z powodu samej istoty życia. Generalnie z powodu losu człowieka. Jednak - myślałem - Anglia to już przesada, chociaż muszę powiedzieć, że skoro zaszedłem w swoich poszukiwaniach tak daleko, chciałbym dowiedzieć się prawdy o dziecku Roseanne, czy istniało, czy też nie istniało. Ale w tej chwili jest za dużo roboty (próbuję spisać swoje myśli w samochodzie, co nie jest zbyt łatwe) i może, ponieważ kluczowe, najważniejsze fragmenty naszego życia są podobne z natury do śpiących psów, powinienem zostawić je w spokoju. To stara historia i po co się do niej dokopywać? A potem uzmysłowiłem sobie coś naprawdę ważnego. Że patrzę na to wszystko z niewłaściwego punktu widzenia. Bo jeśli istnieją gdzieś akta tego dziecka, to czy wiadomość o tym nie byłaby wielkim pocieszeniem dla Roseanne, nawet gdyby nie można się było z nim skontaktować - czy nie powinna dowiedzieć się „przed śmiercią”, że mimo wszystko dała komuś życie? Czy też wytrąci ją to z równowagi i wywoła u niej traumę? Czy będzie chciała odnaleźć tę osobę, a ta osoba... och, to puszka Pandory. Hm, i tak nie mam czasu - myślałem. Ale niechętnie odłożę tę sprawę.

Zaparkowałem samochód jak zwykle i wszedłem do szpitala. Pielęgniarka z dziennego dyżuru zdała mi relację z tego, co się działo pod moją nieobecność, i powiedziała mi między innymi, że Roseanne Clear miała dalsze problemy z oddychaniem, bali się nawet przenieść ją na oddział medyczny, ponieważ wręcz balansowała na granicy życia i śmierci, ale w końcu zrobili to pod okiem doktora Wynna i została podłączona do aparatury tlenowej. Płuca muszą wykorzystywać dziewięćdziesiąt osiem procent swojej pojemności, żeby zapewnić odpowiednią wymianę gazów i natlenić krew, a jej robią to w zaledwie siedemdziesięciu procentach, takie jest ich ukrwienie. Chociaż pod koniec kariery zawodowej powinna być dla mnie „jeszcze jedną pacjentką”, muszę powiedzieć, że bardzo mnie to zmartwiło i zaniepokoiło. Pospieszyłem na oddział medyczny, jakby miało jej już nie być, i poczułem niewyobrażalną ulgę, gdy zastałem ją przy życiu, choć nieprzytomną i oddychającą z bardzo nieładnym świstem.

Posiedziawszy przy niej jakiś czas, zacząłem się niecierpliwić, bo w gabinecie czekało mnie dużo roboty papierkowej. Poszedłem więc do siebie i zaatakowałem stertę dokumentów. Pod formularzami i listami znalazłem paczkę, plik kartek w dużej używanej kopercie, w

kopercie, którą otworzyłem kilka dni wcześniej i wyrzuciłem do kosza na śmieci. Ktoś wyjął ją i włożył do niej te papiery. Zapisane były niebieskim długopisem, bardzo drobnym, starannym pismem, tak że musiałem włożyć okulary do czytania, czego oczywiście przeważnie nie robię, z czystej próżności.

Po chwili zorientowałem się, że to historia życia Roseanne, spisana przez nią samą. Zdumiało mnie to wielce. Od razu poczułem dość dziwne zadowolenie, że nie naciskałem jej tego dnia, kiedy powiedziała mi, że miała dziecko. Bo przypuszczałem, że w tych zapiskach znajdę wszystko, co mnie interesuje, bez poczucia, że stosując zawodowe sztuczki, zmusiłem ją do zdrady samej siebie. Miałem świadomość, że nie będę mógł przeczytać tego ze skupieniem, dopóki nie wrócę wieczorem do domu (wczoraj), ale wiedziałem już, że znajdę tu te informacje, których nie mogłem uzyskać podczas rozmowy z nią. Ale skąd się wzięły te notatki? I kto złożył je na moim biurku, bo przecież nie zrobiła tego sama? Moje podejrzenia padły przede wszystkim na Johna Kane'a, bo najczęściej przebywał w jej pokoju. I pielęgniarki czy pielęgniarzy. Ale, oczywiście, przy całym tym zamieszaniu wokół niej, mógł to zrobić każdy. Zadzwoiłem więc do pokoju pielęgniarskiego i zapytałem, czy ktoś wie cokolwiek na ten temat. Doran, dość bystry i sympatyczny facet, obiecał, że popyta. „Gdzie jest John Kane?” - zapytałem. Odpowiedział, że pewnie w domu, w swoim mieszkanku w dawnej stajni za szpitalem (która też ma być wkrótce wyburzona). Podobno Kane ostatnio kiepsko się czuł i po wykonaniu porannych obowiązków poprosił o zwolnienie, żeby mógł się położyć. Doktor Wynn nie robił problemów. John Kane, jak wiadomo, nie jest zdrowy.

\*

Przeczytałem zapiski Roseanne niemal jak badacz jej życia, konfrontując z sobą fakty i zdarzenia.

Przede wszystkim podczas lektury towarzyszyło mi poczucie uprzywilejowania. Dziwnie pomyśleć, że pisała to w tajemnicy, jak mnich w skrytorium, gdy ja usiłowałem zbadać jej przypadek i nie mogłem dojść do niczego. Wręcz obezwładniła mnie świadomość, że być może w swoich zapiskach zwracała się do mnie.

Jej wersja różni się od relacji ojca Gaunta w wielu punktach, nie mówiąc już o długim fragmencie poświęconym ojcu i jego eksperymencie na wieży. Jak na kobietę, która niemal dosłownie nikogo nie zna i ostatnie sześćdziesiąt lat z górą spędziła w takim miejscu jak szpital, robi wrażenie osoby zadziwiająco dobrze znającej życie i ludzi. Wiele tajemnic nie zostało wyjaśnionych. Sean Keane, który figurował w aktach Percy'ego Quinna, to najwyraźniej syn Johna Lavelle'a. Co więcej, zdaje się, że jest do pewnego stopnia upośledzony. Mogę o to zapytać tylko jedną osobę, bo podejrzewam, że on i nasz John Kane

to ten sam człowiek. Byłby to przypadek dziwnej lojalności i oddania. Ojciec prosił go, żeby czuwał nad Roseanne, i ten obowiązek przyświeca całemu jego życiu.

Jednak nie wiadomo, kto zabrał dziecko Roseanne, i przeciwko niej niewątpliwie przemawia to, że nie pisze prawdy o pracy ojca. Jeśli te fakty się nie zgadzają, to być może Roseanne „myli się” także w innych sprawach. Jej relacji nie można więc uznać za wiarygodną, choć pewnie nie mniej niż wersji ojca Gaunta, który był całkiem poczytalny, i to do tego stopnia, że taka poczytalność jest wręcz niepożądana.

Niewątpliwie należy uznać, że została fałszywie oskarżona w związku z Johnem Lavelle'em, chyba że źle ją zrozumiałem, chociaż zgodnie z mroczną, żeby nie powiedzieć „ciemną”, obyczajowością tamtych czasów samo to, że widziano ją z nim w takich okolicznościach, że naraziła się na podejrzenie o cudzołóstwo, było przestępstwem z jej strony. W imię moralności toczą się całe wojny domowe, z licznymi ofiarami w swoim czasie i miejscu. A gdy zaszła w ciążę, była skazana na całkowite potępienie. Mężatka, która nigdy nie była mężatką. Z tym nie mogła wygrać.

Piszę to wszystko i natychmiast ogarniają mnie wątpliwości. Użyłem na przykład wyrażenia „nie pisze prawdy”. Jak może nie pisać prawdy, jeśli szczerze wierzy, że tak było? Czy większości historii nie pisze się z wybiórczą szczerością? Tak mi się wydaje. Roseanne bardzo szczerze, a nawet wruszająco opowiada o tym, jak ojciec postanowił udowodnić jej, że wszystko, od młotków po pióra, spada z taką samą szybkością. Miała wtedy ze dwanaście lat (muszę zajrzeć znowu do jej rękopisu, bo z kolei ja mogę coś zniekształcić). Tak, około dwunastu. A potem ponure wydarzenia na cmentarzu, łapanie szczurów i w końcu, kiedy ma z piętnaście lat (cholera, to też muszę sprawdzić), śmierć ojca. A tymczasem ojciec Gaunt pisze, że zabili go buntownicy, poczyniwszy pierwszą próbę w tej samej okrągłej wieży, którą z takim sentymentem wspomina Roseanne, kiedy to wsadzili mu do ust pióra i stłukli młotkami, drewnianymi czy żelaznymi, co biorąc pod uwagę szok pourazowy, może być prawdą, tylko ona, dla własnego zdrowia psychicznego, po prostu wyparła to ze świadomości, przekształcając w niewinny incydent i przesuując w czasy dzieciństwa. Jednak, zważywszy na wszystko, byłby to w mojej praktyce zawodowej niezwykle przypadek przeniesienia. No i jest jeszcze ten człowiek, z którym ojciec Gaunt usiłował ją wyswatać, Joe Brady, ten, który przejął po jej ojcu posesję na cmentarzu. W relacji Roseanne został przedstawiony jako niedoszły gwałcień - ten fragment brzmi dla mnie bardzo „dziwnie”. Na dodatek ojciec Gaunt wymienia mimochodem to nazwisko, twierdząc, że było wyryte na grobie, w którym zakopano broń, a przecież skądś to musiał wiedzieć. Oczywiście on także, choć pewnie naprawdę uważał, że Roseanne należy umieścić w zakładzie psychiatrycznym, mógł mieć

kłopoty z pamięcią: to nazwisko dźwięczało mu w głowie i pomylił je z nazwiskiem widniejącym na grobie. Podczas lektury takich wspomnień nie należy wymagać dokładności. Nie ma czegoś takiego.

Więc, jakby szukając na to dowodu, wróciłem do relacji ojca Gaunta, którą tu raczej streściłem, niż przytoczyłem, i ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu, a nawet zawstydzeniu zauważyłem, że opowiadając o zdarzeniu w wieży, nie pisze wcale, że ojcu Roseanne wepchnięto do ust pierze, a jedynie, że pobito go młotkami. Z jakiegoś powodu, pomiędzy lekturą jego wersji a jej streszczeniem, sam dodałem ten szczegół - można by pomyśleć, że zaczerpnąłem go od Roseanne, tylko że wtedy jeszcze jej relacji nie znałem. W tym punkcie gubię się jak w najdzikszej dżungli teorii samego Lainga. Byłoby wręcz niesmaczne, gdybym powiedział, że wziąłem ten szczegół z powietrza, że podsunęła mi go intuicja czy podświadomość, antycypując historię, której jeszcze nie przeczytałem. Bo to by zakładało prawdziwość tych wszystkich okropnych teorii z lat sześćdziesiątych o pętli czasowej czy wstecznej naturze czasu, a pod tym już się nie podpisuję. Mam dość problemów z narracją linearną i samą pamięcią. Niemniej muszę przyznać, że w dużej mierze obie relacje, Roseanne i ojca Gaunta, są zgodne z prawdą, biorąc pod uwagę narowy i wybiegi ludzkiego umysłu. „Grzechy” Roseanne jako historyka własnych dziejów to pominięcia, „przeoczenia”. Ojciec pokazał jej na wieży, na czym polega grawitacja, a kilka lat później próbowano go tam zabić, i choć była świadkiem obu tych wydarzeń, o tym drugim nie wspomina. Tak więc pierwsze wytłumaczenie, jakie przyszło mi do głowy - żeby uznać to wspomnienie za traumatyczne, z przeniesieniem i wyparciem, przesunięciem czasowym - nawet jeśli mało prawdopodobne, jest jeszcze zbyt proste. Do tego dochodzi moja dziwna interpolacja - ojej, ojej. Oczywiście, nie można wykluczyć, że kiedyś, lata temu, sama opowiedziała mi anegdotę o młotkach i pierze, tylko o tym zapomniałem. I czytając o incydencie w wieży u ojca Gaunta, przypomniałem sobie. I przy takim założeniu, nawet jeśli je sobie „wymyśliłem”, mam wrażenie, że naprawdę to mgliście pamiętam. Straszne! Ale odsuwając tę kwestię, z takiej konkluzji wynika pewna korzyść. Otóż mogę zeznać przed Bogiem (i ja to mówię, ze wszystkich ludzi właśnie ja), że według mnie oboje pozostawili nie tak bardzo mijające się z prawdą relacje, nawet jeśli z sobą sprzeczne, bo jedna i druga jest całkiem autentyczna w swoim ludzkim wymiarze i z obu można zaczerpnąć pożyteczne prawdy wykraczające poza same fakty. Zaczynam sądzić, że nie ma czegoś takiego jak „prawda”, choć już słyszę, jak Bet mówi mi do ucha: „Naprawdę, Williamie?”.

W każdym razie pod wpływem jej opowieści postanowiłem jednak pojechać do Anglii. Odnoszę wrażenie, że Roseanne adresowała swoją relację do mnie, przynajmniej w

pewnych fragmentach, być może jako do przyjaciela, i czuję, że nie tylko powinienem, ale także pragnę zbadać tę sprawę do końca. Nie wiem, czy wiele przez to osiągnę, bo doktor Wynn nie spodziewa się, żeby Roseanne odzyskała przytomność, „bardzo smutne wieści”, jak powiedział, pytając jednocześnie, czy ma ona jakąś rodzinę, z którą trzeba by się skontaktować w razie jej śmierci. Oczywiście mogłem tylko odpowiedzieć, że nie. Że nie sądzę, aby tak było. Bo chyba nie ma nikogo takiego, z wyjątkiem tego tajemniczego dziecka. To kolejny powód, żebym pojechał do Anglii, bo może jest znikoma szansa, że żyje ktoś, kogo należałoby zawiadomić o śmierci osoby, która pewnym ludziom może wydawać się nikim, ale dla mnie stała się przyjaciółką, potwierdzając sens mojej pracy tutaj i w ogóle wyboru tego zawodu.

Nie mogę zapomnieć, że gdy cierpiałem najbardziej, podeszła do mnie i położyła mi dłoń na ramieniu, być może najzwyczajszym gestem, który dla mnie był jednak piękniejszy i bardziej pomocny, niż gdyby ofiarowała mi królestwo. Próbowwała mnie nim uzdrowić, mnie, ponoć uzdrowiciela. Ponieważ nie bardzo umiem uzdrawiać, mogę zostać wiarygodnym świadkiem cudu, jakim jest zwykły człowiek.

Ogromnie się cieszę, że nie wykorzystałem relacji ojca Gaunta, żeby ją indagować, wszystko jedno: agresywnie czy delikatnie, i że posłuchałem swojej intuicji. Teraz widzę, że byłby to zamach na jej wspomnienia. Jej własnej opowieści też nie powinno się wykorzystywać w dalszym śledztwie.

Uważam przede wszystkim, że trzeba zostawić ją w spokoju.

\*

Wkrótce byłem gotów do wyjazdu, ale zanim to zrobiłem, postanowiłem napisać liścik do Johna Kane’a, na wypadek gdyby słowo pisane miało większą szansę do niego dotrzeć.

*Drogi Johnie - napisałem - dowiedziałem się, że kilkakrotnie okazał Pan życzliwość naszej pacjentce, Roseanne Clear, dawniej pani McNulty. Myślę, że wiem, kim był Pański ojciec, czy to nie ten patriota, John Lavelle? Chciałbym zadać Panu kilka pytań, kiedy wrócę z Anglii, gdzie, mam nadzieję, dowiem się czegoś więcej o dziecku Roseanne Clear. Może moglibyśmy skonfrontować nasze informacje? Z poważaniem i tak dalej.*

Liczyłem, że to mu coś powie. Użyłem określenia „patriota”, żeby zneutralizować ewentualny niepokojący wydźwięk wzmianki o jego ojcu. Ale może to był błąd i John uzna mój list za bazgroły szaleńca.

Dla mnie też prawie nie miał sensu, ale wysłałem go.

\*

Najtańszy okazał się lot z Dublina na lotnisko Gatwick pod Londynem, więc musiałem jeszcze odbyć pięciogodzinną podróż samochodem na wschód. Roseanne chyba się zdziwiła, gdybym jej powiedział, że w Sligo jest lotnisko, a dokładnie w Strandhill, jak dowiedziałem się z Internetu. Ale lata się stamtąd tylko do Manchesteru, małymi samolotami.

Naturalnie wziąłem z sobą paszport, a także wszystkie dokumenty dotyczące Roseanne, obie relacje pisemne i liścik od zakonnicy w Sligo. Wiedziałem dobrze, jak tajemnicze - w chlubnym i niechlubnym tego słowa znaczeniu - potrafią być te stare instytucje, nie bardziej niż my sami, na skutek strachu, poczucia utraconej władzy, może nawet troski, wszystkiego razem. Że prawda nie zawsze jest pożądana, że jedna sprawa wiąże się z drugą, że znajomość faktów niekoniecznie przynosi rozwiązanie, bo też prowadzi znowu w cień, czasami odsłaniając małe piekła, które sami sobie stwarzamy. Dlatego mimo życzliwości zakonnicy, która jednak nie zaoferowała, że zadzwoni do Bexhill ani że pomoże mi w inny sposób, i mimo wstawiennictwa Percy'ego byłem w pełni przygotowany, że napotkam mur i moje wysiłki spełzną na niczym.

Oczywiście, zabrałem też z sobą egzemplarz *Religio Medici*, należący do Roseanne, tak na wszelki wypadek. Zaryzykowałem, iż ojciec obróci się w grobie, muszę się przyznać, i w samolocie otworzyłem tę książkę, śmiało wyjąłem z niej list i zacząłem go czytać, w razie gdyby miał okazać się pomocny. Nie wiem, dlaczego tak pomyślałem. Może kierował mną głębszy, niski motyw, zwykle wścibstwo i ciekawość.

Ze zdziwieniem odkryłem, że to list od Jacka McNulty'ego. Ponownie spojrzałem na datę nadania i uświadomiłem sobie, że musiał go napisać starszy człowiek. Sugerował to słaby, pajęczy charakter pisma. Jako adres nadawcy podano King James Hospital w Swansea. Mam ten list przed sobą, mogę przepisać go tutaj, żeby mieć kopię.

*Droga Roseanne!*

*Leżę tu, w szpitalu w Swansea, bo niestety mam raka okrężnicy. Piszę do Ciebie, ponieważ zrobiłem wywiad na Twój temat i dostałem wiarygodną, mam nadzieję, informację, że jeszcze żyjesz. Sam otrzymałem już rozkaz wymarszu, taka jest chyba wola boska, i prawdopodobnie nie pozostanę zbyt długo wśród żywych. Muszę powiedzieć, że miałem ciekawe życie, było miło, jak to mówią, ale komu w drogie, temu czas. Nie wiem, czy słyszałaś, lecz walczyłem na wojnie, służyłem w Indiach, w okolicy Przełęczy Chajberskiej wraz z regimentem gurkhijskim, mówię to z dumą, choć nie widziałem ani jednego Niemca czy Japończyka. Niemniej, gdyby moskity były po stronie Niemców, przegralibyśmy tę wojnę. Piszę do Ciebie, bo kiedy człowiek dowiaduje się, że wkrótce odejdzie, do głowy przychodzi*

*mu wiele rzeczy. Na przykład to, że moja żona Mai po walce z alkoholem umarła w wieku pięćdziesięciu trzech lat. Chociaż od początku dawała mi do wiwatu, nigdy nie żałowałem, że się z nią ożeniłem, bo ją uwielbiałem. Przypuszczam jednak, że była arogancką kobietą, która ranila ludzi, na przykład Ciebie. Dlatego właśnie piszę ten list. Leży mi na sumieniu to wszystko, co stało się przed laty, i chcę Ci o tym powiedzieć. Nie potrzebuję przebaczenia, nie sądzę zresztą, żebyś mogła mi go udzielić, ale piszę, żebyś wiedziała, że bardzo żałuję, i nie wiem, co myśleć o tym zdarzeniu w życiu nas wszystkich. To było dawno temu, ale wydaje się, jakby wczoraj, i często powraca do mnie w myślach i we śnie. Chciałem Ci powiedzieć, że Tom ożenił się ponownie i miał dzieci, ale może nie chcesz o tym słuchać. Umarł z dziesięć lat temu na żołądek, w szpitalu w Roscommon, już po śmierci tej drugiej żony. Nigdy nie rozmawialiśmy o Tobie, chociaż często się widywaliśmy, i za każdym razem czułem, że wisi między nami coś niewypowiedzianego. Prawda jest taka, że zmieniło go to na zawsze, nigdy nie był już taki sam, to nie był ten wesoły Tom, którego znaleźliśmy.*

*Może powiesz „dobrze mu tak”, nie wiem. Może i będziesz miała rację. Ale chcę też powiedzieć kilka słów o naszej matce, która, jak pewnie Ci wiadomo, odegrała główną rolę w tej przykrej sprawie. Chcę Ci powiedzieć o niej coś, co może zdradzić tylko człowiek leżący już na łożu śmierci i pewnie tylko w ten sposób, nie pokazując twarzy, kryjąc się za listem. Bo prawdą jest też, że potraktowała Twój - zamierzałem napisać „przypadek”, ale wiesz, co mam na myśli - Ciebie - z niezwykłą dla niej surowością.*

*Opowiedziała mi swoją historię dwadzieścia lat temu, kiedy umierała. W Sligo szeptała, że była nieślubnym dzieckiem, choć Ty może o tym nie słyszałaś. Została adoptowana, bo jej prawdziwa matka umarła młodo, a reszta rodziny, zresztą zamożnej, która od początku nie aprobowała tego małżeństwa, postanowiła ją oddać. Jej matka nazywała się Lizzie Finn i była prezbiterianką. Prawdziwy ojciec był oficerem i chyba została oddana na wychowanie jego ordynansowi, katolikowi oczywiście. To niejasna historia, choć kilka lat po śmierci matki na własne oczy widziałem świadectwo ślubu jej rodziców w Kościele Chrystusowym. Nie potrafię wyrazić, jaką ulgę przyniosłaby jej wiadomość, że byli małżeństwem. Ale może w niebie to nie jest takie ważne.*

*Tom przed śmiercią też zdążył zdradzić mi swój sekret, który w pewnym sensie bardziej dotyczy Ciebie i każe się zastanawiać, dlaczego matka nie okazała Ci więcej współczucia. Bo wyznał mi, że jesteśmy tylko braćmi przyrodnymi, jego ojcem nie był Stary Tom, tylko ktoś inny, ale kto, tego nie wiedział, choć próbował się dowiedzieć, oczywiście nie od matki. Ona sama nigdy się do tego nie przyznała i nazwisko tego mężczyzny zabrała z sobą do grobu. Trzeba pamiętać, że kiedy się urodziłem, miała zaledwie szesnaście lat, i była*

*niewiele starsza, gdy na świecie zjawił się mój brat, czy raczej brat przyrodni.*

*Po co opowiadam Ci to wszystko? Bo być może to wyjaśnia jej wielkie pragnienie - choć go nie usprawiedliwia - żeby oszczędzić Tomowi takich komplikacji w życiu, jakich sama zaznała. I pokazuje, że była niewolnikiem własnego wyobrażenia prawości, jakim potrafi być tylko ktoś, kto sam uważa się za osobę upadłą.*

*Eneas? Odnalazłem go w latach sześćdziesiątych za pośrednictwem War Office w hotelu na Isle of Dogs w Londynie. Poszedłem tam któregoś wieczoru, dowiedziałem się, że go nie ma, i wróciłem następnego ranka. Ale zastałem już tylko zgliszcza. Może przestraszył się na wiadomość, że szukał go ktoś ze Sligo, myślał, że to dawni wrogowie, którzy chcą go zabić, i spalił hotel, chcąc zatrzeć za sobą ślady. A może ktoś szedł za mną, gdy go szukałem, i załatwił biedaka. Cokolwiek się stało, nigdy już nie trafiłem na jego trop. Zniknął bez śladu. Pewnie już nie żyje i niech spoczywa w pokoju.*

*Tak wygląda mój list i może na nic Ci się nie zda. To wszystko ciąży mi na sumieniu. Roseanne, prawda jest taka, że Tom naprawdę Cię kochał, ale nie dorósł do tej miłości. Obawiam się, że wszyscy byliśmy w Tobie więcej niż trochę zakochani. Wybacz nam, jeśli możesz. Żegnaj.*

*Z poważaniem*

*Twój Jack*

Pod każdym względem dziwny, zaskakujący list. Nie wszystko z niego zrozumiałem. Oczywiście miałem nadzieję, że koperta zakleiła się z powodu wilgoci i że Roseanne kiedyś go przeczytała, modliłem się, żeby tak było. Niewątpliwie go zachowała, chyba że przed otwarciem włożyła do książki i zapomniała o nim. Może był to jedyny list, jaki kiedykolwiek dostała. Byłem w melancholijnym nastroju, gdy samolot wylądował na lotnisku Gatwick.

Bexhill leży zaledwie jakieś siedemdziesiąt kilometrów od Gatwick, w tak angielskiej części Anglii, że staje się niemal czymś innym, trudnym do opisania. Już sama nazwa przywodzi na myśl watę cukrową i dawne bitwy. Brighton, Hastings. Znajduje się na wybrzeżu, które, jak na ironię, jest idealnym miejscem na wakacje dla dzieci, choć pewnie sieroty z dawnych czasów miałyby inne zdanie. Sprawdzając w Internecie połączenia lotnicze oraz informacje dotyczące Bexhill, trafiłem na stronę prowadzoną przez dawnych wychowanków zakładu, którzy pamiętają, jak było naprawdę. Z każdego ich słowa było cierpienie. W latach pięćdziesiątych w morzu utonęły tam dwie dziewczynki, ich koleżanki próbowały uformować łańcuch ludzki, żeby je ratować, podczas gdy zakonnice modliły się żarliwie na plaży. To jak skradziony z muzeum obraz, emanujący niewytłumaczalnym



okrucieństwem. Przyszła mi na myśl córka pani McNulty i wyznaję, że z jakiegoś powodu miałem nadzieję, iż nie było jej wśród tych modlących się siostr. Jeśli dziecko Roseanne wylądowało tu w latach czterdziestych... Takie myśli kłębiły mi się w głowie, gdy wsiadałem do pociągu na dworcu Victoria.

Chyba jestem skazany na opisywanie ponurego wyglądu tych instytucji. To element stały, niezmienny. Klasztor Nazaretanek w Bexhill nie był wyjątkiem. Ich ściany są chyba z tej samej zaprawy, koloru starych muszli, z tych samych czerwonych cegieł. One nigdy nie zblakną, pomyślałem. Cisza panująca w tym miejscu przywodziła na myśl inne cisze. Gdy przyciskałem dzwonek przy drzwiach frontowych, czułem się dziwnie mały, jakbym sam przybywał tu jako sierota. Niebawem drzwi się otworzyły, przedstawiłem swoją sprawę kobiecie, osobie świeckiej, i ruszyłem za nią długim korytarzem, wyłożonym ciemnym lśniącym linoleum i z solidnymi mahoniowymi meblami, z których jeden zdobiła włoska figurka świętego Józefa. Wiedziałem, że to święty Józef, bo tak głosił napis na cokole. Kobieta zatrzymała się przy jakichś drzwiach, uśmiechnęła się i zaprosiła mnie do środka.

Pokój przypominał małą jadalnię, w każdym razie na stole stały talerze z kanapkami i ciastem oraz nakrycie dla jednej osoby, z filiżanką do herbaty. Nie bardzo wiedziałem, co zrobić, więc usiadłem, zastanawiając się, czy znalazłem się na właściwym miejscu, czy jestem właściwą osobą na właściwym miejscu. Wkrótce jednak do pokoju wślizgnęła się wysoka, uśmiechnięta zakonnica i nalała mi herbaty z ceramicznego dzbanka. Zauważyłem na nim obrazek nadmorskiej promenady w Bexhill.

- Dziękuję, siostró - powiedziałem, bo nic innego nie przychodziło mi do głowy.
- Na pewno jest pan bardzo głodny po podróży - stwierdziła.
- Hm, rzeczywiście, dziękuję - potwierdziłem.
- Później przyjmie pana siostra Miriam.

Jadłem więc trochę speszony i gdy skończyłem - siostra miała chyba szósty zmysł, bo mało kto pochłonałby to wszystko - zostałem zaprowadzony w głąb klasztoru, do mniejszej sali.

Znajdowały się w niej typowe szafy na akta. Natychmiast poczułem atmosferę historii i wielowiekowej ciszy. W tych szafach były dokumenty, do których można by uzyskać dostęp tylko za pośrednictwem prawników, jeśli w ogóle. A nad tym wszystkim sprawowała pieczę schludna zakonnica o ziemistej cerze.

- Siostra Miriam?
- Tak - potwierdziła. - Doktor Grene?
- To ja - odparłem.

- I przyjechał pan, żeby zajrzeć do pewnych akt?

- Tak, mam z sobą dokumenty, które być może pomogą nam zidentyfikować...

- Odebrałam telefon ze Sligo i mogłam rozpocząć poszukiwania przed pana przyjazdem.

- Och, rozumiem, więc jednak zadzwoniła, wydawało mi się, że powiedziała...

- Te akta mają dwa numery - wyjaśniła, otwierając cienką teczkę. - Dziecko, którego pan poszukuje, nie przebywało u nas długo.

Niemal wyrwało mi się: „Dzięki Bogu”, ale w porę ugryzłem się w język.

- Chociaż dokumentacja pochodzi z dawnych lat, rozumiem, że matka jeszcze żyje, no i oczywiście samo dziecko...

- Więc było dziecko, jest dziecko?

- O tak, wszystko na to wskazuje - odparła, uśmiechając się szeroko.

Chociaż mam problemy z identyfikacją irlandzkich akcentów, zawsze próbuję to ustalić i pomyślałem: może Kerry, bo z pewnością część zachodnia. Jej lekko oficjalny sposób mówienia był efektem, jak przypuszczałem, długiego obcowania z tymi aktami. Muszę powiedzieć, że była sympatyczna, bardzo uprzejma i inteligentna.

- Nadaża pan za mną? - zapytała.

- O tak.

- Jest świadectwo urodzenia - powiedziała. - Zachowało się też nazwisko ludzi, którym dziecko zostało oddane do adopcji. Nie widzieli oni jednak tego pierwszego dokumentu albo tylko przez chwilę. Wystarczyła im informacja, że dziecko pochodzi z Irlandii, jest zdrowe i wyznania katolickiego.

- To brzmi rozsądnie - zauważyłem, dość głupio, jak pomyślałem, gdy usłyszałem własne słowa. Trochę bałem się tej kobiety, było w niej coś, co mnie peszyło.

- Naszej instytucji zależało, żeby znaleźć dziecku dobry dom, ze względu na siostrę Declan, niech spoczywa w pokoju. Byłam wtedy młoda i dobrze ją zapamiętałam. Pochodziła z zachodniej Irlandii, była przemiłą osobą, prawdziwa chluba dla matki i dla nas. W swoim czasie była najlepszą siostrą z zakonu żebraczego. To wielkie osiągnięcie. I dzieci w większości ją kochały. Kochały.

Wyczułem tu delikatny, ale wyraźny nacisk.

- Może miałby pan ochotę później pójść na cmentarz i zobaczyć jej skromny grób? - zapytała siostra Miriam.

- Och, bardzo chętnie...

- Dobrze. Jesteśmy świadomi tu, w Bexhill, że tego typu sprawy załatwiano zupełnie

inaczej w latach czterdziestych, i osobiście uważam, że trudno zrozumieć tamte procedury, gdy patrzy się w przeszłość. Nawet doktor Who miałby z tym problemy. - Znowu się uśmiechnęła.

- Kryje się w tym wielka prawda - powiedziałem, słysząc od razu, że brzmi to pompatycznie. - Jeśli chodzi o zdrowie psychiczne. Dobry Boże. Ale mimo to trzeba...

- Robić, co się da?

- Tak.

- Żeby naprawić błędy i wynagrodzić krzywdy?

Byłem zaskoczony, że to powiedziała.

- Tak - potwierdziłem, wytrącony z równowagi jej niespodziewaną bezpośredniością.

- Zgadzam się - przytaknęła i jak pokerzystka z zimną krwią położyła przede mną na biurku dwa dokumenty. - To świadectwo urodzenia. A to potwierdzenie adopcji.

Pochyliłem się, wyjąłem okulary do czytania i spojrzałem na obie kartki. Chyba na chwilę serce przestało mi bić, a krew zastygła w żyłach. Te tysiące rzek i strumyków zatrzymało swój bieg. Potem popłynęło znowu, wręcz gwałtownie, z impetem.

Nazwisko dziecka brzmiało William Clear, nazwisko matki: Roseanne Clear, kelnerka. W rubryce „nazwisko ojca” wpisano: Eneas McNulty, żołnierz. Dziecko zostało oddane do adopcji państwu Grene z Padstow, w Kornwalii, w 1945 roku.

\*

Siedziałem naprzeciwko siostry Miriam kompletnie oszołomiony.

- Więc pan nie wiedział? - zapytała delikatnie.

- Nie, nie, oczywiście, że nie... jestem tu oficjalnie... żeby pomóc starszej pani, będącej pod moją opieką...

- Myśleliśmy, że pan wie. Nie mieliśmy pojęcia...

- Nie wiedziałem.

- Są tu jeszcze inne dokumenty, notatki z rozmów między siostrą Declan i Seanem Keane'em z lat siedemdziesiątych. Coś panu o tym wiadomo?

- Nie.

- Pan Keane chciał pana odnaleźć i siostra Declan mu pomogła. Odszukał pana?

- Nie wiem. Nie. Tak.

- Jest pan bardzo zdezorientowany i to oczywiście zrozumiałe. To jak tsunami, prawda? Jakby żywioł przetoczył się nad panem. Unosząc z sobą ludzi i przedmioty.

- Siostro, proszę mi wybaczyć, chyba mi niedobrze. Te ciastka...

- O tak, oczywiście - powiedziała. - Tędy, proszę.

\*

Kiedy już doszedłem do siebie, czekało mnie jeszcze jedno dziwaczne doświadczenie, zaprowadzono mnie bowiem na grób mojej „ciotki”. Potem opuściłem klasztor i wróciłem do Londynu.

Jakże żałowałem, jakże żałowałem, że Bet nie żyje, tak bardzo pragnąłem jej o tym opowiedzieć, to była moja pierwsza myśl.

Ale już przy każdej następnej tylko kręciłem głową. Pozostali pasażerowie pewnie myśleli, że mam parkinsona. Nie, nie, to niemożliwe. Nie mieściło mi się to w głowie.

Starsza pani, z której istnienia przez całe lata ledwie zdawałem sobie sprawę i która mimo to tak zawładnęła ostatnio moją wyobraźnią, ta starsza pani, ze swoimi dziwactwami, ze swoimi historiami, swoim kontrowersyjnym postępowaniem i - tak - ze swoją przyjaźnią, była moją matką.

\*

Wracałem pospiesznie, wracałem pospiesznie do domu, można by powiedzieć. Podczas podróży niewiele przejaśniło mi się w głowie. Byłem już jednak w drodze, spieszyłem się, nagle przejęty strachem, że ona umrze, zanim tam dotrę. Nie umiałbym opisać nikomu tego uczucia. Uczucia pozbawionego czegokolwiek innego. Uczucia bez żadnych myśli. Pragnienia, żeby już wrócić, jechać i wrócić. Gnałem przez Irlandię, prowadząc wóz z wariacką szybkością. Zaparkowałem niezgrabnie przed szpitalem i nie witając się z personelem, pobiegłem na oddział, gdzie miałem nadzieję zastać ją jeszcze. Jej łóżko było zasłonięte kotarą, choć poza nią w sali nie leżał nikt inny. Pomyślałem, no tak, oczywiście, to koniec, już nie żyje. Zajrzałem za zasłonkę i zobaczyłem ją - żywą i przytomną. Lekko zwróciła twarz w moją stronę, patrząc na mnie z pewnym zdziwieniem.

- Doktor Grene - powiedziała. - Gdzie pan był? Zdaje się, że wracam ze świata umarłych.

\*

Próbowałem jej powiedzieć, od razu. Ale nie mogłem znaleźć słów. Będę musiał zaczekać, aż je znajdę, pomyślałem.

Ona jakby coś wyczuła, gdy tak stałem, zaglądając za zasłonkę. Ludzie intuicyjnie wiedzą więcej, niż podpowiada im umysł (może to z medycznego punktu widzenia wątpliwa prawda, ale tak jest).

- Więc, panie doktorze - zaczęła. - Zbadał pan już mój przypadek?

- Słucham?

- Czy zbadał pan mój przypadek?

- O tak. Tak sędę.

- I jaki jest werdykt?

- Jest pani niewinna.

- Niewinna? Wątpię, żeby to było dane jakiemukolwiek śmiertelnikowi.

- Zupełnie niewinna. Bezpodstawnie umieszczona w zakładzie psychiatrycznym.

Przepraszam. Przepraszam w imieniu przedstawicieli mojego zawodu. Przepraszam w swoim imieniu, bo wcześniej nie zadałem sobie trudu i nie sprawdziłem wszystkich dokumentów. Trzeba było rozbiórki szpitala, żebym to wreszcie zrobił. I wiem, że moje przeprosiny są bezużyteczne, może nawet dla pani niesmaczne.

Mimo że słaba, roześmiała się na to.

- Ależ to nieprawda - powiedziała. - Widziałam folder tego nowego szpitala. Pozwoli mi pan zostać w nim jeszcze jakiś czas?

- To zależy wyłącznie od pani decyzji. Jest pani wolną kobietą.

- Nie zawsze nią byłam. Dziękuję, że zwrócił mi pan wolność.

- Jest dla mnie zaszczytem, że mogę to pani powiedzieć - stwierdziłem nagle bardzo dziwnie i formalnie, ale ona nie zwróciła na to uwagi.

- Może pan podejść do łóżka? - poprosiła.

Podszedłem. Nie wiedziałem, o co jej chodzi. Ale ona po prostu wzięła mnie za rękę i uścisnęła.

- Pozwoli pan, że mu wybaczę? - zapytała.

- Mój Boże, tak - odpowiedziałem.

Potem zapadła krótka cisza, wystarczająca cisza, żeby tysiąc myśli przemknęło mi przez głowę.

- Hm, no to wybaczam - odparła.

\*

Następnego ranka poszedłem do starych stajni. Chciałem zapytać Johna Kane'a o kilka spraw, dopóki miałem taką możliwość, zwłaszcza teraz. Wiedziałem, że raczej nie będzie mógł czy nawet chciał udzielić mi odpowiedzi. Ale zamierzałem mu przynajmniej podziękować serdecznie za wszystkie jego zdumiewające starania.

Nigdzie jednak nie było po nim śladu. Zajmował pojedynczy pokój ze staroświeckim gramofonem w skrzynce, której prawe drzwiczki trzeba otworzyć, żeby słycać było dźwięk, ponieważ znajduje się w nich prosty drewniany wzmacniacz. We wnęce dołączonej przez producenta (Shepherds, Bristol) mieściła się kolekcja siedemdziesięciu ośmiu płyt. Wśród wykonawców znajdowali się Benny Goodman, Bubber Miley, Jelly Roli Morton, Fletcher

Henderson i Billy Mayerl. Poza tym pokój był pusty, z wyjątkiem małego, starannie zaścielonego, żelaznego łóżka, nakrytego kapą z prostym haftem w kwiaty.

Natychmiast przywiodła mi ona na myśl panią McNulty, tak opisywała ją Roseanne. Nie miałem wątpliwości, że aby zrealizować swój zamiar, czy w swoim pojęciu najlepiej służyć Roseanne, musiał wyrzucić presję na McNultych, wykorzystując do tego ich sekret. Pierwsza żona, której w sensie prawnym nie było i o której druga rodzina Toma McNulty'ego pewnie nigdy nie wspominała. Obląkana żona, która nie była żoną, ale która istniała, chodziła po tym świecie. Jestem pewien, że pani McNulty i jej dobra córka zrobiły wszystko, żeby zadowolić Johna Kane'a, nawet zdradziły mu moje nowe nazwisko i być może opowiedziały historię mojego życia. Nie wiem, co zamierzał zrobić, gdy mnie odnajdzie, i mogę się tylko domyślać, że dowiedziawszy się, iż cudownym zrządzeniem losu zostałem psychiatrą, dostosował się do tego, wymyślił lepszy plan niż ten pierwotny, którego efektem, jeśli myślał o konfrontacji nas dwojga, mogła być z mojej strony odmowa spotkania z Roseanne albo, już po spotkaniu, odrzucenie jej. Bo dlaczego miałbym jej nie odrzucić, skoro tak robili wszyscy?

Cóż, to jednak tylko domysły. Żadna tam historia. Ale zaczynam się poważnie zastanawiać, jaka jest w ogóle natura historii. Czy to tylko wspomnienia ubrane w ładne zdania, a jeśli tak, to czy można im wierzyć? Powiedziałbym, że nie bardzo. I dlatego większość prawd i faktów, jakie oferują te składniowe twory, jest niewiarygodna, pełna pułapek. A jednak żyjemy i trwamy przy zdrowych zmysłach mimo tych pułapek i tej niewiarygodności, tak samo jak pielęgnujemy miłość do ojczyzny, opierając się jedynie na papierowych światach, pełnych nieporozumień i kłamstw. Ale taką mamy naturę i może niewytłumaczalnie na tym polega cała nasza chwała jako rodzaju ludzkiego, że wznosimy nasze najwspanialsze i najtrwalsze budowle na fundamentach z pyłu.

Powinienem także wspomnieć o pudełku kubańskich cygar przy łóżku Johna Kane'a, które, jak się okazało, gdy je otworzyłem, było do połowy puste. Albo do połowy pełne.

Poza tym nic, z wyjątkiem tego dziwnego i ważnego liściku na gramofonie:

*Drogi Doktorze Grene!*

*Żaden ze mnie anioł, ale wziąłem to dziecko z wyspy. Poszłem z nim do lekarza. Chętnie bym z Panem porozmawiał, ale pora na mnie. Pewnie Pan spyta, dlaczego robiłem to wszystko dla Roseanne, a odpowiedź jest taka: bo kochałem ojca. Ojciec zginął z ręki Peerpointa. Poprosiłem doktora Singha, żeby napisał do Pana, i stał się cud, napisał i Pan przyjechał. Cieszę się z tego. Miałem powiedzieć Panu prawdę któregoś dnia i teraz przyszedł ten dzień. Na pewno już pan ją zna i tylko proszę, niech Pan nie odrzuca matki. Nikt z nas nie*

*jest ideałem, ale nie o to chodzi. Jeśli stawimy się pod bramy nieba, nie znając miłości, święty Piotr nie wpuści nas za nie. A teraz żegnam się, Doktorze, proszę mi wybaczyć i niech Bóg też mi wybaczy.*

*Oddany*

*Seanin Keane Lavelle (John Kane)*

*PS To Doran dobierał się do tej kobiety z Leitrim, tej, która wróciła bezpiecznie do domu.*

Nikt z personelu nie wiedział, gdzie się podział. Nic nie wskazywało na to, że spakował torbę albo schronił się do lasu, żeby tam umrzeć. Jednak zapadł się pod ziemię. Oczywiście, powiadomiliśmy policję i chłopcy na pewno będą go szukać, znajdą go choćby na końcu świata. Max Doran, ten pielęgniarz, o którym wspomniał John Kane, całkiem młody facet, dość przystojny, ma nawet dziewczynę, przyznał się w rozmowie ze mną, że tamta kobieta z Leitrim to jego sprawka, czym był bardzo zawstydzony i zaniepokojony, słusznie zresztą. Przyznał się, ale potem nabrał wody w usta. Stanie przed sądem, gdy prawnicy będą gotowi ze wszystkim, co może trochę potrwać. Ponieważ szpital zostanie przeniesiony, a pracownicy rozproszeni, morale raczej na tym nie ucierpi. Może poczyniliśmy mały postęp. Chciałbym wierzyć, że to krok w kierunku zapewnienia naszym pacjentom bezpieczeństwa, ale aż taki głupi nie jestem.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Mamy jesień i Roseanne jest w nowej kwaterze. Specjalnie przystosowany, wręcz dzieło sztuki, to naprawdę azyl godny swojej dawnej nazwy, w pierwotnym jej znaczeniu. Niewątpliwie, przy jej wieku, to tylko kwestia czasu, ale nawet jeśli tak, to co? Wielu porządnych ludzi odeszło w znacznie młodszym wieku niż ja. Przeważnie jest milcząca i trudna, nie chce jeść i pyta mnie szorstko, po co przyszedłem. Czasami mówi, że nie muszę przychodzić.

Podobnie jak John Kane, czekam na właściwy moment. Rozumiem teraz, jak było mu trudno.

Pewnego dnia, gdy wychodziłem, wstała i podeszła kilka kroków, krucha jak pergamin, objęła mnie i podziękowała. Nawet jej kości straciły na wadze. Tak mnie to wzruszyło, że niemal jej powiedziałem. Ale wciąż nie mogę się na to zdobyć.

Chyba się boję, bo chociaż pewnie jest zadowolona ze mnie jako lekarza i przyjaciela, może być rozczarowana/mną jako synem, może uznać, że nie stanowią satysfakcjonującej rekompensaty za wszystkie jej cierpienia - śmieszny, stateczny, starzejący się, zagubiony Anglo-Irlandczyk. Co więcej, lękam się, że przeżyłaby szok, niedobry szok, w sensie medycznym, psychicznym. Jeśli o to chodzi, mogę się skonsultować z doktorem Wynnem, ale mam na myśli szok wykraczający poza granice medycyny, poza jego i moją wiedzę. Mogłoby pęknąć w niej coś delikatnego, subtelnego, kruchego, czego nie bylibyśmy w stanie naprawić. To, co pomagało jej wytrwać. Ale wierzę, że wytrzyma, wytrzyma. Najważniejsze, że jest bezpieczna i pod opieką. I że jest wolna.

Miesiąc po moim powrocie z Anglii szpital został zburzony. Postanowiono go wysadzić w powietrze, tak żeby wskutek wybuchu na parterze zawaliły się cztery górne piętra. Tego ranka miałem wrażenie, jakbym siedł oglądać likwidację własnego życia, za pomocą dynamitu, kabli, precyzyjnych wyliczeń. Staliśmy wszyscy na małym wzgórzu jakieś pięćset metrów od budynku. O wyznaczonej porze inżynier przycisnął guzik detonatora i po trwającej wieczność sekundzie usłyszeliśmy potężny huk, a następnie zobaczyliśmy, że dolna część szpitala niknie w gęstym obłoku zaprawy i starego kamienia. Wielki gmach runął natychmiast, zostawiając za sobą tylko wspomnienie swojej dawnej sylwetki na tle nieba. Za nim stał anioł, potężny, ognisty mężczyzna wzrostu budynku, z rozłożonymi na wschód i



zachód skrzydłami. Był to na pewno John Kane. Spojrzałem na moich towarzyszy i zapytałem, czy widzieli to samo co ja. Popatrzyli na mnie, jakbym zwariował, i rzeczywiście, straciwszy szpital i będąc tylko nadzorcą wielkiej pustki, którą wypełnił swoją obecnością rzekomy anioł, chyba musiałem zwariować.

Oczywiście to ból podsunął mi obraz tego anioła. Wiem to teraz. Myślałem, że przestałem cierpieć z powodu Bet, że Bet to już bezbolesne wspomnienie, ale był to dopiero początek. Ból trwa jakieś dwa lata, jak mówią, to banał rodem z poradników dla cierpiących po stracie bliskich. A matki oplakujemy, zanim jeszcze przyjdziemy na świat.

Powiem jej. Jak tylko znajdę słowa. Jak tylko dotrzemy do tej części całej historii.

\*

Pojechałem dziś do Sligo. Na szczycie wzgórza, na którym leży miasteczko, minąłem cmentarz komunalny i zacząłem się zastanawiać, jak czas obszedł się z betonową świątynką i grobami. Wpadłem do Percy'ego i podziękowałem mu za pomoc. Nie wiem, czy był zaskoczony. Kiedy mu opowiedziałem, co się stało, na długą chwilę odebrało mu mowę. Potem wstał zza biurka. Stałem przy drzwiach, bo nie bardzo wiedziałem, czy mam wejść do środka, czy zostać na zewnątrz, żeby nie przeszkadzać.

- Mój drogi - powiedział.

Nie wiem, miałem wrażenie, że chce mnie objąć. Uśmiechnąłem się jak chłopiec, tak się zresztą czułem, i zaśmiałem radośnie. Tak naprawdę dotarło to do mnie dopiero wtedy. Z zadowoleniem stwierdzam, że zasadniczo, biorąc wszystko pod uwagę, jej historię i moją, było to bardzo proste, zwyczajne uczucie.

Chciałem mu powiedzieć, że według mnie to nie takie ważne, czy napisała albo powiedziała prawdę o sobie ani czy wierzę, że to, co napisała i powiedziała, jest prawdą. Ważne wydaje mi się co innego: że osoba, która to napisała i powiedziała, była godną podziwu, żyjącą istotą w pełnym tych słów znaczeniu. Chciałem mu powiedzieć, w pewnym sensie nawet wyznać, że z psychiatrycznego punktu widzenia zupełnie nie zdołałem jej „pomóc”, nie otworzyłem zamkniętych powiek przeszłości. Ale moim pierwotnym zamiarem nie było jej pomóc, tylko ocenić jej przypadek. Przez ten cały czas, przez te wszystkie lata, gdy była pod moją opieką, mogłem jej pomóc, lecz w gruncie rzeczy zostawiłem ją samą sobie. Chciałem mu powiedzieć, że w końcu pomogła sobie sama, rozmawiając z sobą, słuchając siebie. To prawdziwe zwycięstwo. I że w kwestii jej ojca w końcu wolę nieprawdę Roseanne od prawdy ojca Gaunta, bo ta pierwsza jest zdrowsza. Co więcej, uważam, że gdyby nie wezwał mnie tu wspaniały Amurdat Singh, pewnie nie praktykowałbym psychiatrii, i nie sadzę, żebym kiedykolwiek był dobrym psychiatrą, a dobrym człowiekiem

już w ogóle. To od Roseanne nauczyłem się czegoś o tajemnicy ludzkiego milczenia i skuteczności wstrzymywania się od pytań. Ale nie umiałem tego wszystkiego powiedzieć.

Wtedy rzucił komentarz, który mógł mnie urazić, ale myślę, że wynikał z jego zdolności do syntezy, którą zresztą się szczyił, i byłem mu za niego wdzięczny, zważywszy na okoliczności.

- Niedługo przejdziesz na emeryturę - powiedział - a mimo to pod wieloma względami jakbyś dopiero zaczynał.

Podziękowałem mu, wróciłem do samochodu i ruszyłem do Strandhill. Mniej więcej znałem drogę z relacji Roseanne i jechałem, jakbym tam już był. Kiedy dotarłem do kościoła, który stał, gdzie miał stać, wysiadłem i rozejrzałem się wokół. Zobaczyłem Knocknareę, taką, jak w jej opisach - wznosiła się, jakby uchodząc w przeszłość, daleką, nieprzeniknioną przeszłość. Poniżej rozciągała się zatoka Sligo, z Rosses po prawej stronie, i Ben Bulbin, gdzie został zabity Willie Lavelle. Zobaczyłem na plaży kamienne stożki prowadzące ku Coney. Było to niewielkie wzniesienie, z kilkoma poletkami i domkami. Nie umiałem powiedzieć sobie: „Tam się urodziłem”. Gdzieś tam, daleko, na obrzeżach, co nie było tak od rzeczy, bo Roseanne zawsze żyła na obrzeżach znanego nam świata, podobnie jak John Kane. Urodziłem się na obrzeżach i nawet teraz, jako opiekun chorych umysłowo, instynktownie ulokowałem się w takim miejscu. Za wyspą, w oddali, wznosiła się sylwetka Metalowego Człowieka, wiecznie wskazującego kierunek.

Po mojej lewej stronie znajdowała się wioska; nie powiedziałbym, że wiele się zmieniła, choć oczywiście jest tam teraz znacznie więcej domów niż za czasów Roseanne. Niemniej dostrzegłem w dole, przy plaży, fasadę starego hotelu i wielką wydmnę, od której Strandhill wzięło swoją nazwę, odniosłem też wrażenie, że widzę front czegoś, co wyglądało na nędzną salę taneczną.

Chyba dobrze wybrałem dzień na tę wizytę, bo gdy zjechałem nad morze, zauważając po drodze działo i niepozorne jezioro, zobaczyłem, że przy sali krzątają się robotnicy. Wyglądało na to, że przygotowują ją do wyburzenia. Tablica informacyjna głosiła, że niebawem zostaną tu wzniesione budynki mieszkalne. Sama sala wydała mi się śmiesznie mała, za nią leżał stos blachy falistej, od frontu rzeczywiście musiał być kiedyś domek letniskowy. Flaga z nazwą tego miejsca zniknęła, ale w późniejszych latach ktoś przymocował z przodu budynku pięć żelaznych liter, teraz już zszarzałych i pordzewiałych, tworzących napis: „P-L-A-Z-A”. Dziwnie się czułem, myśląc o historii tego miejsca. Wyobrażając sobie Eneasa McNulty’ego, jak przechodzi tędy w osmolonym mundurze, Toma ze swoimi instrumentami, samochody nadjeżdżające ze Sligo lśniąca plażą i dźwięki muzyki,

rozchodzące się letnimi wieczorami w zdradliwym irlandzkim powietrzu i być może docierające nawet do uszu królowej Maeve. A na pewno do uszu Roseanne, która słuchała ich, pogrzebana żywcem na wygnaniu.

Trudniej było zlokalizować jej chatę. Zorientowałem się, że minąłem miejsce, w którym musiała stać, gdy zauważyłem solidny mur wokół dużego domu po drugiej stronie i furtkę, przy której żona Jacka upokorzyła Roseanne. Na początku myślałem, że zostały z niej tylko ruiny z krzakami jeżyn, ale stary kamienny komin był niemal nienaruszony, choć porosły go mchy i pnącza. Izba, w której Roseanne odsiadywała swoją karę śmierci za życia, nie istniała.

Przeszedłem przez pozostałości furtki i stanąłem na zaniedbanej trawie. Nie było tam już nic do obejrzenia, ale w wyobraźni widziałem wszystko, bo opowieść Roseanne była jak stary film. Nic oprócz zdiczatego krzaka róży wśród jeżyn, z kilkoma ostatnimi kwiatami. Mimo że przeczytałem książki Bet, nie potrafiłem określić jej odmiany. Ale czy Roseanne nie wymieniła jej nazwy? Coś, coś jak... Za nic nie mogłem sobie przypomnieć. Ruszyłem jednak przed siebie wśród ciernistych krzaków i pnączy, myśląc, że zerwę kilka róż i zabiorę je na pamiątkę do Roscommon. Wszystkie wyglądały tak samo, miały ściśle zwinięte płatki, poza jedną gałązką której kwiaty były jaskrawe, w pełni rozkwitłe. Czułem, że ciernie ranią mi nogi, szarpią za kurtkę jak żebracy, ale nagle odniosłem wrażenie, że wiem, co robię. Delikatnie oderwałem gałązkę, jak zalecają w książkach, w rozdziałach o rozmnażaniu, i wsunąłem ją do kieszeni niemal z poczuciem winy, jakbym kradł coś, co nie należy do mnie.